

Clive Cussler & Paul Kemprecos

Ognisty lód

Fire Ice

Przełożył: Maciej Pintara

Wydanie oryginalne: 2002

Wydanie polskie: 2002

The logo consists of the letters 'TMN' in a stylized, black, serif font. The 'T' is tall and narrow, the 'M' is wide and blocky, and the 'N' is tall and narrow. A small, dark, teardrop-shaped mark is positioned above the 'T'.

Prolog

Odessa, Rosja 1918 rok

Późnym popołudniem wiatr nagle zmienił kierunek i przygnał do portu gęstą mgłę. Szare wilgotne opary spowiły kamienne nabrzeża i kłębiły się nad monumentalnymi schodami. W ruchliwym porcie czarnomorskim nagle zrobiło się ciemno. Odwołano rejsy promów i statków pasażerskich. Mnóstwo marynarzy zostało bez zajęcia. Kapitan Anatolij Towrow szedł nabrzeżem w przenikliwie zimnej mgłę. Słyszał wybuchy pijackiego śmiechu w zatłoczonych knajpach i burdelach. Minął główne skupisko barów, skręcił w zaułek i otworzył nieoznakowane drzwi. W nozdrza uderzyło go ciepłe powietrze przesycone dymem papierosowym i zapachem wódki. Tęgi gość przy stoliku w rogu przywołał go gestem.

Aleksiej Fiodorow był szefem odeskich celników. Kiedy kapitan zawijał do portu, spotykał się z nim w tej spelunie, gdzie przesiadywali głównie emerytowani marynarze, a wódka nie była droga. Towrow czuł się samotny po śmierci żony i córki, które zginęły w czasie rewolucji.

Fiodorow wydawał się dziwnie zgaszony. Zwykle tryskał humorem i żartował, że kelner zawiąza rachunek. Teraz bez słowa zamówił kolejkę, unosząc dwa palce. Co dziwniejsze, zapłacił bez żadnych targów. Zniżył głos, poskubał nerwowo czarną szpiczastą bródkę i rozejrzał się niepewnie po innych stolikach, gdzie ogorzali marynarze pochylali się nad wódką. Uspokojony, że nikt nie podsłuchuje, uniósł kieliszek. Stuknęli się.

- Drogi kapitanie... - zaczął. - Żałuję, że mam mało czasu i muszę od razu przejść do rzeczy. Chciałbym, żeby bez zadawania pytań zabrał pan do Konstantynopola grupę pasażerów i niewielki ładunek.

- Kiedy zapłacił pan za wódkę, od razu wiedziałem, że coś jest nie tak.

Fiodorow zachichotał. Zawsze intrygowała go szczerość kapitana, nawet jeśli jej nie rozumiał.

- No cóż, kapitanie... My, skromni urzędnicy państwowi, musimy jakoś żyć za te nędzne grosze, które nam płacą

Kapitan uśmiechnął się. Wielki brzuch Fiodorowa niemal rozsadał drogą francuską kamizelkę. Celnik często narzekał na swoją pracę, a Towrow uprzejmie go słuchał. Wiedział,

że urzędnik ma mocne plecy w Piotrogradzie i bierze łapówki od właścicieli statków, żeby „uspokoić morze biurokracji”, jak mawiał.

Towrow wzruszył ramionami.

- Zna pan moją łajbę. Nie nazwałbym jej luksusowym liniowcem.
- Nieważne. Doskonale się nadaje do naszych celów.

Kapitan zamilkł. Zastanawiał się, dlaczego ktoś chce płynąć na starym węglowcu, skoro są wygodniejsze statki. Fiodorow wziął wahanie kapitana za wstęp do negocjacji. Sięgnął do kieszeni na piersi, wyjął grubą kopertę i położył na stoliku. Rozchylił ją lekko, żeby kapitan mógł zobaczyć tysiące rubli.

- Dobrze zapłacę.

Towrow przełknął ślinę. Drżącymi palcami wygrzebał z paczki papierosa i zapalił.

- Nie rozumiem - powiedział.

Fiodorow zauważył jego zaskoczenie.

- Co pan wie o sytuacji politycznej w naszym kraju?

Kapitan słyszał tylko różne plotki i wiedział to, co wyczytał w starych gazetach.

- Jestem marynarzem - odparł. - Rzadko schodzę na ląd.

- Ale ma pan duże doświadczenie życiowe. Proszę być szczerym, przyjacielu. Zawsze ceniłem sobie pańskie opinie.

- Gdyby statek był w takim stanie, jak nasz kraj, dziwiłbym się, że jeszcze nie leży na dnie morza.

Fiodorow roześmiał się serdecznie.

- Zawsze podziwiałem pańską szczerłość. I ma pan talent do metafor. - Spowaźniał. - Trafił pan w sedno. Położenie Rosji jest przerażające. Młodzież ginie na wojnie, car abdykował, bolszewicy brutalnie przejmują władzę, Niemcy okupują nasze południowe tereny i musieliśmy wezwać inne państwa, żeby wyjmowały za nas kasztany ognia.

- Nie miałem pojęcia, że jest aż tak źle.

Fiodorow utkwiał w kapitanie wzrok

- Niech mi pan wierzy, że będzie jeszcze gorzej. Dlatego wróćmy do pana i pańskiego statku. My, lojalni patrioci, jesteśmy tu, w Odessie, przyparci plecami do morza. Biali jeszcze się trzymają, ale czerwoni naciskają od północy i wkrótce pokonają opór. Piętnastokilometrowa strefa zajęta przez Niemców zniknie jak cukier rozpuszczony w wodzie. Jeśli zabierze pan na pokład tych pasażerów, odda pan Rosji wielką przysługę.

Kapitan uważał się za obywatela świata, ale w głębi duszy nie różnił się od reszty swoich rodaków i czuł głębokie przywiązanie do ojczyzny. Wiedział, że szerzy się bolszewicki terror i wielu uchodźców ucieka na południe. Rozmawiał z innymi kapitanami, którzy szeptali o nocnych przewozach ważnych osób.

Miał miejsce dla pasażerów. „Odessa Star” był właściwie pusty. Jednak na frachtowcu śmierdziało wyciekającym paliwem, rdzewiejącym metalem i brudem. Marynarze nazywali to

odorem śmierci i omijali statek jak zarazę. Załoga składała się głównie z portowych szczerów, których nie chciał żaden inny kapitan. Towrow mógł przenieść zastępcę do swojej kajuty i zwolnić kajuty oficerskie dla pasażerów. Zerknął na grubą kopertę. Za takie pieniądze kupiłby na starość domek nad morzem zamiast zdychać w marynarskim przytułku.

- Wychodzimy w morze za trzy dni, z wieczornym odpływem - oznajmił. Fiodorow pchnął kopertę przez stół.

- Jest pan prawdziwym patriotą. To połowa. Resztę dopłacę, kiedy przyjadą pasażerowie. Kapitan schował pieniądze do wewnętrznej kieszeni kurtki.

- Ilu ich będzie?

Fiodorow zerknął na dwóch marynarzy, którzy weszli do kajuty i usiedli przy stoliku. Zniżył głos.

- Kilkunastu. W kopercie są dodatkowe pieniądze na prowiant. Niech pan zrobi zakupy w różnych miejscach, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Muszę już iść.

Wstał i podniósł głos, żeby wszyscy słyszeli.

- Mam nadzieję, kapitanie... - powiedział surowo - że teraz lepiej rozumie pan nasze przepisy celne. Żegnam.

W dniu wypłynięcia z portu Fiodorow przyszedł po południu na statek, żeby powiedzieć kapitanowi, że plany się nie zmieniły. Pasażerowie przyjadą w nocy. Na pokładzie ma być tylko kapitan. Krótco przed północą Towrow spacerował samotnie po pokładzie zasnutym mgłą. Przy trapie zahamował z piskiem samochód. Po odgłosie silnika można było poznać, że to ciężarówka. Zgasły światła. Trzasnęły drzwiczki. Rozległy się przyciszone głosy i kroki na mokrym bruku.

Po trapie wspięła się wysoka postać w pelerynie z kapturem. Weszła na pokład i zbliżyła się do kapitana. Towrow poczuł na sobie świdrujące spojrzenie. Spod kaptura odezwał się głęboki, męski głos.

- Gdzie są kajuty pasażerów?

- Pokażę panu - odrzekł Towrow.

- Nie. Niech pan powie.

- Na górnym pokładzie.

- A gdzie pańska załoga?

- Śpi.

- Niech pan dopilnuje, żeby zostali w kojach. I proszę tu poczekać.

Mężczyzna podszedł cicho do trapu i wspiął się na górny pokład. Po kilku minutach wrócił z inspekcji.

- Niewiele lepiej niż w stajni - stwierdził. - Wchodzimy na statek. Niech pan zejdzie z drogi i stanie tam...

Towrowowi nie podobało się, że ktoś rozkazuje mu na jego statku, ale uspokoił się, pomyślawszy o pieniądzach zamkniętych w sejfie w kajucie kapitańskiej. Poza tym wołał nie

zadzierać z wyższym o głowę obcym. Stał na dziobie, jak mu kazano.

Grupka stłoczona na nabrzeżu weszła na pokład. Towrow usłyszał senny głos małej dziewczynki lub chłopca i uspokajający szept kogoś dorosłego. Pasażerowie skierowali się do swoich kajut. Inni wnieśli skrzynie i kufry podróżne. Sądząc po tym, jak stękali i przeklinali, bagaż musiał być ciężki. Ostatni zjawił się Fiodorow. Nie był przyzwyczajony do wysiłku i zasapał się przy krótkiej wspinaczce.

Dla rozgrzewki zacierał dłonie w rękawicach.

- No, cóż, mój przyjacielu - powiedział wesoło. - To tyle. Wszystko gotowe?

- Możemy odpływać, kiedy tylko da pan rozkaz.

- Ruszajcie. Oto reszta pieniędzy...

Wręczył Towrowowi kopertę z nowiutkimi szeleszczącymi banknotami. Potem niespodziewanie objął kapitana i ucałował w oba policzki.

- Matka Rosja nigdy panu tego nie zapomni - szepnął. - Dzisiejszej nocy tworzy pan historię.

Puścił zaskoczonego kapitana i zszedł po trapie. Po chwili ciężarówka ruszyła i zniknęła w ciemności.

Kapitan uniósł kopertę do nosa i z rozkoszą powąchał pieniądze, jakby to były róże. Schował kopertę do kieszeni kurtki i wspiał się do sterowni. Wszedł do pomieszczenia nawigacyjnego za sterownią. Kazał pierwszemu oficerowi Siergiejowi obudzić załogę i odbić od brzegu. Zastępca kapitana zszedł na dół wykonać rozkazy.

Towrow patrzył ze sterowni, jak odcumowują statek i wciągają trap. Załoga liczyła dwunastu ludzi, łącznie z dwoma palaczami, zatrudnionymi w ostatniej chwili do obsługi „złomowiska”, jak nazywano maszynownię. Główny mechanik był doświadczonym marynarzem i nie opuścił swojego kapitana tylko z lojalności. Posługiwał się oliwiarką niczym czarodziejską różdżką i potrafił tchnąć życie w kupę szmelcu napędzającą „Odessa Star”. Kotły były już pod parą.

Towrow stanął za sterem, zadzwiczał telegraf maszynowni i statek wypłynął z basenu portowego. Ci, którzy widzieli frachtowiec wychodzący we mgle w morze, zegnali się i odmawiali modlitwy, żeby odpędzić demony. „Odessa Star” zdawał się sunąć nad wodą jak statek-widmo, skazany na włączkę po świecie w poszukiwaniu topielców do swojej załogi. Przymglone światła nawigacyjne wyglądały tak, jakby po takielunku płały ognie świętego Elma.

Kapitan wprawnie prowadził frachtowiec krętym farwaterem między spowitymi we mgle statkami. Od lat kursował między Odessą i Konstantynopolem i znał trasę na pamięć. Wiedział bez mapy i boi kursowych, ile wykonać obrotów kołem sterowym.

Francuscy właściciele „Odessa Star” od lat celowo nie remontowali statku w nadziei, że wreszcie jakiś silny sztorm pośle go na dno i dostaną odszkodowanie. Rdzawe zacieki pod otworami odpływowymi wyglądały jak krwawiące rany na pokrytym pęcherzami kadłubie.

Maszty i dźwigi zżerała korozja. Statek przechylał się jak pijany na lewą burłę, gdzie zbierała się woda z przeciekającej zęzy. Dychawiczne silniki od dawna potrzebowały naprawy głównej i sapały, jakby cierpiały na rozedmę płuc. Duszący czarny dym z pojedynczego komina cuchnął niczym opary siarki wydobywające się z Hadesu. Frachtowiec przypominał konającego człowieka, który jakimś cudem ciągle żyje, choć lekarze dawno stwierdzili jego śmierć kliniczną.

Towrow wiedział, że „Odessa Star” to już ostatni statek pod jego dowództwem. Mimo to dbał o swój wygląd. Co rano polerował czarne półbuty na cienkiej podeszwie. Biała koszula pożółkła, ale była czysta. Starał się, żeby znoszone czarne spodnie nadal miały kant. Jednak wyglądu samego kapitana nic nie mogło poprawić. Długie godziny pracy, marne jedzenie i brak snu zrobiły swoje. Zapadłe policzki jeszcze bardziej uwydatniały długi czerwony nos, a poszarzała skóra przypominała pergamin.

Zastępca kapitana znów zasnął, załoga wróciła na koje. Pierwsza wachta palaczy dorzucała węgiel do kotłów. Towrow zapalił mocnego tureckiego papierosa i dostał takiego ataku kaszlu, że aż zgiął się wpół. Kiedy doszedł do siebie, poczuł zimne morskie powietrze wpadające przez otwarte drzwi. Podniósł wzrok i zobaczył, że nie jest sam.

- Światło - powiedział barytonem mężczyzna, który pierwszy wszedł na pokład.

Towrow pociągnął za sznurek nagiej żarówki pod sufitem. Przybysz odrzucił do tyłu kaptur. Był wysoki i szczupły. Na głowie miał przekrzywioną białą papachę. Prawy policzek przecinała jasna blizna po szabli. Czerwoną twarz pokrywały białe pęcherzyki, na czarnej brodzie i włosach lśniły kropelki wody. Na jednym oku miał bielmo.

Spod rozchylonej futrzanej burki widać było pas z pistoletem w kaburze i szablę. Obcy trzymał karabin. Na piersi miał pas z nabojami. Był w szarej rubaszce i czarnych butach z cholewami. Strój wskazywał na to, że jest Kozakiem. Towrow stłumił odruch wrogości. To właśnie Kozacy zabili jego rodzinę.

Mężczyzna rozejrzał się po pustej sterowni.

- Sam?

Towrow wskazał głową za siebie.

- Tam śpi mój pierwszy oficer. Urznął się i nic nie słyszy.

Sięgnął po papierosa i poczęstował Kozaka, który odmówił machnięciem ręki.

- Major Piotr Jakielew - przedstawił się. - Będzie pan wykonywał moje rozkazy, kapitanie Towrow.

- Może mi pan zaufać, majorze.

Kozak podszedł bliżej.

- Nie ufam nikomu. Ani białym, ani czerwonym. Ani Niemcom, ani Anglikom. Wszyscy są przeciwko nam. Nawet Kozacy przechodzą na stronę bolszewików.

Nie zauważył groźby w łagodnych oczach Towrowa i wyciągnął rękę.

- Papierosa - warknął.

Kapitan dał mu całą paczkę. Major zapalił i zaciągnął się głęboko. Towrowa intrygował jego akcent. Ojciec kapitana był stangretem bogatego właściciela ziemskiego i Towrow znał język elity rosyjskiej. Kozak wyglądał na wykształconego człowieka. Kapitan wiedział, że oficerowie z wyższych sfer po ukończeniu akademii wojskowej byli często mianowani dowódcami oddziałów kozackich.

Towrow zauważył zmęczenie na twarzy majora.

- Długa podróż? - zapytał.

Kozak uśmiechnął się niezbyt wesoło.

- Długa i ciężka.

Wypuścił nosem dym i wyjął z kieszeni butelkę wódki. Pociągnął solidny łyk i rozejrzał się.

- Śmierdzi tutaj - stwierdził.

- „Odessa Star” to bardzo stara dama o wielkim sercu.

- Ale pańska stara dama śmierdzi - odparł Kozak.

- Kiedy będzie pan w moim wieku, nauczy się pan zatykać nos i brać, co dają.

Major ryknął śmiechem i walnął kapitana w plecy z taką siłą, że Towrow poczuł ostre ukłucie bólu w zniszczonych płucach. Zakaszłał. Kozak podał mu butelkę. Gatunkowa wódka nie przypominała świństwa, do którego był przyzwyczajony. Mocny alkohol pomógł na kaszel. Towrow oddał butelkę i wziął ster.

Jakielew schował wódkę.

- Co panu powiedział Fiodorow? - zapytał.

- Tylko tyle, że zabiorę ładunek i pasażerów bardzo ważnych dla Rosji.

- Nie jest pan ciekaw szczegółów?

Kapitan wzruszył ramionami.

- Słyszałem, co się dzieje w Rosji. Domyślam się, że mam na pokładzie urzędników uciekających z rodzinami i dobytkiem przed bolszewikami.

Jakielew uśmiechnął się.

- Dobra wersja.

Towrow poczuł się śmieiej.

- Jeśli wolno spytać, dlaczego wybraliście „Odessa Star”? Przecież były nowsze statki, przystosowane do przewozu pasażerów.

- Rusz głową, człowieku - odparł pogardliwie Jakielew i wyjrzał przez okno w noc. - Nikt nie podejrzewa, że ta stara łajba przewozi ważne osoby. Ile czasu będziemy płynąć do Konstantynopola?

- Dwie doby. Jeśli wszystko pójdzie dobrze.

- Lepiej, żeby poszło.

- Zrobię, co będę mógł. Coś jeszcze?

- Niech załoga trzyma się z daleka od pasażerów. Przyślę do kuchni naszą kucharkę.

Niech nikt z nią nie rozmawia. Łącznie ze mną jest sześciu strażników. Będziemy na służbie cały czas. Jeśli ktoś zbliży się do kajut bez pozwolenia, zastrzelimy go.

Znacząco położył rękę na kolbie pistoletu.

- Uprzedzę załogę - zapewnił kapitan. - Zwykle na mostku jest nas tylko dwóch: ja i mój zastępca. Ma na imię Siergiej.

- To ten pijak?

Towrow przytaknął. Major z niedowierzaniem pokręcił głową i przyjrzał się zdrowym okiem sterowni. Potem wyszedł tak nagle, jak się zjawiał.

Kapitan popatrzył na otwarte drzwi i podrapał się w brodę. Pasażerowie z własną uzbrojoną ochroną to nie zwykli urzędnicy. Pewnie jacyś carscy dostojnicy. Uznał jednak, że to nie jego sprawa, i wrócił do swoich obowiązków. Sprawdził kurs na kompasie, ustawił ster i wyszedł na skrzydło mostka, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.

Przechylił głowę na bok i wyteżył słuch. Dziesiątki lat na morzu wyostrzyły jego zmysły. Poprzez miarowy rytm silników frachtowca usłyszał we mgle inny statek. Jeszcze jakiś wariat wybrał się w rejs w taką noc? A może to tylko efekt wódki?

Hałas statku zagłuszyły nowe dźwięki. Z kajut pasażerów słychać było teraz muzykę. Ktoś grał na harmonii. Męskie głosy śpiewały chórem rosyjski hymn państwowy *Boże caria chroni*. Boże, chroń cara... Melancholijne głosy podziały na kapitana przygnębiająco. Wrócił do sterowni i zamknął drzwi, żeby nie słyszeć natrętnej melodii.

O świcie mgła zniknęła. Zjawił się skacowany pierwszy oficer, żeby zastąpić kapitana. Towrow podał mu kurs, wyszedł i ziewnął w porannym słońcu. Popatrzył na morze i przekonał się, że instynkt go nie zawiodł. Równoległe do długiego kilwatera statku płynął kuter rybacki. Towrow przyglądał mu się przez chwilę, a potem wzruszył ramionami i poszedł na obchód. Uprzedził załogę, żeby nie zbliżała się do kajut oficerskich.

Zadowolony, że wszystko idzie dobrze, wgramolił się na swoją koję i zasnął w ubraniu. Jego zastępca miał wyraźny rozkaz, żeby natychmiast go powiadomić, gdyby coś się działo. Jednak Towrow sypiał czujnie jak zając, budząc się wielokrotnie i znów zasypiając. Wstał koło południa i poszedł do mesy. Zjadł chleb z serem i kielbasę kupioną za pieniądze od Fiodorowa. Nad kuchnią pochylała się tęga kobieta. Groźnie wyglądający Kozak pomógł jej zanieść parujące garnki do kajut pasażerów. Po jedzeniu Towrow zwolnił pierwszego oficera na obiad. Wraz z upływem dnia kuter rybacki zostawał coraz bardziej w tyle. Wreszcie stał się tylko punktem na horyzoncie.

Statkowi jakby ubyło lat, gdy sunął w słońcu po lustrzanej powierzchni morza. Towrow spieszył się do Konstantynopola i kazał maszynowni utrzymywać prawie maksymalną szybkość. W końcu frachtowiec zbuntował się. W porze kolacji wysiadł jeden z dwóch silników. Pierwszy oficer i główny mechanik majstrowali przy nim kilka godzin, ale na darmo ubrudzili się smarem. Kapitan zrozumiał, że ich dalsze wysiłki nie mają sensu i rozkazał płynąć na pozostałym silniku.

Major czekał w sterowni. Kiedy kapitan wyjaśnił mu, co się stało, Kozak ryknął niczym ranny bawół. Towrow zapewnił, że dopłyną do Konstantynopola. Tylko trochę później. Może o dzień.

Jakielew uniósł zaciśnięte pięści i przeszył go wściekłym spojrzeniem. Towrow wstrzymał oddech. Przestraszył się, że Kozak rozszarpie go na strzępy. Jednak major odwrócił się nagle i wypadł na zewnątrz. Kapitan wypuścił powietrze z płuc i wrócił do map. Statek rozwijał teraz połowę szybkości maksymalnej, ale dobre i to. Towrow pomodlił się do ikony świętego Wasyla na ścianie, żeby silnik wytrzymał.

Wrócił Jakielew. Trochę się uspokoił. Kapitan zapytał, co u pasażerów. Major odrzekł, że w porządku, ale poczują się lepiej, kiedy ta zardzewiała balia dotrze do celu. Później znów osiadła mgła i Towrow musiał zmniejszyć szybkość o kilka węzłów. Miał nadzieję, że Jakielew śpi i nie zorientuje się.

Towrow nabawił się tiku nerwowego, znanego ludziom, którzy spędzają życie na wodzie. Ciągłe strzelał oczami na prawo i lewo. Sprawdzał kompas i barometr kilkanaście razy na godzinę. Spacerował od jednego skrzydła mostka do drugiego, obserwował morze i pogodę. Około pierwszej nad ranem wyszedł na lewe skrzydło i... zjeżyły mu się włosy na karku. Doganiał ich jakiś statek. Nastawił ucha. Zbliżał się bardzo szybko.

Towrow był prostym człowiekiem, ale nie głupim. Zakreślił korbką telefonu łączącego mostek z kajutami oficerskimi. Zgłosił się Jakielew.

- Czego? - warknął.

- Musimy porozmawiać - odrzekł kapitan.

- Wpadnę później.

- Nie, to bardzo ważne. Musimy porozmawiać zaraz.

- Dobra. Niech pan zejdzie do kabin pasażerskich. Bez obaw, postaram się pana nie zastrzelić - zachichotał szatańsko Jakielew.

Kapitan odwiesił słuchawkę i obudził cuchnącego alkoholem Siergieja. Nalał zastępcy kubek mocnej kawy.

- Trzymaj kurs na południe. Wróć za kilka minut. Jeden błąd i nie dostaniesz wódki do końca rejsu.

Towrow zbiegł na dół i ostrożnie pchnął drzwi. Jakielew już czekał. Stał na szeroko rozstawionych nogach, z rękami na biodrach. Na podłodze spali czterej Kozacy. Piąty siedział po turecku. Na kolanach trzymał karabin.

- Obudził mnie pan - powiedział ze złością Jakielew.

- Proszę za mną - odrzekł kapitan i ruszył przodem.

Zeszli na spowity mgłą pokład główny i skierowali się na rufę. Kapitan oparł się na wentylatorze, wpatrzony w ciemność wchłaniającą szeroki kilwater. Nasłuchiwał przez kilka sekund poprzez bulgot i szum wody.

- Płynie za nami statek.

Jakielew spojrział na niego podejrzliwie i przyłożył do ucha zwiniętą dłoń.

- Oszalał pan? Słyszę tylko hałas tej cholernej łajby.

- Jest pan Kozakiem - odparł Towrow. - Zna się pan na koniach?

- Oczywiście - parsknął pogardliwie major. - Jak każdy mężczyzna.

- Ja nie, ale znam się na statkach. Ktoś nas ściga. Jego silnik nierówno pracuje. To musi być ten kuter rybacki, który widziałem wcześniej.

- I co z tego? To morze. Łowią ryby.

- Nie tak daleko od brzegu - odrzekł kapitan i znów chwilę nasłuchiwał. - Nie ma wątpliwości. To tamten kuter. Zbliża się.

Major wyrzucił z siebie potok przekleństw i walnął pięścią w reling.

- Musi pan go zgubić.

- Na jednym silniku to niemożliwe.

Jakielew chwycił Towrowa za kłapy i uniósł na palce.

- Niech pan mi nie mówi o rzeczach niemożliwych - warknął. - Droga z Kijowa zajęła nam tygodnie. Było trzydzieści stopni mrozu. Wiatr smagał nas po twarzach. Jeszcze nie widziałem takiej zamieci. Kiedy wyruszyliśmy, miałem całą sotnię. Teraz została tylko ta żalosna garstka ludzi. Reszta zginęła, osłaniając nasze tyły, kiedy przechodziliśmy przez linie niemieckie. Znaleźliśmy jednak sposób, żeby się tutaj dostać. Pan też musi się postarać.

Towrow stłumił kaszel.

- W takim razie proponuję zmienić kurs i zgasić światła.

- No to do roboty - rozkazał major i rozluźnił stalowy uścisk.

Kapitan złapał oddech i pobiegł z powrotem na mostek. Kozak tuż za nim. Kiedy byli przy drabinie prowadzącej na górę do sterowni, na górnym pokładzie pojawił się prostokąt ostrego światła. Na zewnątrz wyszło kilka osób. Ich twarze tonęły w mroku.

- Do środka! - krzyknął Jakielew.

- Chcemy zaczerpnąć powietrza odpowiedział kobiecy głos z niemieckim akcentem. - W kajucie jest duszno.

- Bardzo panią proszę, madame - odrzekł niemal błagalnie major.

- Jak pan sobie życzy - zgodziła się po chwili kobieta.

Niechętnie zabrała resztę towarzystwa do środka. Kiedy się odwracała, Towrow dostrzegł jej profil. Miała mocny podbródek i lekko zakrzywiony nos.

Z wnętrza statku wyłonił się strażnik.

- Nie mogłem ich powstrzymać, panie majorze - zawołał.

- Wracaj do środka i zamknij drzwi, zanim cały świat usłyszy twoje głupie wymówki.

Strażnik zniknął i zatrzasnął za sobą drzwi. Towrow ciągle patrzył na pusty pokład w górze. Major wbił mu palce w ramię.

- Nic pan nie widział, kapitanie - powiedział cicho ostrym tonem.

- Ci ludzie...

- Nic pan nie widział! Na litość boską, człowieku, nie chcę cię zabić!

Towrow otworzył usta, ale nie zdążył odpowiedzieć. Poczuł zmianę w ruchu statku. Wyrwał ramię z uścisku Jakielewa.

- Muszę iść na mostek.

- Co się stało?

- Nie ma nikogo przy sterze. Nie czuje pan? Mój głupi zastępca pewnie się upił.

Towrow zostawił majora z tyłu i wspinał się do sterowni. W poświęceniu kompasu okrętowego zobaczył, że koło sterowe obraca się wolno tam i z powrotem, jakby poruszały nim niewidzialne ręce. Wszedł do środka i potknął się o coś miękkiego. Pomyślał, że to spity do nieprzytomności pierwszy oficer, zaklął i zapalił światło.

Sierioża leżał twarzą w dół w kałuży krwi wokół głowy. Towrow przyklęknął i odwrócił go na plecy. Nieszczęśnik miał podcięte gardło.

Kapitan wytrzeszczył oczy z przerażenia. Wstał, cofnął się i wpadł na Jakielewa.

- Co się stało? - zapytał major.

- To nie do wiary! Ktoś zabił pierwszego oficera!

Jakielew szturchnął butem zakrwawione zwłoki.

- Kto mógł to zrobić?

- Nikt...

- Nikt nie zarznął pańskiego zastępcy jak świni? Niech pan nie mówi głupstw, kapitanie.

Towrow pokręcił głową. Nie mógł oderwać wzroku od trupa.

- Chodzi mi o to, że znam całą załogę - powiedział i zawahał się. - Z wyjątkiem tych dwóch nowych.

Zdrowe oko Jakielewa błysnęło niczym reflektor wycelowany w Towrowa.

- Jakich nowych?

- Przyjąłem ich dwa dni temu jako palaczy. Siedzieli w barze, kiedy rozmawiałem z Fiodorowem. Później podeszli i zapytali o pracę. Wyglądali podejrzanie, ale brakowało mi ludzi...

Jakielew zaklął i wyszarpnął pistolet z kabury. Odepchnął Towrowa na bok, wypadł na zewnątrz i zaczął wykrzykiwać rozkazy do swoich Kozaków. Kapitan zerknął na pierwszego oficera i przysiągł sobie, że nie pozwoli się zarznąć bez walki. Przywiązał koło sterowe, wszedł do swojej kajuty i drżącymi rękami pokręcił zamkiem szyfrowym sejfu. Wyjął stamtąd automatycznego mausera kaliber 7,63, owiniętego w miękką szmatkę. Pistolet nabył przed laty w drodze wymiany, na wypadek buntu załogi. Załadował magazynek, wetknął mausera za pasek i wyrzucił z kajuty.

Zszedł na niższy pokład i zajrzał przez okrągłą szybę w drzwiach prowadzących do kajut pasażerów. Korytarz był pusty. Zbiegł na pokład główny. W blasku światła nawigacyjnych zobaczył Kozaków przykucniętych przy relingu.

Nagle nad burtą przeleciał mały ciemny przedmiot. Odbił się raz i potoczył po mokrym

pokładzie w snopie iskier.

- Granat! - wrzasnął ktoś.

Jakielew zareagował błyskawicznie. Dał nura za granatem i wyrzucił go za burtę. Rozległ się huk eksplozji i okrzyki bólu. Zagłuszyła je salwa z karabinów kozackich. Jeden ze strażników wychylił się i przeciął ostrym nożem kilka lin z hakami abordażowymi. Silnik kutra zaryczał, jakby ktoś otworzył przepustnicę do oporu. Kozacy strzelali, dopóki kuter nie znalazł się poza zasięgiem ognia.

Major obrócił się i na widok Towrowa wyszczerzył zęby.

- Niech pan lepiej odłoży tę zabawkę, zanim się pan postrzeli, kapitanie.

Towrow wsunął pistolet za pasek i podszedł do niego.

- Co się stało?

- Miał pan rację, że byliśmy ścigani. Podpłynął do nas kuter rybacki i jakieś nieuprzejme typy próbowały wejść na pokład. Musieliśmy nauczyć ich dobrych manier. Jeden z pańskich nowych palaczy dawał im sygnały świetlne, dopóki nie dostał od nas nożem w serce.

Major wskazał ciało leżące na pokładzie.

- Przywitaliśmy naszych gości bardzo gorąco - dodał inny Kozak i reszta wybuchnęła śmiechem. Strażnicy podnieśli zwłoki i wyrzucili za burtę. Kapitan miał właśnie zapytać, gdzie jest drugi palacz, ale nie zdążył.

Rozległy się strzały. Czterej Kozacy zwalili się na pokład, jakby ścięła ich niewidzialna kosa. Jakielew dostał w pierś. Impet pocisku rzucił go na ścianę nadbudówki. Major utrzymał się na nogach i odepchnął kapitana z linii strzału. Ostatni z Kozaków padł na brzuch. Czołgał się, ostrzeliwując, ale zginął, zanim zasłonił go wentylator.

Towrow i Jakielew wykorzystali moment nieuwagi przeciwnika i spróbowali ucieczki. Jednak po kilku krokach pod majorem ugięły się kolana. Runął na pokład. Rubaszka nasiąkała krwią. Przywołał gestem kapitana. Towrow przysunął ucho do jego ust.

- Zaopiekuj się rodziną - usłyszał chrapliwy głos. - Oni muszą przeżyć. - Pamiętaj, Rosja nie może istnieć bez cara. - Zamrugał oczami, jakby zdumiony swoim położeniem, i zaśmiał się. - Niech szlag trafi ten statek... Dajcie mi konia...

Życie zgasło w jego zdrowym oku, broda opadła, palce zwiotczały.

Statkiem nagle wstrząsnęła eksplozja. Towrow podbiegł schylony do relingu. Sto metrów od burty zobaczył kuter. Lufa jego działa błysnęła ogniem i frachtowiec dostał drugim pociskiem. Zakołysał się gwałtownie.

Z dołu doszedł stłumiony huk. Zbiorniki paliwa stanęły w ogniu. Płonące paliwo rozlało się po powierzchni morza. Drugi palacz zdecydował się opuścić statek. Przebiegł przez pokład, cisnął karabin za burtę i wspiął się na reling. Wybrał wolny od ognia kawałek wody, skoczył i popłynął do kutra. Nie docenił szybkości rozprzestrzeniających się płomieni. Płonące paliwo dosięgło go po kilku sekundach. Jego krzyki zagłuszył głośny trzask ognia.

Kanonada wypłoszyła z kryjówek resztę załogi. Marynarze pobiegli do szalupy na burcie

nieobjętej pożarem. Towrow chciał iść ich śladem, ale przypomniał sobie słowa umierającego Jakielewa. Wciągając z trudem powietrze do zniszczonych płuc, wspiał się do kajut pasażerów i szarpnął drzwi.

Zobaczył żalosny widok. Pod ścianą kuliły się cztery kilkunastoletnie dziewczynki i kucharka. Osłaniała je sobą kobieta w średnim wieku o smutnych szaroniebieskich oczach. Miała długi, cienki orli nos i mocny, ale delikatny podbródek. Z determinacją zaciskała wargi. Grupka wyglądała na zwykłych przerażonych uchodźców, ale Towrow wiedział już, z kim ma do czynienia. Szukał gorączkowo odpowiedniej formy zwrócenia się do kobiety.

- Madame - odezwał się w końcu. - Musi pani zabrać dzieci do łodzi ratunkowej.

- Kim pan jest? - zapytała z niemieckim akcentem.

- Kapitan Towrow - przedstawił się. - Dowodzę tym statkiem.

- Co się stało? Co to za hałasy?

- Pani ochrona nie żyje. Zaatakowano nas. Musimy uciekać.

Zerknęła na dziewczynki.

- Jeśli uratuje pan mnie i moją rodzinę, kapitanie Towrow, zostanie pan sownie wynagrodzony.

- Zrobię, co w mojej mocy, madame.

Skinęła głową.

- Niech pan prowadzi.

Towrow sprawdził, czy droga jest wolna. Potem przytrzymał rodzinie drzwi i ruszył przodem. Statek był tak przechylony, że musieli się wspinać po śliskim metalowym pokładzie. Przewracali się, wzajemnie pomagali sobie wstać i brnęli naprzód.

Marynarze już wchodzili do szalupy. Kapitan przejął dowództwo. Kiedy wszyscy zajęli miejsca, polecił spuścić szalupę na wodę. Obawiał się, że przechył statku zablokuje liny, ale wszystko działało dobrze.

Byli kilka metrów nad wodą, gdy jeden z marynarzy krzyknął ostrzegawczo. Kuter okrążył statek i wycelował działo w łódź ratunkową. Lufa błysnęła ogniem i pocisk trafił w dziób szalupy. W powietrzu rozprysły się kawałki drewna, gorącej stali, ciał.

Towrow złapał wpół najbliższą dziewczynkę. Wpadł razem z nią do lodowatej wody, krzycząc imię swojej nieżyjącej córki. Zauważył dryfującą w pobliżu drewnianą klapę luku. Popłynął ostrożnie w tamtą stronę, mając nadzieję, że napastnicy go nie wypatrzą. Holował za sobą półprzytomną dziewczynkę. Pomógł jej wdrapać się na prowizoryczną tratwę i odepchnął mocno klapę. Oddaliła się wolno od tonącego statku i zniknęła w ciemności. Przemarznięty, opadający z sił Towrow nie miał już żadnych szans na przeżycie. Poszedł pod wodę wraz ze swoim marzeniem o domku nad morzem.

1

U wybrzeży Maine, czasy współczesne

Leroy Jenkins wciągał oblepioną skorupiakami pułapkę na homary. Podniósł wzrok i zobaczył na horyzoncie ogromny statek. Wyjął ostrożnie złowioną parę tłustych, rozwścieczonych homarów i wrzucił zdobycz do pojemnika. Ponownie włożył do pułapki łeb ryby na przynętę i spuścił drucianą klatkę za burtę. Potem poszedł do sterówki po lornetkę. Uniósł ją do oczu i aż go zatkało ze zdziwienia.

Statek był gigantyczny. Jenkins obejrzał go od dziobu do rufy. Zanim zaczął łowić homary, przez całe lata wykładał oceanografię na Uniwersytecie Maine. Miewał do czynienia z różnymi statkami, ale takiego kolosa jeszcze nie widział. Ocenił jego długość na sto osiemdziesiąt metrów. Z pokładu sterczały bomby ładunkowe i dźwigi. Jenkins przypuszczał, że to oceaniczny statek badawczy lub wiertniczy. Kiedy zniknął mu z oczu, poszedł wciągnąć resztę klatek.

Jenkins był wysokim, postawnym mężczyzną po sześćdziesiątce. Opalona, pobrużdżona twarz przypominała opasane skałami wybrzeże jego rodzinnego Maine. Wciągnął ostatnią pułapkę i uśmiechnął się szeroko. Miał wyjątkowo dobry dzień. Kilka miesięcy temu znalazł przypadkowo prawdziwą żyłę złota. To miejsce roilo się od homarów i stale tutaj wracał. Na szczęście jego jedenastometrowy drewniany kuter radził sobie nawet z bardzo dużym ładunkiem. Jenkins wziął kurs na port, ustawił automatyczne sterowanie i zszedł na dół, żeby zrobić sobie kanapkę. I właśnie wówczas usłyszał przytłumiony huk. Przypominał grzmot, ale dobiegł z dołu.

Kuter zatrzęsł się tak gwałtownie, że słoiki z musztardą i majonezem stoczyły się z blatu. Jenkins rzucił nóż do zlewu i wyskoczył na pokład. Może odpadła śruba albo uderzył w dryfującą kłodę. Jednak wszystko wydawało się w porządku. Morze było spokojne, gładkie jak lustro.

Wibracje kadłuba ustały. Jenkins rozejrzał się, wzruszył ramionami i wrócił na dół. Skończył robić kanapkę, posprzątał i wyszedł zjeść na pokładzie. Zauważył, że przesunęło się kilka pułapek na homary. Przywiązał je liną. Wszedł z powrotem do sterówki i nagle poczuł nieprzyjemny skurcz w żołądku, jak przy starcie szybkiej windy. Złapał się wyciągarki, żeby

nie stracić równowagi. Kuter opadł, potem znów się unióś, tym razem wyżej. Po trzecim cyklu zakołysał się gwałtownie z burty na burtę.

Po kilku minutach huśtanie ustało. Jenkins dostrzegł w oddali jakiś blask. Wziął ze sterówki lornetkę, nastawił ostrość i zobaczył trzy ciemne bruzdy, ciągnące się z północy na południe. Do łądu zbliżały się rzędy fal. W głowie Jenkinsa zadźwięczał dzwonek alarmowy. To niemożliwe! Natychmiast przypomniał sobie tamten lipcowy dzień 1998 roku u wybrzeży Papui-Nowej Gwinei. Prowadził pomiary na statku badawczym, gdy nastąpiła tajemnicza eksplozja. Instrumenty sejsmograficzne oszalały. Naukowcy na pokładzie rozpoznali oznaki tsunami i próbowali ostrzec wybrzeże, ale wiele wsi nie miało łączności. Ogromne fale zgmiotły zabudowania niczym walec parowy. Zniszczenia były przerażające. Jenkins nie mógł zapomnieć widoku ciał nadzianych na gałęzie drzew i krokodyli żerujących na zwłokach.

W radiu odezwali się rybacy, mówiący z miejscowym akcentem.

- Słyszeliście ten huk?

Jenkins rozpoznał swojego sąsiada, Elwooda Smalleya.

- Jakby pod wodą przeleciał odrzutowiec - odpowiedział inny rybak.

- Poczuliście te wielkie fale? - zapytał trzeci.

- Tak - odparł lakonicznie Homer Gudgeon, weteran wśród poławiaczy krabów. - Przez moment myślałem, że jestem w kolejce górskiej!

Jenkins wyjął z szuflady kalkulator i ocenił czas między przejściem fal i ich wysokość. Zrobił kilka obliczeń i popatrzył z niedowierzaniem na wyniki. Potem wziął telefon komórkowy. Używał go wtedy, gdy nie chciał prowadzić prywatnych rozmów na morskim kanale radiowym. Wystukał numer.

Odezwał się ponury głos szefa policji w Rocky Point, Charliego Howesa.

- Dzięki Bogu, że cię złapałem, Charlie!

- Jestem w radiowozie, w drodze na posterunek, Roy. Dzwonisz, żeby pogadać o tym, jak mi dołożyłeś w szachy wczoraj wieczorem?

- Nie. Jestem na wschód od Rocky Point. Posłuchaj, Charlie, nie mamy czasu. Do miasta zbliża się wielka fala.

Szeryf zachichotał.

- Idź do diabła, Roy. W takich nadmorskich miasteczkach jak nasza to normalka.

- Ale nie taka fala. Musisz ewakuować ludzi z okolic portu, zwłaszcza z nowego motelu.

Zapadła cisza. Jenkins myślał, że Charlie się wyłączył. W końcu usłyszał jego znajomy rechot.

- Nie wiedziałem, że dzisiaj jest prima aprilis.

- Charlie, to nie kawał - zniecierpliwiał się Jenkins. - Ta fala uderzy w port. Nie wiem, z jaką siłą, bo jest mnóstwo niewiadomych, ale motel stoi dokładnie na jej drodze.

Szeryf znów się roześmiał.

- Niektórzy byliby zadowoleni, gdyby Harborview spłynął do morza.

Dwupoziomowy budynek na palach był od miesięcy źródłem kontrowersji. Postawiono go w porcie po zawziętej walce, po procesie sądowym wygranym przez inwestorów. Wielu ludzi podejrzewało, że nie obyło się bez łapówek.

- Może ich życzenie się spełni, ale najpierw musisz zabrać stamtąd gości.

- Do diabła, Roy, tam mieszka chyba setka ludzi. Nie mogę ich wywalić bez powodu. Stracę robotę. A nawet gorzej, ośmieszę się.

Jenkins zerknął na zegarek i zaklął pod nosem. Nie chciał siać paniki, ale stracił panowanie nad sobą.

- Do jasnej cholery, ty stary durniu! Jak się będziesz czuł, jeśli sto osób zginie tylko dlatego, że bałeś się kompromitacji?!

- Mam nadzieję, że nie żartujesz, Roy?

- Wiesz, co robiłem, zanim zacząłem łowić homary?

- Byłeś profesorem na uniwersytecie w Orono.

- Zgadza się, dziekanem wydziału oceanograficznego. Studiowaliśmy działanie fal. Słyszałeś o sztormie doskonałym? Teraz zbliża się do ciebie fala przyływu doskonałego. Obliczam, że uderzy za dwadzieścia pięć minut. Nie obchodzi mnie, co powiesz tamtym ludziom w motelu. Powiedz, że gaz się ulatnia, że ktoś podłożył bombę, cokolwiek. Tylko wyprowadź ich na wyżej położony teren. I to już.

- Dobra, Roy.

- Czy na Main Street jest coś otwarte?

- Bar kawowy. Jacoby pracuje całą noc. Wyślę go na miasto, potem sprawdzę przystań rybacką.

- Usuń wszystkich w ciągu piętnastu minut. To robota dla ciebie i Eda Jacoby.

- Dobra, Roy. Mam nadzieję, że się nie mylisz. Cześć.

Jenkins wyobrażał sobie Rocky Point. Miasteczko liczyło tysiąc dwustu mieszkańców. Zostało zbudowane amfiteatralnie. Domy stały ciasno na zboczu małego wzgórza z widokiem na półkolisty port. Był dość dobrze osłonięty, ale po kilku gwałtownych sztormach ludzie woleli odsunąć się od wody. Stare ceglane budynki na głównej ulicy biegnącej wzdłuż morza przerobiono na sklepy i restauracje dla turystów. W porcie najbardziej poczesne miejsce zajmowała przystań rybacka i motel. Jenkins pchnął przepustnicę i westchnął do Boga, żeby jego ostrzeżenie nie przyszło za późno.

Szeryf Howes natychmiast pożałował, że posłuchał przynagleń Roya. Poczł się niepewnie. Znali się z Jenkinsem od dziecka. Roy był najbardziej bystry w ich klasie. Nigdy nie zawiódł jako przyjaciel. A jednak...

Włączył migacz, wdepnął gaz i z piskiem opon pognął na wybrzeże. Po drodze wywołał przez radio zastępcę. Kazał mu opróżnić bar kawowy z klientów, potem pojechać na Main Street i ostrzec ludzi przez głośnik, że mają się ewakuować na wyżej położony teren. Szeryf

znał rytm życia swojego miasteczka. Wiedział, kto już wstał i kto jest na spacerze z psem. Na szczęście większość miejscowych otwierała swoje firmy o dziesiątej.

Co innego motel. Howes zatrzymał dwa puste autobusy szkolne i kazał kierowcom jechać za radiowozem. Zahamował z piskiem pod zadaszonym wejściem do motelu i wbiegł do środka. Uważał, że ten budynek oszpeci port, ale przynajmniej miejscowi dostaną pracę; nie każdy w miasteczku chce być rybakiem. Nie podobało mu się jednak to, w jaki sposób przeforsowano inwestycję. Był pewien, że ludzie z ratusza wzięli łapówki.

Motel postawił miejscowy inwestor Fred Shrager. Bez skrupułów budował osiedla wzdłuż rzeki wpadającej do portu i coraz bardziej oszpecał malownicze miasteczko. Nie zatrudnił miejscowych. Wolał obcokrajowców, którzy stanowili tańszą siłę roboczą.

Howes wpadł do holu.

- Wyprowadzić wszystkich na zewnątrz! - krzyknął. - Sytuacja alarmowa!

Młody recepcjonista z Jamajki podniósł wzrok z przerażoną miną na szczupłej ciemnej twarzy.

- Co się stało?

- Dostałem meldunek, że w motelu jest bomba.

Recepcjonista głośno przełknął ślinę. Podszedł do centrali telefonicznej i zaczął dzwonić do pokoi.

- Masz dziesięć minut - uprzedził szeryf. - Przed wejściem czekają autobusy. Zabieraj wszystkich i wychodź. Jak ktoś będzie się stawiał, powiedz, że policja go aresztuje.

Howes przeszedł się najbliższym korytarzem. Po drodze walił w drzwi.

- Policja! Musimy natychmiast ewakuować budynek - krzyczał w zaspane twarze. - Macie dziesięć minut. W motelu jest bomba. Nie zabierajcie rzeczy, nie ma czasu.

Powtarzał to tyle razy, że aż ochrypl. Na korytarze wysypali się ludzie w szlafrokach kąpielowych, piżamach, owinięci w koce. Z jednego pokoju wyszedł Fred Shrager.

- Co się dzieje, do cholery? - zapytał ostro.

- Alarm bombowy, Fred. Musisz wyjść na zewnątrz.

Z pokoju wychyliła głowę młoda blondynka.

- Co się stało, kochanie?

- W motelu jest bomba - wyjaśnił szeryf.

Kobieta zbladła i wyszła na korytarz. Miała na sobie jedwabny szlafroczek. Shrager chciał ją zatrzymać, ale wyrwała się.

- Ja tu nie zostanę - oświadczyła.

- A ja się stąd nie ruszę - odparł Shrager i zatrzasnął drzwi.

Howes pokręcił głową i wziął blondynkę za ramię. Dołączyli do tłumu posuwającego się w kierunku drzwi wyjściowych. Autobusy były już prawie pełne.

- Za pięć minut ruszajcie - zawołał szeryf do kierowców. - Jedźcie na najwyższe wzgórze w mieście.

Wsiadł do radiowozu i pojechał do przystani rybackiej. Zastępca klócił się z trzema rybakami. Howes wychylił się przez okno.

- Ładujcie się do swoich furgonetek i jazda na szczyt Hill Street, bo was aresztuję - krzyknął.

- Co się, do cholery, dzieje, Charlie?

Szeryf zniżył głos.

- Znasz mnie, Buck. Rób, co mówię. Później ci to wyjaśnię.

Rybacy wsiedli do samochodów. Howes kazał zastępcy jechać za nimi i po raz ostatni sprawdził przystań. Znalazł starszego mężczyznę wygrzebującego ze śmietników puszki i butelki. Potem przejechał przez Main Street. Ponieważ nikogo tu nie zobaczył, skierował się na szczyt Hill Street.

Ludzie stali w porannym chłdzie, drżąc z zimna. Niektórzy głośno wyrażali swoją dezaprobatę, ale szeryf ignorował obelgi. Wsiadł z radiowozu i zszedł nieco w dół stromym zboczem, które opadało w kierunku portu. Przypływ adrenaliny minął i Howes miał teraz miękkie kolana. Nic. Zerknął na zegarek. Upłynęło pięć minut. Jego marzenia o spokojnej emeryturze policyjnej rozwiały się. Pomyślał, że już po nim, i aż spociał się mimo chłodu.

Nagle zobaczył, jak morze wyrasta ponad horyzont. Usłyszał jakby daleki grzmot. Ludzie przestali protestować. U wejścia do portu zapadła ciemność i woda odpłynęła z basenu portowego. Howes przez moment widział dno, ale to niezwykle zjawisko trwało zaledwie kilka sekund. Woda wróciła z hukiem startującego boeinga 747 i uniosła przycumowane kutry niczym zabawki. W odstępie kilku sekund nadciągnęły dwie fale, pierwsza niższa, druga wyższa. Zalały brzeg. Kiedy się cofnęły, nie było już ani motelu, ani przystani rybackiej.

Rocky Point, do którego wrócił Jenkins, ledwo przypominało miasteczko, z którego wypłynął rano. Wszystkie kutry leżały wyrzucone na brzeg.

Została z nich bezładna kupa drewna i włókna szklanego. Mniejsze łodzie wylądowały aż na Main Street. Szyby w sklepach były powybijane, jakby ulicą przeszła banda wandalii. W wodzie pływały śmiecie i wodorosty. Siarczany zapach dna morskiego mieszał się z odorem martwych ryb. Motel zniknął. Na miejscu przystani rybackiej sterczały tylko pale, choć woda nie zniszczyła betonowego falochronu. Stał na nim Howes i machał ręką. Jenkins skierował się w tamtą stronę. Szeryf przycumował kuter i wszedł na pokład. Jenkins popatrzył na port i miasteczko.

- Są ofiary? - zapytał.

- Fred Shrager nie żyje. Poza nim zabraliśmy z motelu wszystkich.

- Dzięki, że mi uwierzyłeś. I przepraszam, że nazwałem cię starym durniem.

- Wyszedłbym na durnia, gdybym siedział beczynnie.

- Opowiedz, co widziałeś.

- Staliśmy na szczycie Hill Street - zaczął Howes. - Usłyszeliśmy odgłos podobny do

grzmotu. Przy wejściu do portu zrobiło się ciemno, potem basen portowy opróżnił się, jakby wyciągnięto korek w wannie. Widziałem dno. Po kilku sekundach woda wróciła z hukiem odrzutowca.

- Trafne porównanie. Na otwartym morzu tsunami pędzi prawie tysiąc kilometrów na godzinę.

- Tak szybko?

- Na szczęście zwalnia na płytszych wodach w pobliżu lądu. Ale siła fali nie maleje.

- Inaczej to sobie wyobrażałem. Jako ścianę wody o wysokości piętnastu metrów. Tymczasem było to raczej jak przypływ. Naliczyłem trzy fale, coraz większe. Może dziewięciometrowe. Zmyły motel i przystań, zalały Main Street. Wiem, że jesteś profesorem, Roy, ale skąd właściwie wiedziałeś, co się stanie?

- Obserwowałem to zjawisko u wybrzeży Nowej Gwinei. Prowadziliśmy tam badania. Osunięcie dna morskiego wywołało tsunami o wysokości od dziesięciu do dwudziestu metrów. Kilka fal uniosło nasz statek do góry. To samo poczułem dzisiaj na kutrze. Ludzie na łodzi dostali wtedy ostrzeżenie i zanim fale uderzyły, wielu zdążyło uciec wyżej. Jednak dwa tysiące zginęły.

- To więcej niż mieszka w tym miasteczku - zauważył szeryf. - Myślisz, że ten bajzel spowodowało trzęsienie ziemi? Słyszałem, że coś takiego zdarza się na Pacyfiku, ale tutaj?

Jenkins zmarszczył czoło i przyjrzał się morzu.

- Masz rację. Nie rozumiem tego.

- Jest jeszcze jeden problem. Jak wytłumaczyć ludziom ewakuację motelu z powodu bomby?

- Myślisz, że kogoś to teraz obchodzi?

Szeryf Howes popatrzył na miasteczko. Tłumy ludzi schodziły ostrożnie ze wzgórza do portu. Pokręcił głową.

- Wątpię.

2

Morze Egejskie

Miniaturowa badawcza łódź podwodna NR-1 kołysała się lekko na falach u wybrzeży Turcji. Była prawie niewidoczna, z wyjątkiem jaskrawego pomarańczowego kiosku. Kapitan Joe Logan stał na szeroko rozstawionych nogach na omywanym wodą pokładzie, trzymając się jednego z poziomych stateczników. Swoim zwyczajem przeprowadzał ostatnią kontrolę wzrokową przed zanurzeniem.

Przyjrzał się smukłemu czarnemu kadłubowi o długości czterdziestu czterech metrów, z pokładem wystającym zaledwie kilkanaście centymetrów nad powierzchnię wody. Zadowolony, że wszystko w porządku, zdjął czapkę baseballową marynarki wojennej i pomachał do „Carolyn Chouest”, stojącej czterysta metrów dalej. Statek ubezpieczający wyglądał jak wielopiętrowy blok mieszkalny. Z lewej burty sterczało ramię dźwigu, zdolnego unieść kilka ton.

Kapitan wspiał się na szczyt kiosku i przecisnął się przez otwór wjazdu. Miał na sobie kamizelkę ratunkową, która utrudniała mu ruchy. Przesunął palcami po uszczelce i upewnił się, czy jest czysta. Potem zaryglował klapę i opuścił się do ciasnej sterowni. Większość przestrzeni zajmowały wskaźniki, przyrządy pomiarowe i instrumenty stłoczone na każdym centymetrze kwadratowym sufitu i ścian.

Logan nie rzucał się w oczy. Wyglądał na wykładowcę któregoś z college'ów Ivy League. Ukończył inżynierię jądrową. Zanim przydzielono mu NR-1, dowodził okrętami nawodnymi. Był łysiejącym blondynem średniego wzrostu z mięsistym podbródkiem. Marynarka nie potrzebowała teraz twardzieli w typie Johna Wayne'a. Okręty z laserami naprowadzającymi, skomputeryzowanymi systemami ogniowymi i inteligentnymi pociskami za dużo kosztowały, żeby powierzać je kowbojom. Logan potrafił natomiast poradzić sobie z najbardziej skomplikowanym problemem technicznym.

Jego poprzednie okręty były dużo większe, jednak ich elektronika nie mogła się równać z NR-1. Łódź została zbudowana w 1969 roku, ale ciągle ją modernizowano. Obok najnowszej technologii pozostawiono część starych sprawdzonych urządzeń. Z pokładu statku ubezpieczającego biegła czterystumetrowa gruba lina holownicza, łącząca go z wielką

metalową kulą, umieszczoną w metalowych szczękach na dziobie łodzi podwodnej.

Logan dał rozkaz do zwolnienia liny i odwrócił się do postawnego brodatego mężczyzny po pięćdziesiątce.

- Witam na pokładzie najmniejszego atomowego okrętu podwodnego na świecie, doktorze Pułaski. Przepraszam za ciasnotę. Najwięcej miejsca zajmuje tu osłona reaktora jądrowego. Chyba jednak woli pan klaustrofobię od napromieniowania. Zakładam, że został pan właściwie przeszkolony.

Pułaski uśmiechnął się.

- Tak. Sprawdzili, czy umiem korzystać z toalety.

Mówił z lekkim obcym akcentem.

- Mamy dziesięć osób załogi i bywa tam tłok. Radzę więc ograniczyć picie kawy.

- O ile wiem, możecie być w zanurzeniu nawet miesiąc - odrzekł Pułaski. - Jak wytrzymujecie tyle czasu na dnie morskim?

- Przyznaję, że nawet najprostsze rzeczy, jak branie prysznic, czy gotowanie stają się wówczas problemem - odrzekł Logan i zerknął na zegarek. - Na pańskie szczęście będziemy pod wodą tylko kilka godzin. Najpierw zejdziemy na trzydzieści metrów, żeby sprawdzić, czy wszystkie systemy działają. A potem opadniemy na dno.

Logan przeszedł przez wąski korytarz i wskazał małą platformę z dwoma fotelami.

- To stanowisko dowodzenia. Siedzę tu w czasie operacji. Dzisiaj odstępuję je panu. Zajmę fotel drugiego sternika - powiedział i odwrócił się do pierwszego sternika. - Znasz już doktora Pułaskiego, archeologa morskiego z Uniwersytetu Karoliny Północnej.

Sternik przytaknął i Logan usiadł obok niego. Miał teraz przed sobą imponujący zestaw instrumentów i monitorów.

- To nasze oczy - wyjaśnił, wskazując ekrany. - Na tym jest widok z kamery dziobowej.

Kapitan przyjrzał się uważnie rozświetlonemu panelowi kontrolnemu i po naradzie ze sternikiem zawiadomił przez radio statek ubezpieczający, że łódź podwodna jest gotowa do zanurzenia. Dał rozkaz do zejścia na trzydzieści metrów i wypoziomowania na tej głębokości. Zaszumiały silniki pomp i do zbiorników balastowych wpłynęła woda. Pod falami kołysanie kadłuba ustało. Ostry dziób widoczny na monitorach zniknął w gejzerze rozprysków, potem pojawił się z powrotem na tle niebieskiej wody. Załoga sprawdziła systemy łodzi, kapitan przetestował UQC, bezprzewodowy telefon podwodny, łączący łódź ze statkiem ubezpieczającym. Głos z powierzchni miał przeciągłe, metaliczne brzmienie, ale każde słowo słychać było wyraźnie.

Kiedy kapitan upewnił się, że wszystko gra, dał rozkaz zejścia niżej.

Światło słoneczne zniknęło i woda na monitorach zmieniła kolor z niebieskiego na czarny. Kapitan kazał włączyć reflektory. Opadali w zupełnej ciszy. Sternik poruszał joystickiem sterów zanurzeniowych. Kapitan wpatrywał się uważnie w głębokościomierz. Piętnaście metrów nad dnem kazał sternikowi zawisnąć w bezruchu.

Sternik odwrócił się do Pułaskiego.

- Jesteśmy obok miejsca, które odkryliśmy na odległość za pomocą sensorów. Przeprowadzimy poszukiwania przy użyciu sonaru. Wprowadzimy do komputera program poszukiwawczy. Łódź sama popłynie wyznaczonym kursem. Pełny relaks dla załogi.

- Niewiarygodne - odparł Pułaski. - Aż dziw, że ta magiczna łódź nie przeanalizuje sama znalezisk, nie napisze raportu i nie obroni naszych wniosków przed krytyką zazdrosnych kolegów.

- Pracujemy nad tym - odrzekł Logan z miną pokerzysty.

Pułaski pokręcił głową z udawaną rezygnacją.

- Lepiej poszukam innej pracy. Przy takich wynalazkach archeolodzy morscy przestaną być potrzebni. Zastąpią ich monitory.

- To jeszcze jeden skutek zimnej wojny.

Pułaski rozejrzał się ciekawie.

- Nigdy bym nie pomyślał, że będę prowadził badania archeologiczne w łodzi podwodnej zaprojektowanej do szpiegowania Związku Radzieckiego.

- Ta łódź stanowiła wielką tajemnicę. Jakimś cudem udało się ukryć wydatek dziewięćdziesięciu milionów dolarów. Moim zdaniem, były to dobrze wydane pieniądze. Marynarka zezwoliła na używanie jej do celów cywilnych i mamy teraz fantastyczny sprzęt do badań naukowych.

- O ile wiem, użyto jej po katastrofie promu kosmicznego „Challenger” - zauważył Pułaski.

Logan przytaknął.

- Wydobyła bardzo istotne części. Dzięki temu NASA mogła ustalić przyczyny katastrofy i zbudować bezpieczny prom kosmiczny. Ta łódź uratowała też zatopiony F-14 i pocisk powietrze-powietrze, zanim wpadły w obce ręce.

- Jak działa jej manipulator?

- Jak ramię ludzkie. Obraca się na przegubach. W kilu są dwa koła gumowe. Nie jest to harley davidson, ale można jeździć po dnie morskim. Manipulator pracuje w promieniu trzech metrów od łodzi.

- Fascynujące - Pułaski nie ukrywał zachwyty. - A jaki ma udźwig?

- Podnosi przedmioty o ciężarze do dziewięćdziesięciu kilogramów.

- A narzędzia do cięcia?

- Szczypce przecinają linę albo kabel, ale mogą też trzymać palnik przy trudnych pracach. To bardzo wszechstronne urządzenie.

- Rzeczywiście - przyznał Pułaski.

Łódź pływała według klasycznego wzorca poszukiwawczego. Poruszała się po równoległych liniach prostych tam i z powrotem niczym kosiarka do trawy. Monitory ukazywały dno morza, przesuwające się pod kilem. Nie było tu żadnej roślinności.

Logan wskazał ekran.

- Powinniśmy być blisko miejsca, które zauważyliśmy z góry... Tak, wygląda na to, że sonar coś znalazł - powiedział i odwrócił się do sternika. - Przełącz na ręczne sterowanie i zejdź niżej, dwadzieścia stopni w lewo.

NR-1 pochyliła się lekko z łagodnym szumem wirników. Reflektory zewnętrzne oświetliły dno morskie jasno niczym słońce. Sternik wyregulował zbiorniki balastowe.

- Tak trzymaj - polecił Logan. - Wchodzimy w kontakt wzrokowy z naszym celem.

Pochylił się do przodu, wpatrzony uważnie w ekran. Na jego twarz padała niebiesko-zielona poświata. Kiedy łódź podpłynęła bliżej, na ekranie pojawiły się wypukłe kształty. Najpierw pojedyncze, potem coraz więcej.

- Amfory - powiedział Pułaski. - Gliniane dzbany do wina i innych płynów. Można je często znaleźć na zatopionych antycznych statkach.

- Robimy trójwymiarowe zdjęcia statyczne i wideo - odrzekł Logan. - Później będzie pan to mógł przeanalizować. Chciałby pan coś wydobyć?

- Możemy zabrać jedną amforę? Może z tamtej sterty?

Kapitan kazał sternikowi osadzić łódź na dnie w pobliżu stosu glinianych dzbanów. Czterystutonowa jednostka wylądowała lekko jak piórko i potoczyła się naprzód. Logan wezwał ekipę wydobywczą.

W podłodze za sterownią uniesiono klapę, odsłaniając płytką studnię. Przez trzy akrylowe bulaje o grubości dziesięciu centymetrów widać było dno morskie. Jeden z marynarzy wcisnął się do studni i czuwał, żeby łódź nie wpadła na stos dzbanów. Kiedy amfory były tuż obok, łódź zatrzymała się. Dziobowa część kadłuba mieściła ramię manipulatora. Marynarz w studni wysunął je za pomocą pilota i uruchomił szczęki. Ramię obróciło się na przegubie.

Mechaniczna ręka delikatnie chwyciła dzban za szyjkę, uniosła i włożyła do kosza pod dziobem. Marynarz wycofał ramię i Logan rozkazał załodze podnieść łódź z dna. Podczas ostatniej automatycznej serii zdjęć zatelefonował na statek ubezpieczający. Opisał znalezisko i zawiadomił, że będą się wynurzać. Potem kazał sonarzyście zlokalizować statek na powierzchni.

- Wynurzamy się - rozkazał Logan sternikowi.

- Nie sądzę - powiedział doktor Pułaski, stając za fotelem kapitana.

- Słucham?

- Nie wypływamy na powierzchnię.

Kapitan obrócił swój fotel z rozbawioną miną.

- Mam nadzieję, że nie wziął pan dosłownie moich przechwałek o miesięcznych pobytach na dnie morza. Zabraliśmy zapasy tylko na kilka dni.

Pułaski wsunął rękę pod kurtkę i wyciągnął pistolet TT-33.

- Zrobi pan, co każe, albo go zastrzelę - zagroził, przykładając lufę pistoletu do głowy sternika.

Logan spojrział na broń, potem na Pułaskiego.

- Kim pan jest?

- Nieważne. Ma pan wykonywać moje polecenia.

- W porządku - odparł Logan głosem ochrypłym z napięcia. - Co mam robić?

- Po pierwsze, przerwać wszelką łączność ze statkiem ubezpieczającym.

Pułaski przyglądał się, jak Logan wyłącza radio. Zerknął na zegarek.

- Dziękuję. Teraz poinformuje pan załogę, że łódź została porwana. Niech pan ich uprzedzi, że zastrzelę każdego, kto bez pozwolenia przyjdzie na dziób.

Kapitan popatrzył wściekle na Pułaskiego i odwrócił się do interkomu.

- Tu kapitan. W sterowni jest człowiek z bronią. Przejął dowodzenie nad łodzią. Mamy słuchać jego rozkazów. Trzymajcie się z daleka od dziobu. To nie jest żart. Powtarzam: to nie jest żart. Zostańcie na stanowiskach. Porywacz zastrzeli każdego, kto przyjdzie na dziób.

Z części rufowej dobiegły zaskoczone głosy. Kapitan powtórzył ostrzeżenie, żeby jego ludzie wiedzieli, że mówi serio.

- Bardzo dobrze - pochwalił Pułaski. - Teraz podniesie pan łódź na głębokość stu pięćdziesięciu metrów.

- Słyszałeś - zwrócił się Logan do sternika, jakby sam nie chciał wydawać rozkazu.

Sternik siedział jak skamieniały. Na komendę Logana sięgnął do przyrządów. Wypompował wodę z kilku zbiorników balastowych, ustawił stery głębokościowe i podniósł dziób łodzi. Włączył na krótko napęd główny i poderwał NR-1 do góry. Wyrównał na poziomie stu pięćdziesięciu metrów.

- Dobrze. I co dalej? - zapytał Logan.

Pułaski znów zerknął na zegarek, jak człowiek zaniepokojony opóźnieniem pociągu.

- Teraz zaczekamy.

Odsunął lufę od głowy sternika, ale nie opuścił i nie zabezpieczył broni. Minęło dziesięć minut. Potem piętnaście. Logan zaczynał tracić cierpliwość.

- Mógłby mi pan łaskawie wyjaśnić, na co czekamy?

Pułaski położył palec na ustach i uśmiechnął się tajemniczo.

- Zobacz pan.

Minęło jeszcze kilka minut. Napięcie rosło. Logan patrzył na monitor kamery dziobowej, zastanawiając się, kim jest ten facet i czego chce. W końcu odpowiedź nadeszła. Do ostrego dziobu zbliżał się wielki cień.

Logan pochylił się do przodu, wpatrzony w ekran.

- Co to jest, do cholery?

Cień przesunął się pod łódź jak monstrualny rekin atakujący podbrzusze ofiary. Rozległ się ogłuszający metaliczny dźwięk, jakby w NR-1 uderzył młot parowy. Łódź zatrzęsała się od dziobu do rufy i uniosła o kilka metrów.

- Dostaliśmy! - krzyknął sternik i odruchowo sięgnął do przyrządów.

- Nie ruszać się! - warknął Pułaski i przystawił mu broń do głowy.

Ręka sternika zamarła w powietrzu. Spojrzał w górę. Wszyscy w łodzi usłyszeli zgrzyty i drapanie, jakby po kadłubie pełzały wielkie metalowe owady.

Pułaski promieniał z zadowolenia.

- Jest nasz komitet powitalny.

Hałas ucichł po kilku minutach. Zastąpiły go wibracje potężnych silników. Szybkościomierz na panelu kontrolnym ożył, choć śruby nie pracowały. Sternik wlepił wzrok we wskaźnik.

- Ruszyliśmy! Co mam robić?

Odwrócił się do kapitana. Na liczniku mieli dziesięć, potem dwadzieścia węzłów i szybkość ciągle rosła.

- Nic - odparł Pułaski. - Proszę przekazać załodze wiadomość, kapitanie.

- Jaka?

Pułaski uśmiechnął się.

- To chyba oczywiste. Niech siedzą spokojnie i cieszą się rejsem.

3

Morze Czarne

Pięciometrowy ponton zodiac pędził w kierunku odległego brzegu. Fale waliły w płaskie dno jak w bęben. Kaela Dorn kulila się na dziobie. Zaciskała dłonie na linie ratunkowej, żeby nie wypaść za burtę. Woda pryskała jej w oczy i ściekała po twarzy, ale Kaela tylko raz odwróciła głowę.

- Gazu, Mehmet, gazu! - krzyknęła do mężczyzny klęczącego przy rumplu i machnęła ręką, jakby rzucając łąso.

Zasuszony Turek odpowiedział bezzębnym uśmiechem od ucha do ucha. Otworzył szerzej przepustnicę i zodiac uderzył w wodę z jeszcze większą siłą. Kaela ścisnęła mocniej linę i roześmiała się z zachwytem.

Dwaj pasażerowie pontonu nie mieli powodu do entuzjazmu. Trzymali się kurczowo, żeby nie wpaść do morza. Przy każdym podskoku szczękali zębami. Nie byli zaskoczeni, kiedy Kaela kazała Mehmetowi dodać gazu. Po trzech miesiącach pracy z reporterką programu telewizyjnego *Niewiarygodne tajemnice* przyzwyczaili się do jej szalonych pomysłów.

Krępy Mickey Lombardo, starszy członek ekipy, był rodowitym nowojorczykiem. Przez lata wyrobił sobie mięśnie, dźwigając sprzęt dźwiękowy i oświetleniowy. Trzymał w zębach zgasłe cygaro. Chwilę po rozpoczęciu szaleńczego rejsu zalała je fala. Jego australijski asystent, jasnowłosy Hank Simpson, był muskularnym surferem o przyzwisku Dundee.

Kiedy usłyszeli, że będą pracować z piękną reporterką, nie wierzyli w swoje szczęście. Potem czekała ich wspólna wyprawa do pełnej odchodów nietoperzy groty w Arizonie, do wodospadów w zielonym piekle Amazonki, filmowali ceremonię wudu na Haiti. Stopniowo nabrali szacunku dla odwagi Kaeli. Przestali ją podrywać i traktowali jak młodszą siostrę, którą trzeba chronić przed jej własną brawurą.

Lombardo i Dundee też nie byli mięczakami. Ludzie pracujący w terenie dla Niewiarygodnych tajemnic musieli mieć kondycję fizyczną i pomysłowość w zdobywaniu materiału. Zdarzało się wiele groźnych wypadków. Ich niebezpieczne przygody często same w sobie stawały się tematem kolejnego odcinka. Jeśli reporter czy technik wpadł do morza lub

ścigali go ludożercy, materiał stawał się jeszcze atrakcyjniejszy. Dopóki ekipa nie straciła drogiego sprzętu, szefostwo programu nie przejmowało się niebezpiecznymi warunkami pracy.

Przyjechali do Stambułu kilka dni wcześniej, żeby rozpocząć poszukiwania arki Noego. Temat dawno przestał być sensacją i zszedł na dalsze strony gazet. Dlatego też Kaela rozglądała się za czymś innym. Pierwszego dnia poszła wynająć kuter rybacki na rejs po Morzu Czarnym. W porcie spotkała starego rosyjskiego marynarza. Służył kiedyś na radzieckim okręcie podwodnym z pociskami balistycznymi. Opowiedział Kaeli o opuszczonej bazie tych jednostek. Narysował nawet mapę i zaznaczył lokalizację w odległym zakątku Morza Czarnego. Przedtem napomknął jednak, że trochę forsy odświeżyłoby mu pamięć.

Podniecona Kaela wróciła do kolegów. Nie tracili czasu. Mieli teraz dobry temat zastępczy na wypadek, gdyby nie znaleźli arki, co było bardzo prawdopodobne. Wynajęli kuter rybacki, który miał ich zabrać na spotkanie ze statkiem badawczym Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych.

Właściciel kutra, kapitan Kemal, powiedział, że wie o rosyjskiej bazie. Mogą tam zajrzeć przed spotkaniem ze statkiem NUMA. Jednak w pobliżu celu zaczął nawalać silnik i kapitan postanowił zawrócić do portu. Potrzebna była pewna część zapasowa, a naprawa zajęłaby tylko kilka godzin. Kaela przekonała go, żeby wysadził ich na brzeg i przyplłynął tu następnego dnia.

Kuzyn kapitana, Mehmet, zaproponował, że dostarczy ich na ląd swoim pontonem.

Zodiak zbliżał się teraz do szerokiej plaży. Fale były tu wyższe i częstsze. Mehmet zmniejszył szybkość. Stary Rosjanin powiedział, że baza znajduje się pod ziemią obok opuszczonej stacji badawczej. Należało szukać wywietrzników. Kaela starła wodę z okularów przeciwsłonecznych, zmrużyła oczy i przyjrzała się trawiastym wzgórzom. Nie zauważyła żywej duszy. Zupełna pustka. Zaczęła się zastanawiać, czy nie narazili telewizji na nieuzasadnione wydatki.

- Widzisz coś? - zawołał Lombardo, przekrzykując wycie silnika.
- Żadnych billboardów, jeśli o to ci chodzi.
- Może to nie tu?
- Kapitan Kemal mówił, że tu. I mam szkic terenu od tamtego Rosjanina.
- Ile zapłaciłaś temu naciągaczowi?
- Sto dolców.

Lombardo skrzywił się.

- Ciekawe, ile razy sprzedał tę samą historijkę.

Kaela wskazała brzeg.

- Tamta górka wygląda obiecująco.

W tym momencie usłyszała jakiś dziwny dźwięk.

Odwróciła się i zobaczyła poszarpaną dziurę w poszyciu pontonu. Pół metra na prawo od

jej głowy. Pomyślała, że od tej szaleńczej jazdy puściła jedna z wielu łat na gumowanej tkaninie. Trzeba powiedzieć Mehmetowi. Spojrzała w jego stronę. Turek uniósł się z klęczek z dziwną miną i przycisnął dłoń do piersi. Potem skurczył się, jakby uszło z niego powietrze, i wypadł za burtę. Kiedy puścił ster, ponton ustawił się bokiem do fali. Następna fala przewróciła go i pasażerowie wpadli do morza.

Niebo zawirowało nad Kaela, nagle zimno wywołało szok. Poszła pod wodę i wynurzyła się w ciemności. Była pod przewróconym pontonem. Prychnęła, schyliła głowę i wypłynęła na otwartą przestrzeń. Nad powierzchnią unosiła się łysa głowa Lombardo, potem pojawił się Dundee.

- Nic się wam nie stało? - zapytała i podpłynęła bliżej.

Lombardo wypluł reszkę cygara.

- Co to było, do cholery?

- Mehmet został postrzelony.

- Postrzelony?!

Podpłynęli do dziobu pontonu.

- Złapał się za pierś i wypadł za burtę - powiedziała Kaela. - Tu jest dziura po pierwszym pocisku, drugi trafił Mehmeta.

- Jezu! - Lombardo wetknął palec do dziury. - Ale wdepnęliśmy.

Dundee podpłynął do nich żabką. Cała trójka uczepiła się pontonu i zaczęli dryfować. Zdecydowali, że zaczekają na Kemala w wodzie, bez wychodzenia na brzeg. Tak będzie bezpieczniej. Zodiak był mocno zanurzony, ale niektóre komory jeszcze trzymały powietrze. Próbowali go odwrócić, ale nie udało się. Silnik za dużo ważył, a zaokrąglone burty były zbyt śliskie. Szybko tracili siły i fale spychały ich w stronę brzegu.

- Wygląda na to... - wysapał bez tchu Lombardo - że jednak wylądujemy na plaży.

- A jeśli ci faceci z bronią jeszcze tam są? - zapytał Dundee.

- Masz lepszy pomysł?

- Musieli strzelać z miejsca na wprost nas - odrzekła Kaela. - Schowajmy się pod ponton i spróbujmy odplynąć w bok.

- Nie mamy wielkiego wyboru - przyznał Lombardo i zanurkował pod ponton.

Kiedy pozostała dwójka dołączyła do niego, uśmiechnął się i wskazał wodoszczelne torby. Były przywiązane do siedzeń i teraz zwisały w dół.

- Patrzcie. Sprzęt jest w porządku.

- I co z tego? Jeśli ktoś do nas wyceluje, mamy mu robić zdjęcia, Mickey?

- Byłby to dobry materiał. Co o tym myślisz, Dundee?

- Że oboje jesteście stuknięci, cholerni jankesi! Zresztą ja też. Inaczej nie byłoby mnie tutaj. Kaela, czy twój ruski kumpel mówił, że to miejsce jest opuszczone?

- Powiedział, że Rosjanie wynieśli się stąd dawno temu.

- Może tutaj jest tak, jak na wyspach na Pacyfiku, gdzie japońscy żołnierze ukrywali się

w dżungli, bo nie wiedzieli, że wojna się skończyła? - zasugerował Lombardo. - Może ci faceci tutaj nie słyszeli, że już jest po zimnej wojnie?

Był wyraźnie podniecony tą perspektywą.

- Mało prawdopodobne - odparła Kaela.

- Fakt, masz rację. Ale w takim razie, kto mógł do nas strzelać?

- Nie wiem - odpowiedziała. - Ale jeśli nie zaczniemy pracować nogami, niedługo się dowiemy. Sprawdzę sytuację.

Zniknęła i po chwili wróciła.

- Na plaży pusto - zameldowała. - Kierujmy się bardziej w prawo.

Zaczęli pchać ponton, ale fale znosiły go w stronę lądu. Rozbijały się o brzeg coraz głośniej. Nikt nie strzelał i wstąpiła w nich nadzieja, że przeciwników już nie ma. Gdyby mogli zobaczyć, co jest za wydrami, optymizm szybko by ich opuścił. W słońcu lśnił rząd wysoko uniesionych szabel. Ostrza wyglądały jak noże gigantycznej maszynki do mięsa, gotowej posiekać ich na strzępy, kiedy tylko wypełzną na plażę.

4

Wysoko nad przewróconym pontonem zataczał szeroki krąg turkusowy samolocik. Barczysty mężczyzna za sterami zmrużył oczy przed słońcem i popatrzył w dół przez ciemne gogle. Na jego ogorzałej twarzy odmalowało się zdumienie. Przed chwilą widział pływaków w wodzie obok gumowej łodzi. Odwrócił wzrok, żeby ustalić swoją pozycję, a kiedy znów spojrzał w dół, pływaków już nie było.

Kurt Austin widział, jak zodiac się przewrócił bez żadnego powodu. Morze nie było wzburzone, w okolicy nie zauważył skał ani innych podwodnych przeszkód. Zastanawiał się, czy ponton i kuter rybacki na morzu mają coś wspólnego z ekipą telewizyjną, której szuka. Pewnie nie. Ekipa powinna być w drodze do statku badawczego NUMA, a nie na tym pustkowiu.

Austin był na pokładzie „Argo” konsultantem do badań głębinowych. Na co dzień kierował Zespołem Specjalnym NUMA. Inni członkowie jego grupy, Joe Zavala oraz Paul i Gamay Troutowie, dostali mniej odpowiedzialne zadania w różnych punktach kuli ziemskiej. Dyrektor NUMA James Sandecker nalegał, żeby wzięli „urlopy” po rozgrywce z zabójcami wynajętymi przez megakorporację, która chciała zawładnąć światowymi zasobami wody pitnej. Niepokoiło go zwłaszcza przywiązanie Austina do pięknej Brazylijki. Była naukowcem i poświęciła wszystko, żeby ujawnić spisek.

„Argo” zbierał na Morzu Czarnym informacje o działaniu fal i wiatrów dla międzynarodowego banku danych. Austin ukończył wydział zarządzania systemami na Uniwersytecie Waszyngtońskim i miał doświadczenie w nurkowaniu i badaniach podmorskich. Dlatego jego pomoc przy instalowaniu skomplikowanych sensorowych instrumentów badawczych była bezcenna.

Ponieważ urządzenia działały bez zarzutu, Austin zaczął się nudzić. Przeczytał kilka książek filozoficznych, ale nie mógł znaleźć sobie miejsca. Czuł się na statku jak w więzieniu otoczonym bezkresną fosą. Wiedział, że po wstrząsie psychicznym, jakiego doznał, Sandecker chciał dla niego jak najlepiej. Jednak potrzebował aktywności fizycznej i umysłowej, nie atmosfery panującej na statku.

Poważnym naukowcom na pokładzie nie podobała się zapowiadana wizyta ekipy

telewizyjnej. Uważali reporterów za intruzów, którzy będą im przeszkadzać w pracy głupimi pytaniami. Austin podchodził do tego zupełnie inaczej. Widział w tej wizycie wybawienie od codziennej nudy.

Ekipa miała się zjawić tego ranka. Nie pokazała się. Próby wywołania jej przez radio spełzły na niczym. Po lunchu Austin wspiął się do sterowni i przedstawił kapitanowi swój pomysł. Dowódca „Argo” Joe Atwood był wściekły, że ludzie z telewizji nie przyплыnęli ani nie odezwali się. Spacerował od jednego skrzydła mostka do drugiego i badał horyzont przez lornetkę. Statek NUMA miał się przenieść w inne miejsce i nie mogli tkwić tu bez końca.

- Nasi goście nie dali znaku życia? - zapytał Austin, choć mina Atwooda wystarczyła mu za odpowiedź.

Kapitan zerknął za zegarek.

- Pewnie zabłądzili. Kiedy następnym razem ci idioci od public relations każą mi zabawić jakichś gnojków z telewizji, powiem im, żeby wsadzili sobie swoje polecenie tam, gdzie słońce nie dochodzi.

Kapitan nie był w odpowiednim nastroju, by przypomnieć mu, że ludzie od public relations odwalają dla agencji kawał dobrej roboty: nagłaśniają osiągnięcia NUMA, co pomaga wyciągnąć od Kongresu fundusze. Między innymi na takie programy, jak badania na Morzu Czarnym.

- Mam propozycję - odpowiedział Austin. - Jestem teraz wolny. Może przelecę się po okolicy i spróbuję ich znaleźć?

Kapitan wyszczerzył zęby w porozumiewawczym uśmiechu.

- Nie oszukasz mnie, Austin. Chciałeś wsiąść do „Gooneya” od dnia, w którym postawiłeś nogę na pokładzie.

- Załatwię dwie sprawy za jednym zamachem. Przetestuję go i poszukam naszych niesłownych gości.

Austin nie dodał, że lot byłby dla niego doskonałym antidotum na nudę. Atwood przyglądał palcami jasnorude włosy.

- Dobra, stary. Leć. Ale podawaj swoją pozycję co kilka minut. Wystarczy mi problem z tymi typkami z telewizji. Nie chcę uganiać się za tobą po całym Morzu Czarnym.

Austin podziękował mu i zszedł na dół przygotować „Gooneya”. Samolocik służył do wydłużenia zasięgu obserwacji „Argo”. Wprawdzie radar używany na większości statków NUMA wykrywał komara z odległości piętnastu kilometrów, ale czasem nic nie mogło zastąpić ludzkiego oka. „Gooneya” zaprojektował geniusz techniczny, Joe Zavala. Poprosił Austina o zabranie samolociku na pokład „Argo” i przetestowanie w warunkach naturalnych. Ponieważ jednak statek był cały czas w ruchu, dopiero teraz zdarzyła się okazja do przeprowadzenia lotu testowego.

Jednomiejscową maszynę nazwano „Gooneyem” od slangowego określenia albatrosa. Marynarze ochrzcili tak ptaka słynącego z pięknego lotu, ale niezdarnie startującego i

lądującego. Austin obejrzał samolot w hangarze pokładowym. Nie zrażał się jego niezgrabnym wyglądem. Wiedział, że zaletą takich samolotów jest stabilność i łatwość obsługi.

Płaskodenny kadłub z włókna szklanego miał kształt kanu i pływaki na aluminiowych wspornikach. Zaopatrzony w chowane podwozie „Gooney” mógł lądować na wodzie lub na ziemi.

Samolot wyciągnięto z hangaru na pokład. Rozłożono i umocowano wąskie, dziewięciometrowe skrzydła pokryte dakronem. Austin wszedł do przytulnego kokpitu. Załoga „Argo” zepchnęła „Gooneya” z szerokiej pochylni rufowej do wody. Austin uruchomił silnik, rzucił cumę i popłynął na otwarte morze, żeby wyczuć stery. Samolocik dobrze się prowadziło po wodzie i Austin uznał, że czas zobaczyć, jak będzie w powietrzu. Ustawił „Gooneya” w kierunku startu i otworzył przepustnicę.

Kompaktowy silnik o mocy czterdziestu koni mechanicznych poderwał maszynę w górę. Przez jakieś trzydzieści metrów samolot muskał grzywy fal, a potem wzbił się w powietrze. Austin okrążył „Argo”, pomachał skrzydłami i wziął kurs na cieśninę Bosfor, łączącą Morze Czarne z Morzem Śródziemnym. Uważał, że skoro ekipa telewizyjna mieszka w Stambule, powinna przyplłynąć z tamtego kierunku.

Dwusuwowy, dwucylindrowy silnik Rotaksa, napędzający śmigło za kokpitem, mógł rozpędzić tęponosy samolocik do stu pięciu kilometrów na godzinę. Nie była to szybkość zawrotna, ale maszynę prowadziło się znakomicie. Skręcała, wznosiła się i nurkowała, bez sprzeciwu słuchając sterów. Austin czuł się wolny jak mewy, które krążyły nad „Argo” w poszukiwaniu odpadków z kuchni okrętowej. Leciał dziewięćdziesiątką na wysokości trzystu metrów. Z tego pułapu widział wszystko w promieniu wielu mil morskich. Dziewiętnastolitrowy zbiornik paliwa wystarczał na dwieście czterdzieści kilometrów.

Powietrze było krystalicznie czyste, rozfalowana powierzchnia wody mieniła się srebrzyście w jasnym słońcu. Austin przeczesywał morze według klasycznego wzorca poszukiwawczego: latał tam i z powrotem po równoległych liniach prostych. Taka metoda pozwalała sprawdzić znaczny obszar w krótkim czasie. Przed opuszczeniem Stambułu ekipa telewizyjna wysłała na „Argo” krótką wiadomość radiową. Prosili o pozycję statku i podali przybliżony czas przybycia. Mieli przyplłynąć kutrem rybackim. Austin widział w dole wiele kutrów, ale żaden nie kierował się w stronę „Argo”.

Latając tam i z powrotem, Austin szybko zużył paliwo. Została jedna trzecia zbiornika. Akurat tyle, żeby dolecieć na „Argo”. Austin sprawdził kompas i postanowił wracać na statek, gdy zauważył łódź zbliżającą się szybko do wybrzeża rosyjskiego. Ciekawość zwyciężyła. Zszedł na wysokość stu pięćdziesięciu metrów i prawie zrównał się z gumową łodzią. Nagle uderzyła w nią fala i przewróciła do góry dnem.

Austin zatoczył krąg. Zastanawiał się, co robić. Przewrócony ponton zachowywał się dziwnie. Fale znosiły go w stronę lądu, ale dryfował w bok.

Austin sięgnął po mikrofon.

- „Gooney” do „Argo”. zgłoś się.

- Tu „Argo” - odezwał się znajomy głos kapitana. - Jak się sprawuje nasz mały ptaszek morski?

- Jak wytresowany pterodaktyl. Właściwie lata sam. Dobra zabawa.

- Cieszę się. Żadnego śladu tych niewiarygodnych idiotów z Niewiarygodnych tajemnic!

Austin patrzył na łódź.

- Jedyną tajemnicą jest tutaj przewrócony zodiac. Trzymali się go jacyś ludzie, ale zniknęli.

- Gdzie jesteście?

- Blisko wybrzeża - odrzekł Austin i przyjrzał się skalistemu cypłowi. - Obok urwiska z plażą i wydiami. Zarys skały na przylądku przypomina mi profil admirała Sandeckera.

- Zapytam nawigatora. Pływał po tych wodach setki razy - powiedział Atwood. Po krótkiej przerwie wyjaśnił: - To Cypel Imama.

- Łódź dryfuje do brzegu. Za duże fale, żebyśmy mogli usiąść na wodzie.

- Co mamy zrobić?

- Zejdę niżej i rozejrzę się. Jeśli kogoś znajdę, będę potrzebował pomocy. „Gooney” to nie samolot pasażerski.

- Ruszamy w drogę. Spotkanie za mniej więcej godzinę.

- Przyjąłem. Wyląduję i poszukam baru, gdzie serwują porządne martini.

Austin wyłączył mikrofon i znów popatrzył na łódź. Uśmiechnął się. Nie przywidziało mu się. Spod pontonu wyłoniła się trójka ludzi. Płynęli żabką do brzegu.

Zawsze najlepiej lądować pod wiatr. Teraz wiało od morza. Austin zszedł na trzydzieści metrów i wziął kurs na plażę. Celował w długą wydnię. Zamierzał zawrócić nad nią i usiąść na piasku.

„Gooney” przeleciał nad trójką pływaków. Pozwalali się nieść falom, żeby oszczędzić siły. Austin dostrzegł nisko położone budynki w głębi lądu, ale jego uwagę przykuł jasny błysk z ziemi. Samolocik potrafił zawrócić niemal w miejscu. Austin wykorzystał jego zwrotność i szarpnął drążkiem sterowym. „Gooney” wykonał ciasny skręt i Austin zobaczył płytką dolinkę za wydnią.

W zagłębieniu stało rzędem kilkunastu jeźdźców z wysoko, uniesionymi szablami. Od kling odbijało się słońce. Nagłe pojawienie się hałaśliwego samolotu spłoszyło konie. Jeźdźcy próbowali je okiełznać. Austin uchwycił tę scenę kątem oka, gdy przelatywał nad nimi. Potem znów znalazł się nad plażą. Pływacy byli teraz tuż przy brzegu.

Nagle przed twarzą Austina zawirowały kawałki dakronu. Jeźdźcy byli uzbrojeni nie tylko w szable. Skrzydło nad głową Austina wyglądało tak, jakby poszycie rozdarły pazury tygrysa. Ktoś strzelał do niego z ziemi! Kokpit z włókna szklanego nie chronił przed kulami. Co gorsza, Austin siedział na zbiorniku z paliwem. Jeden celny strzał w śmigło mógł go

stracić na ziemię jak kaczkę. Pchnął drążek sterowy i samolocik zanurkował. Mimo słuchawek na uszach Austin usłyszał ostry dźwięk pocisku, który trafił w wydrążony aluminiowy łącznik między kokpitem i skrzydłem. Poczł ukłucie w prawą skroń. Został zraniony odłamkiem metalu i po twarzy spływała mu krew. Miał na szyi chustę. Podciągnął ją wyżej i owinał czoło, żeby zatamować krwawienie.

Ten sam pocisk roztrzaskał pływak pod skrzydłem. Austin pchnął drążek do oporu. Samolocik runął w dół jak urwana winda i przechylił się niebezpiecznie. Przy braku jednego pływaka stracił stabilność. Austin musiał go balastować całym ciężarem ciała. Uciekł nad otwarte morze, wydostając się poza zasięg ognia. Potem skręcił i poleciał równolegle do brzegu.

Kiedy wybuchła strzelanina, pływacy wyczołgali się na piasek. Teraz biegli wzdłuż wody. Rozpoznał szczupłą, ciemnoskórą kobietę i dwóch mężczyzn. Obejrżeli się w biegu przez ramię, spoglądając na „Gooneya”. Na wydmy pojawili się jeźdźcy z uniesionymi szablami. Na ich widok uciekinierzy przyspieszyli kroku, ale otwarta plaża nie dawała schronienia. Była doskonałym miejscem do zabójczej szarży.

Jeźdźcy dźgnęli konie ostrogami i pogalopowali wzdłuż wydmy, żeby oskrzydlić swoje ofiary. Austin sięgnął do skrzynki awaryjnej za siedzeniem i wyciągnął morską raketnicę sygnalizacyjną. Załadował ją czerwoną rakiętą o sile światła dziesięciu tysięcy kandel. Potem otworzył przepustnicę do oporu. Uszkodzony „Gooney” pomknął ku plaży z maksymalną szybkością stu pięciu kilometrów na godzinę, kołyszając się niebezpiecznie.

Uciekinierzy znów padli na brzuchy, gdy przeleciał nad ich głowami jak ogromny, rozwścieczony szerszeń. Austin działał jak automat. Ścisnął drążek sterowy kolanami, wychylił się poza pleksiglasową owiewkę i wycelował w środek rzędu jeźdźców. Naciągnął spust i flara wystrzeliła w ich kierunku jak kometa.

Kąt lotu uniemożliwił celny strzał. Rakieta trafiła w wydmy i eksplodowała w jasnym snopie iskier. Konie najbliższe ogniastego wybuchu stanęły dęba. Inne spłoszyły się, kiedy samolot musnął ich łby jak gigantyczny owad.

Austin zawrócił błyskawicznie do drugiego ataku. Chaos na szczycie wydmy przypominał słynny obraz Picassa Guernica. Trudno było odróżnić ludzi od koni. Uśmiechnął się ponuro i załadował następną flarę. Tym razem nadleciał z tyłu.

W owiewce pojawiła się dziura otoczona pęknięciami. Jednemu z jeźdźców udało się strzał. Austin poczuł przy uchu świst pocisku. Nadludzkim wysiłkiem skoncentrował się na celowaniu i nacisnął spust raketnicy.

W stronę kłębowiska ludzi i koni poszybowała druga flara. Trafiła w jeźdźcę i eksplodowała czerwonym fosforem. Mężczyzna zwałił się na ziemię z nogą uwięzioną w strzemieniu, a spłoszony koń powłókł go za sobą.

Plaża przemknęła w dole i Austin znów znalazł się nad morzem. Zatoczył łuk i wrócił nad wydmy. Trawa płonęła i w niebo buchał czarny dym.

Jeźdźcy, którzy spadli z koni, przetaczali się na bok, żeby uniknąć stratowania przez kopyta. Inni zeskoczyli na ziemię, mocno trzymali wodze i próbowali uspokoić spłoszone zwierzęta.

Od grupy odłączył się samotny jeździec i ruszył galopem. Kaela i jej przyjaciele usłyszeli tętent kopyt i obejrżeli się. Zobaczyli zbliżającego się kawalerzystę z uniesioną wysoko szablą. Austin zawrócił samolot i znalazł się na wprost jeźdźca. Uniósł raketnicę, ale trudno było dokładnie wycelować. Zanurkował, przeleciał kilka metrów nad głowami uciekinierów i wymierzył maszynę prosto w wielkiego jeźdźca z rozwianą rudą brodą. W ostatniej sekundzie poderwał samolot. Pływak pod skrzydłem niemal musnął głowę brodacza. Koń zarżał z przerażenia i rzucił się do szaleńczej ucieczki. Dogonił innych jeźdźców, którzy stracili serce do walki i pędzili w stronę lasu.

Tymczasem Austin toczył beznadziejną bitwę o utrzymanie uszkodzonego samolotu w powietrzu. Siedział wychylony do połowy z kokpitu, jak żeglarz balastujący łódź, zaciskał zęby i przygotowywał się na twarde lądowanie.

5

Kaela Dorn wstrzymała oddech, gdy dziwaczny samolocik runął korkociągiem w dół. W ostatniej sekundzie poderwał się gwałtownie. Wznosił się tak i opadał jak latawiec na niewidzialnym sznurku.

W końcu pilot jakoś zdołał opanować maszynę i podszedł lotem ślizgowym do lądowania. Zanim jednak usiadł, lewe skrzydło przechyliło się ostro i zaryło w miękkim piasku. Odłamało się tuż przy kadłubie i samolocik uderzył pod kątem w ziemię. Ślizgał się przez kilka metrów, wreszcie zatrzymał gwałtownie z zadartym wysoko ogonem. Silnik zgasł i na plaży nagle zaległa cisza. Słychać było tylko szum fal i trzask płonącej trawy.

Uciekinierzy gapili się na wrak samolotu szeroko otwartymi oczami. Nie mieli sił się ruszyć. Kaela była w najlepszej formie, ale miała nogi jak z ołowiu. Kiedy po raz pierwszy zobaczyli pękaty samolocik, nie wiedzieli, czy to wróg, czy przyjaciel. Nie mieli jednak wątpliwości co do zamiarów jeźdźców. Dzikie okrzyki i uniesione szable mówiły same za siebie: ludzie na koniach łaknęli krwi.

Samolot wyglądał jak ptak, który wpadł między łopatki wentylatora. Wydawało się niemożliwe, żeby pilot wyszedł z tego cało. Jednak w kokpicie coś się poruszyło. Pojawiła się jedna noga, potem druga i lotnik wygramolił się na zewnątrz. Najwyraźniej nic mu się nie stało. Obszedł maszynę i obejrzał uszkodzenia. Kopnął w skrzywione koło, jakby sprawdzał stary samochód, i pokręcił głową. Potem odwrócił się do ekipy telewizyjnej, pomachał przyjaźnie ręką i ruszył w ich kierunku. Utykał lekko.

Lombardo i Dundee dla bezpieczeństwa wzięli Kaelę między siebie. Przyglądała się ciekawie pilotowi. Był wysoki, zbudowany jak bramkarz z nocnego klubu. Miał na sobie niebieską bluzę sportową i brązowe szorty. Podszedł bliżej i zdjął czapkę baseballową. Ukazały się stalowoszare, niemal platynowe włosy. Opalona twarz była gładka, z wyjątkiem drobnych zmarszczek od śmiechu wokół oczu i ust. Wyglądał na mniej więcej czterdzieści lat.

Po jego policzku spływała krew, przesiąkając przez chustę związaną na głowie. Lądowanie musiało być mocnym przeżyciem, ale miał taką minę, jakby wracał z kortu tenisowego.

- Dzień dobry - odezwał się z uśmiechem. - Wszyscy cali i zdrowi?

- Tak, dziękuję, nic nam nie jest - odrzekła ostrożnie Kaela. - Ale pan krwawi.

Dotknął z roztargnieniem rany.

- To tylko drobne skaleczenie. Poza tym jestem mniej więcej w jednym kawałku. Szkoda, że nie mogę tego powiedzieć o moim środku transportu. Już nie robią ich tak, jak kiedyś. Nie macie państwo przypadkiem taśmy samoprzylepnej?

Kaela uśmiechnęła się smutno.

- Pańskiego samolotu nie da się już posklejać. Ludzie z ubezpieczeń powiedzieliby, że jest skasowany.

- Obawiam się, że to prawda, pani...

- Dorn. Kaela Dorn. To mój producent, Mickey Lombardo, a to jego asystent Hank Simpson. Robimy serial telewizyjny Niewiarygodne tajemnice.

- Tak myślałem. Nazywam się Kurt Austin. Jestem z NUMA.

- NUMA?! - wykrzyknął Lombardo, podszedł i potrząsnął dłonią Austina. - Miło pana widzieć! Mieliśmy fart, że się pan zjawił.

- To nie tylko fart - odrzekł Austin. - Szukałem was. Mieliście być na „Argo” dziś rano.

- Przepraszamy - powiedział Lombardo. - Zrobiliśmy mały skok w bok, żeby zbadać starą ruską bazę okrętów podwodnych. Powinna gdzieś tu być.

- Kapitan „Argo” jest trochę wkurzony. Psujecie mu rozkład jazdy. Mogliście nas zawiadomić, że zmieniliście plany.

Austin uśmiechał się, ale mówił z wyczuwalną przyganą.

- To moja wina - powiedział Kaela. - Myśleliśmy, że zajmie nam to tylko kilka godzin. Chcieliśmy powiadomić was z morza, ale na naszym wynajętym kutrze nie działało radio. Kapitan zawrócił do portu, bo nawalał mu silnik. Miał też naprawić radio i połączyć się z wami.

- To musiał być ten kuter, który widziałem po drodze.

Przytaknęła.

- Miał nas stąd zabrać jutro rano. Dzięki za uratowanie nam życia. Przepraszam, że narobiliśmy panu tyle kłopotu.

Austin nie chciał już ich męczyć.

- Żaden kłopot - odparł i popatrzył na zdemolowany samolocik. - No... może niewielki. Dlaczego przewrócił się wam ponton?

- Ktoś na brzegu strzelał do nas i zabił Turka przy sterze - wyjaśniła Kaela. - Z boku uderzyła fala i przewróciła łódź. Schowaliśmy się pod spodem, chcieliśmy odpłynąć od plaży, ale fale były za silne i wylądowaliśmy tutaj. - Obejrzała się na wydmy. - Wie pan, kim byli tamci ludzie na koniach?

Austin nie odpowiedział. Przyglądał się jej. Kaela zdała sobie sprawę, że mokra koszulka i szorty oblepiają ciasno jej ciało. Austin wyczuł zażenowanie Kaeli i przeniósł wzrok na dymiącą wydmy.

- Nie wyglądali na uczniów z miejscowej szkółki jeździeckiej - odrzekł. - Rozejrzyjmy się.

Ruszył w górę pochyłej plaży. Reszta ostrożnie wspięła się za nim. Ogień dogasał. Przeszli przez spaloną trawę na szczycie wydmy. Austin zauważył na ziemi coś błyszczącego. Podeszedł bliżej. Szabla. Podniósł ją i wypróbował w dłoni. Długie, zakrzywione ostrze było doskonale wyważone. Austin zacisnął zęby. Wyobraził sobie, co może zrobić z ludzkim ciałem klinga ostra jak skalpel. Oglądał napis wygrawerowany cyrylicą na ostrzu, kiedy zawołał go Australijczyk. Dundee stał po kolana w kępie ocalałej z pożaru trawy i coś pokazywał.

- Go tam? - zapytał Austin.

- Sztwywny facet.

Austin wbił szablę w piasek i podeszedł. U stóp Australijczyka leżał na plecach mężczyzna z otwartymi, szklistymi oczami. Miał czarną, zapiaszczoną brodę i wąsy. Wyglądał na czterdzieści kilka lat. Głowa była wygięta pod nienaturalnym kątem. Z boku zapadniętej twarzy ciekła krew.

- Pewnie spadł z konia... - domyślił się Austin - i dostał kopytem w głowę.

Nie żałował zabitego jeźdźca.

Lombardo wydobyl kamerę z pontonu wyciągniętego na brzeg i filmował miejsce potyczki. Podeszedł z Kaela do trupa i gwizdnął cicho.

- Co to za przebieraniec?

Austin przyklęknął obok zwłok.

Martwy mężczyzna miał na sobie długi szary płaszcz i workowate spodnie, wpuszczone w czarne buty z cholewami. Kilka kroków dalej leżała czarna futrzana czapa. Ramiona jeźdźca zdobiły czerwone epolety. Z szerokiego skórzanego pasa zwisała kabura pistoletu i pochwa szabli. Na piersi krzyżowały się pasy z nabojami. Na szyi miał zawieszony sztylet w pochwie.

- Jezu! - powiedział zdumiony Dundee. - Ten gość to chodzący arsenał.

Austin przeszukał trawę dookoła. Kilka metrów dalej znalazł karabin.

Przyłożył kolbę do ramienia i otworzył dobrze naoliwiony zamek. Na lufie, podobnie jak na ostrzu szabli, widniał napis wygrawerowany cyrylicą. Austin kolekcjonował pistolety do pojedynków i znał się na starej broni. Karabin systemu Mosin-Nagant miał ponad sto lat, ale był w doskonałym stanie. Całe szczęście, że jeźdźcy nie mieli nowocześniejszej broni automatycznej. Jeden kałasznikow posiekałby „Gooneya” na strzępy.

Oddał karabin Australijczykowi i przeszukał kieszenie trupa. Pusto. Odpiął od czapki lśniący metalowy emblemat i schował. Lombardo skończył filmować pole bitwy i Kaela zaproponowała, żeby zrobić kilka ujęć parterowych betonowych budynków w głębi łądu.

- Niezbyt dobry pomysł - odrzekł Austin i wskazał ślady kopyt, biegnące w tamtym kierunku. - Lepiej stąd zniknąć.

Obawiał się, że jeźdźcy mogą wrócić. Oparł karabin o ramię, wziął szablę i ruszył z powrotem w kierunku plaży. Na szczycie wydmy dogoniła go Kaela.

- Wie pan, o co tu chodzi? - zapytała. - Dlaczego tamci ludzie chcieli nas załatwić?

- Wiem tyle, ile pani. Dopóki nie zaczęli do mnie strzelać, myślałem, że kręcą film.

- Mieliśmy fart, że kiepsko celowali - zaczęła i urwała, bo Austin znów przyglądał się jej twarzy. - Coś nie w porządku?

- Głupio mi to powiedzieć.

- Nie wierzę. Nie wygląda pan na nieśmiałego.

Austin wzruszył ramionami.

- Chyba już się spotkaliśmy.

- Przykro mi, ale na pewno bym pamiętała.

- Po prostu jest pani uderzająco podobna do księżniczki, którą widziałem namalowaną na ścianie w egipskiej świątyni.

Kaela była wysoka, miała długie, zgrabne nogi, śniadą cerę i długie, czarne, kręcone włosy, piękne usta i oczy jak ciemne bursztyny. Była atrakcyjną kobietą i mężczyźni prawili jej różne komplementy. Ale takiego nigdy jeszcze nie słyszała. Popatrzyła przeciągle na Austina.

- A pan wygląda jak pirat z okrętu kapitana Kidda.

Austin roześmiał się i przeczesał palcami zmierzwione włosy.

- Bardzo możliwe, ale nie żartowałem z tą księżniczką. Choć jest pani sporo młodsza od niej. Jej portret powstał chyba cztery tysiące lat przed naszą erą.

- Różnie mnie już nazywano, ale nigdy egipską mumią. Jeśli to komplement, dziękuję. Również za uratowanie nam życia. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołamy się panu zrewanżować, panie Austin.

- Może pani zacząć od tego, że przejdziemy na ty. Mam na imię Kurt. Mogę mówić do pani Kaela?

Uśmiechnęła się.

- Oczywiście.

- Jesteśmy teraz starymi znajomymi, więc zapraszam na kolację. Co ty na to?

Rozejrzała się po pustej plaży.

- Co proponujesz? Coś z podręcznika harcerza? Korzenie i jagody?

- Zakończyłem karierę na zuchach. Myślałem o kaczce z pomarańczami. Gwarantuję stolik z widokiem na morze.

- Tutaj?

- Nie, tam - wskazał turkusowy statek, który płynął w ich kierunku. - Lokal „Argo”. Szef kuchni pracował w Four Seasons, zanim ściągnęła go NUMA.

- Trudno nie skorzystać z takiego zaproszenia. Ale chyba nie jestem odpowiednio ubrana.

- Na statku na pewno coś znajdziemy. Zapytam, kiedy zadzwonię, żeby zrobić

rezerwację. Jakimś cudem radio ocalało przy lądowaniu. Wywołam statek, a ty sprowadź tu swoich przyjaciół. Radzę się pospieszyć. Jesteśmy w Rosji, nie mam paszportu. Lepiej nie nadużywać ich gościnności.

Austin wrócił do roztrzaskanego samolociku. Kaela odprowadziła go wzrokiem. Kim jest ten facet? I co to za Zespół Specjalny NUMA? Krzyknęła, żeby Mike i Dundee skończyli filmować. Potem pobiegła do Austina.

6

Moskwa, Rosja

Wiktor Pietrow odłożył słuchawkę na widelki i zapatrzył się w przestrzeń. Po chwili zadumy wstał zza biurka i podszedł do okna. Przyjrzał się miastu, zatrzymał wzrok na cebulastych wieżach cerkwi Wasyla Błogosławionego i uniósł rękę do blizny na prawym policzku. Ledwo czuł dotyk palców przez przypominającą pergamin skórę. Ile to już lat? Piętnaście. Dziwne. Po tych wszystkich latach jeden telefon wywołał wspomnienie przeszywającego bólu.

Pietrow przyglądał się tłumom przechodniów w letnim upale i tęsknił za zimą. Jak wielu jego rodaków, uwielbiał śnieg. Rosyjskie zimy są ostre, ale uratowały kraj przed inwazją Napoleona i Hitlera. Miłość Piętrowa do śniegu miała też bardziej prozaiczną przyczynę. Zima maskowała mankamenty miasta. Tłumiła hałas i białą powłoką pokrywała brud.

Wrócił na miejsce. Zniszczone metalowe biurko było największym przedmiotem w bezbarwnej klitce. Na jednym końcu blatu stał staromodny czarny telefon z tarczą, na drugim faks. Pusta szafka na dokumenty w rogu pokoiku była głównie na pokaz. Ciasny gabinet nie różnił się od wielu innych w dziesięciopiętrowym biurówcu ministerstwa rolnictwa, szarym pomniku banalnej architektury socjalistycznej. Na drzwiach widniał napis: Syberyjski Urząd Ochrony Roślin. Pietrow rzadko miewał gości. Jeśli czasem ktoś tu zabłądził, dowiadywał się, że urząd został przeniesiony.

Pomimo spartańskich warunków pracy Pietrow miał wielkie wpływy w rządzie rosyjskim. Największym jego atutem była anonimowość. Trzymał się w cieniu. Pamiętał dawne czasy, kiedy „Prawda” drukowała listę radzieckich osobistości, które przyjmowały defiladę pierwszomajową z trybuny mauzoleum Lenina. Jakakolwiek aluzja, że ktoś z tego szeregu mógłby zostać następcą rządzącego tyrana, skazywała wymienionego pechowca na śmierć. Pietrow opanował sztukę wtapiania się w tło. Był kameleonem w urzędniczym wydaniu. Przeżył trzech premierów i niezliczonych członków politbiura. Nie dawał się zdefiniować. Nie fotografował się od lat. W jego aktach personalnych były zdjęcia martwych ludzi. Przez cały okres swojej długiej kariery był znany po prostu jako doradca.

Atletyczną budowę maskował szarym workowatym garniturem, typowym uniformem

beziemiennych urzędników kremlowskich. Nosił tanią koszulę i rzadko strzygł szpakowate włosy, jakby nie stać go było na regularne wizyty u fryzjera. Okulary w drucianej oprawce nadawały mu wygląd profesora. Mógł zasłonić bliznę, ale nie mógł ukryć inteligencji w szaroniebieskich oczach i bezwzględnej determinacji w ostrych rysach twarzy.

Telefował Aleksiej. Pietrow zwerbował go osobiście jako agenta.

- Na wschodzie coś się dzieje - zameldował z podnieceniem.

Każda z czterech stron świata była skrótowym hasłem alarmowym. Pietrow od razu wiedział, w którym rejonie dawnego imperium radzieckiego są problemy. Interesowały go zamachy, zabójstwa, demonstracje i rozruchy. Spodziewał się, że teraz usłyszy złe wieści ze zbuntowanej Czeczenii.

- Mów - odrzekł automatycznie.

- Amerykański statek naruszył dziś nasze wody terytorialne na Morzu Czarnym.

- Jaki statek? - zapytał Piotrów z ledwo ukrywaną irytacją. Miał na głowie dużo ważniejsze sprawy.

- Badawczy. Z Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych.

Pietrow zacisnął palce na słuchawce.

- Z NUMA?

- Nasi obserwatorzy zidentyfikowali go. Nazywa się „Argo”. Sprawdziłem jego uprawnienia. Ma pozwolenie na prowadzenie badań tylko na otwartym morzu. Złapaliśmy kilka jego połączeń radiowych z samolotem. Pilot meldował o zamiarze naruszenia naszego terytorium.

- Przekroczył naszą granicę?

- Nie wiemy. Radary go nie namierzyły.

- To jeszcze nie inwazja, Aleksiej. Sprawa chyba nie kwalifikuje się do rozmów z amerykańskim departamentem stanu?

- Na pewno nie. Samolot podał swoją pozycję, więc mogliśmy wyznaczyć jego kurs. Był w pobliżu strefy 331, kiedy pilot umawiał się ze statkiem na spotkanie.

Pietrow zaklął bezgłośnie.

- Jesteś pewien ich pozycji?

- Całkowicie.

- Gdzie jest teraz ten statek?

- Ochrona wybrzeża wysłała na miejsce helikopter. Statek opuścił nasze wody terytorialne i wziął kurs na Sztambuł. Monitorujemy łączność radiową.

- A samolot?

- Zniknął bez śladu.

- Mam nadzieję, że zbadaliście dokładnie miejsce ich lądowania.

- Tak jest. Nasi ludzie znaleźli spaloną trawę, dużo odcisków stóp i ślady koni.

- Chcę, żebyś śledził statek. Jeśli zawinie do portu, zarządzaj całodobową obserwację.

Informuj mnie o wszystkim.

- Tak jest. Coś jeszcze?
- Przyślij mi wydruki rozmów pilota ze statkiem.
- Już się robi.

Pietrow pochwalił agenta za czujność i wyłączył się. Po paru minutach zaszumiał faks i wypłynęła kilka kartek. Pietrow spojrział na zapis rozmów mężczyzny w samolocie z kapitanem „Argo”. Na widok pierwszego zdania zeszytniał: „Austin do »Argo«,,

Austin? To niemożliwe.

Pietrow odetchnął głęboko, żeby się uspokoić. Austin to popularne nazwisko w Stanach, a NUMA to duża organizacja. Próbował sobie wytłumaczyć, że to czysty przypadek. Ale kiedy przeczytał faks, uśmiechnął się ponuro. Rozpoznał charakterystyczny język pilota, nie mógł się mylić. Drwiące zdanie o dyrektorze NUMA potwierdzało podejrzenia. Cały Kurt Austin.

Pietrow sięgnął do zakurzonej szafki na akta i wyjął grubą teczkę oznaczoną „NUMA - Kurt Austin”. Znał na pamięć jej zawartość. Austin urodził się w Seattle. Jego ojciec był bogatym właścicielem firmy ratownictwa morskiego. Osobowość Kurta ukształtowało morze. Żeglował, zanim nauczył się chodzić. Gdy dorósł, nabrał zamiłowania do szybkich łodzi motorowych. Jednak od kilku lat wołał wiosłowanie po Potomaku. Mieszkał w przerobionej przystani poniżej Palisades w Waszyngtonie, półtora kilometra od centrali CIA w Langley. Lubił filozofię, kolekcjonował zabytkowe pistolety, słuchał jazzu nowoczesnego...

Pietrow czytał dalej, już z góry znając każde słowo. Austin ukończył wydział zarządzania systemami na Uniwersytecie Waszyngtońskim, potem cenioną szkołę nurków w Seattle. Wyszkolił się na zawodowca. Wykorzystał swoje umiejętności w pracy na platformach wiertniczych na Morzu Północnym. Potem wrócił do firmy ojca i wtedy zwerbowała go CIA. Trafił do mało znanej sekcji wywiadu podwodnego. Po zakończeniu zimnej wojny sekcję zlikwidowano. Austina zatrudnił dyrektor NUMA, admirał James Sandecker. Powierzył mu kierowanie nowym zespołem specjalnym do badań oceanograficznych.

Przeszłość Piętrowa była zupełnie inna. Też miał w żyłach słońną wodę, ale gorszy start. Był jedynym synem ubogiego rybaka. Wstąpił do pionierów. Wizytujący drużynę komisarz polityczny zwrócił uwagę na jego inteligencję i sprawność fizyczną. Pietrowem zaopiekowała się partia i wylądował w Moskwie. Nigdy więcej nie zobaczył rodziców ani sióstr. W ogóle przestali go obchodzić. Jego rodziną stało się państwo radzieckie. Chodził do najlepszych szkół i został inżynierem. Z ramienia KGB służył w stopniu oficera na okręcie podwodnym. Potem przeniósł się do wywiadu marynarki wojennej. Podobnie jak Austin, trafił do mało znanej sekcji wywiadu morskiego. Jednak w przeciwieństwie do grupy Austina, która koncentrowała się na badaniach oceanograficznych, ludzie Piętrowa mieli prawo wykonywać swoje obowiązki wszystkimi sposobami, nawet z użyciem siły.

Ich drogi skrzyżowały się po raz pierwszy, gdy izraelski okręt podwodny potajemnie zatopił irański kontenerowiec z bronią nuklearną. Pietrow dostał rozkaz odzyskania ładunku

za wszelką cenę. Sytuacja mogła być kłopotliwa, bo broń skradziono z arsenałów radzieckich. W tym czasie Stany Zjednoczone utrzymywały stan równowagi między ich arabskimi sojusznikami i Izraelem. Waszyngton obawiał się, że jeśli Iran odkryje, kto zatopił statek, ogłosi świętą wojnę, która ogarnie cały region. Austin dostał zadanie wydobycia kontenerowca i zniszczenia dowodu.

Statek radziecki dotarł na miejsce niemal równocześnie z amerykańskim. Żaden nie chciał ustąpić. Kryzys przedłużał się. Mijały dni. Na horyzoncie pojawiły się okręty wojenne obu państw. Napięcie rosło. Pietrow czekał na rozkazy z Moskwy, gdy zawołano go na mostek. Odezwał się amerykański statek.

- Tu amerykański statek „Talon” do niezidentyfikowanego radzieckiego statku ratowniczego - powiedział ktoś łamanym językiem rosyjskim. - Proszę się zgłosić.

- Radziecki statek ratowniczy do „Talona” - odpowiedział po angielsku Pietrow z amerykańskim akcentem, którego nauczył się na państwowych kursach.

- Nie miałby pan nic przeciwko temu, żebyśmy rozmawiali po angielsku? - zapytał Amerykanin. - Mój rosyjski trochę zardzewiał.

- Proszę bardzo. Chce nas pan zawiadomić, że się wycofujecie?

- Nie, chcę się dowiedzieć, czy macie kawior.

Pietrow uśmiechnął się.

- Nigdy go nam nie brakuje. Kiedy odpływacie?

- A jednak nie zna pan angielskiego tak dobrze, jak myślałem. Nie mamy zamiaru opuszczać wód międzynarodowych.

- Więc odpowiedzialność za ewentualne reperkusje spadnie wyłącznie na was.

- Nie przyjmujemy tego do wiadomości.

- W takim razie nie mamy innego wyjścia niż rozwiązanie siłowe.

- Dogadajmy się, tawariszcz - odrzekł Amerykanin. - Obaj wiemy, co jest na wraku i jaki problem może to stworzyć dla naszych krajów. Mam propozycję. Wycofamy się, a wy zejdzicie na dół i zabierzecie waszą, hm... skradzioną własność. Możemy wam nawet pomóc, jeśli chcecie. Kiedy skończycie swoją robotę, odpłyniecie stąd, a my pozbedziemy się dowodu. Co pan na to?

- Interesująca propozycja.

- Tak myślę.

- Skąd mam wiedzieć, czy mogę panu zaufać?

- Czyny mówią więcej niż słowa. Wydałem rozkaz cofnięcia się o pół mili morskiej.

Pietrow patrzył, jak amerykański statek podnosi kotwicę i oddala się od miejsca akcji. Uważał, że mimo wszystko Amerykanin jest zdecydowany wykonać swoje zadanie. Alternatywą dla ich umowy było użycie siły. Pietrow nie lubił hazardu. Gdyby Amerykanin chciał go wykołować, Pietrow mógłby wykorzystać uzbrojonych ludzi na swoim statku i wezwać radziecką flotę wojenną, która czekała w pogotowiu. Jednak bez względu na wynik

taka konfrontacja nie wyszłaby mu na dobre.

- W porządku - powiedział. - Jak tylko skończymy, odpłyniemy stąd i będziecie mogli zrobić swoje.

- Doskonale. A przy okazji, jak pan się nazywa? Lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia.

Pytanie zaskoczyło Piętrowa. W gruncie rzeczy nie miał własnego nazwiska. Używał takiego, jakie mu akurat dano.

- Może mi pan mówić Iwan.

Amerikanin wybuchnął śmiechem.

- Założę się, że połowa facetów na tym statku to Iwany. Dobra, a ja jestem John Doe.

Pietrow nie tracił czasu. Natychmiast wysłał nurków na kontenerowiec. Dziura po torpedzie dawała stosunkowo dobry dostęp do wnętrza kadłuba. Wydobyto dwie głowice nuklearne. Przeżyli chwile grozy, kiedy prądy morskie zaczęły znosić linę, ale po niecałej dobie pracy operacja zakończyła się sukcesem. Pietrow zawiadomił Amerykanów i wycofał się. Statki płynące w przeciwnych kierunkach minęły się w odległości kilkuset metrów. Pietrow stał na pokładzie i patrzył przez lornetkę na amerykańską jednostkę. Zobaczył, że przygląda mu się barczysty, siwy mężczyzna. Amerykanin nagle opuścił lornetkę i pomachał ręką. Pietrow zignorował go.

Następne spotkanie było mniej przyjazne. Nad Zatoką Perską został w tajemniczych okolicznościach zestrzelony samolot pasażerski z kraju Trzeciego Świata. Oba supermocarstwa podejrzewały się o to wzajemnie. Pietrow i Austin znów zlokalizowali samolot jednocześnie. Rosyjski statek omal nie staranował amerykańskiego. Austin zobaczył na pokładzie uzbrojonych ludzi Piętrowa. Połączył się z nim i ostrzegł, że wlepi mu mandat za nieostrożną jazdę. Tym razem nie zamierzał ustąpić. Do międzynarodowego incydentu nie doszło tylko dlatego, że zjawiły się statki z kraju, z którego pochodził samolot.

Kiedy Amerykanie i Rosjanie odpływali w przeciwnych kierunkach, Austin pożegnał Piętrowa przez radio.

- Na razie, Iwan. Do następnego spotkania.

Arogancki Jankes wkurzał Piętrowa.

- Módl się, żeby do tego nie doszło - odparł ostrzegawczo. - Żaden z nas nie będzie zadowolony z wyniku.

Osiem miesięcy później jego przewidywania sprawdziły się.

W czasach zimnej wojny Stany Zjednoczone prowadziły ryzykowną akcję szpiegowską. Kiedy po latach ujawniono tajemnicę, pewien pisarz nazwał ją blefem ślepeca, niebezpieczną grą paru odważnych dowódców i załóg okrętów podwodnych. Zapuszczali się na odległość kilku kilometrów od brzegów rosyjskich, żeby zbierać informacje wywiadowcze. Jeden z planów zakładał zainstalowanie podsłuchu elektronicznego na podwodnych kablach telefonicznych.

W spartańskiej klitce biurowej w Moskwie Pietrow zapalił cienkie cygaro hawańskie. Wypuścił dym z ust i cofnął się pamięcią o lata. Zobaczył poranną mgłę, unoszącą się nad ciemną, zimną powierzchnią Morza Barentsa. I swój statek, prujący fale z pełną szybkością.

Był w Moskwie, próbując zdobyć fundusze na nowy sprzęt. I wówczas zadzwonił jeden z asystentów Pietrowa. Zameldował o dziwnej wiadomości przechwyconej z niezidentyfikowanego statku u wybrzeży Rosji. Zakodowany sygnał był krótki, jakby operator nadał go w pośpiechu. Szyfranci radzieccy próbowali złamać kod. Pietrow pomyślał, że jeśli ktoś zaryzykował wysłanie wiadomości, musi być w tarapatach. Dobrze wiedział o amerykańskich okrętach podwodnych na Morzu Barentsa. Czyżby któryś potrzebował pomocy?

Przerwał spotkanie i poleciał do Murmańska. W porcie czekał jego statek badawczy. Sprzęt naukowy uzupełniono bombami głębinowymi, działkami i oddziałem uzbrojonych marynarzy. Zanim statek wyszedł w morze, złamano kod. Wiadomość zawierała jedno słowo: „Ugrzęźliśmy”. Pietrow rozkazał wszystkim okrętom i samolotom szukać obcej jednostki na wodzie i pod wodą.

Jednak mimo czujności Rosjan „Talon” perfekcyjnie przeprowadził akcję ratowniczą. Statek amerykański przypłynął nocą. Na pokładzie był ekspert od języka rosyjskiego. Kiedy zostali namierzeni przez radar, podał fałszywą identyfikację statku. W ten sposób zyskali na czasie. Inny amerykański okręt podwodny z hałaśliwie pracującą śrubą odwrócił uwagę Rosjan. Unieruchomiony okręt szpiegowski spoczywał na dnie sto metrów pod powierzchnią. Spaliły się kable i wysiadło zasilanie. Stuosobową załogę wydobyto w ciągu kilku godzin za pomocą specjalnego dzwonu głębinowego.

Pietrow odkrył w końcu podstęp i pruł swoim statkiem na miejsce akcji. Płynął wzdłuż kabla telefonicznego. Nagle magnetometr wykazał ogromną masę żelaza. To mógł być tylko amerykański okręt podwodny. W pobliżu zauważył szybko uciekający statek ratowniczy. Pietrow rozpoznał „Talona”. Wywołał go po angielsku, wymieniając jego nazwę, i kazał mu się zatrzymać.

Przez radio odpowiedział znajomy głos.

- To ty, Iwan? - zapytał człowiek, który nazywał siebie Johnem Doe. - Miło mi cię znów słyszeć.

- Przygotujcie się do wpuszczenia nas na pokład albo was zatopimy.

Z głośnika rozległ się śmiech.

- Daj spokój, Iwan. Myślałem, że Rosjanie są lepszymi szachistami.

- Szczerze mówiąc, wolę pokera.

- I najwyraźniej dlatego umiesz blefować.

- Ostrzegam po raz ostatni. Za pięć minut będą tu samoloty. Jeśli się nie zatrzymacie, zatopimy was.

- Za późno, Iwan. Za trzy minuty będziemy na wodach międzynarodowych. Nasz

departament stanu i departament obrony znają sytuację. Chyba nie masz dziś fartu.

- Zobaczymy. Został tutaj wasz okręt podwodny z całą zawartością, panie Doe. Nasi naukowcy dobiorą się do waszego supertajnego sprzętu.

- Nic z tego, stary.

- Dlaczego? Wasz „Glomar Explorer” to nie jedyna jednostka do wydobywania okrętów podwodnych.

Pietrow miał na myśli wcześniejsze uratowanie przez Amerykanów radzieckiego okrętu podwodnego.

- Na waszym miejscu nie zbliżałbym się tam. Nasz okręt podwodny jest zaminowany.

- I kto tu blefuje, panie Doe?

- Mówię całkiem serio, Iwan. Jest tam prawie sto kilogramów materiału wybuchowego HBX. Właśnie na taką okazję.

- Martwi się pan, że zginę?

- Posłuchaj, Iwan. Zimna wojna kiedyś się skończy. Pewnego dnia spotkamy się w jakimś barze i postawisz mi wódkę. A teraz poważnie. Ładunki eksplodują za dwadzieścia minut. Sam ustawiłem detonator czasowy.

- Kłamię pan.

- Tacy ludzie jak my nie oszukują się nawzajem.

Teraz Iwan wybuchnął śmiechem.

- Oglądał pan za dużo filmów sensacyjnych, przyjacielu.

Wyłączył się. Niemożliwe, żeby ewakuowali załogę i założyli ładunki. Nie chciał czekać dwudziestu minut, żeby przekonać się, czy nastąpi eksplozja. Miał na statku jednoosobową miniłódź podwodną. Mógł ją szybko zwodować i zrobić rekonesans.

Teraz po latach siedział w biurze, wpatrując się w szaro-czerwony popiół na cygarze. Jednak w młodości był zbyt porywczy i głupi. Zanurzył łódź podwodną niemal pionowo. Po kilku minutach zobaczył w reflektorach czarny kadłub na dnie. Przy kablu leżało urządzenie podsłuchowe. Osiadł obok. Trzymał zdobycz w uchwycie metalowego wyciągu łodzi, gdy oślepił go blask i usłyszał przytłumiony huk. Poczul się jak wystrzelony w kosmos. Potem ogarnęła go ciemność.

Obudził się w szpitalu. Złamana, poraniona noga wisiała na wyciągu, prawa strona twarzy była grubo obandażowana. W policzku utkwiły poszarpane kawałki plastiku i metalu. Miniłódź wystrzeliła na powierzchnię i wyłowiono ją wraz z nim. Musiał nosić aparat słuchowy, dopóki nie zagoiły się uszkodzone bębniaki. Po czterech tygodniach wyszedł ze szpitala. Dochodził do siebie w swojej podmoskiewskiej daczce pod opieką pielęgniarki.

Siedział na werandzie i czytał Tolstoja, gdy pielęgniarka przyniosła mu bukiet czerwonych, białych i niebieskich goździków. Przy kwiatach była karteczka.

Wspominając tamten dzień, Pietrow wyjął z akt kopertę. Bilecik pożółkł przez lata, ale czarne, duże litery w angielskim tekście pozostały wyraźne.

PRZYKRO MI, ŻE OBERWAŁEŚ, IWAN. JEDNAK CIĘ OSTRZEGAŁEM. WYLIŻ SIĘ SZYBKO, TO WYPIJEMY DRINKA. STAWIAM PIERWSZĄ KOLEJKĘ.

JOHN DOE

Austin omal nie pozbawił Pietrowa życia. Teraz kręcił się w pobliżu i mógł pokrzyżować jego misterny plan. Austin nie miał pojęcia, w co się pakuje. Nie znał sytuacji w Rosji. Na przestrzeni dziejów tym krajem rządili samolubni, głupi, nieraz psychopatyczni przywódcy. Pietrow był jednym z tysięcy bezimiennych ludzi, którzy bez zadawania pytań wykonywali rozkazy swoich panów i utrzymywali ich przy władzy. Teraz jego osłabiony kraj zmierzał ku następnemu szaleństwu samodestrukcji.

Pietrow jeszcze raz przeczytał bilecik i podniósł słuchawkę telefonu.

- Słucham? - zgłosił się zaufany asystent, który urzędował w innej części budynku ministerstwa rolnictwa.

- Lecę do Stambułu. Samolot ma być gotowy za godzinę.

Pietrow kazał zawiadomić swoją kochankę i odwołać ich umówioną kolację.

- Czy przekazać panie Kostikow coś więcej? - zapytał asystent.

Pietrow zastanowił się.

- Powiedz jej, że muszę odwdziżyć się przyjacielowi za przysługę.

7

Noworosyjsk, Morze Czarne

Na dywanie w zaciemnionej kajucie siedział w pozycji kwiatu lotosu brodaty mężczyzna o kościstej twarzy. Szorstkie chłopskie dłonie trzymał luźno złączone na podołku. Trwał w bezruchu od ponad dwóch godzin. Jediną oznaką życia było lekkie falowanie klatki piersiowej. Ledwo wyczuwalny puls zaalarmowałby kardiologa. Ciężkie powieki nad wydatnym nosem były opuszczone, ale mężczyzna nie spał. Grube wargi wykrzywiał błogi uśmiech. W niewidocznych zakamarkach mózgu czały się niezgłębione myśli szaleńca.

Ktoś cicho zapukał. Brodacz nie zareagował. Pukanie powtórzyło się. Głośniejsze, bardziej natarczywie.

- Tak - odezwał się brodacz po rosyjsku. Głęboki głos brzmiał jak z katakumb.

Drzwi uchyliły się. Do kajuty zajrzał młody człowiek w uniformie stewarda okrętowego. Na twarz brodacza padło światło z korytarza. Steward zebrał się na odwagę.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam...

- O co chodzi?

- Pan Razow prosi pana do siebie.

Głęboko osadzone duże oczy otworzyły się. Hipnotyzujące błyszczały jasnożółtym blaskiem. Ślepiec bestii.

- Powiedz mu, że zaraz przyjdę.

- Tak jest.

Bezlitosny wzrok brodacza przyprawiał stewarda o drżenie kolan. Zatrzasnął drzwi i uciekł korytarzem.

Mężczyzna wstał. Miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Nosił czarną bawełnianą rubaszkę ściągniętą paskiem. Wysoki kołnierzyk przylegał ciasno do szyi. Spodnie miał wpuszczone w lśniące czarne buty z cholewami. Ciemne włosy opadały na uszy, broda sięgała do piersi.

Kolejno rozprostował zdrewniałe mięśnie i kilka razy wciągnął głęboko powietrze. Kiedy organizm znów zaczął funkcjonować normalnie, otworzył drzwi kajuty i wyrzwał. Potem poszedł cicho korytarzem i wspiał się na pokład studwudziestometrowego jachtu. Załoga

usuwała mu się z drogi.

Statek miał szeroki, pusty pokład i niską, opływową nadbudowę. Taka konstrukcja minimalizowała opór powietrza. Dziób w kształcie litery V łatwo pruł fale, wklęsła rufa redukowała ciąg wsteczny. Jacht napędzały turbiny gazowe nowoczesnym systemem strugowodnym. Statek był dwukrotnie szybszy od innych jednostek o porównywalnej długości.

Brodacz bez pukania otworzył drzwi i wszedł do przestronnej, luksusowej kajuty wielkości małego domu. Przeszedł przez salon z sofami, fotelami i stołem bankietowym, nadającym się do wydawania uczt. Podłogę pokrywały antyczne perskie dywany. Każdy był wart fortunę. Na ścianach wisiały bezcenne dzieła sztuki, w większości skradzione z muzeów i prywatnych kolekcji.

Na końcu pomieszczenia stało masywne mahoniowe biurko inkrustowane złotem i masą perłową. Na ścianie za biurkiem widniał emblemat: naga szabla na tle wojskowej papachy. Poniżej napisane było cyrylicą „Ataman Industries”. Za biurkiem siedział prezes Atamana Michaił Razow. Rozmawiał przez telefon.

Mówił niemal szeptem, ale łagodny ton nie mógł zamaskować groźby w jego głosie. Błada twarz wyglądała jak rzeźba z marmuru karraryjskiego, lecz ostry profil nie przypominał dzieła średniowiecznego mistrza. Tę twarz widziały niezliczone ofiary, zanim wydały ostatnie tchnienie.

U jego stóp leżały dwa białe charty rosyjskie. Na widok brodacza zaczęły skomleć. Razow odłożył słuchawkę i uspokoił psy. Wpełzły pod biurko. Prezes przeszedł zdumiewającą metamorfozę. W szarych oczach pojawiło się niespodziewane ciepło, surowe rysy złagodniały, okrutne wargi wykrzywił szeroki uśmiech. Przypominał teraz dobrego wujka. Przestępcy jego kalibru stają się z czasem dobrymi aktorami. Jeśli żyją wystarczająco długo. Razow rozwijał swój wrodzony talent kameleona pod okiem zawodowych artystów. W jednej chwili potrafił przeistoczyć się z bezlitosnego mordercy w zapracowanego biznesmena, czarującego gospodarza czy charyzmatycznego mówcę.

Potężne ramiona i muskularne uda świadczyły o jego trudnym starcie. Urodził się na czarnomorskich stepach w rodzinie kozackiej. Był synem hodowcy koni. Jeździł konno od czasu, gdy urósł na tyle, że mógł wdrapać się na siodło. Był bystry i szybko dostrzegł wady ciężkiego życia na wsi. Harówka zabiła jego matkę i zrujnowała zdrowie ojcu.

Uciekł do miasta, gdzie wykorzystał siłę mięśni w gangu wymuszającym haracze. Potrafił łamać kości i zabijać, więc dobrze zarabiał. Już nie pamiętał, ilu opornym właścicielom hurtowni przestrzelił kolana, ilu spóźnionym dłużnikom wpakował kulę w łeb. Stracił rachubę prostytutek, które udusił. Kiedy się dorobił, kupił dom publiczny.

Dość szybko wyeliminował swoich dawnych szefów i przejął kontrolę nad siecią burdeli. Jego interesów pilnowała prywatna armia osiłków. Rozszerzył działalność na hazard, narkotyki i lichwiarskie pożyczki. Hojne łapówki i zabójstwa na zlecenie zapewniały mu

bezkarność. Stał się multimilionerem i kwintesencją rosyjskiego gangstera. Wyglądało na to, że tak będzie do czasu, gdy pojawi się bardziej agresywny rywal.

Brodacz stanął przed biurkiem Razowa.

- Wzywałeś mnie, Michaile?

- Przepraszam, jeśli przerwałem ci medytację, Borysie. Ale jesteś moim najlepszym przyjacielem i doradcą. Mam ważne wiadomości.

- Próba się udała?

Razow przytaknął.

- Pierwsze meldunki o zniszczeniach robią wrażenie, biorąc pod uwagę małą skalę eksperymentu.

Wcisnął guzik na biurku. Jak spod ziemi pojawił się służący. Wniósł na tacy butelkę wódki i dwa kieliszki. Razow nalał do pełna i podał jeden Borysowi. Odprawił służącego, wskazał fotel, usiadł naprzeciwko i wznosił toast.

Borys bez wrażenia przełknął wódkę, jakby to była zwykła woda. Otarł usta owłosionym wierzchem dłoni.

- Ile trupów? - zapytał niecierpliwie.

Razow wzruszył ramionami.

- Jeden czy dwa. Ktoś ich ostrzegł.

W dziwnych oczach Borysa pojawił się morderczy błysk.

- Informator?

- Nie, to był zwykły przypadek. Rybak ostrzegł ludzi w miasteczku i ewakuowano port.

- Szkoda. Następnym razem musimy być pewni, że nie dostaną ostrzeżenia.

Razow skinął głową i wskazał wielki monitor komputerowy na ścianie. Wyświetlał mapę świata. Iskrzące się lampki oznaczały pozycje statków z floty Atamana. Razow powiększył pilotem podświetlony zarys wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Jego wzrok znów stał się chłodny.

- Nasze nowe nabytki płyną na pozycje. Zapewniam cię, że kiedy wykonają zadanie, będzie mnóstwo trupów.

Borys uśmiechnął się.

- Więc operacja amerykańska rozwija się zgodnie z planem?

Razow napełnił kieliszki. Wydawał się zakłopotany.

- Niezupełnie. Dlatego muszę z tobą przedyskutować pewne sprawy. Chodzi o nasze plany. Na Morzu Czarnym pojawili się intruzi.

- Moskwa coś wywęszyła?

- Ci durnie z rządu nie mają pojęcia, co szykujemy - odparł Razow z nieukrywaną pogardą. - Nie, to nikt od nich. Obok starej bazy okrętów podwodnych wylądowała ekipa telewizji amerykańskiej.

Borys wznosił ręce do nieba. Zabłyły mu oczy.

- Amerykanie?! To dar niebios. Mam nadzieję, że poczuli na gardłach ostre szable gwardzistów.

- Wręcz przeciwnie. Doszło do walki. Gwardziści zostali odparci. Jeden z twoich ludzi zginął.

- Jak to możliwe? Gwardziści są wyszkoleni do zabijania bez litości.

- Fakt, to doskonali kawalerzyści. Prawdziwi Kozacy. Mają tradycyjną, ale skuteczną broń.

- Więc jak mogła ich pokonać bezbronna ekipa telewizyjna?

Razow skrzywił się.

- Ci ludzie nie byli sami. Przyleciał im na pomoc samolot.

- Wojskowy?

- Wiem, że wystartował ze statku „Argo”, który prowadzi na Morzu Czarnym badania naukowe dla NUMA.

- Co to takiego?

- Narodowa Agencja Badań Morskich i Podwodnych. Zapomniałem, że przez lata byłeś odizolowany od świata zewnętrznego. To największa organizacja oceanograficzna na świecie. Ma tysiące naukowców i inżynierów na całej kuli ziemskiej. Pilot, który zabił gwardzistę, to jeden z tych naukowców.

Borys wstał i zaczął spacerować po kajucie.

- Nie podoba mi się to. Jak naukowcy mogą pokonać uzbrojonych żołnierzy?

- Nie wiem. Ale jestem pewien jednego. To nie koniec. Kazałem rozpocząć przygotowania do przeniesienia naszej operacji. Na razie wzmocniłem ochronę. Pozwoliłem sobie uzbroić twoich ludzi w bardziej współczesną broń. Przepraszam. Wiem, jak ci zależy na zachowaniu tradycji.

- Rozumiem konieczność stawienia czoła siłom nieczystym. Co z twoim człowiekiem w Waszyngtonie?

- Prosiłem, żeby zrobił, co się da. Bez narażania się.

- Musimy wiedzieć, z kim mamy do czynienia - powiedział Borys. - Ta NUMA może nie być tym, za co się podaje.

- Zgadzam się. Nie możemy lekceważyć przeciwnika, jak to zrobili gwardziści.

- Wiesz coś o tej ekipie telewizyjnej?

- Dostałem potwierdzenie, że byli z amerykańskiej sieci kablowej. Dwaj mężczyźni i kobieta.

Borys w zamyśleniu pogładził brodę.

- To nie przypadek. Telewizja i NUMA muszą być przykrywką dla jakiegoś planu Amerykanów. Gdzie jest teraz ta ekipa?

- Wraca na „Argo” do Sztambułu. Śledzi ich moja łódź.

- Możemy zatopić statek NUMA?

- Nic prostszego. Ale teraz nie byłoby to mądre. Mogłoby zwrócić uwagę na naszą operację na Morzu Czarnym.

- Więc trzeba poczekać.

- Tak. Po zakończeniu akcji na Morzu Czarnym będziesz mógł się zemścić.

- Zdaję się na twoją mądrość, Michaile.

- Nie, Borysie. To ty jesteś mądry. Znam się na interesach i polityce, ale ty masz wizję wspaniałej przyszłości.

- Wizję, którą urzeczywistnisz jako jedyny obrońca naszego podupadłego kraju przed rakiem korupcji i materializmu. Musimy pokazać światu, że nasza sprawa jest słuszna. Nic nie może nam przeszkodzić w wytypowaniu zarazy.

- Chcę ci coś pokazać - powiedział Razow i wcisnął guzik na biurku. - To moje ostatnie przemówienie do żołnierzy.

Na ekranie ściennym pojawił się obraz. Razow stał na podium w ogromnej sali. Wypełniali ją mężczyźni w rosyjskich mundurach różnych rodzajów broni. Po kilku minutach przemówienia Razow porwał widownię. Wydawał się rosnąć w oczach. Przyciągał uwagę siłą głębokiego głosu, imponującą posturą i darem przekonywania:

Musimy szanować naszych walecznych braci Kozaków. Zrzucili jarzmo imperium ottomańskiego i pokonali Napoleona. Zdobyli Azow dla Piotra Wielkiego i przez wieki bronili granic Rosji przed najeźdźcami. Teraz z waszą pomocą zniszczą wrogów wewnętrznych: finansistów, kryminalistów i polityków, którzy chcą zdeptać na proch nasz kraj.

Tłum zerwał się z miejsc w przerażającym ataku masowej hysterii. Wojskowi ruszyli ku podium z błyszczącymi oczami i wyciągniętymi ramionami. „Razow... Razow... Razow...” - skandowali.

Wyłączył telewizor.

- Jesteś zdolnym uczniem, Michaile - pochwalił Borys.

- Nie, Borysie. To ty jesteś dobrym nauczycielem.

- Pokazałem ci po prostu, jak grać na uczuciach naszego narodu.

- To jeszcze nic w porównaniu z tym, co nastąpi. Jednak wiele zależy od operacji na Morzu Czarnym. Kiedy tu wszedłeś, rozmawiałem ze statkiem ratowniczym. Mają dużo problemów, ale są bliscy sukcesu. Powiedziałem im, że od tego zależy ich życie. Nie zaakceptują porażki.

- Chcesz, żebym zajrzał w przyszłość?

- Tak. Powiedz mi, co widzisz.

Borys schylił głowę i dotknął palcami czoła. Zaszklity mu się oczy. Jego głos zabrzmiał tak, jakby dochodził z głębokiej studni.

- Przepowiadam, że nadejdzie dzień, kiedy zaczniesz rządzić Rosją jako nowy car. Wszyscy nasi wrogowie zostaną pokonani. Stany Zjednoczone pierwsze poczują miecz sprawiedliwości.

- Co jeszcze widzisz?

Borys zmarszczył czoło, jakby czując ból. Głos zabrzmiał głucho.

- Zimno i ciemność. Śmierć pod wodą.

Wyciągnął rękę i chwycił Razowa za ramię. Palce wbiły się w ciało jak szpilety. Grube wargi wykrzywił błogi uśmiech. Oczy ożywiły się.

- Widzę światło. Sukces jest w zasięgu ręki. Duchy zmarłych wkrótce pobłogosławią naszą sprawę. Błagają cię o zemstę w ich imieniu.

Razow przypomniał sobie pierwsze spotkanie z Borysem. Wlókł się zagubiony i głodny przez jakieś pustkowia, gdy trafił na tłum wieśniaków. Byli słabi i chorzy. Niektórzy nie mogli iść o własnych siłach. Zapytał, dokąd wędrują. Odpowiedzieli, że do klasztoru, żeby uleczył ich nawiedzony starzec. Razow nie miał nic innego do roboty, więc poszedł z nimi. Patrzył, jak kulawi odrzucają kule, a ślepcy wołają, że odzyskali wzrok. Kiedy stanął przed Borysem, mnich spojrzał na niego, jakby znali się od zawsze.

- Czekałem na ciebie, mój synu - powiedział.

Oczy Borysa zahipnotyzowały Razowa. Opowiedział mnichowi swoją historię. Zwierzył się, że zaszokowały go słowa umierającego ojca; że uciekł od cywilizacji i błąkał się po dzikich stepach wokół Morza Czarnego. Borys kazał mu zostać, gdy wieśniacy odejdą. Przegadali całą noc. Kiedy Razow zapytał, gdzie są inni mnisi, usłyszał tylko, że „byli niegodni”. Domyślał się strasznej prawdy, ale nic go to nie obchodziło. Gdy wrócił do cywilizacji, towarzyszył mu dziwny brodaty mnich. Od tamtej pory nigdy go nie opuszczał.

Na terytorium Razowa pojawiły się w końcu obce gangi. Za radą Borysa rozpuścił wiadomość, że się wycofuje i zrywa z przeszłością. Najpierw zmienił nazwisko. Potem, po kilku zabójstwach, podpaleniach i zamachach bombowych, zatarł wszelkie ślady swoich przestępczych powiązań. Miliony zgromadzone w bankach szwajcarskich zainwestował w kopalnie. Pomogły mu gangsterskie metody z przeszłości. Wkrótce poszerzył swoje interesy o górnictwo morskie.

Obserwatorzy dostrzegali tajemniczą, głęboką więź między dwoma mężczyznami. Razow konsultował z Borysem wszystkie ważne decyzje i dobrze go wynagradzał. Mnich miał kilka osobowości. W jego kajucie na jachcie była tylko skromna koja. Spędzał wiele godzin na medytacjach. Rzadko się mył. Czasami, kiedy jacht zawijał do portu, znikał. Razow ustalił, że chodzi do najpodlejszych burdeli. Borys sprawiał takie wrażenie, jakby ascetyczny mnich walczył w nim z lubieżnym mordercą.

Był jednak cennym doradcą, wykazując niezwykłą inteligencję. I tym razem miał rację: NUMA mogła okazać się groźna.

8

Morze Czarne

Statek NUMA podążał szlakiem mitycznych Argonautów. Płynął przez Morze Czarne do Bosforu, wąskiej cieśniny między azjatycką i europejską częścią Sztambułu. W przeciwieństwie do Jazona, który przywiózł do domu złote runo, Austin miał tylko ekipę telewizyjną i masę pytań bez odpowiedzi.

Ewakuacja z rosyjskiej plaży poszła gładko. Kapitan Atwood wysłał z „Argo” łódź po Austina i ekipę telewizyjną. Zabranie „Gooneya” okazało się łatwiejsze niż przypuszczali; wystarczyło posprzątać szczątki. Austin niechętnie myślał o zawiadomieniu Zawali, że samolocik jego konstrukcji mieści się teraz w pudełku do butów.

Podczas ostatniego kursu na brzeg Austin zauważył w wodzie zwłoki tureckiego sternika Mehmeta. Wciągnęli je do łodzi i zabrali na statek. Przypominało to Austinowi, jak wiele tu ryzykował. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, teraz on także leżałby sztywny pod brezentem.

Austin zgłosił się do sanitariusza okrętowego, który opatrzył mu ranę. Potem wziął prysznic i przebrał się. Zaproponował Kaeli, żeby po odpoczynku spotkała się z nim na kolacji w mesie. Zajął stolik przy dużej szybie z widokiem na pokład rufowy. Patrzył na spieniony kilwater statku i próbował zrozumieć sens potyczki na plaży, gdy zjawiała się Kaela.

Miała na sobie dzinsy i spłowiałą niebieską koszulę, pożyczoną od oceanografki, która była niższa i grubsza. Niezgrabne ubranie robocze wyglądało na szczupłej Kaeli wręcz elegancko. Kiedy pojawiła się w mesie, przypominała paryską modelkę z pokazu najnowszej awangardowej kolekcji.

Uśmiechnęła się do Austina i podeszła do stolika.

- Coś ładnie pachnie.

- Masz szczęście. Szef zdecydował się na kuchnię włoską. Siadaj.

Usiadła, zamknęła oczy i pociągnęła nosem.

- Niech zgadnę. Na zakąskę sałatka z trufli i pieczarki *olivi*, potem *risotto porcini*.

- Niezupełnie. Mamy pizzę. Z pieczarkami albo pepperoni, jeśli wolisz *carne*.

- I to ma być szef kuchni z czterogwiazdkowego hotelu?

Austin zrobił niewinną minę.

- Przyznam, że przesadziłem. Ale miałem dobre intencje. Chciałem podnieść cię na duchu. Na plaży wyglądałaś tak, jakbyś tego potrzebowała.

- A ty wyglądałaś, jakbyś wybił twarzą szybę. Cieszę się, że widzę cię w lepszym stanie.

- Zadziwiające, jakich cudów można dokonać igłą, nićmi chirurgicznymi i wacikami.

Kaela obejrzała się na bufet.

- Jaka jest ta pizza?

- Prawie taka dobra, jak w Pizza Hut. Zwłaszcza, jeśli można ją popić takim nektarem... - odparł Austin i wyjął spod stolika butelkę Chianti Brunello Classico. - Kupiłem skrzynkę, kiedy staliśmy w Wenecji.

Kaela roześmiała się.

- Jesteś pełen niespodzianek.

- Wybacz, że kolacja nie jest całkiem taka, jak obiecywałem, ale musisz przyznać, że widoki są cudowne.

- Nie przeczę. Otwórz butelkę, a ja przyniosę jedzenie.

Wstała, wzięła tacę i stanęła w kolejce. Po kilku minutach wróciła z dwiema pizzami i sałatkami. Austin otworzył i nalał wino.

- Pizza jest wspaniała - pochwaliła Kaela i łyknęła wina. Nagle rozejrzała się. - Widziałeś Mickcya i Dundce?

- Miałem ci powiedzieć. Wzięli coś do jedzenia i poszli na mostek kręcić film. Zdaje się, że oczarowali naszego ponurego kapitana Atwooda.

- Kamera potrafi zrobić z człowieka aktora.

Austin dolał wina.

- Opowiedz mi o waszym reportażu o arce Noego.

- To typowa mieszanka bzdur i faktów, którą *Niewiarygodne tajemnice* zwykle karmią masową widownię telewizyjną. Łączą stare materiały z nowym, ubarwiając to dramatyczną narracją i tajemniczą muzyką w tle. Zwykle sugerujemy, że rząd coś ukrywa, a ekipie grozi niebezpieczeństwo. Telewizowicie to uwielbiają.

- Tym razem niebezpieczeństwo było realne.

- Fakt - przyznała Kaela. - Potwornie się czuję z powodu śmierci kuzyna kapitana Kemala. To był mój pomysł, żeby zobaczyć starą bazę okrętów podwodnych.

- Nie obwiniaj się. Nie mogłaś wiedzieć, że ktoś będzie do was strzelał.

- Wszystko jedno. Czy ktoś skontaktował się z kapitanem Kemalem?

- Mostek połączył się z nim jakiś czas temu. Kapitan przekazał mu złą wiadomość.

- Biedny Mehmet. Ciągle mam tę scenę przed oczami. Jego rodzina musi być załamana.

Austin spróbował delikatnie skierować rozmowę na inny tor, żeby oderwać myśli Kaeli od tego, czego nie mogła zmienić.

- Jeśli szukacie arki Noego, może powinniście powęszyć wokół góry Ararat?

- Nie. Znasz odkrycia Williama Ryana i Waltera Pitmana?

- To geolodzy z Uniwersytetu Columbia. Według nich, Morze Czarne było kiedyś słodkowodnym jeziorem, dopóki Morze Śródziemne nie przedarło się przez Bosfor w czasie wielkiego potopu. Ludzie, którzy mieszkali wzdłuż brzegów musieli uciekać, żeby uratować życie.

- Oznacza to, że arka żeglowała po tych wodach. Dźwiganie kamer po zboczach góry Ararat byłoby stratą czasu.

Austin wpatrzył się w ciemnobursztynowe oczy Kaeli. Promieniowały humorem i inteligencją.

- Pewnie chcesz wiedzieć, dlaczego ktoś, kto udaje poważną reporterkę, skończył w telewizyjnym odpowiedniku bulwarowego piśmidła.

Austin do listy zalet Kaeli dodał spostrzegawczość.

- Widziałem twój program. Odcinek o tym, że Wielka Stopa żyje w Loch Ness z nieślubnym dzieckiem kosmitki.

- Rozumiem aluzję. *Niewiarygodne tajemnice* to najgorsze śmiecie telewizyjne.

Austin rozłożył ręce.

- Więc?

- To długa historia.

- Mamy mnóstwo czasu. Mów, a ja będę ci dolewał wina.

Kaela podparła dłonią brodę i przyjrzała mu się.

- To najlepsza propozycja, jaką dziś usłyszałam. Opowiem ci o sobie, jeśli zrewanżujesz się tym samym.

- Umowa stoi.

- Urodziłam się w Oakland, w Kalifornii. Dano mi dwa imiona: Katherine i Ella. Pierwsze po babci ze strony ojca, drugie po Elli Fitzgerald, ulubionej piosenkarce mojej mamy. Na nazwisko miałam Doran. Kiedy zaczęłam pracować w telewizji, skróciłam to wszystko do Kaeli Dorn. Moja mama uczyła tańca baletowego w afroamerykańskim ośrodku społecznym. Tata jest amerykańskim Irlandczykiem. Był hipisem, nosił drugie włosy i palił trawkę. Przyjechał do Berkeley, żeby protestować przeciwko wojnie wietnamskiej.

- Jak to w latach sześćdziesiątych.

Przytaknęła.

- Teraz wyklada w Berkeley współczesną historię amerykańską. Specjalizuje się w ruchach kontestatorskich z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Nadal nosi brodę, ale znacznie bielszą niż kiedyś.

- To się zdarza najlepszym z nas - odrzekł Austin, wskazując swoje przedwcześnie posiwiałe włosy.

- Byłam zbuntowanym dzieciakiem. Z winy taty. Pewnego dnia mama przyszła na róg, gdzie zbierał się mój gang. Zaciągnęła mnie do sali baletowej, żeby mieć mnie na oku.

Okazałam się niezłą tancerką.

Austinowi wydawała się stworzona do tańca.

- Z pewnością nie byłabyś gorsza od Pawłowej.

- Nieźle mi szło, ale dreptanie na palcach w Dziadku do orzechów nie zaspokajało moich potrzeb. Po tacie odziedziczyłam żądzę przygód. Pojechałam do Berkeley i zaczęłam studiować literaturę angielską. Potem trafił mi się staż w lokalnej stacji telewizyjnej, która chciała wykonać normę zatrudnienia mniejszości narodowych. Jednak wkrótce miałam dość odczytywania krwawych wiadomości o wypadkach samochodowych. Kiedy usłyszałam o wakacie w *Niewiarygodnych tajemnicach*, natychmiast skorzystałam z okazji. Odpowiadają mi podróże do egzotycznych miejsc z dala od cywilizacji. Zwłaszcza za dobrą forszę. Dobra, teraz ty. Jak do tego doszło, że wyratowałeś nas z opresji?

Austin opowiedział w skrócie swój życiorys. Pomiął służbę w CIA i naciągnął pewne fakty, żeby pasowały do siebie. Kaela słuchała uważnie. Jeśli nawet wyczuwała, że coś kręci, nie dawała tego poznać po sobie.

- Nie dziwię się, że lubisz szybkie łodzie, zbierasz stare pistolety i słuchasz jazzu nowoczesnego. Ale jestem zaskoczona, że studiujesz filozofię.

- „Studiuję” to może za wielkie słowo. Po prostu przeczytałem kilka książek na ten temat - sprostował Austin i zamyślił się na moment. - Kartezjusz powiedział, że nie sposób wyobrazić sobie czegoś, o czym nie pisałiby już kiedyś filozofowie. W mojej pracy widuję wiele dziwnych rzeczy i dziwnych ludzi. Uspokaja mnie świadomość, że z filozoficznego punktu widzenia nie ma nic nowego pod słońcem. Chciwość, skąpstwo, zło... I całkiem przeciwnie: dobro, wspinałomyślność, miłość... Platon powiedział kiedyś... Austin urwał na widok wzroku Kaeli.

- Przepraszam, gadam jak profesor.

Przyglądała mu się uważnie.

- Jeszcze nie spotkałam profesora, który spada z nieba, żeby w pojedynkę rozprawić się z uzbrojoną bandą. Czym jest ten twój Zespół Specjalny?

- Trudno to dokładnie określić. Jesteśmy czwórką ekspertów z różnych dziedzin. Joe Zavała to inżynier morski. Zbudował samolocik, który rozbiłem. Potrafi pilotować wszystko nad i pod wodą. Paul Trout jest geologiem morskim. Ukończył instytuty oceanograficzne Woods Hole i Scripps. Jego żona Gamay to nurek i biolog morski. Zna się też na archeologii morskiej.

- Imponujące. A co robicie?

- To zależy. Mówiąc najogólniej, wykonujemy pod wodą różne nietypowe zadania.

Austin nie wspominał, że te zadania często są tajne.

Pstryknęła palcami.

- Jasne! Teraz sobie przypominam. Braлиście udział w odkryciu grobowca Krzysztofa Kolumba na Jukatanie.

- Do pewnego stopnia. To był projekt NUMA.

- Fascynujące - powiedziała Kaela. - Chciałabym zrobić reportaż o waszej grupie.

- Ludzie z działu public relations NUMA byliby zachwyceni. Reklama bardzo się przydaje, kiedy prosimy Kongres o przyznanie budżetu. Zadzwoń do nich po powrocie. Chętnie pomogę.

- Byłabym bardzo wdzięczna.

- Pozwól, że o coś cię zapytam. Co zamierzasz zrobić z materiałem, który nakręciliście w Rosji?

Kaela zmarszczyła czoło.

- Sama nie wiem. Niewiele mamy. Właściwie tylko sztywnego faceta w przedziwnym ubiorze - odpowiedziała. - Ale brak faktów to żadna przeszkoda do zrobienia reportażu.

- Może to jeden z tych kosmitów z UFO, których zawsze znajdujecie - podsunął Austin.

- Z taką szablą? - wzdrygnęła się Kaela. - Ale poważnie. Co o tym wszystkim myślisz, Kurt? Kim byli ci faceci? Dlaczego tak się wkurzyli, że ktoś zbliżył się do opuszczonej bazy z czasów zimnej wojny?

Austin pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia.

- Ale musiałeś się nad tym zastanawiać.

- Oczywiście. Nie trzeba być Sherlockiem Holmesem, żeby wydedukować, o co chodziło. Ktoś nie chciał, żebyśmy zobaczyli, co tam jest.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać, co ukrywają - powiedziała Kaela. - Wrócić tam.

- Niezbyt mądry pomysł - odparł Austin. - Po pierwsze, możemy tu siedzieć i śmiać się z facetów w strojach z *Borysa Godunowa*, ale żyjemy tylko dlatego, że szczęście sprzyja głupim. Po drugie, nie macie wiz rosyjskich, więc musielibyście dostać się tam nielegalnie. Po trzecie, nie macie transportu.

- Rozumiem twoje wątpliwości, ale po pierwsze, bylibyśmy teraz przygotowani na niespodzianki i dalibyśmy stamtąd nogę przy pierwszej oznace niebezpieczeństwa. Po drugie, brak wizej nie powstrzymał cię przed lądowaniem w Rosji. I po trzecie, jeśli uda mi się namówić kapitana Kemala, żeby tam wrócił, przez kilka dni zarobi tyle, ile inni rybacy przez cały rok.

- Nie poddajesz się łatwo.

- Nie zamierzam wiecznie pracować w *Niewiarygodnych tajemnicach*. Taki reportaż mógłby mi otworzyć drogę do kariery w którejś z głównych sieci.

- Widzę, że już się zdecydowałaś, więc może namówię cię na wieczorne zwiedzanie Stambułu. Nie można nie zobaczyć pałacu Topkapi i meczetu Sulejmaniye. Dookoła są wspaniałe sklepy, gdzie mogłabyś kupić pamiątki dla rodziny i przyjaciół. Potem zjedlibyśmy kolację w pływającej restauracji.

- Z następnym szefem kuchni z czterogwiazdkowego hotelu?
- Niezupełnie, ale w wyjątkowej scenerii.
- Mieszkam w hotelu Marmara na placu Taksim.
- Wiem, gdzie to jest. A więc umawiamy się na siódmą wieczorem w dniu naszego przybycia do portu.
- Już nie mogę się doczekać.

Przez resztę rejsu Austin rzadko widywał Kaelę. Była zajęta. Wspólnie z dwoma kolegami przeprowadzała wywiady z kapitanem i załogą lub pracowała nad wstępem do reportażu o arce Noego. Austin skontaktował się z centralą NUMA i złożył raport o incydencie na wybrzeżu rosyjskim. Przez resztę czasu próbował poskładać do kupy „Gooneya”. „Argo” płynął szybko i wkrótce pojawiły się stare forty wzdłuż Bosforu.

Dwugodzinne przejście przez Bosfor zawsze pełne było emocji. Wąska, dwudziestosiedmiokilometrowa droga wodna jest uważana za najniebezpieczniejszą cieśninę na świecie. Kapitan Atwood omijał tankowce, promy i statki pasażerskie. Na ostatnim odcinku podróży dwanaście razy zmieniał kurs. Silny prąd z Morza Czarnego w kierunku morza Marmara był dodatkową przeszkodą. Wszyscy na pokładzie odetchnęli z ulgą, kiedy „Argo” minął terminale promowe oraz baseny portowe dla statków wycieczkowych i przycumował przy nabrzeżu niedaleko mostu Galata.

Austin patrzył ze statku, jak ekipa telewizyjna ładuje sprzęt do taksówki. Kaela pomachała mu na pożegnanie i samochód odjechał. Austin przespacerował się po pokładzie. Podziwiał most strzegący wejścia do Złotego Rogu i piętnastowieczny pałac Topkapi, zbudowany dla sułtana Mehmeta II. W oddali widniały minarety Hagii Sophii i Błękitny Meczet.

Wrócił do kajuty i usiadł do papierkowej roboty. Potem wziął prysznic i zamienił szorty i bluzę na luźne spodnie i lekki bawełniany sweter. W porze kolacji zszedł po trapie na brzeg. Na ulicy rozejrzał się za taksówką. Tuż przed nim zahamował chevrolet z lat pięćdziesiątych. W środku już siedzieli pasażerowie, co oznaczało, że ten samochód to *dolmus*, po turecku „upchany”. W przeciwieństwie do zwykłych taksówek takie auta zabierają tyle osób, ile się zmieści.

Pasażerowie na tylnej kanapie rozsunęli się i zrobili Austinowi miejsce w środku. Austin powiedział kierowcy, że chce jechać na plac Taksim. NUMA wysyłała go do Stambułu już kilka razy i nieźle znał miasto. Kiedy taksiarz pojechał w przeciwną stronę, Austin pomyślał, że chce najpierw rozwieźć innych pasażerów. Ale nikt nie wysiadł. Samochód oddalał się coraz bardziej od placu Taksim. Austin, podejrzewając, że kierowca chce nabić licznik, pochylił się do przodu i zapytał, dokąd jadą.

Taksówkarz bez słowa patrzył przed siebie. Ale odwrócił się siedzący obok niego pasażer. Miał taką gębę, że chyba nie kochała go nawet własna matka. Austin zerknął na

niego przelotnie. Chwilę później zobaczył pistolet.

- Spokój! - warknął facet.

Pasażer obok Austina pociągnął go za ramiona do tyłu. Przyłożył mu długi nóż do prawego oka. Chevrolet niebezpiecznie przyspieszył. Wskoczył z rzędu samochodów i wpadł w ciemny labirynt wąskich brukowanych zaułków.

Oddalali się od wybrzeża. Okrążali Karakoy i patrole policyjne, pilnujące dzielnic domów publicznych. Austin zerknął tęsknie na światła restauracji na wieży Galata. Taksówka jechała wzdłuż Istikal Caddesi. Mijała kluby nocne, kina i różne spelunki. Wreszcie skręciła do Boyuglu, gdzie w czasach imperium ottomańskiego znajdowały się ambasady europejskie. Opony piszczwały na zakrętach.

Mimo ryzykownej jazdy samochód dobrze trzymał się drogi. Austin ocenił kierowcę jako profesjonalistę, który zna możliwości chevroleta. Nikt nie próbował zawiązać Austinowi oczu. Zastanawiał się, czy oznacza to bilet w jedną stronę. Potem domyślił się, że opaska na oczy nie jest potrzebna. Tyle razy skręcili w lewo i w prawo, że stracił orientację, gdzie są.

Fakt, że jeszcze żyje, był małą pociechą. Wyczuwał, że porywacze nie zawahają się użyć broni. Po kilku minutach światła miasta zostały z tyłu. Taksówka wjechała w ciemną zaśmieconą ulicę, potem w zaułek niewiele szerszy od samochodu. Porywacze wywlekli Austina z chevroleta, ustawili twarzą do ceglanej ściany i skrepowali mu ręce za plecami taśmą samoprzylepną. Potem wepchnęli w drzwi i poprowadzili ciemnym korytarzem do holu dawnego biurowca. Marmurowa posadzka była brudna, mosiężna tablica informacyjna na ścianie poczerniała ze starości. Zapach cebuli i płacz dziecka wskazywały, że w budynku ktoś mieszka. Pewnie dzicy lokatorzy.

Wpakowano go do windy. Austin nie uważał się za ułomka, ale ci faceci byli jeszcze więksi od niego i w kabinie zrobiło się ciasno. Jechał z twarzą przyciśniętą do zimnej żelaznej kraty ozdobnych drzwi. Ta powolna winda musiała pamiętać czasy sułtanów. Starał się nie myśleć o zużytych linach. Kabina szarpała i trzeszczała, wreszcie stanęła na trzecim, ostatnim piętrze. Podróż do góry kosztowała Austina więcej nerwów niż szaleńcza jazda samochodem.

- Wyłaź! - warknął mu do ucha jeden z mięśniaków.

Wyszedł na ciemny korytarz. Któryś z facetów złapał go z tyłu za koszulę i pchnął naprzód. Otworzyły się drzwi i wprowadzono Austina do środka. Śmierdziało starym papierem i oliwą wiekowych maszyn biurowych. Podsunęto mu krzesło. Usiadł i zmrużył oczy. Ktoś oświetlił mu twarz lampą.

Zza kręgu światła odezwał się głos mówiący po angielsku.

- Witam, panie Austin. Dziękuję za przybycie.

Głos wydawał się znajomy, ale Austin nie potrafił go umiejscowić w pamięci.

- To było zaproszenie, któremu nie mogłem się oprzeć.

Z ciemności dobiegł śmiech.

- Nie zmienił się pan.

Austinowi coś zaczęło świtać.

- Znamy się?

- Czuję się urażony, że pan mnie nie pamięta. Chciałem panu osobiście podziękować za piękny bukiet kwiatów, który przysłał mi pan, żeby przyspieszyć moją rekonwalescencję. Zdaje się, że to od pana pochodził bilecik podpisany „John Doe”.

Austina zamurowało.

- A niech mnie! - powiedział z mieszaniną radości, ciekawości i obawy. - Iwan!

9

Mocne światło zgasło. Zapaliła się mała lampka biurowa. Oświetliła twarz mężczyzny po czterdziestce. Miał szerokie czoło i wystające kości policzkowe. Gdyby nie rozległa blizna na prawym policzku, byłby przystojny.

- Bez obaw, panie Austin - uspokoił Pietrow. - Nie jestem upiorem.

Austin cofnął się pamięcią o piętnaście lat. Morze Barentsa. Lodowata woda przenika przez jego ocieplany skafander. Ustawia detonator czasowy, połączony z dziewięćdziesięcioma kilogramami materiału wybuchowego. Cud, że Rosjanin przeżył.

- Przepraszam za tamtą pułapkę, Iwan. Ale cię ostrzegałem, żebyś trzymał się z daleka.

- Nie ma za co przepraszać. Na wojnie wszystko się zdarza. Przypuśćmy, że sytuacja byłaby odwrotna. Posłuchałby pan mojego ostrzeżenia?

Austin zastanowił się.

- Pewnie podejrzewałbym, że to blef. Ale nie jestem pewien. To było tak dawno.

Pietrow uśmiechnął się smutno.

- Tak, bardzo dawno. Bez obaw, nie winię pana za skutki własnej głupoty. W innym razie dawno bym pana zabił. Jak powiedziałem, *c'est la guerre*. W pewnym sensie jest pan tak samo zdeformowany jak ja. Tyle że nie widzi pan blizn na swojej duszy. Wojna zrobiła z nas obu twardych ludzi.

- Chyba gdzieś słyszałem, że zimna wojna już się skończyła. Mam propozycję. Może twoi kumple podrzucą nas do baru w hotelu Palace? Powspominamy stare czasy przy kielichu.

Pietrow utkwiał w twarzy Austina spojrzenie i przybrał oficjalny ton.

- Wszystko w swoim czasie, panie Austin. Musimy przedyskutować ważną sprawę. Chciałbym wiedzieć, co pan robił w opuszczonej poradzieckiej bazie okrętów podwodnych na Morzu Czarnym.

- Myślałem, że nikt się nie dowie o naszej krótkiej wizycie. Wygląda na to, że wyszedłem na naiwniaka.

- Wcale nie. To odludna część wybrzeża. W normalnych warunkach mogłaby tam niepostrzeżenie wylądować dywizja marines. Wiemy z przechwyconych rozmów radiowych, że wylądował pan tam jakimś samolotem. Co pan robił na terytorium rosyjskim? Proszę się

dobrze zastanowić nad odpowiedzią. Ja mam czas.

Austin poruszył się na krześle.

- Chętnie wyjaśnię. Ale łatwiej bym sobie wszystko przypomniał, gdyby nie te skrępowane ręce.

- Tylko proszę bez żadnych sztuczek, panie Austin. Uważam pana za niebezpiecznego faceta.

Wydał ostry rozkaz po rosyjsku. Ktoś podszedł z tyłu. Austin poczuł na nadgarstkach zimne ostrze i jeden ruch noża przeciął taśmę.

- Czas na pańską opowieść, panie Austin.

Austin rozmasował ręce.

- Byłem na „Argo”, statku badawczym NUMA. Prowadziliśmy obserwację działalności fal na Morzu Czarnym. Miała do nas przypłynąć trzyosobowa ekipa telewizji amerykańskiej. Jednak przed wyruszeniem ze Stambułu usłyszeli o dawnej bazie okrętów podwodnych i postanowili ją zobaczyć. Nie zawiadomili nas o zmianie planów. Spóźniali się, więc zacząłem ich szukać. Jacyś ludzie na plaży zastrzelili tureckiego rybaka, który wioził ekipę do brzegu. Potem próbowali zabić Amerykanów.

- Niech pan mi opowie o tych zabójcach.

- Było ich około dwunastu. Na koniach. Wyglądali tak jakby wybierali się na bal kostiumowy. Mieli szable i bardzo stare karabiny.

- Co się potem działo?

Austin szczegółowo opisał walkę. Pietrow znał z doświadczenia zaradność Austina i nie zaskoczył go wynik starcia.

- Użycie raketnicy było doskonałym pomysłem - zaśmiał się.

Austin wzruszył ramionami.

- Miałem fart. Tamci strzelali z zabytkowej broni. Inaczej moja historia nie miałaby hollywoodzkiego happy endu.

- Z powietrza nie mógł się pan przekonać, że strzelają ze starych karabinów. Domyślałem się, że musiał pan wylądować.

- Prawdę mówiąc, te zabytkowe karabiny zrobiły sito z moich skrzydeł. Rozbiłem się na plaży.

- Co pan widział oprócz broni? Proszę o każdy szczegół.

- Za wydumą znaleźliśmy jednego zabitego.

- Był ubrany jak reszta?

- Tak. Futrzana czapa, workowate spodnie. Zabrałem mu to...

Austin sięgnął do kieszeni i wygrzebał emblemat, który odpiął od czapki zabitego Kozaka.

Pietrow obojętnie obejrzał odznakę i oddał jednemu ze swoich ludzi.

- Co było dalej?

- Po upewnieniu się, że ekipie telewizyjnej nic się nie stało, wezwałem mój statek. Zabrał nas i odpłynęliśmy natychmiast.

- Nie znaleźliśmy zwłok ani broni - powiedział Pietrow.

- Nie wiem, co się stało z zabitym. Może po naszym odpłynięciu wrócili po niego koledzy. Broń zabraliśmy my.

- To kradzież, panie Austin.

- Nazwałbym to raczej łupem wojennym.

Pietrow machnął ręką.

- Nieważne. Co z tą ekipą telewizyjną? Sfilmowali coś?

- Byli za bardzo zajęci ratowaniem własnej skóry. Potem sfilmowali zwłoki, ale wątpię, czy im się to przyda. Nie potrafią nic wyjaśnić.

- Oby się pan nie mylił. Dla ich własnego dobra.

- Mogę cię o coś zapytać, Iwan?

- Tutaj ja zadaję pytania.

- Wiem, ale przynajmniej tak możesz mi się odwdziżyć za piękne kwiaty, które ci przysłałem.

- Już to zrobiłem. W rewanżu za pański uprzejmy gest nie zabiłem pana. Ale niech będzie. Jedno pytanie.

- Co tu jest grane, do cholery?

Iwan uśmiechnął się lekko i wziął paczkę papierosów leżącą przed nim. Zapalił i wypuścił dym nosem. Zapach mocnego tytoniu wypełnił pokój i zabił odór pleśni.

- Co pan wie o obecnej sytuacji politycznej w Rosji?

- To, co czytam w gazetach. Nie jest tajemnicą, że wasz kraj ma duże problemy. Przestępczość zorganizowana i korupcja są większe niż w Chicago za czasów Capone, wojsko jest nędźnie opłacane i niezadowolone, system opieki zdrowotnej całkiem się zawalił, a wokół waszych granic nie ustają wojny domowe. Jednak macie też wykształconych ludzi, dobrą siłę roboczą i mnóstwo bogactw naturalnych. Jeśli sami sobie nie będziecie przeszkadzać, wyjdziecie z tego.

- Kiedy indziej zgodziłbym się z panem, że przebrniemy przez to. Nasz naród jest przyzwyczajony do trudności. Powiem więcej, rozkwita w ciężkich warunkach. Ale w grę wchodzi siły o wiele potężniejsze niż to, o czym mówimy.

- Jakie?

- Najgorszego rodzaju. Ludzkie namiętności. Nacjonalizm zrodzony z cynizmu, strachu i beznadziei.

- Mielicie już ruchy nacjonalistyczne.

- Tak, ale potrafiliśmy je marginalizować, zanim się rozprzestrzeniły. Teraz jest inaczej. Nowy ruch wywodzi się ze stepów południowej Rosji, położonych nad Morzem Czarnym, gdzie żyją Kozacy.

- Kozacy? Jak ci, na których się wtedy natknąłem?

- Tak. Kozacy byli kiedyś wyjętymi spod prawa zbiegłymi chłopami różnej narodowości. Zakładali własne obozy warowne. Dobrze jeździli konno i pomogli Piotrowi Wielkiemu pokonać Turków ottomańskich. Kozackie oddziały konne służyły carom do rozprawiania się z rewolucjonistami, demonstracjami antyrządowymi i mniejszościami narodowymi.

- Potem wybuchła rewolucja, carat upadł i Kozacy skończyli jako kierownicy taksówek w Paryżu - zauważył Austin.

- Nie wszyscy mieli tyle szczęścia. Niektórzy przyłączyli się do bolszewików, inni wiernie bronili resztek imperium rosyjskiego nawet po zamordowaniu cara i jego rodziny. Stalin próbował ich wyeliminować, ale udało mu się to tylko częściowo. Kozacy do dziś uważają się za kastę żołnierzy Matki Rosji. Są przekonani, że Bóg ich przeznaczył do panowania nad gorszymi rasami.

- Nie oni pierwsi uważają, że zostali wybrani do zaprowadzenia porządku na świecie. Historia zna pełno takich przykładów. Różne grupy pojawiały się, znikwały, zostawiając po sobie masę trupów.

- To prawda. Z tą różnicą, że Kozacy w dalszym ciągu istnieją i mają przemoc we krwi. Nastąpiło wielkie odrodzenie kazaczestwa. Neo-Kozacy opanowali część terytorium Rosji wokół Morza Czarnego. Ignorują rząd w Moskwie, bo wiedzą, że jest słaby i bezradny. Sformowali własną armię, ściągnęli najemników. Popiera ich wielu Rosjan, mających już dość kapitalizmu i wolności. W parlamencie i na ulicach słyszy się, że reakcyjny nacjonalizm to sposób na przywrócenie Rosji wielkości. W armii rosyjskiej są kozackie oddziały z własnymi mundurami i stopniami. Proklamowali Nową Rosję wokół Morza Czarnego i zajmują inne tereny. Jest ich siedem milionów. Emblemat, który pan znalazł, to odznaka ich ruchu. Przedstawia słońce wschodzące nad Rosją.

- Mimo to ciągle są mniejszością. Jak mogą wam zaszkodzić?

- Bolszewicy też byli w mniejszości, ale znali dusze Rosjan. Wiedzieli, że żołnierze mają dosyć wojny, a chłopci chcą ziemi.

- Bolszewicy mieli Lenina.

Pietrow uśmiechnął się ponuro.

- Otóż to. Rewolucja byłaby niczym bez zdeterminowanego i bezwzględного przywódcy, który zjednoczył kraj i zgniótlł opozycję. Kozacy mają kogoś podobnego. Nazywa się Michaił Razow. Potwornie bogaty magnat górniczy i okrętowy. Właściciel kartelu Ataman Industries. Fanatyk wskrzeszenia Wielkiej Rosji. Zwolennik kozackich ideałów: męskości, brutalnej siły. Twierdzi, że najlepszy sposób na wytepienie korupcji to karabin maszynowy. Kompletny paranoik. Uważa, że cały świat jest przeciwko niemu.

- Pieniądze i władza to potęga.

Pietrow zapalił następnego papierosa. Austin był zaskoczony, że drży mu ręka z zapalką.

- Tu chodzi o coś więcej - ciągnął Rosjanin. - Razow ma doradcę, mnicha o imieniu

Borys. Wywiera on zły wpływ na Razowa. Podtrzymuje jego przekonanie, że jest prawdziwym potomkiem cara Piotra Wielkiego.

- Myślałem, że car Mikołaj był ostatnim z Romanowów.

- Zawsze istniały wątpliwości.

- Ja też mogę powiedzieć, że jestem królem Hiszpanii, ale nikt nie posadzi mnie na jego tronie.

- Razow podobno ma dowód.

- DNA?

- Wątpię, żeby pozwolił komuś wziąć próbkę swojej krwi.

- Coś z tego może wyniknąć - przyznał Austin. - Jest ruch nacjonalistyczny z charyzmatycznym przywódcą sterowanym przez mesjanistycznego proroka i jest dziedzictwo historyczne.

Pietrow przytaknął z powagą.

- I to bez żadnego „może”. Rosja jest na skraju powstania neokozackiego, które zaleje kraj i zniszczy wszystko, co osiągnęliśmy. Rosyjska prawica już kanonizowała cara i jego rodzinę. A Razow włoży jego święty płaszcz. - Pietrow uśmiechnął się. - Ilu polityków może powiedzieć o sobie, że są potomkami świętych?

- Większość sama uważa się za świętych. Ale rozumiem cię. Jaką grasz w tym rolę, Iwan? Jesteś w dawnym KGB?

- Dawne KGB infiltrują ludzie Razowa. Kieruję małą tajną grupą. Naszym zadaniem jest obserwowanie tych, którzy zagrażają stabilizacji w Rosji. Składamy raporty bezpośrednio prezydentowi. Ale opowiedziałem panu tylko część tej historii, panie Austin. Pana to też dotyczy. Razow uważa Stany Zjednoczone za przywódcę światowej zmywy, która jest w dużym stopniu przyczyną rosyjskich problemów. Twierdzi, że Ameryka wykorzystuje swoje potężne wpływy na świecie do trzymania Rosji w nędzy i zacofaniu. Wielu członków parlamentu podziela jego pogląd.

- Ameryka ma długą listę wrogów. Taki jest los jedyne supermocarstwa.

- Niech pan dopisze do tej listy Razowa. Jednak nie chodzi mu tylko o politykę. Ma też osobisty powód. Kilka lat temu amerykańska bomba zabiła w Belgradzie jego narzeczoną. Podobno Irini była bardzo piękna i Razow nigdy nie pogodził się z jej śmiercią. Dlatego radzę traktować go poważnie. Zwłaszcza że według naszych informacji zamierza spowodować wielkie szkody w pańskim kraju.

- Jakie?

Pietrow rozłożył ręce.

- Nie wiemy. Znamy tylko kryptonim jego planu. Operacja „Trojka”.

- Więc marnujesz swój i mój czas. Powinieneś użyć kanałów dyplomatycznych i zawiadomić rząd amerykański.

- Już to zrobiliśmy. Poprosiliśmy, żeby nie podejmowali żadnych jawnych kroków.

- Biały Dom i Pentagon zignorują wasze prośby. Ameryka przekonała się, że groźby trzeba traktować serio.

- Fakt, nie są zachwyceni naszym stanowiskiem. Uprzedziliśmy ich, że jeśli zareagują zbyt jawnie, zmarnują nasze wysiłki i doprowadzą do wykonania groźby.

- Jaki jest związek między tym zagrożeniem i bazą okrętów podwodnych?

- Niech pan sam wyciągnie wnioski. Schron zbudowano dla okrętów z pociskami nuklearnymi średniego zasięgu. Pływały po Morzu Czarnym głównie po to, żeby straszyć tureckich przywódców, którzy pozwolili Amerykanom założyć u siebie bazy. Po upadku Związku Radzieckiego schron stał opuszczony przez lata. Potem Razow wydzierżawił go od rządu. Pojawiły się tam jego statki. Dla ochrony powstał w pobliżu obóz Kozaków, których pan widział.

- Dlaczego noszą te śmieszne stroje i stare karabiny?

- To symbole. Razow wyposażył część swoich ludzi tak, jakby wciąż byli kawalerią carską. Niech pana to nie zmyli. Zgromadził mnóstwo nowoczesnej broni z byłego Związku Radzieckiego.

- Dlaczego nie załatwiliście tych facetów?

- Obserwowaliśmy ich i czekaliśmy na właściwy moment. Potem pan się wtrącił.

- Przepraszam, że pomieszałem wam szyki, ale musiałem pomóc tamtym ludziom.

- Podejrzewamy, że Razow wystąpi przeciwko Stanom Zjednoczonym, zanim zdobędzie władzę.

- Mogę wam pomóc w wykryciu, co zamierza.

Pietrow gwałtownie pokręcił głową.

- Nie potrzebujemy amerykańskich kowbojów, walących ze wszystkich luf.

- Ja też nie. Jestem teraz naukowcem z NUMA.

- Niech pan nie udaje. Wiem o pańskim Zespole Specjalnym. Mam w biurze wycinki prasowe o waszej roli w sprawie „Andrey Dorii” i spisku zmierzającego do przejęcia światowych zasobów wody pitnej.

- Nie lubimy się nudzić w wolnym czasie.

- Więc zajmujcie się oceanografią.

Austin zaplótł ręce na piersi.

- Nie wiem, czy dobrze cię rozumiem. Iwan. Chcesz, żebyśmy liczyli ryby, kiedy wasz świr zamierza siać terror w naszym kraju?

- Chcemy powstrzymać Razowa, zanim do tego dojdzie. Pańska ingerencja już mogła nam w tym przeszkodzić. Jeśli nie będzie pan stał z boku, podejmę odpowiednie kroki.

Austin zerknął na zegarek.

- Dzięki za radę, ale jestem już spóźniony na kolację z piękną młodą kobietą. Więc jeśli skończyłeś...

- Skończyłem - odparł Pietrow i rzucił po rosyjsku jakiś rozkaz. Faceci pilnujący Austina

postawili go na nogi.

- Miło było znów cię zobaczyć, Iwan. Przepraszam za poprzednie spotkania.

- Co było, to było - odrzekł Pietrow i dotknął blizny. - Teraz obaj powinniśmy się martwić o przyszłość. Udzielił mi pan cennej lekcji, panie Austin.

- To znaczy?

- Należy poznać swojego wroga.

Eskorta poprowadziła Austina ciemnym korytarzem do rozklekotanej windy. Kilka minut później siedział w taksówce. Kierowca starał się nie przekraczać szybkości dźwięku. Wkrótce zahamował dokładnie w tym samym miejscu, skąd zabrał Austina.

- Wyłaż - warknął.

Austin chętnie posłuchał. Taksówka wystartowała z piskiem opon. Musiał odskoczyć do tyłu, żeby nie przejechała mu po palcach. Odprowadził ją wzrokiem. Kiedy tylne światła zniknęły za rogiem, poszedł do portu. Z pokładu „Argo” zadzwonił do hotelu Kaeli. Nie było jej w pokoju. Zapytał w recepcji, czy zostawiła wiadomość.

- Tak, proszę pana - odpowiedział recepcjonista. - Jest wiadomość od panny Dorn.

- Mogę prosić o przeczytanie?

- Oczywiście. Napisała: „Czekałam godzinę. Musiało ci wypaść coś ważniejszego. Poszłam na kolację z chłopakami. Kaela”.

Austin zmarszczył brwi. Ani słowa o spotkaniu w innym terminie. Spacerując po pokładzie, przypominał sobie szczegóły rozmowy z Iwanem. Nie mógł zignorować zagrożenia. Wrócił do kajuty i wystukał numer na telefonie komórkowym.

Osiem tysięcy kilometrów dalej Jose „Joe” Zavala sięgnął po komórkę na desce rozdzielczej odkrytej corvety rocznik 1961. Rozmyślał właśnie o tym, że życie jest piękne. Pracuje nad mało wymagającym projektem, więc ma mnóstwo wolnego czasu. Obok niego siedzi zgrabna blondynka, analityczka danych statystycznych z departamentu handlu. Jadą wiejską drogą przez MacLean w Wirginii. Czeka ich kolacja przy świecach w romantycznej gospodzie. Po kolacji wpadną na drinka do jego mieszkania w dawnym budynku biblioteki okręgowej w Arlington. A potem, kto wie?

Ucieszył się, kiedy usłyszał głos przyjaciela.

- *Buena sera*, Kurt, stary *amigo*. Jak tam wakacje?

- Skończyły się. Przykro mi to mówić, ale twoje też.

Zavala przestał się uśmiechać, kiedy usłyszał, jak Austin zaplanował mu najbliższą przyszłość. Westchnął ciężko, odłożył telefon i spojrzał czule w rozmarzone niebieskie oczy swojej pasażerki.

- Niestety, mam złą wiadomość. Właśnie umarła moja babcia.

Kiedy Zavala próbował osłodzić zawód swojej partnerki, składając jej mnóstwo

niesamowitych obietnic, w Instytucie Oceanograficznym Woods Hole dwumetrowy Paul Trout pochylał się jak modliszka nad próbkami mułu z najgłębszych części Atlantyku. Mimo brudnego zajęcia biały fartuch laboratoryjny Trouta był nieskazitelnie czysty. Paul zawsze nosił którąś ze swoich jaskrawych muszek, stanowiących jego znak rozpoznawczy. Kasztanowe włosy czesał z przedziałkiem na środku.

Wychował się w Woods Hole. Jego ojciec był rybakiem na Cape Cod. Paul wracał do tam, kiedy tylko miał okazję. Przyjaźnił się z wieloma naukowcami z instytutów o światowej sławie i często służył im swoją wiedzą geologa morskiego.

Z zamyślenia wyrwał go teraz czyjś głos. Spojrzał w górę i zobaczył laborantkę.

- Telefon do pana, doktorze Trout - powiedziała i podała mu aparat bezprzewodowy. Paul ciągle był myślami na dnie oceanu. Kiedy usłyszał głos Austina, pomyślał, że szef Zespołu Specjalnego dzwoni z centrali NUMA.

- Już wróciłeś do domu, Kurt?

- Jestem w Stambule. Za dwadzieścia cztery godziny ty też tu będziesz. Mam dla ciebie robotę na Morzu Czarnym.

Trout zamrugał piwnymi oczami. Zareagował zupełnie inaczej niż Zavala.

- Stambuł? Morze Czarne? Zawsze chciałem tam pracować. Moi koledzy zzielenieją z zazdrości.

- Kiedy tu będziesz?

- Jak tylko wygrzebię się z mułu, polecę do Waszyngtonu.

Na drugim końcu linii zapadła cisza. Austin wyobraził sobie Trouta w błotnistej kałuży. Był przyzwyczajony do jego ekstrawagancji i wołał nie znać szczegółów.

- Możesz ściągnąć Gamay? - zapytał.

- Zrobi się. Do jutra.

Sześć metrów pod wodą na wschód od Marathon na Florida Keys żona Trouta, Gamay, nacinała nożem duży koral. Odłamała kawałek i włożyła do siatki przy pasie balastowym. Przeznaczyła część wakacji na pomoc ekipie badającej degenerację koralu na Keys. Sytuacja pogorszyła się od zeszłego roku. Korale, których od razu nie zabił trujący wyciek z południowej Florydy, były brązowe i odbarwione. Wyglądały zupełnie inaczej niż zdrowe, kolorowe rafy na Karaibach i Morzu Czerwonym.

Gamay usłyszała ostre stukanie. Sygnał z powierzchni. Schowała nóż do pochwy, zwiększyła ilość powietrza w kompensatorze pławności i kilka razy machnęła płetwami. Wynurzyła się obok wyczarowanej łodzi, mrużąc oczy w jasnym słońcu Florydy. Stary, siwy szyper o przezwisku Bud - od nazwy jego ulubionego piwa - trzymał młotek, którego używał do stukania w metalową drabinkę rufową.

- Właśnie dostałem przez radio wiadomość z kapitanatu portu - zawołał. - Mąż próbuje panią złapać.

Gamay podpłynęła do drabinki, podała mu butlę i pas balastowy, a potem wspięła się na pokład. Wyjęła wodę z ciemnorudych włosów i wytarła twarz ręcznikiem. Była wysoka i szczupła. Gdyby stosowała bardziej ścisłą dietę, miałyby figurę modelki. Wyjęła z siatki kawałek koralu i pokazała Budowi.

Pokręcił głową.

- Jak będzie tak dalej, pójdę z torbami.

Rybak miał rację. Rify mogła uratować tylko zakrojona na szeroką skalę akcja z udziałem wszystkich, od miejscowych po Kongres.

- Czy mój mąż zostawił wiadomość? - zapytała Gamay.

- Prosi o pilny kontakt. Dzwonił jakiś Kurt. Chyba skończyły się już pani wakacje.

Uśmiechnęła się, odsłaniając małą przerwę między olśniewająco białymi zębami. Rzuciła Budowi koral.

- Chyba tak - powiedziała.

10

Waszyngton

Waszyngton smażył się w gorącym słońcu. Upał i wilgotność zamieniły amerykańską stolicę w gigantyczną łaźnię parową. Kierowca turkusowego dżipa cherokee pokręcił z podziwem głową na widok turystów ignorujących skwar.

Kilka minut później samochód zatrzymał się przed bramą Białego Domu. Mężczyzna za kierownicą wyjął identyfikator NUMA ze zdjęciem i nazwiskiem admirała Jamesa Sandeckera. Jeden z wartowników zaczął sprawdzać podwozie lusterkiem na długim drążku. Drugi oddał dokument eleganckiemu rudemu kierowcy z bródką w stylu Van Dycka.

- Witam, panie admirale - powiedział z szerokim uśmiechem. - Miło znów pana widzieć. Nie było pana kilka tygodni. Co słyhać?

- Wszystko w porządku, Norman - odrzekł Sandecker. - Dobrze wyglądasz. Jak Dolores i dzieciaki?

Wartownik rozpromienił się.

- Dziękuję za pamięć - odpowiedział z dumą. - Dolores ma się świetnie, dzieciom dobrze idzie w szkole. Jamie chciałaby pracować w NUMA po skończeniu college'u.

- To wspaniale. Niech zadzwoni do mnie. W agencji zawsze są potrzebni zdolni młodzi ludzie.

Wartownik roześmiał się serdecznie.

- Nieprędko się odezwie. Ma dopiero czternaście lat - wyjaśnił i wskazał kciukiem Biały Dom. - Czeka ją już tam na pana.

- Dzięki, że mnie uprzedziłeś - odrzekł Sandecker. - Pozdrów ode mnie Dolores.

Przejeżdżając przez bramę, admirał pomyślał, że uprzejmość zawsze się opłaca. Starał się być miły dla wartowników, sekretarek, recepcjonistek i urzędników niższej rangi. Dzięki temu miał w całym mieście własny system wczesnego ostrzegania. Uśmiechnął się lekko. Zaprosili go tu na późniejszą godzinę, żeby móc swobodnie porozmawiać, zanim przyjedzie. Sandecker miał opinię punktualnego. Wyniósł ten nawyk z Akademii Marynarki Stanów Zjednoczonych. Zawsze zjawiał się minutę przed spotkaniem.

Wysoki ponury facet w ciemnym garniturze i okularach przeciwsłonecznych już z daleka

wyglądał na agenta wydziału specjalnego. Jeszcze raz wylegitymował Sandeckera, wskazał mu miejsce parkingowe i szepnął coś przez radio. Potem zaprowadził go do wejścia. Na progu przejęła admirała młoda uśmiechnięta asystentka. Poprowadziła go cichymi korytarzami do drzwi, których pilnował żołnierz marines z kwadratową szczęką. Wartownik otworzył drzwi i Sandecker wszedł do gabinetu.

Agent wydziału specjalnego dał znać o przybyciu admirała. Prezydent Dean Cooper Wallace czekał na Sandeckera z wyciągniętą ręką. Był znany z tego, że rozdaje najczęściej uścisków dłoni od czasów Lyndona Johnsona.

- Wspaniale, że pana widzę, admirale. Dzięki za przybycie, mimo że został pan zaproszony w ostatniej chwili.

Potrząsał ręką Sandeckera, jakby zbierał datki na festynie kościelnym. W końcu admirał uwolnił dłoń z uścisku. Obszedł stół dookoła i przywitał się ze wszystkimi. Zwracał się do każdego po imieniu, pytał o żonę, dzieci, o grę w golfa. Szczególnie ciepło przywitał swojego przyjaciela Erwina LeGranda, dyrektora CIA.

Szef NUMA miał niewiele ponad metr sześćdziesiąt wzrostu, ale jego obecność wypełniła pokój energią niczym potężny zastrzyk testosteronu. Prezydent poczuł się nagle zdominowany przez Sandeckera. Wziął go za łokieć i zaprowadził do krzesła przy długim stole konferencyjnym.

- Zarezerwowano dla pana honorowe miejsce.

Admirał usiadł po lewej stronie Wallace'a. Po prawej zasiadł jak zwykle wiceprezydent Sid Sparkman. Sandecker wiedział, że nieprzypadkowo siedzi obok prezydenta. Miało mu to pochlebiać. Mimo wiejskich manier, które czasami upodabniały Wallace'a do aktora Andy'ego Griffitha, prezydent był sprytnym politykiem.

Wallace usiadł i uśmiechnął się.

- Mówiłem właśnie chłopakom, co mi się ostatnio wydarzyło. Miałem na haczyku pstrąga wielkości wieloryba. Złamał mi wędkę. Pewnie nie wiedział, że ma do czynienia z szefem sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Najgłośniej wiceprezydent. Sandecker zaśmiał się przez grzeczność. Od początku urzędowania w NUMA miał dobre stosunki z lokatorami Białego Domu. Każdy prezydent doceniał jego pozycję w Waszyngtonie i wpływy w środowisku naukowym za granicą. Nie wszyscy lubili admirała, ale nawet przeciwnicy podziwiali jego uczciwość.

Sandecker wymienił uśmiechy z wiceprezydentem, szarą eminencją w Białym Domu. Sparkman był o kilka lat starszy od Wallace'a. Rządził w tajemnicy przed opinią publiczną i pokrywał swój makiawelizm dobrodusznym sposobem bycia. W college'u grał w futbol amerykański, potem dorobił się milionów. Sandecker wiedział, że wiceprezydent skrycie pogardza Wallacem, który odziedziczył majątek i stosunki.

Prezydent miał dziś na sobie flanelową koszulę, marynarską kurtkę i spodnie khaki.

Zerknął ostentacyjnie na zegarek.

- Sądę, panowie, że czas przejść do rzeczy. Air Force One czeka, żeby zabrać mnie do Montany na kolejną rundę z tamtym pstrągiem. Przekazuję pałeczkę sekretarzowi stanu. Wprowadzi was w sprawę.

Wysoki mężczyzna o jastrzębiej twarzy i przenikliwych oczach rozejrzał się po pokoju. Siwe włosy miał przystrzyżone tak starannie, że wyglądały jak hełm. Osoba Nelsona Tingleya przypominała Sandeckerowi opinię pewnego bystrego obserwatora o Danielu Websterze, sekretarzu stanu z połowy dziewiętnastego wieku: „Webster wygląda za dobrze, żeby mógł być prawdziwy”. Tingley nie był złym senatorem, ale stanowisko w rządzie uderzyło mu do głowy. Uważał się za Bismarcka, a Wallace’a traktował jak Fryderyka Wielkiego. Jednak rzadko mógł rozmawiać sam na sam z prezydentem, bo między nimi stał Sparkman. Musiało mu wystarczyć miejsce na trybunie głównej.

- Dziękuję, panie prezydencie - odpowiedział dźwięcznym głosem, który przez lata rozbrzmiewał w senacie. - Z pewnością każdy z panów zna dramatyczną sytuację w Rosji. Za kilka tygodni lub nawet dni możemy się spodziewać upadku legalnie wybranego prezydenta tego kraju. Ich gospodarka znajduje się w ruinie i Rosja z pewnością nie dotrzyma swoich zobowiązań wobec świata.

- Powiedz im o wojsku - podsunął prezydent.

- Armia rosyjska jest bezbronna. Ludzie mają dosyć korupcji i zorganizowanej przestępczości. Nacjonalizm i wrogość do Stanów Zjednoczonych i Europy sięgają zenitu. Jednym słowem, Rosja to bomba, którą może zdetonować byle incydent.

Tingley urwał dla efektu i zerknął w kierunku Sandeckera. Admirał wiedział, że sekretarz zawsze wszystko komplikuje. Nie zamierzał słuchać zawitych pouczeń.

- Domyślam się - powiedział uprzejmie - że chodzi o incydent na Morzu Czarnym z udziałem NUMA.

Tingley poczuł się nieco zbity z tropu.

- Z całym szacunkiem, panie admirale, ale nie nazwałbym incydem naruszenia obcej przestrzeni powietrznej i wód terytorialnych oraz inwazji na suwerenne państwo.

- A ja nie nazwałbym tego inwazją, panie sekretarzu - odparł Sandecker ze spokojem buddyjskiego mnicha. - Jak panu wiadomo, uznałem to zdarzenie za tak ważne, że natychmiast złożyłem w departamencie stanu pełny raport, żeby nikt nie był zaskoczony ewentualną skargą rządu rosyjskiego. Ale spójrzmy na fakty. Ktoś ostrzelał ponton amerykańskiej ekipy telewizyjnej, zabił tureckiego rybaka przy sterze. Reporterzy nie mieli wyboru; musieli popłynąć do brzegu. Wówczas zaatakowali ich bandyci. Amerykanom pomógł inżynier NUMA, który ich szukał. Potem zabrał ich nasz statek badawczy.

- Wszystko załatwiono z pominięciem odpowiednich kanałów - skontrolował sekretarz.

- Zdaję sobie sprawę z zapalnej sytuacji w Rosji, ale mam nadzieję, że nie będziemy tego rozdmuchiwać do niewłaściwych proporcji. Cały incydent trwał zaledwie kilka godzin. Ekipa

telewizyjna rzeczywistość naruszyła obce wody terytorialne, ale w końcu nic się nie stało.

Sekretarz ostentacyjnie otworzył teczkę z emblematem departamentu stanu.

- Raport pańskiej agencji mówi co innego. Oprócz tureckiego rybaka zginął co najmniej jeden obywatel rosyjski. Inni mogli zostać ranni w tym „incydencie”.

- Czy rząd rosyjski złożył protest „odpowiednimi kanałami”, o których pan wspomniał?

- Jak dotąd, nie odezwali się ani Rosjanie, ani Turcy - wtrącił się Rogers, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego.

- Więc jest to burza w szklance wody - podsumował Sandecker. - Jeśli Rosjanie oskarżą nas o naruszenie ich suwerenności, chętnie przedstawię im fakty i osobiście przeproszę ich ambasadora. Zapewnię go, że to się więcej nie powtórzy. Znam go dobrze dzięki współpracy NUMA z jego krajem.

Tingley zwrócił się do Sandeckera, ale patrzył na prezydenta.

- Mam nadzieję - powiedział kwaśno - że nie weźmie pan tego do siebie, admirale, ale nie pozwolimy, żeby gromada morskich maniaków dyktowała politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych.

Jego dowcip nikogo nie rozbawił. Zwłaszcza Sandeckera. Nazwać NUMA „gromadą morskich maniaków”? Uśmiechnął się jak barrakuda, a jego spojrzenie miało temperaturę lodu. Szykował się do rozerwania Tingleya na strzępy.

Wiceprezydent zobaczył, na co się zanosi i zastukał w stół.

- Każdy z panów przedstawił już swoje stanowisko. Jak zwykle z pełnym przekonaniem. Nie będziemy dłużej zabierać prezydentowi cennego czasu. Jestem pewien, że admirał uzna rację sekretarza stanu, a pan Tingley przyjmie wyjaśnienia i zapewnienia NUMA.

Sekretarz otworzył usta, ale Sandecker skorzystał z furtki, którą wskazał Sparkman.

- Cieszę się, że udało nam się polubownie załatwić tę sprawę.

Prezydent nie lubił kłótni i słuchał ich z wyraźną przykrością.

- Dziękuję, panowie - powiedział z uśmiechem. - Jedno już załatwiliśmy. Przejdźmy teraz do ważniejszej sprawy.

- Zniknięcia łodzi podwodnej NR-1? - zapytał Sandecker.

Prezydent popatrzył na niego z niedowierzaniem, potem wybuchnął śmiechem.

- Zawsze słyszałem, że ma pan oczy z tyłu głowy, admirale. Skąd pan o tym wie? Powiedziano mi, że to ściśle tajne.

- To żadna tajemnica, panie prezydencie. Wielu naszych ludzi ma codzienne kontakty z marynarką wojenną, która jest właścicielem NR-1. Część załogi łodzi pracowała w NUMA. Ojciec kapitana Logana to mój przyjaciel. Zaniepokojone rodziny dzwoniły do mnie z pytaniami o swoich bliskich. Przypuszczały, że coś wiem.

- Jesteśmy panu winni przeprosiny - powiedział prezydent. - Nie chcemy ujawniać tej sprawy, dopóki nie będziemy znali jakichś konkretów.

- To oczywiście - przyznał Sandecker. - Czy łódź zatona?

- Nie. Sprawdziliśmy.
- Nie rozumiem. Więc co się stało?

Prezydent zerknął na dyrektora CIA.

- Ludzie w Langley uważają, że została porwana.
- Czy ktoś się odezwał, żeby to potwierdzić? Żądał okupu?
- Nie.

- Więc dlaczego nie podano do publicznej wiadomości, że łódź zniknęła? Mogłoby to pomóc w wytropieniu jej. Z pewnością nie muszę przypominać nikomu, że na pokładzie jest załoga. Nie mówiąc o tym, że łódź kosztowała miliony.

Włączył się wiceprezydent.

- Uważamy, że podanie tego do wiadomości publicznej nie wyszłoby załodze na dobre.
- Wydaje mi się, że wręcz odwrotnie. Powinno się zaalarmować cały świat.
- W normalnych okolicznościach. Ale sprawa jest dość skomplikowana, admirale - odrzekł prezydent. - Obawiamy się, że naraziłoby to ich na niebezpieczeństwo.
- Być może - powiedział bez przekonania Sandecker i utkwiał w nim świdrujące spojrzenie. - Domyślam się, że macie jakiś plan.

Wallace poruszył się niespokojnie na krześle.

- Sid, masz odpowiedź dla admirała?
- Chcielibyśmy być optymistami - odparł Sparkman - ale podejrzewamy, że załoga nie żyje.
- Macie na to jakiś dowód?
- Nie, ale to bardzo prawdopodobne.
- To za mało, żeby siedzieć z założonymi rękami.

Sekretarz stanu uznał tę uwagę za obrazę i wybuchnął:

- Nie siedzimy z założonymi rękami, admirale! Rząd rosyjski prosił, żebyśmy na razie stali z boku. Mają kontakty i mogą coś zdziałać. Nie będziemy ryzykowali wtrącania się, zwłaszcza przy narastającym w Rosji nacjonalizmie, prawda, panie prezydencie?

Sandecker zignorował sekretarza i zwrócił się do prezydenta.

- Chyba nie myśli pan, że łódź porwali Rosjanie?

Wallace znów wyręczył się wiceprezydentem.

- Sid, znasz tę sprawę od pierwszego dnia. Możesz to wyjaśnić admirałowi?
- Oczywiście, panie prezydencie, z przyjemnością. To się wiąże z naszym poprzednim tematem, admirale. Krótco po zniknięciu NR-1 skontaktowali się z nami ludzie z rządu rosyjskiego. Powiedzieli, że mogliby odzyskać łódź. Uważają, że zniknięcie NR-1 ma związek z zamieszczeniem w ich kraju. Na razie nie mogę powiedzieć nic więcej i proszę pana o cierpliwość.

- Nie rozumiem takiej logiki - odparł Sandecker. - Mamy powierzyć los naszych ludzi rządowi, który może w każdej chwili upaść? Wydaje mi się, że rosyjskie szczyby skoncentrują

się raczej na ratowaniu własnej skóry niż na szukaniu amerykańskiej łodzi podwodnej.

Wiceprezydent skinął głową.

- Mimo to zgodziliśmy się nie wkraczać. Nawet przy tylu problemach Rosjanie najlepiej potrafią poradzić sobie z tym, co się dzieje na ich podwórku.

- Obawiam się, że on ma rację, James - powiedział dyrektor CIA LeGrand, który siedział dotąd cicho.

Sandecker uśmiechnął się. LeGrandowi wyznaczono rolę „dobrego gliny”, który uziemi „złego glinę”. Admirał też potrafił grać. Zmarszczył czoło, jakby podejmował trudną decyzję.

- Widzę, że mój stary przyjaciel Erwin zgadza się z panem. W porządku, nie będę więcej naciskał.

W gabinecie zapadło ciężkie milczenie, jakby nikt nie wierzył, że Sandecker się podda.

- Dziękuję panu, James - powiedział prezydent Wallace. - Mieliśmy okazję pogadać, zanim pan przyjechał. Wiemy, że to duża pokusa wprowadzić NUMA do akcji. Zwłaszcza że jest pan osobiście zainteresowany tą sprawą.

- Dlatego żąda pan, żebym trzymał się od tego z daleka.

- Na razie, admirale.

- Mogę pana zapewnić, że NUMA nie będzie szukać NR-1. Ale proszę dać mi znać, jeśli będziemy potrzebni.

- Oczywiście, admirale.

Prezydent podziękował wszystkim za przybycie i wstał. Sandecker życzył mu dobrego wędkowania i wyszedł. Wiedział, że pozostali będą jeszcze dyskutować na ten temat. Asystentka odprowadziła go do bocznych drzwi. Kiedy przejeżdżał przez bramę, wartownik zagadnął go z uśmiechem:

- Gorąco dzisiaj, co?

Sandecker uśmiechnął się szeroko.

- Mam wrażenie, Norman, że w tej części Waszyngtonu temperatura zawsze jest o kilka stopni wyższa.

Pomachał beztrząsą ręką i włączył się do ruchu.

W drodze powrotnej do centrali NUMA Sandecker wystukał numer na telefonie komórkowym.

- Wpadnij do mnie za dziesięć minut, Rudi.

Admirał zaparkował w garażu pod trzydziestopiętrowym cylindrycznym budynkiem, który był centrum operacji NUMA na całym świecie, i wjechał windą na samą górę, do swojego gabinetu. Siedział za wielkim biurkiem, zrobionym z kłapy luku okrętu wojennego konfederatów, gdy wszedł z teczką Rudi Gunn.

Sandecker wskazał swemu zastępcy krzesło. Niski, szczupły mężczyzna z wąskimi ramionami, przerzedzonymi włosami i w grubych okularach w rogowej oprawie wysłuchał

uważnie relacji admirała ze spotkania w Białym Domu.

- Więc rezygnujemy z poszukiwań? - zapytał.

Sandeckerowi zabłyśły oczy.

- Nic podobnego! Nie wywieszę od razu białej flagi. Czego się dowiedziałeś?

- Tylko okręt podwodny większy od naszej łodzi mógł ją uprowadzić sprzed nosa statku ubezpieczającego. Niektóre kraje mają takie kolosy. Pomyślałem, że nadałby się do tego radziecki tajfun. Poprosiłem Yaegera, żeby zrobił różne symulacje.

Hiram Yaeger był komputerowym guru NUMA i szefem jej ogromnej bazy danych.

Sandecker odchylił się do tyłu i oparł brodę na dłoni.

- Tajfun ma ponad sto pięćdziesiąt metrów długości. Mógł łatwo zabrać naszą miniłódź.

- Rosjanie budowali je do wystrzeliwania pocisków z koła podbiegunowego. Mogli przerobić płaski pokład raketowy na transportowy. Ale kiedy pogrzebałem głębiej, wyniknął pewien problem. Wiem już, że tajfunów nie użyto do tej operacji.

- Chyba się jednak nie poddałeś? Co jeszcze masz?

Gunn sięgnął do teczki i wyjął okładkę na akta. Wręczył Sandeckerowi zdjęcie.

- To rosyjski okręt podwodny klasy India z ich Floty Północnej, sfotografowany kiedyś w drodze na Pacyfik - wyjaśnił. Podał admirałowi kilka kartek. - A to schematy jego konstrukcji. Napęd dieslowsko-elektryczny i prawie sto siedem metrów długości. Przypuszczalnie przeznaczony do ratownictwa podwodnego. Ta wgłębiona część kadłuba za kioskiem to pokład transportowy dla kilku miniłodzi podwodnych. W czasie zimnej wojny mogły być używane do tajnych operacji Specnazu. Zbudowano tylko dwie indie. Po zakończeniu zimnej wojny miały być zniszczone. Udało nam się ustalić, że jedna rzeczywiście poszła na złom. Nie wiemy, co się stało z drugą. Podejrzewam, że została użyta do porwania NR-1.

- Sądząc po twoim głosie, jesteś tego pewien, Rudi. Pamiętaj, że na razie to tylko teoria.

Gunn uśmiechnął się.

- Mogę skorzystać z pańskiego wideo?

- Proszę bardzo.

Gunn znów sięgnął do nesesera i wyjął kasetę. Podeszedł do ściany z boazerią, otworzył drzwiczki szafki i wsunął kasetę do magnetowidu.

- Jak pan wie, NR-1 mogła transmitować obraz telewizyjny z dna morza.

- Sam przyznałem na to fundusze z kasy NUMA. Wspaniały program edukacyjny. Obrazy idą przez satelitę do szkół na całym świecie. Uczą młodzież, że ocean jest dużo ciekawszy niż MTV.

- Ten obraz został wysłany z NR-1 w dniu jej zniknięcia.

Gunn wcisnął przycisk „play” na pilocie. Na ekranie pojawiła się zielona woda morska. Mocne reflektory oświetlały smukły czarny kadłub. Nie było dźwięku. W rogu wyświetlała się godzina i data.

Sandecker siedział z rękami opartymi o brzeg biurka.

- To chyba widok dziobu z kamery na kiosku - powiedział.

- Zgadza się. Niech pan patrzy dalej... Teraz!

Pod kadłubem pojawił się cień przypominający rekina. Z dołu podpłynęło coś dużo większego niż NR-1. Po kilku minutach łódź ruszyła naprzód. Nabierała szybkości, w końcu zasłoniły ją pęcherze powietrza.

- Ten obraz został wysłany z łodzi przez satelitę w chwili jej zniknięcia. Jak pan widział, transmisja była bardzo krótka, potem się urwała.

- Fascynujące - powiedział Sandecker. - Daj to jeszcze raz, Rudi.

Gunn cofnął taśmę i puścił od początku.

- Czy Biały Dom ma kopię tego filmu? - zapytał admirał.

- Transmisja szła bezpośrednio do NUMA. Chyba jej nie widzieli.

- Dobra robota, Rudi - pochwalił Sandecker. - To ważny kawałek układanki.

Sięgnął do skrzyneczki na biurku i wyjął dwa cygara, które osobiście wybrał i zwinął dla niego właściciel plantacji w Republice Dominikańskiej. Ustawił jedno pod drugim.

- Założmy, że to na dole jest dużo większe od tego na górze. Podpływa pod naszą łódź i co dalej? Mógłby być problem z zabraniem łodzi na grzbiet.

- Chyba że...

- Że NR-1 współpracowałyby z porywaczem. Kapitan Logan nie zrobiłby tego.

- A jeśli go zmuszono?

Sandecker rzucił Gunnowi cygaro, drugie wetknął w zęby. Zapalili i usiedli w chmurze wonnego dymu.

- Przypuszczam, że na pokładzie był zagraniczny naukowiec - powiedział Sandecker po chwili namysłu.

- Zgadza się. Mam pełną listę ludzi na NR-1.

- Sprawdź dokładnie ich przeszłość. Zwłaszcza naukowca. Tymczasem spróbujemy poszukać okrętu podwodnego klasy India. Marynarka ma aktualne zamiary na wszystkie rosyjskie okręty operacyjne, ale nie chcę, żeby ktoś wiedział, że NUMA nadal tym się zajmuje.

- Może Yaeger potrafi włamać się do systemu komputerowego marynarki.

Sandecker popatrzył na rozżarzony popiół na końcu cygara.

- Jestem zaskoczony, Rudi, że słyszę coś takiego właśnie od ciebie.

- Sytuacja nadzwyczajna wymaga niekonwencjonalnych kroków.

- Słusznie. Ze Stambułu dzwonił Austin. Zbiera Zespół Specjalny, żeby jeszcze raz przyjrzeć się opuszczonej bazie okrętów podwodnych.

- Uważa, że baza ma związek z NR-1?

- Nie wiedział o zniknięciu łodzi, dopóki mu nie powiedziałem. Jest w kontakcie z dawnym rosyjskim znajomym, który sugeruje, że baza może mieć związek z potencjalnym

zagrożeniem dla Stanów Zjednoczonych.

- Z atakiem terrorystycznym?

- Zapytałem Kurta o to samo. Wie tylko tyle, ile powiedział mu Rosjanin. Podobno Stanom Zjednoczonym grozi niebezpieczeństwo. Wygląda na to, że w sprawę jest zamieszany magnat górniczy nazwiskiem Razow. Baza może być kluczem do tego, co się dzieje. Kurt ma zwykle dobrego nosa. W takim razie NUMA tym bardziej powinna się włączyć.

- Możemy przyjrzeć się tamtej okolicy przez satelitę.

- Potrzebujemy też kogoś na ziemi.

- A co z pańską obietnicą daną prezydentowi?

- Obiecałem tylko nie szukać NR-1. Nic nie mówiłem o rosyjskiej bazie okrętów podwodnych - odrzekł Sandecker z chytrym błyskiem w oku. - Poza tym Austin jest już na pewno poza zasięgiem mojego telefonu.

- Słyszałem, że aktywność plam na słońcu zakłóca łączność.

- Oczywiście będziemy próbowali nawiązać kontakt. Prezydent leci do Montany na ryby. Podejrzewam, że szybko wróci, jeśli rząd rosyjski upadnie.

Gunn wyglądał na zakłopotanego.

- Jeżeli naprawdę jest jakieś zagrożenie, czy nie powinniśmy powiedzieć o tym prezydentowi?

Sandecker podszedł do okna i popatrzył na Potomac. Po chwili odwrócił się.

- Wiesz, na czym Sid Sparkman dorobił się milionów?

- Oczywiście. Na kopalniach.

- Właśnie. Jak Razow.

- Przypadek?

- Może tak, może nie. Chłopcy z jednej branży często trzymają się razem. Możliwe, że ci dwaj się znają. Dopóki się nie upewnimy, że zagrożenie jest realne, lepiej nie mówić o tym głośno.

- Sugeruje pan...

- Nie mam żadnych podstaw, żeby posunąć się aż tak daleko. Na razie.

Gunn zacisnął wargi, w jego oczach pojawił się niepokój.

- Mam nadzieję, że Kurt i reszta nie przeholują.

Sandecker uśmiechnął się ponuro.

- To nie byłby pierwszy raz

11

Morze Czarne

Austin szedł wzdłuż Bosforu. Minął terminal promowy, a potem smukłe statki wycieczkowe. W końcu zapach gnijących ryb powiedział mu, że jest blisko nabrzeża rybackiego. Przybywało mew. W porcie stała flotylla zdezelowanych kutrów. Od drewna odłaziła farba, metal zżerała korozja. Stare łajby chyba tylko cudem utrzymywały się na wodzie. Austin przystanął obok solidnej, drewnianej łodzi, wyglądającej tak, jakby przeszła kapitalny remont. Czarny kadłub i biała sterówka lśniły świeżą farbą, metalowe części ociekały olejem.

Austin wyjął z kieszeni złożoną kartkę z nagryzmołonym słowem „Turgut”. Zgadzało się z białym napisem na rufie. Uśmiechnął się z uznaniem. Polubił kapitana Kemala, zanim go poznał. Turgut był słynnym szesnastowiecznym admirałem z okresu panowania Sulejmana Wspaniałego. Ten, kto nazwał antyczny kuter jego imieniem, musiał znać historię i mieć poczucie humoru.

Na pokładzie widać było jakiegoś mężczyznę w czarnym garniturze z dwurzędową marynarką. Siedział na zwoju grubej liny i naprawiał sieci rozciągnięte na kolanach.

Austin powitał go po turecku.

- *Meraba* - zawołał. - Mogę wejść na pokład?

Mężczyzna podniósł wzrok.

- *Meraba* - odpowiedział i zrobił zapraszający gest.

Austin wspiął się po trapie na pokład. Łódź miała około piętnastu metrów długości i szeroki kadłub, zapewniający stabilność. Rozejrzał się po „Turgucie”. Kuter wyglądał jak zabytek z czasów imperium ottomańskiego. Utrzymywanie go na chodzie musiało kosztować mnóstwo wysiłku. Austin podszedł do siedzącego mężczyzny.

- Szukam kapitana Kemala.

- To ja - odrzekł rybak.

Przebiegał palcami po sieci, nie omijając żadnego oczka.

Kapitan przekroczył pięćdziesiątkę. Był drobnej budowy, miał szczupłą twarz i oliwkową cerę, zaczerwienioną od słońca i wiatru. Ciemne, siwiejące włosy przykrywała wełniana

czapka. Był gładko ogolony z wyjątkiem nastroszonych wąsików. Wyglądały, jakby przytrzymał je zakrzywiony, wydatny nos. Z radia u stóp Kemala płynęła cicha muzyka turecka.

- Nazywam się Kurt Austin. Jestem z Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Byłem na naszym statku „Argo”, kiedy znaleźliśmy ciało pańskiego kuzyna Mehmeta.

Kemal smutno skinął głową i odłożył sieć.

- Dziś rano był jego pogrzeb - powiedział po angielsku. Dotknął rękawa marynarki, żeby pokazać, że włożył najlepszy i jedyny garnitur.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Kapitan pokręcił głową i wskazał stos sieci, sięgający do pasa.

- Proszę siadać, panie Austin.

- Dobrze pan mówi po angielsku.

Kemal pokazał w uśmiechu złoty ząb.

- Dziękuję. Kiedy byłem młodszy, pracowałem jako kucharz w amerykańskiej bazie lotniczej pod Ankarą. Ciężko harowałem, ale dobrze płacili i odłożyłem na ten kuter.

- Zauważyłem, że ochrzcił go pan imieniem wielkiego admirała.

Zaskoczony Kemal uniósł krzaczaste brwi.

- Turgut to nasz bohater narodowy.

- Wiem. Czytałem jego biografię.

Kapitan przyjrzał się Austinowi głęboko osadzonymi, piwnymi oczami.

- Niech pan podziękuję ode mnie ludziom z NUMA. Rodzina Mehmeta byłaby załamana, gdyby nie mogła go pochować.

- Przekażę pańskie podziękowania kapitanowi Atwoodowi i załodze „Argo”. Dowiedziałem się o panu od panny Dorn.

Kemal uśmiechnął się.

- Od tej pięknej reporterki telewizyjnej? Wpadła tu wczoraj wieczorem. Obiecała, że wdowa po Mehmedzie dostanie duże odszkodowanie. Nie zarobiłby tyle przez całe życie. Bóg jest wielki.

- Dzwoniłem wcześniej do jej hotelu. Powiedzieli mi, że się wymeldowała.

- Poleciała do Paryża. Chce znów wynająć mój kuter, ale musi dostać zgodę swoich szefów.

Austin przyjął wiadomość o wyjeździe Kaeli z mieszanymi uczuciami. Żałował, że nie zdążył jej bliżej poznać, ale piękna reporterka przeszkadzałaby mu.

- Co jeszcze mówiła?

- Opowiedziała mi, jak zginął Mehmet. Ekipę telewizyjną ostrzelali bandyci na koniach. Zabili mojego kuzyna, a przecież on nigdy nikogo nie skrzywdził.

- Fakt, to bandyci.

- Mówiła, że zaatakował ich pan małym samolocikiem. Ilu pan zabił?

- Nie jestem pewien. Znaleźliśmy tylko jedno ciało.

- Dobrze i to. Co to za ludzie?

- Nie wiem, ale zamierzam się dowiedzieć.

Kemal uniósł brwi.

- Chce pan wrócić do tej bazy?

- Jeśli znajdę łódź, która mnie tam zabierze.

- Ma pan przecież statek NUMA.

- Użycie statku agencji rządowej nie byłoby dobrym pomysłem - odrzekł Austin i rozejrzał się po „Turgucie”. - Potrzebuję czegoś, co nie zwróci uwagi.

W ciemnych oczach Turka pojawiło się zrozumienie.

- Jak na przykład kuter rybacki?

Austin uśmiechnął się.

- Właśnie.

Kapitan przyjrzał mu się uważnie, potem wstał i poszedł do sterówki. Wrócił z dużą butelką i dwoma wyszczerbionymi kubkami do kawy. Odkorkował flaszkę i nalał dwie solidne porcje. Podał jedną Austinowi i uniósł swój kubek.

- Za Mehmeta.

Stuknęli się. Kemal przełknął mocny alkohol jak wodę.

Austin poznał po zapachu, że ma w kubku turecką wódkę *raki*. Zwykle nie pił, dopóki słońce nie opadło na wysokość rei, ale nie chciał być nieuprzejmy. Ostrożnie wziął trochę wódki do ust i zaczekał, aż palący alkohol spłynie do gardła. Pomyślał, że takie musi być uczucie przy łykaniu tłuczonego szkła.

Kemal dopił swoją porcję i ku wielkiej uldze Austina odstawił kubek.

Popatrzył badawczo na Austina.

- Dlaczego chce pan tam wrócić? Pana też mogą zastrzelić.

- Mało prawdopodobne. Poprzednio daliśmy się zaskoczyć i nie mieliśmy broni. Teraz będzie inaczej.

Kemal zastanowił się. Austin był zadowolony, że kapitan nie jest człowiekiem, który podejmuje pochopne decyzje. Jego opanowanie mogło się przydać. Turek zajrzał do swojego kubka.

- Czuję się odpowiedzialny za śmierć Mehmeta. Wysłałem go z ekipą telewizyjną, żeby trochę zarobił.

- Nikt nie mógł przewidzieć, że zostanie zastrzelony.

- Oczywiście, ma pan rację. Łowiłem tam wiele razy bez żadnych problemów.

- Popłynąłby pan tam?

- Za żadne pieniądze.

Austin był zawiedziony, ale nie zaskoczony.

- Rozumiem pana, kapitanie. To mogłoby być bardzo niebezpieczne. Bez względu na to,

jak dobrze bylibyśmy przygotowani.

Kemal splunął za burzę.

- Nie boję się, do diabła! Powiedziałem, że nie wróciłbym tam dla forsy. Jestem panu winien przysługę za zabicie tamtego drania.

Powstrzymał protest Austina machnięciem ręki.

- „Turgut” jest do pańskiej dyspozycji - oświadczył takim tonem, jakby przekazywał Austinowi ster luksusowego jachtu.

- Nie jest mi pan nic winien.

- Ci, którzy zabili mojego kuzyna, muszą za to zapłacić - powiedział dobitnie Kemal, żeby nie było wątpliwości co do jego intencji. - Znam się na tych sprawach. W młodości byłem przemytnikiem.

Błysnął w uśmiechu czternastokaratowym zębem.

- I nigdy mnie nie złapali - dodał dumnie. - Dwa diesle. Szybkość podróżna trzydzieści węzłów. Kiedy chce pan płynąć?

- Czekam na trzy osoby. Mają dziś przylecieć ze Stanów. I muszę ściągnąć sprzęt. Może jutro rano?

- O świcie łódź będzie gotowa do drogi.

- A załoga? - zapytał Austin. - Po tym, co się stało z Mehmetem, nie chcę nikogo narażać.

- Zatrzymam dwóch najbardziej zaufanych ludzi. Upprzedzę ich o niebezpieczeństwie, żeby mieli wybór. Wiem z góry, co odpowiedzą. To kuzyni Mehmeta.

Uścisnęli sobie ręce. Austin zapowiedział, że będzie o świcie. Uciekł, zanim Kemal zdążył zaproponować oblanie interesu następnym kubkiem *raki*. W drodze powrotnej na „Argo” kręciło mu się w głowie. Zanim jednak doszedł do statku NUMA, świeże powietrze znad Bosforu wywiało z niego opary alkoholu. Wspiął się na mostek, gdzie kapitan Atwood pochylał się nad mapami.

- Jak tam nasza gwiazda telewizyjna? - zapytał.

- Wiesz, jaki jestem naturalny przed kamerą - odparł Atwood. - Przyznaję, że dobrze się bawiłem z tymi świrusami. Pewnie pokażą moją głębę dla kontrastu z piękną panną Dorn.

- Miałbyś im to za złe?

- Nigdy w życiu! Jestem zaskoczony, że jej nie poderwałeś. Wyszedłeś z wprawy?

Austin położył rękę na piersi.

- Moje serce należy tylko do NUMA. Dlatego tu jestem. Potrzebuję pomocy bez zadawania pytań.

Kapitan znał Austina od dawna. Wiedział, że nigdy nie zostawia żadnej sprawy niedokończonej.

- Zrobimy, co się da. O ile nie narazi to „Argo” i załogi na niebezpieczeństwo.

- Nie. Chcę tylko pożyczyć trochę sprzętu.

Austin wymienił listę życzeń i poprosił, żeby dostarczono ekwipunek na „Turguta”.

Kapitan odrzekł, że to żaden problem. Zaczął wydawać rozkazy załodze. Austin poszedł do swojej kajuty i włączył laptop. Znalazł stronę internetową firmy oferującej zdjęcia satelitarne i poprosił o fotografię rosyjskiego wybrzeża Morza Czarnego. Przyjrzał się im dokładnie, ale nie zauważył nic niezwykłego. Nie był zaskoczony. Rosjanie nie reklamowali swojej tajnej bazy.

Wystukał numer na telefonie Globalstar. W Stanach było jeszcze wcześniej, ale wiedział z czasów swojej pracy w CIA, że Sam Leahy będzie w biurze.

- Jaka pogoda w Langley? - zapytał, kiedy usłyszał znajomy tubalny głos.

Cisza.

- Wybrałeś zły numer, koleś. Jeśli chcesz prognozę pogody, zadzwoń do Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Podobno te cholerne cwaniaki z NUMA wiedzą wszystko.

- Prawie wszystko, Sam. Dlatego dzwonię do ciebie po pomoc.

- Wiedziałem, że wrócisz skruszony do Firmy. Cieszę się, że cię słyszę. Jak leci, stary wilku morski?

- Może być. Ciągłe trzymają cię za biurkiem?

- Już niedługo. Za sześć miesięcy emeryturka. A potem czartery wędkarskie na Chesapeake. Mogę cię wziąć na pierwszego oficera, jeśli kiedyś znudzi ci się waszyngtoński wyścig szczurów.

- Kusząca propozycja. Na razie wpisz mnie na jeden rejs. A teraz potrzebuję informacji. Co wiesz o dawnych radzieckich bazach okrętów podwodnych?

- Temat rzeka. Co cię konkretnie interesuje?

- Ich konstrukcja.

- Zacznę od tego, że były wielkie. Musiały pomieścić takie cacka, jak tajfuny. Długość sto siedemdziesiąt metrów, szerokość prawie dwadzieścia trzy, wyporność 26 000 ton. Prawdziwe potwory. Na każdym dwadzieścia pocisków z głowicami nuklearnymi. Ruscy chcieli je ukryć przed atakiem jądrowym, więc budowali głębokie schrony. Nauczyli się tego od Niemców. Schrony dla U-Bootów całkiem nieźle wytrzymały alianckie bombardowania. Najczęściej robili tunel w zboczu góry i wykładali go kilkumetrową warstwą wzmocnionego granitu.

- Znasz lokalizację tych baz?

- Mogę zdobyć.

Austin wyczuł w tej odpowiedzi ukryty warunek.

- Naprawdę bardzo byś mi pomógł, gdybyś coś wygrzebał.

- Nie ma problemu. Większość takich materiałów już odtajniono. Jednak trzymam cię za słowo w sprawie czarteru.

Austin odetchnął z ulgą. Obawiał się, że Leahy będzie musiał dostać zgodę swoich szefów.

- Jasne. Ty załatwisz przynętę, ja zorganizuję piwo.

Austin podał Leahy'owi swój adres e-mailowy, podziękował i wyłączył się. Rozpracował na komputerze kilka problemów logistycznych, potem wyszedł sprawdzić przygotowania do wyprawy z kapitanem Kemalem. Na pokładzie stał już stos pudeł ze sprzętem, o który prosił. Ciężarówka była w drodze, żeby przewieźć ekwipunek na „Turguta”. Pozostało czekać na resztę Zespołu Specjalnego. Austin sprawdzał sprzęt z listą, gdy odezwał się jego telefon. Dzwonił Joe Zavala.

- Jesteśmy na lotnisku.

- Co tak długo?

Zavala westchnął głośno.

- Wyrwałeś mnie z ramion najpiękniejszej kobiety na tej planecie i jeszcze narzekasz?

- Każda twoja nowa znajoma jest najpiękniejszą kobietą na tej planecie.

- Widocznie mam szczęście.

- Kiedyś mi podziękujesz za uratowanie cię przed małżeństwem.

- Nie wypowiadaj tego słowa nawet w żartach.

- Później pogadamy o twoim życiu miłosnym. Kiedy możecie być na „Argo”?

- Gamay łapie taksówkę, a Paul układa bagaż przy krawężniku. Czy można wiedzieć dlaczego ściągnąłeś nas tu w takim tempie z drugiego końca świata?

- Bo stęskniłem się za waszymi uśmiechniętymi gębami.

- Jasne. Przywiozłem ci twoją pukawkę. Bowena.

- Resztę też?

- Mój system doręczania metalowych przesyłek? - zapytał Zavala, mając na myśli własną broń. - Jasne. Naprawdę myślisz, że ten cały złom będzie nam potrzebny?

- Mam nadzieję, że nie - odparł Austin. - Jednak na wszelki wypadek staraj się nie zamoczyć prochu.

12

Rocky Point, Maine

Obraz na wielkim monitorze komputera wyglądał jak profil bardzo wysokiego zółwia. Leroy Jenkins klikał myszą, dopóki skorupa nie spłaszczyła się, jakby przejechała po niej osiemnastokątowa ciężarówka. Zrobił kilka wyliczeń z danych na ekranie i wyrzucił z siebie potok przekleństw, które zwykle rezerwował dla splątanej liny przy pułapce na homary. Odwrócił się od komputera na obrotowym krześle i spojrzął w okno. Z wysokiego białego domu na wzgórzu miał wspaniały widok na port i morze.

Na nabrzeżu trwała gorączkowa krzątania. Spycharko-ładowarki zgarniały szczątki i wrzucały do ciężarówek. Wózki widłowe, używane zwykle przed zimą do ustawiania łodzi na wielopoziomowych stojakach, zbierały wraki z parkingu i układały w rzędzie, żeby właściciele mogli je zabrać. Dźwigi wyciągały z wody resztki motelu.

Kuter Jenkinsa został zacumowany przy moło miejskim wśród innych jednostek, które szczęśliwie nie znalazły się na drodze wielkiej fali. Jenkins przetaił oczy, odwrócił się z powrotem do komputera i wprowadził kilka nowych liczb. Po paru minutach pokręcił głową. Zrobił już mnóstwo symulacji z różnymi kombinacjami danych i nic nie miało sensu. Ucieszył się na dźwięk dzwonka przy drzwiach. Wszedł do holu i zawołał z góry, że otwarte.

Był to szeryf Charlie Howes.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

- Jasne, że nie. Chodź na górę. Bawiłem się trochę komputerem.

Szeryf wszedł do gabinetu na poddaszu i rozejrzał się.

- Ładnie urządziłeś ten pokój - pochwalił, patrząc na porządnie ustawione szafki z dokumentami i półki z książkami.

- Dzięki, Charlie. To nie moja zasługa - odrzekł Jenkins i wziął oprawioną fotografię przystojnej kobiety w średnim wieku. Uśmiechała się do obiektywu z kokpitu żaglówki. - Mary wiedziała, że samo łowienie homarów nie uratuje mnie przed starym rozmiękczeniem mózgu. Gabinet na strychu to był jej pomysł. Znałeś ją. Potrafiłaby zrobić jedwabną torebkę ze świńskiego ucha.

- Nieźle jej poszło oszlifowanie twoich ostrych kantów.

Jenkins roześmiał się i znów zerknął przez okno.

- Biorąc pod uwagę twardy materiał do obróbki, to był prawdziwy cud. Widzę, że robota na dole posuwa się naprzód.

- Sprzątają port bardzo szybko. Obawialiśmy się wycieków ropy ze zbiorników paliwa, ale stanowy urząd ochrony środowiska ma to pod kontrolą. Musiałem urwać się na chwilę dziennikarzom, i wszędzie pełno facetów z ubezpieczeń. Widzę, że pracowałeś na komputerze. Doszedłeś do czegoś?

- Próbowałem. Siadaj i patrz. Może mi się przydać twoja intuicja detektywa.

Mimo prostego języka i wiejskiego sposobu bycia szeryf nie był ciemniakiem. Ukończył kryminalistykę na uniwersytecie stanowym. Odpowiedział sceptycznym parsknięciem i przysunął stołek do krzesła Jenkinsa. Zmrużył oczy i wpatrzył się w ekran.

- Co to za ciężarny wąż?

Jenkins uniósł brwi.

- Co wiesz o tsunami?

- Wiem jedno: nie chcę tego więcej oglądać!

- No więc zrobię ci krótki wykład. Tsu to po japońsku port. Nami to fala. Termin przyjęto na międzynarodowej konferencji w 1963 roku, żeby uniknąć nieporozumień.

- Zawsze słyszałem, że nazywają to falami przyływu.

- To potoczne określenie, ale niezbyt dokładne. Przyływy powstają dzięki siłom grawitacyjnym Księżyca, Słońca i planet. Nawet my, naukowcy, byliśmy w błędzie. Nazywaliśmy tsunami sejsmicznymi falami morskimi, co sugerowało, że są wywoływane przez trzęsienia ziemi. Ale trzęsienia to tylko jedna z przyczyn.

- Myślisz, że ten bajzel wywołało trzęsienie ziemi?

- W pewnym sensie - odrzekł Jenkins i uśmiechnął się na widok głupiej miny szeryfa. Wyrwał z bloczka kartkę.

- Oto prawdziwy winowajca. Wyobraźmy sobie, że to dno oceanu.

Pchnął końce kartki ku sobie i środek wybrzuszył się.

- Trzęsienie jest wtedy, gdy warstwy tektoniczne zderzają się ze sobą i deformują dno morskie. Przy okazji wypychany jest do góry słup wody. Aż do samej powierzchni. Woda próbuje odzyskać równowagę.

- Zgubiłem się.

Jenkins pomyślał chwilę.

- To jest tak, jak z naszym miejscowym pijaczyną Joem Johnsonem. Wraca na bani do domu i zatacza się. Idzie zygzakiem, bo gorzała zakłóca mu równowagę. Musi łapać się czegoś, żeby utrzymać kierunek. Czasem nie może wyhamować, wpada na ścianę i przewraca się. Tak to wygląda w przybliżeniu. Wyobraź sobie, że Joe to słup wody, a ściana to wybrzeże Maine. Z tą różnicą, że ściana ucierpi bardziej niż Joe.

- Dlaczego jednak nie każda fala to tsunami?

- Wiedziałem, że dojdzie do głosu twoja policyjna logika. Z dwóch powodów. Czas i odległość. Czas między uderzeniami fal o brzeg to pięć do dwudziestu sekund. Przy tsunami to już dziesięć minut do dwóch godzin. Odległość między falami nazywa się długością fali. Fale przybrzeżne może dzielić od stu do dwustu metrów. Przy tsunami to minimum pięćset kilometrów.

- Widziałem całkiem groźne fale przybrzeżne.

- Ja też. Ale zwykła fala uderzająca o brzeg jest krótka i ma szybkość od piętnastu do trzydziestu kilometrów na godzinę. Tsunami liczy sobie setki kilometrów i ma wiele godzin na zgromadzenie energii. Im głębsza woda, tym szybsza fala. Dlatego tsunami pędząca przez ocean może osiągnąć prędkość tysiąca kilometrów na godzinę. Statki nawet jej nie czują i nie jest widoczna z powietrza. Dam ci przykład. W roku 1960 podwodne trzęsienie ziemi w pobliżu Chile wysłało falę przez Pacyfik. Miała nie więcej niż metr wysokości. Dwadzieścia cztery godziny później, gdy uderzyła w wybrzeże Japonii, miała już sześć metrów. Zabiła dwieście osób. Błądziła po Pacyfiku przez kilka dni i rozwalala wszystko na swojej drodze.

- Jeśli to tylko zmarszczka na oceanie, skąd wiadomo, na co się zanosi?

- Łowiłem homary w stosunkowo płytkim miejscu. Fala wyhamowała na płyciźnie i zaczęła rosnać. Nadciągała wolniej, ale wciąż miała całą nagromadzoną energię, która musiała gdzieś ujść. Kiedy taka fala zbliży się do brzegu, spokojne morze zamienia się w potwora. Czasem tsunami wznosi się niczym wieża. Czasem szereg załamujących się fal przypomina strome schody. Może wessać wodę i wypluć z powrotem.

- Tak było u nas. Jakby ktoś wyciągnął korek w dnie portu.

Jenkins przytaknął.

- Tsunami są fascynujące. Bardzo łatwo przystosowują się do sytuacji. Rify, zatoki, ujścia rzek, nachylenie brzegu mogą mieć wpływ na zniszczenia. Fale mogą urosnąć do trzydziestu metrów i więcej. Wszystko zależy od tego, co jest na ich drodze. Mogą ominąć ląd i zniszczyć wybrzeże po przeciwnej stronie wyspy. Kiedy zostaną ściśnięte, stają się szczególnie niebezpieczne, bo cała energia skupia się w jednym miejscu. Mogą nawet wpływać do rzek, jak było tutaj.

Wskazał przez okno rzekę, wpadającą do portu. Jej wysokie brzegi były zaśmiecone szczątkami.

- Dobrze, że nikt się jeszcze nie wprowadził do tych domów nad wodą, które postawił Fred Shrager. Inaczej zamiast kawałków drewna w porcie pływałyby dziś trupy. Mielśmy cholerne szczęście, że zobaczyłeś te fale i rozpoznałeś zagrożenie.

- Więcej niż szczęście - odparł Jenkins, kliknął myszą i na monitorze pojawiła się mapa świata. - Od roku 1990 tsunami zabiły ponad czterysta osób i wyrządziły szkody na miliardy dolarów. W Papui-Nowej Gwinei to był prawdziwy horror. Fala miała prawie czternaście metrów wysokości i uderzyła w wybrzeże na odcinku trzydziestu kilometrów. Kilka minut

później było ponad dwieście trupów. - Przeszedł do symulacji. - To animacja fali wywołanej trzęsieniem ziemi, która w 1923 roku zalała japońską wioskę. Na Pacyfiku widać mnóstwo dużych fal. Ocean otacza „ognisty krąg”, gdzie warstwy tektoniczne często się przesuwają.

- Nie chcę wyjść na matoła, ale jesteśmy nad Atlantykiem, nie nad Pacyfikiem, a wybrzeże Maine to nie Japonia. Mieszkam tu całe życie i jeszcze nie słyszałem o trzęsieniu ziemi.

- Zdarza się tu pewnie więcej małych wstrząsów, niż ci się wydaje, ale masz rację. Dlatego zacząłem szukać innej przyczyny. Rzadsze są tsunami wywołane osunięciem się lądu. Mamy jeszcze erupcje wulkanów i duże meteoryty.

- Nie znam w okolicy zbyt wielu wulkanów.

- Ciesz się. W 1883 roku wulkan Krakatau wywołał fale o wysokości trzydziestu metrów i zginęły tysiące ludzi. A gdyby na środku Atlantyku wylądowała asteroida o średnicy ośmiu kilometrów, fala byłaby wystarczająco wysoka, żeby zatopić górną część wschodniego wybrzeża Stanów. Nowy Jork zniknąłby z mapy.

- Zostaje więc osunięcie się lądu.

- Nazywamy to zapadnięciem się. Pokażę ci - powiedział Jenkins i na monitorze pojawiła się inna mapa. - To zatoka Izmit w Turcji. Fala wywołana zapadnięciem się narobiła tam mnóstwo zniszczeń.

- Co spowodowało zapadnięcie się?

- Trzęsienie ziemi - zaśmiał się Jenkins. - Wiem, że to brzmi jak pytanie, co było pierwsze, jajo czy kura? Zwykle trzęsienie powoduje zapadnięcie się. Problem z naszą zatoczką Rocky Cove polega na tym, że mieliśmy zapadnięcie się bez trzęsienia ziemi.

- Jesteś pewien?

- Całkowicie. Gadałem z pracownikami z obserwatorium Weston w Massachusetts. Rejestrują wszystkie ruchy sejsmiczne w regionie. Wyłapali jakiś łomot, wskazujący na zapadnięcie się dna, ale nie poprzedziło go trzęsienie ziemi. Zanim zobaczyłem, co się dzieje, też usłyszałem podwodny huk. Najwyraźniej poruszyło się dno oceanu na wschód od Maine, ale bez normalnego zderzenia warstw tektonicznych. Rozmawiałem z ekspertami od tsunami w całym kraju. Nikt nie słyszał o czymś takim.

- Więc zapadliśmy się.

- Niezupełnie - odparł Jenkins i na monitorze znów pojawił się poprzedni profil. - Zrobiłem symulację naszej fali. Nawet przy najlepszych informacjach obliczenia mogą być mało dokładne. Trzeba znać szybkość, wysokość i siłę niszczącą fali oraz uwzględnić fragmenty linii brzegowej, które spowodują odchylenie lub dyfrakcję fali.

- To chyba niewykonalne.

- Kilka lat temu naukowcy użyli komputerowej techniki modelowania matematycznego do rozwiązania zagadki upadku cywilizacji na Krecie. Spójrz, to jest mapa wybrzeża Maine. Tu jest port. Najsilniejsze uderzenie miało miejsce kilka kilometrów stąd. Rybacy widzieli

fale przelewające się nad skałami w Newcomb.

Szeryf gwizdnął.

- Tamte urwiska mają co najmniej piętnaście metrów wysokości.

Jenkins przytaknął i wskazał mapę na ekranie. Strzałka celowała w ląd.

- Główne uderzenie fali poszło na północ od nas. Tutaj w zatoce mogło być dużo gorzej.

Nie wiem, czy nawet ten dom by ocalał.

Szeryf zbladł.

- A więc zalałoby całe miasteczko.

Jenkins pochylił się do przodu, wpatrzony w monitor.

- To zadziwiające. Spójrz, jak prosto szła ta fala. Jakby dziecko zrobiło ją w wannie.

Szeryf postukał w ekran.

- Tutaj to się zaczęło?

- Chyba tak. To tylko przypuszczenie oparte na dowodzie pośrednim.

- Byłem na kursie rekonstrukcji wypadków drogowych. Nie do wiary, ile można się dowiedzieć o szybkości i sile uderzenia z rozbitych reflektorów i śladów opon.

- Jestem prawie pewien, że fala powstała jakieś dwieście pięćdziesiąt kilometrów na wschód stąd.

- Co teraz zamierzasz robić?

Jenkinsa rozboleły ramiona.

- Najpierw zaparzę herbatę. Potem zagramy w szachy.

13

Morze Czarne

Kuter rybacki „Turgut” zbliżał się do rosyjskiego wybrzeża. Austin czujnie obserwował pustą plażę przez lornetę ze stabilizacją żyroskopową. Na brzegu panował spokój. Wiatr i przyływ zatarły ślady stóp na piasku. Na poczerniałej od ognia wydmie wyrastała już świeża trawa. Trudno było uwierzyć, że zaledwie kilka dni temu doszło tu do krwawej walki.

Plaża miała długość około półtora kilometra. Na obu krańcach sterczały cyple przypominające boki kanapy. Oprócz urwiska wyrzeźbionego przez morze i wiatr jak profil starca widok nie był ciekawy. Nad wydmami wisiała mgła. Austin pamiętał, że za trawiastymi pagórkami ląd opada ku opuszczonym budynkom. Dalej jest płaski, nierówny teren, otoczony drzewami.

Austin poczuł dziwny swąd. Zmarszczył nos, opuścił lornetę i odwrócił się. Kapitan Kemal palił czarne, powykrzywiane cygaro. Wyjął je z pociemniałych od nikotyny zębów i wskazał nim ląd.

- Jak tam wygląda, panie Austin?

- Spokojnie jak w grobie.

- Nie podoba mi się ten spokój - odrzekł Kemal i wypuścił nosem dwie smugi dymu. - Kiedy byłem przemytnikiem, nigdy nie lubiłem takiego bezruchu na brzegu. Nawet mowy tu nie latają. Na pewno chce pan tam teraz iść?

- Niestety, nie mamy wielkiego wyboru. Choć liczyłem na to, że mgła się podniesie.

Kemal zmrużył oczy i popatrzył na brzeg.

- Może za godzinę, dwie.

- Nie możemy tyle czekać.

Kapitan machnął cygarem, aż poleciały iskry.

- Ludzie są gotowi.

Austin skinął głową i pomyślał o rozmowie z Kemalem w drodze ze Sztambułu. Zapytał kapitana, czy zna rosyjskiego marynarza, który sprzedał Kaeli Dorn mapę z zaznaczoną bazą okrętów podwodnych.

- To Walentin - odparł natychmiast Kemal. - Rybacy wynajmują go do pomocy. Panna

Dorn zapłaciła mu zbyt dużo za tę „wielką tajemnicę”. Wszyscy rybacy wiedzą o bazie.

- Wiedzieli, że tu była baza?

Kapitan uśmiechnął się z wyższością.

- Jasne. Rybacy wiedzą wszystko. Obserwujemy pogodę, morze, ptaki, statki. Trzeba mieć szeroko otwarte oczy, żeby uniknąć kłopotów.

Odpowiedź Kemala nie zaskoczyła Austina. Często współpracował z rybakami i wiedział, że są bystrzymi obserwatorami tego, co na wodzie i pod wodą. Rybak musi być jednocześnie biologiem, meteorologiem, mechanikiem i żeglarzem. Jego życie zależy od tego, co wie. Kemal był kiedyś przemytnikiem, więc powinien być bardziej spostrzegawczy niż przeciętny marynarz.

- Długo pan łowił na tych wodach? - zapytał Austin.

- Wiele lat. Kiedyś widywało się tu kutry z różnych portów. Tureckie, rosyjskie, czasem nawet bułgarskie. Połowy były dobre. Przyływały tu duże ławice makreli. Nikt nam nie przeszkadzał. Któregoś dnia pojawiły się rosyjskie kutry patrolowe z karabinami maszynowymi. Rosjanie powiedzieli rybakom, że teraz jest tutaj stacja naukowa. Zastrzelą każdego, kto podpłynie zbyt blisko. Niektórzy rybacy nie posłuchali ich i przypłacili to życiem, więc reszta z nas trzymała się z daleka. Łowiliśmy gdzie indziej. Czasem widywaliśmy peryskopy. Kiedyś obok mojego kutra wynurzyła się wielka czarna płetwa.

- Okręt podwodny?

Kemal przytaknął.

- Pewnie chcieli mi się przyjrzeć. Potem Związek Radziecki rozpadł się. Okręty podwodne zniknęły. Wszyscy mówili, że Rusczy już nie mają floty. Kiedyś zaryzykowałem i przypłynąłem tu na połów. Gdyby znów się pojawili, dałbym stąd nogę. Ale nikt mnie nie zatrzymał. Od tamtej pory łowią przy ich brzegu bez problemów. Kiedy ekipa telewizyjna chciała się tu wybrać z Mehmetem, pomyślałem, że niczym to nie grozi.

- Wychodził pan tu kiedyś na brzeg?

- Nie. Nie obchodziło mnie, co tu jest. Do śmierci Mehmeta.

Kemal splunął za burtę.

Opowieść Kemala zgadzała się z raportem, który przysłał Austinowi Leahy. Według danych CIA, budowa bazy rozpoczęła się po 1950 roku. Sfotografował ją samolot szpiegowski U-2. Amerykanie przyglądali się uważnie rosnącemu kompleksowi. Wywiad turecki potwierdzał raporty CIA o ruchu okrętów podwodnych. Amerykańskie stacje nasłuchowe ustaliły, że bazą zarządza dowództwo Floty Czarnomorskiej w Sewastopolu. Stacja naukowa została zbudowana do badań oceanicznych na użytek floty.

Po zimnej wojnie aktywność militarna osłabła. Nowe państwo rosyjskie nie miało pieniędzy. Zamknęło bazę, podobnie jak Stany Zjednoczone zlikwidowały niepotrzebne instalacje wojskowe. Stacja naukowa opustoszała. CIA mogłaby zaoszczędzić miliony dolarów, gdyby zamiast obserwacji bazy porozmawiała z Kemalem i jego przyjaciółmi.

Niestety, Turek pomylił się co do jednego. Uważał, że baza jest opuszczona, co kosztowało życie jego kuzyna.

Półtora kilometra od brzegu Austin poprosił Kemala, żeby rzucił kotwicę. Chwilę później maszyny „Turguta” stanęły. Rozległ się grzechot łańcucha i przez kuter przeszły wibracje. Kiedy kotwica z pluskiem wpadła do wody, Kemal poszedł dopilnować spuszczenia trałów.

Zza sterówki wyłonił się Zawała. Przygotowywał tam sprzęt do nurkowania.

Austin spojrział na niedopałek cygara w jego zębach.

- Widzę, że dobrałeś się do zapasów kapitana.

- Poczęstował mnie. Nie chciałem go urazić - odparł Zawała, wyjął niedopałek z ust i odsunął na wyciągnięcie ręki. - Robią to chyba ze starych opon, ale można się przyzwyczaić. Sprzęt gotowy.

Austin poszedł za nim na lewą burzę. Sterówka zasłaniała ich tutaj przed wścibskimi oczami na łądzie. Na wąskim pokładzie leżały w dwóch rzędach podwójne butle ze sprężonym powietrzem, pasy balastowe, kaptury, rękawice, buty, płetwy i dwa czarne skafandry Viking Pro, wyprodukowane według specyfikacji NATO. W słońcu lśniły żółte, wykonane z włókna szklanego kadłuby dwóch ciągników podwodnych typu Torpedo 2000. Pojazdy miały kształt rakiety, napęd elektryczny i szybkość maksymalną ośmiu kilometrów na godzinę. Akumulatory wystarczały na sześćdziesiąt minut.

Włożyli skafandry, pomagając sobie nawzajem przy butlach, i sprawdzili swój ekwipunek. Poczłapali w płetwach do relingu i stanęli na krawędzi pokładu.

- Jakies pytania przed zanurzeniem? - zagadnął Austin.

Zawała rzucił czarne cygaro za burzę.

- Wejdz do wody. Rozejrzyj się. W razie potrzeby improwizuj.

Austin mniej więcej w ten sposób pouczał ich przed każdą akcją. Był gorącym zwolennikiem prostych planów. Im więcej elementów, tym łatwiej coś schrzanić. Wiedział z doświadczenia, że nie sposób przewidzieć każdej sytuacji. Przypominały mu o tym blizny na muskularnym ciele. Uważał, że zawsze potrzebna jest asekuracja. W kieszeniach na piersi mieli broń i zapas amunicji. Zabrali też sprzęt łącznościowy, choć mógł być mało przydatny. Zapuszczali się na teren obcego państwa. W razie kłopotów każdy był zdany na siebie.

- Zapomniałeś o jednej rzeczy - powiedział Austin.

Zawała obejrzał się.

- Dbaj o własną skórę.

- Nie jesteśmy samobójcami i chcielibyśmy wrócić do domu.

- To mi odpowiada - rzekł Zawała. - Jestem mocno przywiązany do mojego ciała.

Austin skrzywił się na ten dowcip i pokazał kapitanowi uniesiony kciuk. Przytrzymał maskę i skoczył na nogi do granatowego morza. Poszedł pod wodę, potem automatyczny regulator pławności wypchnął go na powierzchnię. Zawała unosił się kawałek dalej. Sprawdzili akwalungi i Austin dał znak Kemalowi.

Kapitan opuścił do wody dwa jaskrawożółte torpeda 2000. Załoga pracowała przy trałach od strony łądu. „Turgut” wyglądał z brzegu jak każdy inny kuter rybacki na łowisku. Austin przypomniał Kemalowi, żeby szybko uciekał po pierwszej oznace kłopotów. Nie chciał więcej pogrzebów w rodzinie kapitana.

Uśmiech Kemala mówił wyraźnie, że ma gdzieś takie dobre rady. Życzył im powodzenia po turecku i po angielsku. Austin zagryzł ustnik aparatu tlenowego, złożył się, machnął płetwami i zniknął pod powierzchnią. Zawała tuż za nim. Zawisnęli na głębokości sześciu metrów i przetestowali podwodny bezprzewodowy system łączności Divelink.

- Jesteś gotów do inwazji na Rosję? - zapytał Austin.

Odpowiedź Zawała zabrzmiała w słuchawkach Austina jak bełkot Kaczora Donalda.

- Nie mogę się doczekać! Rosjanki są najładniejsze na świecie. Zielone oczy, wydatne kości policzkowe, pełne usta...

- Przyhamuj swój popęd płciowy, Jose. To nie wycieczka z biurem podróży Club Med. Po powrocie zamówisz sobie rosyjską narzeczoną w Internecie.

- Dzięki, że wylałeś kubek zimnej wody na moje sprośne myśli.

- Skoro już mowa o zimnej wodzie, mamy jej przed sobą około półtora kilometra. Czas ruszyć w drogę.

Austin sprawdził kompas na przegubie ręki i pokazał palcem w kierunku brzegu. Włączyli napęd żółtych pojazdów. Zaszumiały elektryczne silniki i dwa torpeda 2000 gładko pociągnęły nurków przez jasnozieloną toń. Sprzed dziobów umykały całe ławice ryb. Nic dziwnego, że Kemal i inni rybacy ryzykowali życie, żeby tu łowić.

Austin zastanawiał się nad tym, co ich czeka na lądzie. Leahy przysłał mu szkice radzieckich baz okrętów podwodnych z archiwów CIA. Rosjanie wzorowali je na niemieckich żelbetowych schronach dla U-Bootów, które okazały się niezniszczalne. Grubych stropów nie mogły przebić żadne bomby z alianckich arsenałów.

Wynalezienie bomby atomowej zmieniło sytuację. Beton nie chronił przed atakiem jądrowym. Zmieniła się też konstrukcja okrętów podwodnych. Współczesne atomowe okręty podwodne mogą przebywać pod wodą dłużej i głębiej niż ich odpowiedniki z czasów II wojny światowej. Ale nawet najlepsze muszą od czasu do czasu wypływać po zaopatrzenie i na przeglądy techniczne. Rosjanie budowali swoje bazy w tajemnicy. Nie przewidzieli wynalezienia samolotu U-2 i satelitów szpiegowskich. Ani ciekawości i bystrego wzroku rybaków w rodzaju Kemala.

Bliżej brzegu woda zrobiła się mętna od pływających kawałków roślin, przynoszonych przez fale.

- Czego właściwie szukamy? - zapytał Zawała, wpatrując się zmrużonymi oczami w żwirowe dno, stromo pnące się do plaży.

- Neonu z napisem powitalnym - odparł Austin. - Ale zadowolę się czymś w rodzaju wielkich drzwi garażowych.

Zavala włączył mocną lampę Phantom i oświetlił wzniesienie.

- Nie widzę nawet klamki.

- Tracimy tu czas. Nie zbudowaliby bazy na plaży. Potrzebowali litej skały nad głowami. Sprawdźmy urwiska. Płynę w prawo.

Zavala pomachał Austinowi i zwinnie zawrócił swój pojazd. Szybko zniknął w mroku. Austin odpłynął w przeciwną stronę. Po chwili w jego słuchawkach zabrzmiał głos śpiewającego kaczora. Zavala nucił fałszywie *Guantanamere*.

Austin płynął równolegle do podwodnego zbocza. W końcu piasek i żwir ustąpiły miejsca litej skale. Kwakanie Zavali przycichło, gdy oddalili się od siebie. Austin odetchnął z ulgą. Nie zauważył niczego, co przypominałoby wejście. Już miał powiedzieć Zavali, że czas wracać, gdy Joe nagle zawołał:

- Coś mam, Kurt!

Austin zawrócił torpeda ciasnym łukiem. Popłynął wzdłuż plaży w kierunku srebrzystego punktu, który mrugał jak światełko w letnią noc. Zavala unosił się w wodzie, dając mu sygnały lampą. Kiedy Austin zbliżył się, Joe snopem światła wskazał podwodną ścianę u podnóża cypla Imama.

Austin popatrzył na wielki stos kamieni. Przypominał osuwisko w górskiej dolinie. Na dnie morza walały się setki odłamków skalnych i kawałków betonu. Musiała je rozrzucić ogromna siła eksplozji.

Jeśli była to droga do bazy, żaden okręt podwodny nie przepłynąłby tędy w najbliższym czasie. Austin krążył tam i z powrotem, ale nie znalazł ani śladu otworu. Wejście było całkowicie zablokowane.

Zavala dołączył do niego.

- To tyle, jeśli chodzi o moje marzenia o pięknych Rosjankach.

Austin przyjrzał się osuwisku, potem podpłynął do betonowego bloku o wysokości około dwóch metrów i szerokości metra. Odłamek stał pionowo niczym wielki kamień nagrobny. Ze szczytu sterczały dwa stalowe pręty. Wyglądały jak czułki owada.

- Gdyby udało nam się go pchnąć, może reszta osunęłaby się i odsłoniła dziurę.

- Niezły pomysł. Szkoda tylko, że nie wzięliśmy dynamitu.

- Może nie będzie potrzebny. Pamiętasz, co powiedział Archimedes?

- Ten facet, co prowadzi grecką knajpę na rogu? Jasne. Zapytał: „Na miejscu, czy na wynos?”

- Mówię o innym Archimedesie.

- Aaa, o tamtym! Powiedział: „Eureka!”

- Powiedział jeszcze: „Dajcie mi punkt oparcia, to poruszę Ziemię”.

Zavala spojrzał na stalowe pręty.

- O ile pamiętam, Archimedes miał na myśli dźwignie i punkty podparcia.

- Eureka - odparł Austin i podpłynął do szczytu bloku. Wcisnął się między beton i skałę,

zapał się plecami o ścianę i oparł stopy na jednym pręcie. Zawała zrobił to samo obok.

- Spróbujmy poruszyć mały kawałek świata - powiedział Austin. - Na trzy.

Naparli nogami na pręty. Blok przechylił się kawałek, potem wrócił na miejsce. Przeszkadzały im butle z powietrzem. Spróbowali jeszcze raz. Kawał betonu pochylił się niebezpiecznie. Przez moment wydawało się, że runie, ale mimo ich nacisku znów się cofnął.

Zawała zaproponował, żeby pchali wyżej. Przesunęli stopy na końce prętów. Wbili plecy w skałę i spróbowali znowu. Tym razem blok runął tak nagle, że omal nie polecieli za nim. Uderzył w zwolnionym tempie o wielki głaz, pękł na pół, odbił się kilka razy i wylądował na dnie w obłoku mułu. Za nim stoczyły się z osuwiska inne odłamki.

- Prymitywne, ale skuteczne - powiedział Austin, widząc otwór w rumowisku. Oświetlił go lampą i spróbował wcisnąć się do środka. Przeszkodziły mu butle z powietrzem. Zdjął je. Trzymając ustnik w zębach, wsunął się tyłem do otworu i wciągnął za sobą butle. Zawała zrobił to samo.

Utknęli w ciasnej przestrzeni między kupą głazów i masywnymi dwuskrzydłowymi drzwiami pancernymi. Były zamknięte, ale wybuch zagiął górny róg stalowej płyty jak kartkę w książce. Zmieścili się tam razem z butlami. Po drugiej stronie poświecili dookoła lampami. Snopy światła niknęły w pustce. Unieśli się w górę i po chwili ich butle otarły się o beton. Popłynęli tuż pod stropem przez ciemną wodę.

Po kilku minutach sufit zniknął. Wynurzyli się w zupełnej ciemności. Austin wypuł ustnik aparatu tlenowego i ostrożnie powąchał powietrze. Było stęchłe, ale nadawało się do oddychania. Zapalili lampy. Unosili się w wodzie niedaleko krawędzi basenu. Podpłynęli do drabinki, podciągnęli się na brzeg i poświecili dookoła.

- Co ja widzę! - powiedział Austin. - Ktoś zostawił w wannie gumową kaczuszkę.

W drugim końcu prostokątnego basenu majaczyły kontury okrętu podwodnego.

Ułożyli sprzęt do nurkowania tak, żeby móc go szybko zabrać z powrotem. Zdjęli skafandry i zostali tylko w czarnych ocieplaczach. Wzięli broń, zapas amunicji i lampy. Austin przypiął do pasa radio. Spróbował wywołać Kemala, ale grube betonowe ściany uniemożliwiły łączność. Wyruszyli na zwiedzanie sztucznej groty z wysokim stropem. Szli po wąskich torach, które biegły wokół basenu. Minęli pompy paliwowe, rury i przewody elektryczne.

Z góry zwisały pomosty robocze i podnośniki do ciężkich ładunków. Austin i Zawała okrążyli basen i podeszli do suchego doku. Kadłub okrętu podwodnego miał ponad sto metrów długości. Wspięli się na pokład i przeszli od dziobu do rufy. Za kioskiem było długie, płaskie wgłębienie. Wdrapali się na górę i otworzyli właz. Z luku buchnął fetor starego jedzenia, niemytych ciał i paliwa.

Zawała był ekspertem od pojazdów podwodnych. Zgłosił się na ochotnika do zbadania wnętrza. Austin został na straży.

- Nikogo nie zastałem - zameldował po powrocie Zavała. Jego głos odbił się echem w wielkiej grocie.

- Nic?

- Tego nie powiedziałem - odparł Zavała i wręczył Austinowi czapkę baseballową marynarki wojennej. - Znalazłem to na koi.

Austin przyjrzał się białym literom „NR-1” nad daszkiem.

- Mamy więcej pytań niż odpowiedzi.

- Sam okręt jest mniej tajemniczy. To diesel. Zbudowany do celów specjalnych. Nie ma torped. Sądząc po wyglądzie, na powierzchni musi być dość szybki. Te płetwy na kiosku powinny mu zapewniać dobrą manewrowość pod wodą. Pokład jest przystosowany do transportu jakiegoś ładunku. Może małych łodzi podwodnych.

- Jak NR-1?

- Bez problemu. Ale dlaczego zablokowali drogę do schronu?

- Już nie potrzebują tego maleństwa. Znasz lepszy sposób ukrycia dowodu? Spróbujmy poszukać właściciela czapki.

Nie znaleźli więcej śladów. Obeszli basen dookoła i wrócili do swojego sprzętu. Tory prowadziły do podwójnych stalowych drzwi o wysokości ponad trzech i pół metra. Obok było wejście, pozwalające ominąć ciężkie wrota. Zavała poruszył klamką.

- Otwarte - ucieszył się. - Mamy fart.

- Nie bądź taki pewien. To może być pajęcza pułapka na muchy.

- Nie boję się pajaków - odparł Zavała i do rękojeści pistoletu heckler&koch VP70M kaliber 9 przymocował kaburę. Utworzyła kolbę do strzelania z ramienia. Ustawił ogień na trzystrzałowe serie.

Austin wyciągnął swoją broń. Jego ruger redhawk był ciężkim rewolwerem, wyprodukowanym na zamówienie przez Bowen Classic Arms Company. Strzelał specjalną amunicją dużego kalibru. Rękojeść zrobiono z rzadkiego południowoamerykańskiego drewna węzowego. Gruba lufa miała tylko dziesięć centymetrów długości, ale rewolwer walił jak armata.

Otworzyli boczne drzwi i weszli. Hala była o połowę mniejsza od schronu dla okrętu podwodnego. Dochodziły tu tory z głównej groty. Na szynach stało kilka samobieżnych wagoników towarowych, napędzanych propanem. Miały wielkość samochodu osobowego. Główne tory biegingy przez środek hali. Od zwrotnic odchodziły odgałęzienia do łukowych portali po obu stronach.

Weszli do pierwszego pomieszczenia z brzegu. Na półkach leżały części zapasowe. W następnych magazynach były narzędzia, sprzęt gaśniczy i warsztaty. Jedną z sal oddzielały od reszty ciężkie stalowe drzwi pancerne. Trzymano tu materiały wybuchowe i broń krótką.

Wrócili do głównej groty i podeszli do windy. Obok były drzwi na klatkę schodową. Z góry dochodził zapach gotowanej kapusty. Wspięli się na piętro. Spod drzwi na podeście

sączyło się światło.

Austin przyłożył do nich ucho. Nic nie usłyszał. Uchylił drzwi, potem ostrożnie otworzył na całą szerokość. Przekroczył próg i przywołał gestem Zavalę. Byli w szerokim korytarzu z górnym oświetleniem. Mogły się tu zmieścić obok siebie cztery osoby. Betonowy tunel przypominał schron piętro niżej.

Po jednej stronie ciągnął się szereg drzwi. Za pierwszymi była chłodnia pełna mięsa i warzyw. Łączyła się z magazynem produktów spożywczych i konserw. Obok znaleźli dużą kuchnię i piekarnię. Przeszli stamtąd do stołówki z długimi ławami i stołami. Kapusta pachniała coraz mocniej.

Austin strzepnął z blatu okruchy i dotknął palcem rozlanej wody.

- Dobrze się rozglądaj - doradził. - Mogą tu jeszcze być klienci tego lokalu.

Drzwi ze stołówki wychodziły na inny korytarz i sypialnię z pięćdziesięcioma pryzami. Prycze były zaścielone, kufry marynarskie puste. Weszli do małej świetlicy obok. Stało tu kilka stolików i krzeseł. Austin przyjrzał się szachownicy z pionkami, potem przesunął czarnego konia na inne pole.

- Szach i mat - powiedział.

Wrócili do głównego korytarza i wspięli się po schodach piętro wyżej. W przeciwieństwie do spartańskich koszar podłogę pokrywały grube dywany, a ściany ciemna boazeria. Znajdowały się tu pokoje biurowe i sale konferencyjne. Na ścianach wisiało kilka poźółkłych map morskich, ale biurka i szafki były puste.

- To stąd kierowano bazą - zauważył Austin.

Zavala rozejrzał się.

- A teraz straszą tu duchy.

- Ci, którzy parę dni temu zestrzelili mnie nad plażą, nie wyglądali na istoty eteryczne - powiedział Austin.

Wyszli z dowództwa na główny korytarz i zajrzeli do kilku dwuosobowych sypialń, zapewne kajut oficerskich. Potem przeszli łącznikiem do dużego luksusowego apartamentu. Na lśniącej dębowej podłodze leżały orientalne dywany. W pokoju stały ciężkie ozdobne meble z ciemnego drewna. Wystrój był mieszanką stylu bizantyjskiego i bliskowschodniego. Nie żałowano czerwonego pluszu i poźłoty.

Zavala popatrzył na jeden z kilku obrazów zmysłowych kobiet.

- Po powrocie do domu przypomnij mi, żebyś urządził mieszkanie jak ten harem.

Trudno było wyobrazić sobie radzieckiego dowódcę bazy w tym dekadentckim otoczeniu.

- To wygląda jak czyjaś wizja wiktoriańskiego burdelu.

Mimo żartów obaj czuli się niepewnie. Austin pamiętał, co go spotkało podczas pierwszej wizyty na tym wybrzeżu. Obejrzelni resztę apartamentu i natrafili na grube drewniane drzwi. Miały ćwieki i ozdobne okucia niczym wrota średniowiecznej twierdzy. Była na nich wyryta stylizowana litera R.

Zavala zbadał antyczną dziurkę od klucza. Potem sięgnął do swojego pakietu, wyjął pokrowiec z miękkiej skóry i rozłożył komplet wytrychów. W większości krajów wylądowałyby z tym za kratkami. Wybrał jeden z większych i pomacał mocne stalowe zawiasy.

- Bazowy klucz szkieletowy powinien załatwić sprawę. Po drugiej stronie musi być coś cennego. Dziwne, że nie dali lepszego zamka.

Schylił się, wsunął wytrych do dziurki od klucza, poruszał chwilę i przekręcił. Zamek był dobrze naoliwiony i otworzył się z głośnym trzaskiem.

Austin przyłożył ucho do drzwi. Nic nie usłyszał, więc nacisnął ozdobną klamkę i... zawahał się. A jeśli od początku obserwują ich ukryte kamery?

Może po drugiej stronie czai się już banda zabójców? Wzdrygnął się na myśl o pocisku lub nożu w oku.

Wiadomo, że najlepszym sposobem obrony jest atak. Odbezpieczył rewolwer i dał znak Zavali, żeby go osłaniał. Pchnął drzwi.

14

Poobijana czarna taksówka łąda podskakiwała na leśnej drodze. Każdy element starego podwozia klekotał w proteście. Wyboiste koleiny prowadziły między gęstymi sosnami do kolonii domków kempingowych nad Morzem Czarnym. Samochód bujał się na zużytych amortyzatorach nawet wtedy, gdy Paul i Gamay Troutowie wygramolili się z ciasnego tylnego siedzenia. Zdjęli torby podróżne z bagażnika dachowego i zapłacili kierowcy. Łada odjechała w tumanie kurzu. Drzwi najbliższego domku otworzyły się gwałtownie i na zewnątrz wypadł zwałisty gość.

- Trout! Nie wierzę! Fajnie, że cię znów widzę, stary! - ryknął, aż zatrzęsły się wierzchołki drzew

Zgniół Paula w niedźwiedzim uścisku i wygrzmocił po plecach.

- Cze... eść, Wła.. ad - wykrztusił Trout - To mo... oja żona, Ga... amay. Gamay, przedstawiam ci profesora Władimira Orłowa.

Orłow wyciągnął łapę wielkości szynki i spróbował stuknąć obcasami gumowych kłapek.

- Miło panią poznać, Gamay. Mąż często opowiadał o pani przy piwku w barze Captain Kidd.

- O panu też dużo opowiadał, profesorze. Bardzo przyjemnie wspomina rok spędzony z panem w Woods Hole.

- Mamy wiele wspólnych miłych wspomnień - przytaknął Orłow i odwrócił się do Paula.

- Jest taka piękna i czarująca, jak sobie wyobrażałem. Szczęściarz z ciebie.

- Dzięki. Na pewno ucieszy cię wiadomość, że twój stółek barowy czeka na ciebie.

- Jak sprawy w instytucie?

- Byłem tam kilka dni temu. Chciałem wpaść do domu między kolejnymi zleceniami NUMA. W Woods Hole nic się nie zmieniło od twojego wyjazdu.

- Zazdroszczę ci. Uboga Rosja skąpi pieniędzy na badania naukowe. Nawet takie zasłużone instytucje jak Państwowy Uniwersytet Rostowski muszą błagać o fundusze. Mamy szczęście, że rząd pozwala uniwersytetowi korzystać z tego ośrodka.

Gamay rozejrzała się. Między drzewami lśniła woda.

- Przypominają mi się stare kolonie domków letnich nad Wielkimi Jeziorami.

- Kiedyś odpoczywali tu z żonami oficerowie radzieckiej marynarki wojennej. Jest nawet kort tenisowy, ale nawierzchnia przypomina krater na Księżycu. Studenci wyremontowali domki. Doskonale miejsce na seminaria i na spędzanie wakacji. Można tu spokojnie pomyśleć. Chodźcie, pokażę wam waszą kajutę.

Orłow chwycił torby podróżne i ruszył ścieżką usłaną igłami sosnowymi. Na jasnozielonym domku lśniła świeża farba. Wspiął się na ganek, postawił bagaże i otworzył drzwi. W pokoju były piętrowe prycze dla czterech osób, stół, zlew z pompą i kempingowa kuchenka gazowa. Orłow podszedł do zlewu i poruszył dźwignią pompy.

- Woda jest czysta i zimna. Zawsze zostawiajcie trochę w tej puszcze po kawie do zalania pompy. Na zewnątrz jest prysznic i WC. Niestety wszystko to dość prymitywne.

Gamay rozejrzała się po pokoju.

- Wygląda całkiem przytulnie.

- Sami się tu wprosililiśmy - przypomniał Paul. - Powinniśmy być wdzięczni, że nie każesz nam spać w namiocie.

- Nonsens! Pewnie chcecie się rozpakować i przebrać w coś wygodniejszego - powiedział Orłow i wskazał swoje czarne workowate szorty i czerwoną koszulkę. - Jak widzicie, żyjemy tu na luzie. Kiedy będziecie gotowi, przyjdźcie na polanę. Przygotuję coś orzeźwiającego do picia.

Po wyjściu profesora umyła się nad zlewem. Gamay zmieniła modne bawełniane spodnie i sweter na niebieskie szorty i koszulkę z Instytutu Oceanograficznego Scrippsa, gdzie poznała Paula, który tam studiował. Paul miał na sobie niegniotącą się kurtkę marynarską, brązowe spodnie i jedną ze swoich ulubionych muszek we wściekłym kolorze. Teraz włożył nowe brązowe szorty, marynarską koszulkę polo i sandały. Poszli między sosnami na główną polanę.

Orłow siedział przy stole piknikowym w cieniu drzewa. Rozmawiał z parą w średnim wieku. Przedstawił ich jako Nataszę i Leona Arbikowów, fizyków. Z trudem mówili po angielsku, ale wystarczyły im promienne uśmiechy. Orłow wyjaśnił, że w ośrodku jest trochę naukowców i studentów. Przeprowadzają eksperymenty albo po prostu czytają. Wyjął z wielkiej lodówki plastikowe pojemniki ze świeżymi owocami, kawiozem, wędzoną rybą i zimnym barszczem oraz dzbanek wody i butelkę wódki. Troutowie spróbowali jedzenia, ale pili wodę. Alkohol zostawili na później. Orłow nie miał takich oporów.

- Alkohol pomaga mi w koncentracji - powiedział wesoło z ustami pełnymi kawioru i znów grzmotnął Paula w plecy. - Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś, stary. Strasznie się ucieszyłem, kiedy zadzwoniłeś.

- Ja też się bardzo cieszę z naszego spotkania, Wład, choć nie było łatwo skontaktować się z tobą.

- Z cywilizacją łączy nas tu jeden telefon. To zaleta tego miejsca. Zaginiony świat. Ale to my jesteśmy dinozaurami - zarechotał z własnego dowcipu. - Prawie nic nam nie płacą, ale

możemy pracować tanim kosztem. Co was sprowadza nad Morze Czarne?

Podniósł butelkę, oblizął wargi i znów nalał sobie wódki.

- Słyszałeś o „Argo”, statku badawczym NUMA?

- O tak. Byłem na nim. Kilka lat temu. Wspaniały. Ale po NUMA nie spodziewałbym się gorszego sprzętu.

Paul przytaknął.

- Gamay i ja prowadzimy pewne badania w związku z obecnym zadaniem „Argo”. Pamiętałem, że pracujesz na tutejszym uniwersytecie i pomyślałem, że dam ci znać, skoro jesteśmy w pobliżu.

Austin poprosił Troutów, żeby powęszyli wokół Ataman Industries, gdy on i Zavała będą myszkowali w bazie okrętów podwodnych. Ataman miał swoją centralę w portowym mieście Noworosyjsk w północnowschodnim zakątku Morza Czarnego.

Trout natychmiast pomyślał o Orłowie. Rosyjski profesor, który niedawno złożył wizytę w Instytucie Oceanograficznym Woods Hole, wykładał na uniwersytecie w Rostowie niedaleko Noworosyjska. Kiedy Paul zadzwonił do niego, Orłow powiedział, że nie wybaczy Troutom, jeśli go nie odwiedzą.

- Nie mieliście problemów z dotarciem tutaj? - zapytał.

- Żadnych. Udało nam się w ostatniej chwili złapać samolot do Noworosyjska. Uniwersytet załatwił nam taksówkę z lotniska i przyjechaliśmy. Chciałbym wiedzieć, gdzie właściwie jesteśmy. Między Rostowem i Noworosyjskiem?

- Zgadza się. Noworosyjsk to port obsługujący kaukaskie pola naftowe. Miasto-bohater. Pełno tam szpetnych pomników, upamiętniających heroiczną postawę narodu rosyjskiego w czasie ostatniej wojny - wyjaśnił Orłow i zwrócił się do Gamay. - Paul wychwalał pani znajomość biologii morskiej. Nad czym pani teraz pracuje?

- Ostatnio badałam degradację raf koralowych na Florida Keys, spowodowaną wyciekami przemysłowym.

Orłow pokręcił głową.

- Wygląda na to, że nie tylko Rosjanie barbarzyńsko niszczą środowisko. Badam skażenie Morza Czarnego. A ty, Paul?

- Prowadziłem w Woods Hole konsultacje w dziedzinie górnictwa morskiego. Chyba jeden z waszych koncernów górniczych, o których czytałem, ma siedzibę w Noworosyjsku.

Udawanie nie było mocną stroną Trouta. Czuł się nieswojo, kiedy kogoś okłamywał. Zwłaszcza starego przyjaciela.

- Górnictwo morskie? Pewnie chodzi o Ataman Industries.

- Być może. Na pewno gdzieś o tym czytałem.

- Byłbym zaskoczony, gdybyś nie czytał. Ataman to potęga. Zaczęli od górnictwa lądowego, ale dostrzegli interes pod wodą. Teraz ich flota pływa po całym świecie.

- Sprytnie posunięcie przy obecnym zapotrzebowaniu na paliwa.

- Fakt, ale mało kto wie, że Ataman przoduje w dziedzinie wynalazków do wydobywania hydratu metanowego z dna morskiego.

- Nie przypominam sobie żadnej wzmianki na ten temat w literaturze fachowej.

- Nie chcą się ujawniać. Kapitalizm rosyjski jest jeszcze w fazie Dzikiego Zachodu. Nie mamy takiego prawa patentowego jak wy. Choć wątpię, czy coś by to dało. Ataman zatrudnia tysiące ludzi. Nie jest łatwo utrzymać coś w tajemnicy. Zbudowali całą flotę monstrualnych statków do wydobywania „ognistego lodu”.

- „Ognistego lodu”? - zdziwiła się Gamay.

- Ktoś wymyślił taką nazwę dla hydratu metanowego, połączenia metanu z cząsteczkami wody - wyjaśnił Paul. - Jego złoża znajdują się pod dnem morskim na całym świecie. Wygląda jak zlodowaciały śnieg, tyle że palny.

Wtrącił się Orłow.

- Każdy wie, że uczeni radzieccy przypisywali sobie wszystkie wynalazki, od żarówki do komputera. Ale w tym wypadku muszę oddać im sprawiedliwość; pierwsze naturalne złoża znaleziono na Syberii. Nazwano to gazem błotnym. Później Amerykanie odkryli hydraty pod oceanem.

- U wybrzeży Karoliny Południowej - przytaknął Trout. - Ludzie z Woods Hole nurkowali tam w batyskafie głębinowym „Alvin”. Widzieli pióropusze gazu uchodzące z osadów geologicznych wzdłuż uskoków dna morskiego.

- Czy ma zastosowanie przemysłowe? - zapytała Gamay.

Orłow chciał sobie jeszcze nalać wódki, ale po zastanowieniu odstawił butelkę.

- To ogromny potencjał. Złoża światowe zawierają prawdopodobnie więcej energii niż zasoby wszystkich paliw kopalnych razem wziętych.

- Więc mogą zastąpić ropę i gaz?

- „Scientific American” nazwał to paliwem przyszłości. Miliardowy biznes. Dlatego tylu ludzi jest zainteresowanych wydobywaniem. Jednak wiążą się z tym ogromne problemy techniczne. Substancja jest niestabilna. Przy niniejszym ciśnieniu szybko ulega dekompozycji. Ale kto opanuje ten proces, będzie w przyszłości rządził światowymi zasobami energii. Ataman przoduje w dziedzinie poszukiwań i badań. I nie jest to dobrze - zakończył Orłow i zmarszczył z troską szerokie czoło.

- Dlaczego? - zapytał Paul.

- Bo jego wyłącznym właścicielem jest ambitny biznesmen, Michaił Razow.

- Musi być bajecznie bogaty - zauważyła Gamay.

- Niewyobrażalnie. Skomplikowany gość. Trzyma swoje interesy w tajemnicy, ale głośno krytykuje rząd i jest bardzo popularny.

- W Stanach potentat z ambicjami politycznymi to nic niezwykłego - odrzekła Gamay. - Często wybieramy bogatych ludzi na gubernatorów, senatorów, prezydentów.

- Nie daj Boże, żeby Razow doszedł do władzy. To fanatyczny nacjonalista. Marzy o

powrocie starych dobrych czasów.

- Myślałam, że komunizm umarł.

- Tak, żeby zastąpiła go inna forma oligarchii. Razow uważa, że Rosja przeżywała okresy największej chwały pod rządami carów Piotra Wielkiego i Iwana Groźnego. Nie wyraża się jasno, co niepokoi wielu ludzi. Mówi tylko, że widzi ucieleśnienie ducha dawnego imperium w Nowej Rosji.

- Takie typy pojawiają się i znikają - przypomniał Paul.

- Mam nadzieję, choć tym razem nie jestem taki pewien. Facet ma siłę przyciągania i jego proste przesłanie trafia do przekonania moim biednym rodakom.

- Skąd się wzięła nazwa „Ataman”? - zapytała Gamay.

- To określenie kozackiego przywódcy. Razow pochodzi z kozackiej rodziny. Większość czasu spędza na wspaniałym jachcie. Nazwał go „Kazaczestwo”, co w wolnym przekładzie oznacza kozactwo. Powinniście zobaczyć ten statek. Robi wrażenie. Pływający pałac. Cumuje niedaleko stąd. No, wystarczy tej polityki. Są przyjemniejsze tematy. Po pierwsze, muszę was przeprosić. Mam trochę pilnej roboty. Za godzinę lub dwie będę wolny. Przez ten czas możecie się poopalać na plaży.

- Znajdziemy sobie zajęcie.

- Doskonale - odrzekł Orłow i wstał. Uścisnął rękę Paulowi i objął Gamay. - Zobaczymy się później i przegadamy całą noc.

Para w średnim wieku też odeszła. Troutowie zostali sami. Paul zaproponował, żeby obejrżeli plażę.

Jakieś trzydzieści metrów od brzegu pływał samotny człowiek. Kamienista plaża nie zachęcała do leżenia na słońcu. Metalowe krzeselka aż parzyły. Gamay szukała wzrokiem miejsca do wyciągnięcia się na ziemi. Paul przespacerował się kawałek. Wrócił po kilku minutach.

- Znalazłem coś ciekawego - powiedział i poprowadził Gamay za sobą. Za zakrętem stała motorówka. Od drewnianego kadłuba odłaziła biała farba, ale łódź wyglądała całkiem nieźle i miała doczepiony nowy silnik Yamahy.

Gamay odgadła myśli męża.

- Chcesz nią popłynąć?

Trout wzruszył ramionami. Z wody wychodził młody człowiek, wyglądający na studenta.

- Zapytajmy go.

Pływak wyszedł na brzeg i zaczął wycierać się ręcznikiem. Podeszli i przywitali się.

- Amerykanie? - zapytał z uśmiechem.

Paul przytaknął i powiedział swoje nazwisko.

- Jurij Orłow - przedstawił się Rosjanin. - Jesteście znajomymi mojego ojca. Studiuję na uniwersytecie.

Mówił po angielsku z amerykańskim akcentem.

Uścisnęli sobie ręce. Jurij był wysoki, dobrze zbudowany. Na czoło opadała mu grzywa jasnych włosów, niebieskie oczy powiększały okulary w rogowej oprawie.

- Zastanawialiśmy się, czy można byłoby popływać motorówką - powiedział Paul.

Jurij rozpromienił się.

- Żaden problem. Dla przyjaciół mojego ojca wszystko.

Zepchnął łódź na głębszą wodę i szarpnął linkę rozrusznika. Silnik zakaszłał, ale nie zaskoczył.

- Ma humory - usprawiedliwił się Jurij. Zatarł ręce, wyregulował mieszankę paliwową i znów spróbował. Tym razem silnik ożył. Zawył, zakrztusił się, potem wyrównał obroty. Troutowie wsiedli do łodzi. Jurij odepchnął ją, wskoczył na pokład i wypłynęli w morze.

15

Oczy Austina po kilku sekundach przyzwyczyły się do mroku. Ciężki zapach kadzidła przypomniał mu wizytę w antycznej bizantyjskiej kaplicy greckiego klasztoru na wzgórzu Mistra z widokiem na Spartę. W mosiężnych kinkietach mrugały gazowe płomyki. Tynkowane ściany pokryte były wspaniałymi ikonami. Sufit wzmacniały grube drewniane belki. W końcu pokoju stał fotel z wysokim oparciem, zwrócony przodem do ołtarza.

Podeszli bliżej. Ołtarz był przykryty czerwonym materiałem ze złotą literą R. Stała na nim dymiąca kadzielnica. Żółte światło lampy na ścianie padało na dużą czarno-białą fotografię w ozdobnej złotej ramie.

Zdjęcie przedstawiało siedem osób - dwoje dorosłych i piątkę dzieci. Mieli podobne rysy. Fotografia wyglądała na portret rodzinny. Z lewej strony stał brodaty mężczyzna w wojskowej czapce z daszkiem, w mundurze galowym. Na piersi miał medale.

Przed mężczyzną stał szczupły, blady chłopiec w marynarskim mundurku. Obok znajdowały się trzy kilkunastoletnie dziewczynki i jedna nieco młodsza. Wszystkie otaczały siedzącą kobietę w średnim wieku. Dzieci miały wysokie czoła po ojcu i szerokie twarze po matce. Na pierwszym planie widoczna była niska kolumna podobna do postumentu wystawowego w muzeum. Na wierzchu leżała wspaniała korona.

Wyglądała na ciężką. Zdobiły ją rubiny, diamenty i szmaragdy. Nawet na czarno-białym zdjęciu lśniły ogniście. Koronę wieńczył złoty dwugłowy orzeł.

- Ta błyskotka musi być wiele warta - zauważył Zavala. - Ale oni nie wyglądają na szczęśliwych.

- Może przeczuwali, co ich czeka - odrzekł Austin i wskazał ołtarz. - R jak Romanów. Kaplica ku pamięci cara Mikołaja II i jego rodziny. Chłopiec ze zdjęcia nosiłby tę koronę jako następca tronu, gdyby ich nie zamordowano.

Austin usiadł w fotelu przed ołtarzem. Kiedy dotknął plecami oparcia, z ukrytych głośników popłynął chór głębokich męskich głosów. Religijna pieśń odbiła się echem od ścian. Austin zerwał się gwałtownie i wyszarpnął rewolwer. Muzyka ucichła.

Zavala stłumił uśmiech.

- Coś taki nerwowy, przyjacielu?

Austin nacisnął ręką oparcie fotela. Popłynęła pieśń. Cofnął rękę i zapadła cisza.

- Ciekawostka - powiedział. - Ukryty przycisk włącza muzykę. Chcesz spróbować?

- Nie, dzięki.

- Przypomnij mi, żebym podłączył fotel wypoczynkowy do mojej kolekcji jazzu nowoczesnego - odrzekł Austin i zerknął na drzwi. - Nic tu po nas. Nawet szczur nie byłby na tyle głupi, żeby dać się złapać w taką pułapkę.

Wyszli z ponurej kaplicy Romanowów i wrócili do schodów, którymi przyszli ze schronu dla okrętu podwodnego. Wspięli się piętro wyżej i znaleźli podobne koszary. Jednak tutaj koce leżały stłamszone na brudnych materacach, jakby ktoś odrzucił je w pośpiechu. Na podłodze walały się niedopałki papierosów i plastikowe kubki. Cuchnęło potem i gnijącym jedzeniem.

- Fu! - skrzywił się Zawała.

- Teraz nie potrzebujemy psów myśliwskich, żeby złapać trop - rzekł Austin.

Poszli szerokim korytarzem, który wznosił się jak wyjazd z podziemnego parkingu. Po chwili poczuli na twarzach świeże powietrze. Koszarowy odór zniknął. Zza zakrętu dochodziło światło dzienne.

Korytarz kończył się stalowymi drzwiami. Były uchylone. Krótka pochylnia opadała do magazynu lub garażu. Na betonowej podłodze były ślady oleju i odchody zwierząt. Austin wziął ze sterty śmieci starą poźółkłą „Prawdę”. Z pierwszej strony patrzyła groźnie twarz Leonida Breżniewa z krzaczastymi brwiami.

Austin odrzucił gazetę i podszedł do okna. W metalowej ramie nie został ani jeden odłamek szkła. Austin miał stąd świetny widok na kilka pobliskich stalowych budowli. Magazyn był częścią opuszczonego kompleksu budynków, który widział z powietrza. Blachę falistą zżerała rdza, spojenia ścian i dachów rozłaziły się ze starości. Betonowe ścieżki zarastała wysoka trawa.

Zawała gwizdnął cicho. Wyglądał przez okno po drugiej stronie magazynu. Austin przebrnął przez śmiecie i stanął obok. W dole zobaczył duży plac zarośnięty chwastami. Był prawie prostokątny i trochę wgłębiony niczym gigantyczna mydelniczka. Na jednym krańcu sterczała z trawy zardzewiała bramka do piłki nożnej. Austin domyślił się, że to dawne boisko dla załóg okrętów podwodnych.

Teraz z trzech stron placu stali jeźdźcy. Tylko bok najbliższej magazynu i sąsiedniego budynku nie był obstawiony. Austin rozpoznał szare rubaszki i czarne spodnie Kozaków, którzy zestrzelili go nad plażą. Jednak dziś było ich co najmniej trzy razy więcej. Wszyscy patrzyli na boisko.

- Nie mówiłeś mi, że to klub polo - odezwał się Zawała.

- Chciałem zrobić ci niespodziankę - odrzekł Austin, przyglądając się grupce przerażonych ludzi stłoczonych na środku placu. - Zdażyliśmy na ostatnią kwartę meczu. Chodź, przedstawię cię chłopakom, których tu poznałem ostatnim razem.

Wymknęli się z magazynu i podczołgali do krawędzi boiska, gdzie była rzadsza trawa. Austin odchylił ją na bok, żeby lepiej widzieć. Trzej Kozacy zawyli przerażająco i z trzech stron pogalopowali prosto na stłoczonych ludzi. W ostatniej chwili okrążyli grupkę niczym Apacze atakujący wozy kolonistów. Przy każdym przejeździe coraz bardziej zacieśniaли krąg. Spod kopyt tryskały fontanny ziemi, jeźdźcy wychylali się z siodła, trzaskały nahajki.

Austin szybko się zorientował, o co chodzi w tej zabawie. Kozacy próbowali rozpedzić grupę, żeby pojedynczo stratować uciekających. Nieobstawiony bok placu zachęcał do biegu po wolności. Jednakże taka metoda nie odnosiła skutku. Przy każdej szarży ofiary tłoczyły się coraz ciaśniej, niczym zebry atakowane przez zgłodniałe lwy.

Jeźdźcy pogalopowali z wrzaskiem do krawędzi boiska i wrócili na swoje miejsca w szeregach. Austin spodziewał się następnej szarży, może w większej grupie. Zamiast tego od reszty odłączył się samotny Kozak i pojechał klusem jak na niedzielnej wycieczce konnej.

Austin osłonił rękami szkła lornetki, żeby nie odbijało się w nich słońce. Jeździec ubrany był w rubaszkę z pasem, workowate spodnie, wysokie buty i futrzaną czapę mimo upału. Siedział na dużym siwym koniu.

Austin przyjrzał się zmierzwionej rudej brodzie wielkiego Kozaka i zachichotał. Ostatnim razem widział tego typu, celując do niego z raketnicy.

- No proszę, znów się spotykamy.
- To twój kumpel? - zapytał Zawała.
- Raczej przelotna znajomość. Niedawno otarliśmy się o siebie.

Kozak nie spieszył się. Okrążał boisko stępą niczym na paradzie. Popisywał się przed resztą jeźdźców, którzy pokrzykiwali wesoło. Nagle wyciągnął szablę, uniósł wysoko i wrzasnął gardłowo. Dźgnął konia ostrogami i popędził na środek boiska jak kula wypuszczona w kierunku kręgli. W ostatniej chwili ściągnął wodze. Koń stanął dęba i zamachał przednimi kopytami.

Stłoczeni ludzie rozbiegli się, żeby uniknąć kopnięcia lub stratowania. W zamieszaniu jeden mężczyzna upadł i został sam. Poderwał się, chciał dołączyć do reszty, ale Kozak zagroził mu drogę. Mężczyzna dał nura w bok. Jeździec był czujny. Odciął go od innych jak kowboj rzeźną krowę od stada. Uciekinier nie miał wyjścia i rzucił się w kierunku niestrzeżonego boku placu.

Pędził z całych sił, choć musiał wiedzieć, że nie zdoła uciec przed koniem. Kozak nie próbował go ścigać. Odjechał stępą w kierunku swoich towarzyszy, jakby ciągle popisywał się przed nimi. Kiedy biegacz pokonał połowę dystansu do krawędzi boiska, rudobrody obrócił konia. Ruszył klusem, potem przyspieszył do cwału. Znow wyciągnął szablę i przeszedł do pełnego galopu.

Uciekinier usłyszał za sobą tętent i spróbował jeszcze przyspieszyć. Kiedy koń zrównał się z nim, Kozak wychylił się z siodła i ciął szablą. Pod biegnącym ugięły się nogi i padł na twarz. Austin zaklął z bezsilnej wściekłości. Wszystko odbyło się tak szybko, że nie zdążył

zareagować. Rudobrody zarechotał zadowolony z siebie i zawrócił konia. Pojechał wolno na środek placu, szukając następnego chętnego do ucieczki.

Austin uniósł rewolwer i wycelował w jego szerokie plecy. Ściągał już spust, gdy kątem oka dostrzegł ruch. Ku jego zdumieniu leżąca postać podniosła się na czworaki i wstała chwiejnie. Rudobrody bawił się ze swoją ofiarą. Uderzył płazem szabli, żeby przedłużyć przedstawienie.

Kozacy zaczęli krzyczeć. Rudobrody udawał, że nie rozumie. W końcu obejrzał się i odegrał zaskoczonego. Rozłożył ręce, jakby nie pojmował, jakim cudem martwy ożył. Potem ruszył w pogoń. Biegacz był już niemal przy krawędzi boiska. Austin wiedział, że Kozak nie pozwoli swojej ofierze dopaść budynków, gdzie pościg byłby trudny. Następny cios szabłą będzie śmiertelny.

Zawała stracił cierpliwość.

- Gra skończona - warknął. Leżąc, uniósł broń i wycelował w pierś rudobrodego.

Austin położył rękę na lufie.

- Nie - powiedział i wstał.

Biegacz zobaczył go i na jego spoczonej twarzy odmalowała się rozpacz. Nie miał dokąd uciec. Zatrzymał się gwałtownie. Kozak zobaczył Austina w tym samym momencie. Ściągnął cugle, pochylił się nad łękiem siodła i utkwilił wzrok w barczystym mężczyźnie z dziwnie białymi włosami. Austin dostrzegł nienawiść w przekrwionych oczach. Koń parsknął i nerwowo zaczął ryc kopytem ziemię. Rudobrody stracił zainteresowanie uciekinierem. Wyprostował się w siodle i obrócił siwka w piruecie. Potem zamarkował szarżę, ale zrezygnował, gdy Austin nie cofnął się.

Austin stał z rękami założonymi z tyłu, jak dziecko, chowające za plecami ciasteczko. Wyciągnął lewe ramię i przywołał Kozaka gestem. Zdziwiony jeździec zmarszczył czoło, potem wyszczerzył rzadkie zęby. Spodobała mu się nowa zabawa. Ostrożnie ruszył naprzód.

Austin przywołał go bardziej energicznie. Ośmielony Kozak ryknął, dźgnął konia ostrogami, ruszając do szarży.

Austin pozwolił mu podjechać bliżej. Potem płynnym ruchem wyciągnął zza pleców bowena. Uniósł oburącz ciężki rewolwer i wycelował w skrzyżowane pasy amunicyjne na piersi Kozaka.

- Za Mehmeta - powiedział i ściągnął spust.

Rewolwer huknął raz. Pocisk dużego kalibru roztrzaskał klatkę piersiową. Odłamki kości przebiły serce. Kozak zginął, zanim zdążył puścić cugle. Spłoszony koń pędził na Austina, który przeklinał swoją głupotę. Powinien był strzelić wcześniej.

Przerażone zwierzę, nie doczekawszy się żadnego sygnału od jeźdźcy, gwałtownie zawróciło tuż przed żywą przeszkodą. Uderzenie twardego zadu wyrzuciło Austina w powietrze. Wylądował twardo na lewym boku i potoczył się po trawie. Spróbował wstać, ale udało mu się tylko przyklęknąć na jednym kolanie. Był zakurzony i mokry od końskiego

potu. Zawała pomógł mu stanąć na nogach. Austin odzyskał ostrość widzenia i przygotował się na atak Kozaków.

Ale świat jakby zastygł w miejscu.

Zaskoczeni śmiercią przywódcy jeźdźcy siedzieli w siodłach jak skamieniały. Ludzie na boisku też zamarli w bezruchu. Austin wypluł z ust ziemię. Podeszedł wolno do leżącego rewolweru i podniósł go. Krzyknął do uciekiniera, żeby ukrył się w magazynie. Na dźwięk jego słów człowiek ten ożył. Puścił się pędem do budynku. W ślad za nim bezładną gromadą pobiegli inni zgrupowani na boisku mężczyźni. Austin i Zawała popędzali ich okrzykami i wskazywali drogę. Kozacy zostali bez przywódcy, ofiary wymykały im się z rąk. Wrzasnęli chórem, unieśli wysoko szable i ruszyli galopem przez plac na Austina i Zawałę, którzy stali oczarowani groźnym pięknem kozackiej szarży.

- O kurczę! - krzyknął Zawała przez tętent kopyt. - Jak na starym dobrym westernie.

- Miejmy nadzieję, że to nie będzie powtórka ostatniej bitwy Custer - odparł Austin z niewyraźnym uśmiechem.

Uniósł bowena i wypalił. Pierwszy jeździec spadł z siodła. Zaterkotał heckler&koch Zawali i drugi Kozak runął na ziemię. Atakujący nie zwolnili. Wiedzieli, że mają przewagę liczebną i impet. Kolejne strzały wyrzuciły z siodła dwóch następnych jeźdźców.

Kozacy wychylali się z siodła, chowając przed kulami za końskimi karkami. Nagle pierwszy koń padł na ziemię i przewrócił się na bok.

Austin myślał, że zwierzę się potknęło. Potem zobaczył, że jeździec strzela do nich zza leżącego konia jak zza barykady. Część Kozaków zrobiła to samo, podczas gdy inni zostali w siodłach i rozdzielili się, żeby wziąć przeciwnika w kleszcze. Austin i Zawała przywarli do ziemi. Pociski śmigły nad ich głowami jak wściekłe osy.

- Mają automaty! - wrzasnął Zawała. - Mówiłeś, że są uzbrojeni w muzealne pukawki i noże kuchenne.

- Skąd miałem wiedzieć, że wpadną na wystawę broni?

- Nie zrobiłeś dokładnego rozpoznania?

Odpowiedź Austina zagłuszyły serie z broni automatycznej. Strzelili z Zawałą kilka razy, bardziej na pokaz niż dla skutku. Potem doczołgali się z powrotem do magazynu. Kozacy zasypywali wzniesienie gradem kul. W końcu uznali, że ich ofiary są martwe, wskoczyli na siodła i przypuścili nową szarżę.

Austin i Zawała usadowili się w oknach budynku i odpowiedzieli ogniem. Dwaj następni jeźdźcy spadli z koni. Widząc, że przeciwnicy ciągle żyją, Kozacy zawrócili na środek boiska, żeby się przegrupować.

Austin skorzystał z chwilowej przerwy w walce, odwrócił się od okna i przyjrzał uciekinierom. Trudno było o bardziej żalony widok. Mężczyźni nosili brudne, wymięte kombinezony, mieli zapadnięte oczy i byli nieogoleni. Do Austina podeszedł człowiek, który dostał płazem szabli od kozackiego dowódcy. Był zakurzony i obdarty, ale głowę trzymał

wysoko, jak na defiladzie.

Zasalutował energicznie.

- Chorąży Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych Steven Kreisman. Łódź podwodna NR-1.

Austin wyjął zza pasa czapkę, którą Zavala znalazł na rosyjskim okręcie podwodnym.

- Może pan ją oddać właścicielowi.

Kreisman patrzył zaskoczony.

- To czapka naszego kapitana. Skąd pan ją ma?

- Znaleźliśmy ją na rosyjskim okręcie podwodnym.

- A kim wy jesteście? - zapytał chorąży.

- Kurt Austin. Ten gość przy oknie to mój partner Joe Zavala. Jesteśmy z Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych.

Kreisman nie mógł ukryć zdziwienia. Dwaj faceci o twardym spojrzeniu, z dymiącymi soplami, którzy uratowali jego i załogę, wyglądali bardziej na komandosów niż na naukowców.

- Nie wiedziałem, że NUMA ma własną jednostkę SWAT - powiedział z podziwem.

- Bo nie ma. Wszystko gra?

Chorąży potarł kark, gdzie dostał płazem szabli.

- Czuję się, jakby przejechał po mnie spychacz, ale poza tym w porządku. Tylko przez jakiś czas nie włożę krawata. Może to głupie pytanie, panie Austin, ale co tu robicie?

- Najpierw niech mi pan wyjaśni kilka spraw. O ile wiem, ostatnio pływaliście waszą łodzią po Morzu Egejskim. Zbieraliście na dnie jakieś skorupy.

- To długa historia - odrzekł zmęczonym głosem Kreisman.

- Nie mamy czasu. Niech pan spróbuje się zmieścić w trzydziestu sekundach.

- Postaram się. Mieliśmy na pokładzie naukowca o nazwisku Pułaski. Facet sterroryzował kapitana i uprowadził NR-1. Przetransportowali nas na grzbiecie gigantycznego okrętu podwodnego. Trudno w to uwierzyć, prawda?

Urwał, spodziewając się sceptycznej reakcji. Ponieważ jednak Austin słuchał go uważnie, ciągnął dalej:

- Przenieśli załogę na statek ratowniczy. Zmusili nas do pracy na starym zatopionym frachtowcu. Ryzykowna akcja wyciągania manipulatorami jakiegoś ładunku. Potem ten wielki okręt podwodny przywiózł nas tutaj. Kapitana i sternika zatrzymali na NR-1. Nas zamknęli w lochu. Kiedy zostaliśmy dziś wypuszczeni, myśleliśmy, że wracamy na naszą łódź podwodną. Ale zagonili nas na to boisko. Strażnicy zniknęli i wzięli się za nas ci kowboje w futrzanych czapach.

Austin zobaczył, że Zavala daje mu znaki.

- Niestety, nasze trzydzieści sekund minęło - powiedział i podszedł do okna.

Zavala wręczył mu lornetkę.

- Członkowie klubu polo kłócą się - oznajmił flegmatycznie.

Austin popatrzył na Kozaków na środku boiska. Niektórzy zsiadli z koni i wymachiwali rękami. Opuścił lornetkę.

- Może dopisują nas do listy gości na imprezę w rzeźni.

Zavala wyglądał, jakby go rozboleł brzuch.

- Ty to masz teksty. Jak się wykręcimy od zaproszenia bez obrażania ich uczuć?

Austin w zamyśleniu podrapał się w podbródek.

- Mamy dwie możliwości. Możemy urwać się stąd na plażę i uciec wplaw, zanim nasi przyjaciele w futrzanych czapach dogadają się między sobą. Albo dać nogę na dół.

- Na otwartej przestrzeni wystrzelają nas jak kaczki. Jeśli wrócimy do schronu dla okrętu podwodnego, mamy tylko dwa akwalungi.

Austin przytaknął.

- Proponuję zrobić jedno i drugie. Ty zabierzesz załogę na plażę, ja zostanę tutaj. Jeśli Kozacy się ruszą, ściągnę na siebie ich uwagę. Na piechotę nie będą mieli przewagi. Ucieknę tą samą drogą, którą tu weszliśmy.

- Miałbyś większe szansę, gdybym cię osłaniał.

- Ktoś musi się zająć ludźmi z załogi. Nie wyglądają dobrze.

Choraży Kreisman przysunął się bliżej.

- Przepraszam, że podsłuchiwałem. Po wstąpieniu do marynarki przeszedłem szkolenie w jednostce SEAL. Nie załapałem się do nich, ale zaliczyłem cały program. Mogę wyprowadzić stąd moich ludzi.

- Dobrze. Biegnijcie na plażę i płońcie. Zabierze was kuter rybacki. A my zostaniemy tutaj i będziemy was osłaniać, dopóki się da. Ruszajcie. Joe odprowadzi was kawałek.

Jeśli nawet choraży zdziwił się, skąd Austin wytrzasnął kuter, nie dał tego poznać po sobie. Zasalutował i odmaszerował do kolegów. Wymknęli się przez okno na tyłach magazynu. Zavala poszedł z nimi, Austin został na straży. Kozacy jeszcze się nie zorganizowali. Wywołał przez radio Kemala.

- Wszystko w porządku? - zapytał kapitan. - Słyszeliśmy strzały.

- Nic nam nie jest. Niech pan słucha uważnie, kapitanie. Za kilka minut zobaczy pan na morzu pływających ludzi. Niech pan podejdzie do brzegu na bezpieczną odległość i zabierze ich.

- A co z panem i Joem?

- Wrócimy tak samo, jak dostaliśmy się tutaj. Niech pan rzuci kotwicę i czeka na nas.

Austin wyłączył się.

Po kilku minutach wrócił Zavala.

- Odprowadziłem ich do wydmy. Powinni już być w wodzie.

- Zawiadomiłem Kemala, że ma ich odebrać - powiedział Austin i wskazał punkcik błyszczący w słońcu na niebie. - Co to może być?

Obiekt urósł do wielkości owada. Usłyszeli terkot rotorów.

- Nie mówiłeś mi, że Kozacy mają siły powietrzne.

Austin popatrzył przez lornetkę na helikopter pędzący w ich kierunku. Z otwartych drzwi wychylał się Lombardo z kamerą wideo.

- Jasna cholera - zaklął Austin. - To ten idiota.

Zawala wziął od niego lornetkę. Helikopter skręcił i Joe zobaczył drugi bok maszyny. Przyjrzał się postaci w drzwiach, opuścił lornetkę i spojrzał na Austina z dziwną miną.

- Powinieneś iść do okulisty, przyjacielu - powiedział i oddał mu lornetkę.

Tym razem Austin rozpoznał wyraźnie twarz Kaeli otoczoną rozwianymi włosami. Helikopter był już nad boiskiem. Po ostatnich przykrych doświadczeniach Kaela najwyraźniej kazała pilotowi trzymać się w bezpiecznej odległości od ziemi. Nie mogła jednak wiedzieć, że Kozacy mają teraz nowoczesną broń automatyczną zamiast antycznych karabinów. Jeźdźcy zobaczyli helikopter i natychmiast otworzyli do niego ogień. Po kilku sekundach z silnika buchnął czarny dym. Maszyna zakołysała się niczym ptak walczący z silnym wiatrem i runęła w dół.

Rotor zwolnił tak, że widać było jego pojedyncze łopaty. Helikopter spadał jak jesienny liść. Gdy zderzył się z ziemią, podwozie uległo zmiżdżeniu, ale kadłub pozostał nietknięty. Kaela, Lombardo, Dundee i ktoś czwarty wysypali się na zewnątrz.

Na ich widok Kozacy dostali szału. Wskoczyli w siodła i ruszyli galopem na czwórkę bezbronych ludzi, którzy nie mieli żadnych szans. Mimo to Austin pobiegł w ich kierunku z rewolwerem w ręce. Był niecałe sto metrów od helikoptera, gdy Kozacy zaczęli spadać z siodła niczym zboże ścinane gigantyczną niewidzialną kosą.

Atak załamał się. Jeźdźcy bezładnie zawracali, spadali na ziemię.

Austin dostrzegł ruch na granicy lasu rosnącego wzdłuż boiska. Zza drzew wyłaniali się ludzie w czarnych mundurach. Podchodzili wolno do jeźdźców i strzelali z ramienia. Kozacy pogalopowali w panice w przeciwną stronę.

Ludzie w czerni skierowali się za nimi. Z wyjątkiem jednego. Odłączył się od reszty i ruszył w stronę Austina i Zawali. Austin zauważył, że utyka. Kiedy mężczyzna podszedł bliżej, Zawala odruchowo uniósł broń. Austin położył rękę na lufie i delikatnie pchnął ją w dół.

Pietrow przystanął kilka metrów od nich. Błada blizna silnie kontrastowała z opaloną twarzą.

- Witam, panie Austin. Cieszę się, że znów pana widzę.

- Cześć, Iwan. Nawet nie masz pojęcia, jak ja się cieszę.

Pietrow roześmiał się beztrosko.

- Domyślam się. Zapraszam obu panów na kieliszek wódki. Pogadamy o starych czasach i nowym początku.

Austin odwrócił się do Zawali i skinął głową. Poszli za Pietrowem na boisko piłkarskie.

16

Wysoka, muskularna sylwetka i inteligencja Jurija Orłowa przypominały Troutowi jego samego z czasów młodości, gdy kręcił się wśród naukowców w Instytucie Oceanograficznym Woods Hole. Stojąc na rufie z ręką na rumplu, rosyjski student wyglądał jak jeden z wędkarzy, których Paul poznał na Cape Cod. Brakowało mu tylko baseballowej czapki Red Sox i czarnego labradora.

Jurij odpłynął kilkadziesiąt metrów od brzegu, zatrzymał łódź i zostawił silnik na wolnych obrotach.

- Bardzo dziękuję, że zabrali mnie państwo ze sobą. To dla mnie prawdziwy zaszczyt być w towarzystwie takich sławnych naukowców. Zazdroszczę państwu pracy w NUMA. Ojciec opowiadał mi o swoich doświadczeniach w Stanach.

Troutowie uśmiechnęli się, mimo że chłopak pokrzyżował im plany wymknięcia się na zwiady. Tryskał młodzieńczym entuzjazmem. Niebieskie oczy za grubymi szklami błyszcząły z podniecenia.

- Pański ojciec często opowiadał o rodzinie w Rosji - odrzekł Paul. - Pamiętam, jak pokazywał mi zdjęcia pana i pańskiej matki. Był pan wtedy młodszy, dlatego dziś pana nie poznałem.

- Niektórzy mówią, że jestem bardziej podobny do matki.

Trout przytaknął. Podczas pobytu w Woods Hole profesor Orłow tęsknił za domem. Kiedy nachodziła go chandra, wyjmował z portfela fotografie rodziny i dumnie pokazywał wszystkim dookoła. Trout pamiętał uderzający kontrast między niedźwiedzim profesorem i jego smukłą żoną Swietlaną.

- Lubiłem pracować z pańskim ojcem. Jest błyskotliwy i towarzyski. Mam nadzieję, że kiedyś to powtórzymy.

Twarz Jurija rozjaśniła się.

- Profesor obiecał, że następnym razem zabierze mnie do Stanów.

Trout uśmiechnął się, słysząc, że Jurij powiedział „profesor” zamiast „ojciec”.

- Nie powinien pan mieć problemów. Doskonale mówi pan po angielsku.

- Dziękuję. W naszym domu często mieszkali amerykańscy studenci - odrzekł Jurij i

wskazał przeciwny kierunek niż ten, który interesował Troutów. - Tam jest ładny kawałek wybrzeża. Lubią państwo obserwować ptaki?

Gamay nie zamierzała zrezygnować z misji zwiadowczej.

- Prawdę mówiąc - powiedziała słodko - wybieraliśmy się do Noworosyjska.

Jurij zrobił zdumioną minę.

- Do Noworosyjska? W przeciwnym kierunku jest o wiele ładniej.

Wtrącił się Paul.

- W Wirginii często obserwujemy ptaki, ale jestem geologiem morskim. Bardziej interesuje mnie górnictwo morskie. O ile wiem, w Noworosyjsku jest centrala jednej z największych firm górnictwa morskiego na świecie.

- Zgadza się. Ataman Industries. To rzeczywiście wielka firma. Piszę pracę dyplomową o ekologicznym górnictwie. Po studiach może załapię się u nich do roboty.

- Więc rozumie pan, dlaczego interesują mnie ich urządzenia.

- Oczywiście. Szkoda, że nie wiedziałem wcześniej. Może udałoby się zwiedzić firmę. Ale z morza też zorientuje się pan w skali ich operacji - odparł Jurij i uśmiechnął się z wyraźną ulgą. - Lubię ptaki, ale nie aż tak.

- Jestem biologiem morskim - dodała Gamay. - Moja specjalność to ryby i rośliny. Ale chętnie zobaczyłabym Noworosyjsk.

- No to załatwione - oznajmił Paul.

Jurij otworzył przepustnicę i zawrócił łódź szerokim łukiem. Trzymał się około czterystu metrów od lądu i płynął mniej więcej równoległe do wybrzeża. Wkrótce lasy zaczęły się przerzedzać i ustępować miejsca nadmorskim równinom i wysokim wzgórzom. Piaszczystą plażę zastąpiły rozległe mokradła porośnięte trzcinami.

Motorówka sunęła po iskrzącym się w słońcu morzu. Paul i Gamay siedzieli obok siebie na środkowej ławce. Drewniana łódź miała około pięciu i pół metra długości, a jej kadłub zbudowany był na zakładkę. Jurij nie przestawał mówić, pokazując ciekawsze miejsca na brzegu. Troutowie kiwali głowami, choć wycie silnika i szum wody zagłuszały większość słów.

Jurij okazał się darem niebios. Potrafił sobie radzić z kapryśnym silnikiem i doskonale znał okolicę. Troutowie mieliby problemy z nawigacją w ruchliwym porcie. Bez przewodnika pewnie nie znaleźliby Atamana. Im dalej zapuszczali się w Zatokę Cemeską, tym bardziej oczywiste stawało się znaczenie miasta jako ważnego portu rosyjskiego. Frachtowce, tankowce, holowniki oceaniczne, statki pasażerskie i promy nieustannie płynęły w obie strony.

Jurij trzymał się w bezpiecznej odległości od dużych jednostek, których fale dziobowe mogły zalać łódź. Na brzegu przybывало zabudowań. Przez smog wiszący nad portem widać było wysokie budynki, dymiące kominy i elewatory zbożowe. Jurij zwolnił do spacerowego tempa.

- Historyczne miasto - powiedział. - Nie można przejść trzech metrów bez potknięcia się o jakiś pomnik. Tu skończyła się rewolucja październikowa, kiedy w roku 1920 statki alianckie ewakuowały wojska białych. To jeden z największych portów rosyjskich. Dochodzą tu rurociągi z pól naftowych północnego Kaukazu. A tam jest terminal paliwowy Szeszarys.

Paul przyglądał się ciemnej wodzie.

- Sądząc po wielkości statków, głęboko tutaj.

- Noworosyjsk nie zamarza w zimie. To główny port do transportu ładunków między Rosją a Morzem Śródziemnym i resztą Europy. Korzystają w niego również kraje azjatyckie, kraje znad Zatoki Perskiej i z Afryki. Ma doskonałe urządzenia. Jest podzielony na pięć części: trzy towarowe, paliwową i pasażerską. Przylecieliście państwo samolotem, więc wicie, że miasto ma połączenia z całym światem.

- Nic dziwnego, że znajduje się tu centrala Atamana - zauważyła Gamay, patrząc na ruchliwą zatokę.

- Pokażę ją państwu.

Jurij zwiększył szybkość i skierował dziób łodzi w stronę szerokiej zatoczki z sześcioma długimi betonowymi nabrzeżami. Stało przy nich kilka statków. W głębi widać było kompleks budynków przemysłowych z ruchomymi żurawiami, suwnicami bramowymi i dźwigami przeładunkowymi. Wzdłuż nabrzeży jeździły wózki widłowe i ciągniki. Wyglądały jak wielkie owady.

- Która część należy do Atamana? - zapytała Gamay.

Jurij zatoczył ręką szeroki łuk.

- To wszystko.

Gamay gwizdnęła z podziwem.

- Nie do wiary! Większe niż niejeden duży port.

- Ataman ma własne holowniki, rurociągi paliwowe i wodne, zbiorniki do usuwania ścieków i odpadów - powiedział Jurij. - Widzą państwo tamte żurawie? To ich stocznia. Sami budują swoje statki. W ten sposób mają kontrolę nad projektami i kosztami. - Nagle zmarszczył brwi i rozejrzył się. - Ciekawe. W porcie Atamana jest prawie pusto.

- Pięć dużych statków i taki ruch na nabrzeżach to pusto?

- To małe statki. Szkoda, że nie mogę państwu pokazać ich pływających platform wiertniczych. Wyglądają tak, jakby mogły się przewiercić na drugą stronę kuli ziemskiej.

- Pewnie wszystkie pracują na morzu.

- Wątpię - odrzekł sceptycznie Jurij. - Ataman ma ich tyle, że kilka zawsze stoi w porcie na przeglądzie technicznym. Nawet przy sześciu nabrzeżach brakuje miejsca, żeby obsłużyć jednocześnie całą flotę. Ale pokażę państwu inną ciekawą rzecz.

Minęli główne nabrzeża i skręcili w kierunku mniejszego molo. W basenie portowym stał luksusowy studwudziestometrowy jacht. Miał biały lśniący kadłub z czarnymi wykończeniami, niezwykle smukłą, opływową nadbudowę, dziób w kształcie litery V i

szeroką wklęsłą rufę.

- Ładna rzecz - przyznał Paul.

- To łajba Razowa, szefa Atamana. Podobno mieszka na niej i prowadzi stąd interesy.

Gamay pstryknęła kilka zdjęć.

- Możemy podpłynąć do niego z drugiej strony? - zapytała.

Jurij okrążył jacht. Gamay znów uniosła aparat do oka, żeby zrobić szerokokątne ujęcie, gdy dostrzegła ruch na pokładzie. Ktoś się pojawił w polu widzenia. Wydłużyła ogniskową do pełnych dwustu milimetrów i zatkało ją.

- Boże! - wyszeptwała.

- Co się stało? - zapytał Paul.

Wręczyła mu aparat.

- Sam zobacz.

Paul popatrzył przez wizjer, ale nikogo nie zauważył.

- Na pokładzie jest pusto. Co tam zobaczyłaś?

Gamay nie była strachliwa, ale teraz drżała.

- Wysokiego typu z długimi czarnymi włosami i brodą. Gapił się prosto na mnie. W życiu nie widziałam tak przerażającej gęby.

Drogą dojazdową do nabrzeża pędził samochód terenowy. Wjechał do portu. Trout wyczuł niebezpieczeństwo. Spojrzał przez obiektyw.

- Mamy towarzystwo - uprzedził spokojnie. - Czas się stąd wynieść.

Samochód zahamował z piskiem opon. Wskoczyło z niego sześciu umundurowanych facetów z bronią. Pobiegli wzdłuż nabrzeża i wpadli po trapie na jacht. Jurij zawahał się, ale na widok uzbrojonych ludzi otworzył przepustnicę do oporu. Skierował łódź na pełne morze.

Dziób uniósł się. Mimo ciężkiej konstrukcji motorówka była dość szybka. Na rufie jachtu pojawiły się błyski wystrzałów. Pociski wzbijały fontanny wody. Paul krzyknął do reszty, żeby padli. Kula odłupała kawałek drewna na burcie. Chwilę później łódź znalazła się poza zasięgiem ognia. Jednak niebezpieczeństwo nie minęło. Na nabrzeżu zahamował drugi samochód. Pasażerowie pobiegli do przycumowanych w porcie motorówek.

Jurij przepłynął za rufą frachtowca wychodzącego z zatoki. Mała łódź dostała się w kilwáter statku i wyskoczyła do góry niczym delfin. Jurij skręcił i schował się za frachtowcem. Kiedy minęli kompleks portowy Atamana, zawrócił w kierunku lądu. Popłynęli wzdłuż wybrzeża do domu. W pewnym momencie Paul zasugerował, żeby ukryli się w trzcinach. Oczekali dziesięć minut, ale nikt ich nie ścigał.

Jurij był zarumieniony z podniecenia.

- Ale zabawa! Słyszałem, że biznesmeni mają własne armie do obrony przed rosyjską mafią, ale pierwszy raz widziałem tych ochroniarzy w akcji.

Paul miał wyrzuty sumienia, że naraził syna starego przyjaciela na niebezpieczeństwo. On i Gamay byli winni Jurijowi wyjaśnienia, ale lepiej, żeby nie wiedział zbyt wiele.

- Musimy pana o coś poprosić, Jurij - powiedziała Gamay. - Niech pan nie wspomina nikomu o naszej przygodzie.

- Domyślam się, że złożyliście wizytę memu ojcu nie tylko w celach towarzyskich.

Gamay przytaknęła.

- NUMA prosiła nas o przyjrzenie się Ataman Industries. Firma jest podejrzana o pewne nielegalne interesy. Chcieliśmy to zrobić z bezpiecznej odległości. Nawet nam się nie śniło, że mogą być tacy nerwowi.

Jurij uśmiechnął się.

- To było jak film z Jamesem Bondem!

- Tyle, że to działa się naprawdę.

Spokojny ton Gamay całkowicie przekonał Jurija.

- Będę siedział cicho - westchnął - ale trudno będzie nie pochwalić się kumplom. Choć pewnie by mi nie uwierzyli.

Wtrącił się Paul.

- Wtajemniczymy pana w sprawę, kiedy tylko rozgryziemy, o co w tym wszystkim chodzi. Pan pierwszy się dowie. Umowa stoi?

- Stoi - odparł dumny, że dopuszczono go do konspiracji.

Słońce wisiało nisko nad horyzontem i zapadał zmierzch, gdy zobaczyli światła nadmorskiego kempingu. Odetchnęli z ulgą, kiedy łódź zbliżyła się do brzegu. Byliby mniej spokojni, gdyby wiedzieli, że plamka wysoko na niebie nad ich głowami to nie ptak, lecz helikopter wyposażony w silne urządzenia optyczne.

Profesor Orłow czekał na plaży. Wszedł do wody i wciągnął łódź na brzeg.

- Widzę, że już znacie mojego syna Jurija.

- Był tak uprzejmy, że zabrał nas na zwiedzanie okolicy - odrzekła Gamay, zasłaniając dziurę po pocisku. Miło nam się rozmawiało o teraźniejszości i przyszłości.

- Teraźniejszość jest taka, że idziecie do swojego domku i przygotowujecie się do kolacji. A przyszłość to wspiane jedzenie i pogawędka o starych czasach. Mieszkamy w prymitywie, ale jadamy bardzo dobrze.

Orłow poklepał się po wielkim brzuchu.

Odprowadził Troutów do głównej polany i polecił, żeby wrócili za pół godziny. Jurij obejrzał się przez ramię i puścił do nich oko. Jasne było, że dochowa tajemnicy.

Paul i Gamay poszli do domku i splukali pod prysznicem sól i pot po morskiej przygodzie. Gamay włożyła modne dzinsy, które podkreślały długość jej nóg. Paul nie zrezygnował ze swoich nawyków. Ubrał się w luźne brązowe spodnie i jasnozieloną koszulę z fioletową muszką.

Część mieszkańców ośrodka siedziała przy stole piknikowym, reszta w pobliżu. Troutów przywitała para w średnim wieku, którą poznali wcześniej, wysoki skupiony fizyk podobny

do Aleksandra Sołżenicyna i młode małżeństwo studentów inżynierii morskiej z uniwersytetu w Rostowie. Stół był przykryty haftowanym obrusem i zastawiony kolorową porcelaną. Japońskie lampiony tworzyły świąteczny nastrój.

Orłów uśmiechnął się promiennie na widok nadchodzących Troutów.

- Są moi amerykańscy goście! Pięknie pani wygląda, Gamay. A ty jak zwykle elegancki, Paul. Nowa muszka? Musisz mieć niewyczerpane zapasy.

- To przyzwyczajenie zaczyna być za drogie. Może znasz kogoś, kto produkuje tanie muszki z odpadów?

Profesor ryknął śmiechem i przetłumaczył to na rosyjski. Usadowił Troutów przy stole, zatarł ręce i poszedł do swojego domku po jedzenie. Na kolację były pierogi nadziewane łososiem, podane z ryżem, i czysty barszcz. Profesor przyniósł też skrzynkę słynnego rosyjskiego szampana. Wesoła kolacja przeciągnęła się do późna. Dochodziła północ, kiedy Troutowie powiedzieli, że chcą już iść spać.

- Impreza dopiero się rozkręca! - ryknął Orłów. Był czerwony od alkoholu i spocony od żywiołowego śpiewania sprośnej rosyjskiej piosenki ludowej.

- Nie przeszkadzajcie sobie - powiedział Paul. - Mieliliśmy męczący dzień i padamy z nóg.

- Wierzę, że jesteście wykończeni. Kiepski ze mnie gospodarz, że kazałem wam tu siedzieć i słuchać moich żalonych popisów solowych.

- Jesteś wspaniałym gospodarzem. Ale trochę się postarzałem od czasów, kiedy ucztowaliśmy całymi nocami.

- Najwyraźniej brakuje ci treningu, przyjacielu. Po tygodniu pobytu u nas wrócisz do formy - zapewnił Orłów i objął Troutów. - Ale rozumiem was. Chcecie, żeby Jurij was odprowadził?

- Dziękujemy, profesorze - odrzekła Gamay. - Sami trafimy. Do zobaczenia rano.

Orłów wyściskał ich i wycałował na pożegnanie. Poszli ścieżką w kierunku światła pojedynczej żarówki na ganku ich domku. A Orłów znów zaczął śpiewać, fałszując niemiłosiernie.

- Nie zazdroścę mu jutrzejszego kaca - powiedziała Gamay.

- Nie ma bardziej towarzyskich ludzi niż Rosjanie.

Roześmieli się i weszli na ganek. Umyli zęby, rozebrali się i położyli do łóżka. Po kilku minutach już spali. Gamay miała lekki sen. Nad ranem coś ją obudziło. Usiadła w łóżku i zaczęła nasłuchiwać. Trąciła Paula.

- Co się dzieje? - wymamrotał zaspany.

- Posłuchaj...

Nagle wśród drzew rozległ się krzyk przerażenia.

Paul wyskoczył z łóżka.

Porwał z krzesła spodnie i włożył je szybko. Gamay chwyciła szorty i koszulkę. Wypadli na ganek i zobaczyli nad lasem czerwoną lunę. W powietrzu unosił się ciężki zapach dymu.

- Jakiś domek się pali! - krzyknął Paul.

Pobiegli boso ścieżką i omal nie przewrócili Jurija, który pędził w przeciwnym kierunku.

- Co się dzieje? - zawołał Paul.

- Nie ma czasu... - wysapał bez tchu Jurij. - Musimy uciekać... Tędy...

Troutowie zerknęli na pożar, potem zawrócili za nim. Sadził wielkimi susami. Kiedy znaleźli się między gęstymi sosnami, padli na ziemię. Usłyszeli trzask gałęzi i męskie głosy. Po chwili dźwięki te ucichły.

- Spałem w domku ojca - odezwał się z ciemności podniecony Jurij. - Nagle wpadło kilku facetów...

- Kto?

- Nie wiem. Byli zamaskowani. Wywlekli nas z łóżek. Pytali, gdzie jest ruda kobieta z mężczyzną. Ojciec powiedział, że już wyjechaliście. Nie uwierzyli mu. Zaczęli go bić. Krzyknął do mnie po angielsku, żebym was ostrzegł. Udało mi się wymknąć.

- Dużo ich było?

- Kilku. Nie wiem. Było ciemno. Musieli tu przyplłynąć. Nasz domek stoi tuż przy wjeździe. Usłyszelibyśmy samochód.

- Trzeba wrócić po pańskiego ojca.

- Chodźmy.

Paul chwycił się szortów Jurija, Gamay złapała męża za wolną rękę. Przedzierali się przez las okrężną drogą. Dym gęstniał. Wkrótce zobaczyli płonący domek profesora. Wyszli na polanę. Studenci gasili pożar wężami zasilanymi z generatora. Nie uratowali drewnianego domku, ale ogień nie rozprzestrzenił się na drzewa i inne zabudowania. Jurij zagadnął po rosyjsku wysokiego fizyka, potem odwrócił się do Troutów.

- Mówi, że tamtych już nie ma. Odpłynęli łodzią.

Grupa rozstąpiła się. Na ziemi leżał Orłow. Miał zakrwawioną twarz. Gamay natychmiast uklękła przy nim, przyłożyła ucho do jego ust i sprawdziła tętno na szyi. Potem zbadła ręce i nogi.

- Możemy go przenieść w wygodniejsze miejsce?

Położyli profesora na stole piknikowym i przykryli obrusem. Gamay poprosiła o ciepłą wodę i ręczniki. Delikatnie zmyła krew z twarzy i głowy Orłowa.

- Krwawienie ustało. I chyba nie ma obrażeń wewnętrznych.

Paul popatrzył na swego przyjaciela i zacisnął zęby.

- Ktoś potraktował go jak worek treningowy.

Profesor poruszył się i wymamrotał coś po rosyjsku. Jurij nachylił się.

- Chce kieliszek wódki.

Z góry spadały rozżarzone szczątki, dym dusił. Paul zaproponował, żeby zabrać profesora w bezpieczniejsze miejsce. Przeniósł go razem z trzema mężczyznami do domku położonego najdalej od pożaru. Położyli Orłowa na łóżku, przykryli kocami i dali mu kieliszek wódki.

Gamay uniosła mu głowę, żeby mógł wypić.

- Niestety, nie jest to szampan.

Kiedy Orłow łyknął wódki, wróciły mu kolory. Paul przysunął krzesło.

- Możesz mówić?

- Donoście mi gorzałę, to będę gadał całą noc - odparł Orłow. - Co z moim domkiem?

- Nie uratowano go, ale ogień się nie rozniósł - odpowiedział Jurij.

Profesor wykrzywił w uśmiechu spuchnięte wargi.

- Jedną z pierwszych rzeczy, które tu zorganizowałem, była własna straż pożarna.

Ciągniemy wodę prosto z morza.

Gamay przykładła mu do czoła wilgotną ściereczkę.

- Proszę nam opowiedzieć, co się stało.

- Spaliśmy, kiedy do domku wpadli jacyś ludzie. Tutaj nigdy nie ryglujemy drzwi. Chcieli wiedzieć, gdzie są pasażerowie motorówki. W pierwszej chwili nie wiedziałem, o kogo im chodzi. Potem domyśliłem się, że o was. Więc oczywiście powiedziałem, że nie mam pojęcia. Pobili mnie do nieprzytomności.

- Pobiegłem ostrzec państwa Trout - usprawiedliwił się Jurij. - Chowaliśmy się w lesie, dopóki tamci nie odeszli.

Orłow wyciągnął rękę i położył na ramieniu syna.

- Dobrze zrobiłeś.

Pokazał, żeby dać mu jeszcze wódki. Alkohol najwyraźniej rozjaśniał mu umysł.

Spojrzał Paulowi prosto w oczy.

- Wygląda na to, przyjacielu, że ty i Gamay szybko zawarliście tu ciekawe znajomości. Pewnie na wyprawie łodzią?

- Strasznie mi przykro - odparł Paul. - Obawiam się, że to wszystko przez nas. Nie przewidzieliśmy tego. W dodatku zrobiliśmy z twojego syna współnika przestępstwa.

Wyjaśnił profesorowi, że NUMA prowadzi śledztwo w sprawie Atamana i opowiedział o przygodzie na motorówce.

- Wcale nie jestem zaskoczony ich gwałtowną reakcją. Wielkie kartele działają tak, jakby były ponad prawem - powiedział Orłow.

- Widziałam na jachcie dziwnego typu - wtrąciła się Gamay. - Z wychudłą głową, długimi czarnymi kudłami i brodą. To Razow?

- Nie, to pewnie jego przyjaciel, szalony mnich.

- Co takiego?

- Znany jako Borys. Nawet nie wiem, czy ma jakieś nazwisko. Jest podobno szarą eminencją w imperium Razowa. Niewiele osób go widziało. Miała pani szczęście.

- Nie nazwałabym tego szczęściem - odparła Gamay. - On też musiał nas widzieć.

- To pewnie on spuścił psy z łańcucha - domyślił się Paul.

Orłow jęknął.

- Oto dzisiejsza Rosja. Gangsterzy i obłąkani mnisi jako ich doradcy. Nie do wiary, że Razow jest taką wielką figurą w naszym kraju.

- Zastanawiam się - powiedział Paul - skąd wiedzieli, gdzie nas znaleźć? Jestem pewien, że Jurij ich zgubił.

- Może ważniejsze jest to, co chcieli zrobić, kiedy nas znajdą? - odrzekła Gamay i zwróciła się do profesora. - Bardzo nam przykro z powodu tego, co się stało. Jak możemy to panu wynagrodzić?

Orłow zastanowił się.

- Moglibyście trochę pomóc w odbudowie mojego domku.

- To oczywiście - zapewnił Paul. - Coś jeszcze?

Orłow zmarszczył czoło.

- Jak wiecie, Jurij wybiera się do Stanów...

- Załatwione. Pod warunkiem, że ty też przyjedziesz.

Profesor nie potrafił ukryć zadowolenia.

- Ciężko się z tobą targować, przyjacielu.

- Nie zapominaj, że jestem starym, twardym jankesem. Uważam, że Gamay i ja powinniśmy rano stąd wyjechać.

- Szkoda, że tak szybko.

- Tak będzie lepiej dla wszystkich.

Gawędzili, dopóki profesor nie zasnął. Przez resztę nocy Troutowie i Jurij pełnili na zmianę wartę. Do świtu nic się nie wydarzyło. Po śniadaniu Troutowie pożegnali się z Orłowami, obiecując, że spotkają się za kilka miesięcy, i wsiedli do tej samej taksówki, która ich przywiozła.

Kiedy łąda odjeżdżała wyboistą drogą, Gamay popatrzyła przez tylną szybę na zgliszcza domku. W powietrzu jeszcze wisiał dym.

- Będziemy mieli co opowiadać Kurtowi - zauważyła.

- O ile go znam, on będzie miał jeszcze więcej do opowiadania.

17

Człowiek, którego Austin znalazł pod imieniem Iwan, rozejrzał się ciekawie po kaplicy ku pamięci Romanowów. Austin zademonstrował mu właśnie śpiewające krzesło.

- Niesamowite - powiedział Rosjanin. - To ważne odkrycie.

Austin uśmiechnął się krzywo.

- Więc kowboje walący ze wszystkich luf są rozgrzeszeni?

- Wręcz przeciwnie. Właśnie tak chciałem to rozegrać.

Austin pokręcił głową.

- Dziwny z ciebie facet, Iwan.

- Możliwe, ale w tym wypadku działałem logicznie - odparł Rosjanin. - Proszę nie zapominać, że mam pańskie dossier i znam pańskie metody z własnego doświadczenia. Wiedziałem, że takie ostrzeżenie będzie najlepszym sposobem ściągnięcia pana tutaj.

- Po co ten makiawelizm? Można było po prostu mnie zaprosić do współpracy. Jestem zgodnym facetem.

- W tych sprawach nie jest pan naiwniakiem. Gdybym w Stambule poprosił pana o pomoc, co by pan odpowiedział, zważywszy burzliwą historię naszych stosunków?

Austin wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- Ale ja wiem. Mógłby pan pomyśleć, że to pułapka. Sprytny sposób rewanżu za przeszłość - odrzekł Iwan i dotknął blizny na policzku.

- Rosjanie słyną z umiejętności gry w szachy. Musisz przyznać, że chęć rewanżu to silna motywacja.

- Nauczyłem się panować nad własnymi emocjami i wykorzystywać emocje innych, żeby ich pokonać. Podejrzewam, że gdybym poprosił pana o pomoc, poszedłby pan z tym do swoich szefów. A rząd amerykański sprzeciwiłby się tej operacji.

- Dlaczego?

- Niektórzy pańscy rodacy wspierają siły wywrotowe w Rosji.

Austin uniósł brwi.

- Ktoś, kogo znam?

- Możliwe, ale wątpię, by mi pan uwierzył. Więc na razie zachowam to dla siebie.
- A skąd wiesz, że nie działałem oficjalnie?
- Nie wmówi mi pan, że pański rząd wydałby zgodę na tajną inwazję na obce państwo.
- O ile wiem, NUMA była jeszcze niedawno agencją rządową.
- Nie pana jednego rozpracowałem, panie Austin. Mam kartoteki wszystkich znaczących ludzi w NUMA. Od pańskiego partnera Joego Zavali poczynając, na admirałe Sandeckerze kończąc. Obaj dobrze wiemy, że poczciwy admirał nigdy nie pozwoliłby na operację zbrojną. Chyba że pod jego kontrolą - zakończył z uśmiechem Rosjanin.
- Wygląda na to, że dobrze odrobiłeś lekcje - przyznał Austin.
- Poznanie NUMA od wewnątrz było konieczne, ponieważ chcę skorzystać z jej usług.
- Nie rozumiem?
- Służby wywiadowcze we wszystkich krajach są infiltrowane przez wrogów. Wszyscy komandosi, których widział pan dziś w akcji, służą ze mną od lat. Ale zawsze może się znaleźć jakaś czarna owca. Uczciwość NUMA jest bezdyskusyjna. Krótko mówiąc, potrzebuję waszego transportu i łączności globalnej, waszego wspaniałego wywiadu i urządzeń badawczych.
- Dzięki za uznanie, ale nie wiem, czy będę mógł pomóc. Jestem tylko jednym z tysięcy ludzi w agencji.
- Niech pan nie będzie taki skromny, panie Austin. Nie przeprowadziłby pan tej operacji bez milczącej zgody admirała Sandeckera i Rudiego Gunna.
- Austin był zaskoczony, że Iwan tyle wie o NUMA.
- Zresztą i tak nie mam takiej władzy, żeby dać ci wszystko, czego chcesz.
- Kiedy dowie się pan, co grozi Ameryce, zacznie pan mówić inaczej. Jesteśmy sobie nawzajem potrzebni.
- To inna sprawa. Jeszcze mi nie powiedziałeś, jakie to zagrożenie.
- Tylko dlatego, że sam nie wiem.
- Ale jest realne?
- O, tak, panie Austin. Znając aktorów tego dramatu, powiedziałbym, że bardzo realne.
- Austin ciągle nie wiedział, na ile można wierzyć Iwanowi. Czuł jednak, że Rosjanin mówi poważnie.
- Może któryś z Kozaków coś wyśpiewa?
- Pietrow uśmiechnął się krzywo.
- Obaj powinniśmy byli pomyśleć o tym wcześniej. Ich przywódcą był ten wielki brodac. Umarli niestety nie mówią.
- Przykro mi, ale w tych okolicznościach nie dało się tego uniknąć. Ciekaw jestem, jak długo ty i twoi chłopcy chowaliście się w lesie?
- Od świtu. Wylądowaliśmy kilka kilometrów stąd. W nocy dotarliśmy tu lądem. Zobaczyłem kuter rybacki i sądziłem, że jest pan na pokładzie. Nie wiedziałem, że już

dostaliście się na brzeg. Zaskoczyliście nas. Pojawiliście się jak spod ziemi. Gratuluję udanej infiltracji.

Austin zignorował komplement.

- Więc widzieliście, że załoga naszej łodzi podwodnej jest w opałach?

- Obserwowaliśmy ich. Uprzedzę pańskie pytanie. Tak, wkroczylibyśmy. Moi ludzie przygotowywali się już do ataku. Ale pan i pański przyjaciel ubiegliście nas. Nasza interwencja nie wydawała się konieczna. Sądząc po masakrze, jakiej dokonaliście, myślałem, że wyładował tu co najmniej pluton amerykańskich marines. Wątpię, żeby Kozacy coś nam wyśpiewali. Mieli tylko strzec tego kompleksu. Ostatni z carów...

Pietrow podszedł do ołtarza i dotknął fotografii.

- Ładna korona - rzekł Austin.

- Ten, kto włoży koronę Iwana Groźnego, rządzi Rosją - odrzekł Pietrow i uśmiechnął się na widok zdumionej miny Austina. - Stare rosyjskie powiedzenie. Niech pan nie doszukuje się w nim ukrytej przepowiedni. Kto jest na tyle silny, żeby utrzymać ten ciężar na głowie, i na tyle groźny i brutalny, żeby zdobyć tę koronę, potrafi rządzić tym krajem.

- Gdzie jest teraz ta korona?

- Zniknęła po rewolucji razem z innymi skarbami carskimi. Kiedy biali wkroczyli do Jekaterynburga, gdzie prawdopodobnie zamordowano cara, znaleźli listę rzeczy rodziny panującej. Niektóre odzyskano, ale powszechnie uważa się, że na liście była tylko część majątku, który rodzina carska miała przy sobie podczas tułaczki. Najwartościowszych rzeczy, w tym korony, nigdy nie znaleziono.

- Spisano brakujące skarby?

- Tak, ale lista gdzieś przepadła. Przypuszczalnie przed upadkiem komunizmu miało ją KGB. Przeprowadziłem dochodzenie i doszedłem do wniosku, że lista nadal gdzieś musi istnieć.

- To skąd wiedziałeś o koronie?

- Widziałem to i inne zdjęcia. Jest zrobiona z dwóch części. Jedna przedstawia wschodnie, druga zachodnie imperium. Dwugłowy orzeł to herb Romanowów. Kula, na której siedzi, symbolizuje władzę na ziemi.

- Musi być warta fortunę.

- Nie można jej wycenić w dolarach ani w rublach. Korona i inne skarby wzięły się z potu i krwi rosyjskiego ludu, który widział w carze Boga. Był najbogatszym człowiekiem na świecie. Miał dochody z milionów kilometrów kwadratowych ziemi, z kopalń złota i srebra. Nasi imperatorzy lubowali się w błyskotkach niczym barbarzyńcy. Car to rosyjski odpowiednik cezara. Emirowie i szachowie składali mu dary o niewiarygodnej wartości.

- Rodzina na zdjęciu nie wygląda na zachwyconą swoim bogactwem.

- Wiedzieli, że korona to bardziej przekleństwo niż błogosławieństwo. Miał ją nosić słabowity Aleksander, choć wątpliwe, czy żyłby tak długo, żeby zająć miejsce ojca. Chorował

na hemofilię, spotykaną w europejskich rodzinach panujących.

- Kto zbudował tę kaplicę?

- Najpierw pomyślałem, że Razow. Wyobrażam go sobie, jak siedzi tutaj i marzy, że pewnego dnia będzie władcą Rosji. Ale zastanawia mnie dekadenski wystrój tamtego apartamentu w głównym kompleksie. Razow uchodzi za ascetę. Za to mnich Borys podobno lubi rozpustę. Stylem życia dziwnie przypomina Rasputina. Pewnie spędza tu więcej czasu niż Razow. Razow chciałby przywrócić przeszłość, a obłąkany Borys żyje nią.

- To zupełne odwrócenie ról.

- Być może, ale jedno jest pewne: obu trzeba powstrzymać - powiedział Pietrow, patrząc Austinowi prosto w oczy. - I pan musi mi w tym pomóc.

Austin nadal był sceptyczny.

- Zastanowię się. Na razie muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

Pietrow złapał go za ramię.

- Może pański rodak pana przekona. Pamięta pan, co powiedział wielki amerykański filozof i patriota Thomas Paine? „Nie bronię kilku akrów ziemi, lecz sprawy”.

Austin spodziewał się, że Pietrow ma informacje na temat książek filozoficznych z jego półek.

- A jakiej sprawy ty bronisz, Iwan?

- Być może, naszej wspólnej.

- Nie zrozum mnie źle, ale jakoś nie widzę cię wymachującego sztandarem obrońców macierzyństwa i amerykańskiego stylu życia.

- Dość się namachałem sztandarem z sierpem i młotem, kiedy jako pionier brałem udział w pochodach pierwszomajowych. Tu chodzi o ważniejsze sprawy. Nie pozwólmy, żeby przeszkoziła nam przeszłość.

Austin zauważył, że twarde spojrzenie Pietrowa trochę złagodniało.

- Chyba jesteśmy skazani na siebie, czy tego chcemy, czy nie.

- Więc pomoże mi pan?

- Nie mogę mówić za NUMA, ale zrobię, co się da - odrzekł Austin i wyciągnął rękę. - Chodź, partnerze. Mam jeszcze coś, co cię zainteresuje.

Ruszył przodem przez labirynt do schronu dla okrętu podwodnego. Pietrow natychmiast rozpoznał okręt.

- Klasy India - powiedział. - Był przeznaczony do transportu małych łodzi podwodnych, używanych przez siły specjalne.

- Skąd się tu wziął?

- Na świecie kwitnie handel poradzieckim uzbrojeniem.

- Ale to nie skrzynka z AK-47.

- Mój kraj zawsze robił wszystko na wielką skalę. Za odpowiednią cenę mógłby pan pewnie kupić krążownik. Jak pan wie, w czasach zimnej wojny Związek Radziecki zwodował

kilkanaście ogromnych okrętów podwodnych. Wiele wycofano ze służby i unieszkodliwiono w różny sposób. Jednak biorąc pod uwagę żalną sytuację naszych sił zbrojnych, wszystko jest możliwe. To może być ważny trop. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł sprzedać takiego kolosa bez niczyjej wiedzy. Przeprowadzę dyskretne śledztwo. Co mówiła załoga waszej łodzi podwodnej NR-1?

- Rozmawiałem z jednym z nich. Łódź uprowadził rzekomy naukowiec. Przetransportowano ją na grzbiecie tego okrętu podwodnego i użyto do wydobycia jakiegoś ładunku z zatopionego frachtowca. Porywacze nadal przetrzymują kapitana i sternika, więc zapewne planują dalsze wykorzystanie NR-1. Może warto sprawdzić, kto jest właścicielem tego miejsca?

- Już to zrobiłem. Ten teren nadal należy do rządu rosyjskiego. Dwa lata temu został wdzierżawiony prywatnej firmie. Podobno miała tu być przetwórnia ryb.

- Z tego, co widziałem, wynika, że dzierżawcę bardziej interesowało to, co jest pod ziemią niż na powierzchni. Wiadomo, co to za firma?

- Tak. To filia Atamana.

Austin skinął głową.

- Tak myślałem. Powinienem wracać na górę. Joe będzie się zastanawiał, co się z nami stało.

Poszli z powrotem płataniną korytarzy i schodów. Z ulgą wydostali się na słońce i świeże powietrze. Ku zaskoczeniu Austina na boisku nie było już trupów.

Pietrow ubiegł jego pytanie.

- Zanim zesliśmy na dół, kazałem moim ludziom zaciągnąć zwłoki do lasu i pochować.

- Bardzo humanitarnie.

- Nie chciałem zostawiać żadnych śladów widocznych z powietrza - odparł Pietrow i zerknął na strącony helikopter. Ruszyli przez boisko w tamtym kierunku. - Zająłem się martwymi, panu zostawiam żywych.

Miękkie lądowanie helikoptera wyglądało na prawdziwy cud. Kozacy podziurawili kulami górną część kokpitu i obudowę silnika. Kaela siedziała po turecku na ziemi i robiła notatki. Austin uśmiechnął się najbardziej ujmująco, jak tylko potrafił. Poczula jego cień i podniosła wzrok.

- Jaki mały jest ten świat - powiedział.

Przeszła go twardym spojrzeniem, ale on niezrażony usiadł obok niej.

- Ładnie z twojej strony, że zadałaś sobie tyle trudu, żeby przelożyć naszą umówioną kolację.

- To ty nie przyszedłeś.

- Dlatego cieszę się, że mogę cię przeprosić. Spróbuję wynagrodzić ci to przy najbliższej okazji.

Uniosła brwi.

- Przeprosić za to, że wystawiłeś mnie do wiatru, czy za to, że podkradłeś mi kapitana Kemala?

Urok osobisty Austina nie podziałał na Kaelę. Sprawa okazała się trudniejsza niż myślał.

- Dobrze, zastosujmy metodę małych kroków. Po pierwsze, przepraszam za tamtą kolację. Coś mi nagle wypadło i nie zdążyłem. Co do kapitana Kemala, musisz przyznać, że popełniłaś błąd. Trzeba było mu zapłacić za ten okres, kiedy byłaś w Paryżu. Wtedy nikt by go nie wynajął.

- Oszczędź mi tych pouczeń, dobrze? Nie przyszło mi do głowy, że go podkupisz. Przecież ostrzegłeś mnie, żebym trzymała się z daleka od tego miejsca, bo wkraczanie na terytorium rosyjskie nie jest zbyt bezpieczne.

Austin zerknął na wrak helikoptera.

- Musisz przyznać, że miałem rację.

Kaela westchnęła.

- Przyznaję. Jednak założę się, że nikt nie zaprosił tu ciebie ani twojego kumpla z NUMA na herbatkę.

- Zgadza się, ale to nie ma nic do rzeczy.

Kaela skrzywiła się.

- Jakbym słyszała moją matkę. Przyjmuję twoje przeprosiny za to, że nie przyszedłeś na naszą randkę. Na szczęście moi producenci znaleźli forszę na wynajęcie helikoptera, więc Kemal nie był mi potrzebny. Ale coś mi jesteś winien.

Austin dostrzegł podejrzany błysk w bursztynowych oczach. Najwyraźniej chciała wykorzystać jego poczucie winy.

- Bawisz się ze mną jak kot z myszą.

Odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem.

- Należy ci się za ten fałszywy uśmiezek i za ten „mały świat”. Cwaniak! Zaraz zapytasz, spod jakiego jestem znaku. Koziorożca, jeśli cię to ciekawi.

- Nie chciałem, żeby to wypadło jak barowy podryw, ale jeśli już o tym mowa, jestem spod znaku Ryb.

- Ryb? Pasuje do faceta z NUMA - stwierdziła Kaela i odłożyła notes. - Radzę ci zrezygnować z barowych podrywów. Z twoimi tekstami będziesz co noc sypiał sam.

Naprawdę mu się podobała. Była twarda, a jednocześnie kobieca. Bardzo inteligentna i dowcipna. Cechy, które zawsze podziwiał. W dodatku w ładnym opakowaniu.

- Dobrze, połknąłem haczyk i możesz mnie wyciągnąć. Co knujesz i czego chcesz ode mnie?

- Na początek prawdy. Na przykład, co tu robisz? Kim są ci twardziele w czarnych ubraniach? Dlaczego miejscowi są tak wrogo do nas nastawieni?

- Potrzebne ci to do reportażu?

- Głównie dla samej siebie. Ciekawość to najlepsze narzędzie pracy dobrego reportera.

Austin nie lubił krętactwa, ale nie chciał wciągać Kaeli i jej ekipy do niebezpiecznej gry. Dwa razy mieli szczęście. Trzecie spotkanie z tymi facetami mogło się źle skończyć.

- Nie tylko ty jesteś ciekawska. Po pierwszym spotkaniu z tymi typami na koniach ja też chciałem wiedzieć więcej. Poza tym czułem, że powinienem coś zrobić dla Mehmeta, kuzyna Kemala.

- Znalazłeś bazę okrętów podwodnych?

- Tak. Całkiem spora.

- Wiedziałam, że tu jest! Chcę ją zobaczyć.

- Proszę bardzo, ale możesz mieć problem z tamtym gościem - uprzedził Austin i wskazał Pietrowa, który wracał właśnie z lasu, gdzie sprawdzał robotę swoich ludzi.

- Kto to?

- Iwan. On tu rządzi.

- Wojskowy?

- Sama go zapytaj.

Kaela chwyciła notes i zerwała się na nogi.

- Jasne, że zapytam.

Poszła w kierunku Rosjanina. Austin obserwował z zaciekawieniem, jak prowokacyjnie wykorzystywała swoją kobiecość: jedna noga wysunięta do przodu, wyeksponowane biodro, zabójczy uśmiech.

Iwan stał z założonymi rękami niczym granitowy posąg. Kiedy skończyła popisy, powiedział kilka słów. Kaela wyprostowała się nagle, odwróciła się na pięcie i wróciła do Austina.

- Co za uparty palant! - parsknęła. - Powiedział, że baza należy do rządu rosyjskiego i nie wolno tu wchodzić. Dodał jeszcze, że jeśli nie wyniosę się stąd zaraz, mogę się spodziewać przykrych konsekwencji. Ale i tak zrobię reportaż. Mam film.

Poszła sprężystym krokiem do helikoptera. Przy wraku kręcili się Lombardo i Dundee. Pokazali jej kupkę metalu i plastiku, która została z kamery wideo. Kaela zrezygnowana wróciła do Austina.

- Wygląda na to, że zabierzemy się z tobą - powiedziała.

Od strony plaży nadchodził Joe Zawała. Sprawdzał, czy załoga NR-1 dopłynęła do kutra rybackiego. Austin przeprosił Kaelę i wziął go na bok.

- Wszyscy są na pokładzie - zameldował Zawała.

- Dobra wiadomość, ale mamy problem. Trzeba zabrać Kaelę i jej ekipę, a nie chcę, żeby się zbliżali do załogi NR-1.

Joe zerknął z podziwem na reporterkę.

- Więc ucieszysz się, kiedy ci powiem, że „Argo” miał nas na oku i monitorował transmisje radiowe. Właśnie gadałem z Atwoodem. Wysłali łódź po załogę NR-1. Na kutrze

Kemala będzie pusto.

- Poproś, żeby nas też zabrali. Potem połącz się z Kemalem, powiedz mu, że przenosimy się na „Argo”, i zapytaj, czy zamiast nas nie wzięłyby kilku innych pasażerów.

Zavala zasalutował energicznie.

- Tak jest, sir.

Kiedy Joe rozmawiał z kutrem, Austin zawiadomił Kaelę i jej przyjaciół, że załatwił im rejs pierwszą klasą.

18

Przelot z Noworosyjska do Sztambułu był istnym koszmarem. Jakieś usterki techniczne opóźniły start. Troutowie przez godzinę siedzieli w dusznej, zatłoczonej kabinie, w końcu kazano im przejść do innego samolotu. Pasażerowie, którzy spróbowali jedzenia podanego podczas lotu, zapłacili za swoją odwagę, gdy odrzutowiec wpadł w turbulencje. Na domiar złego czynna była tylko jedna toaleta.

Po wylądowaniu Paul i Gamay myśleli, że mają już za sobą tę drogę przez mękę. Niestety, mylili się. Taksówkarz pędził z lotniska, jakby zaplanował samobójstwo. Kiedy Paul poprosił go, żeby zwolnił, wdepnął pedał gazu do podłogi.

- Chyba źle cię zrozumiał - powiedziała Gamay, przekrzykując pisk opon.

- To pewnie ten mój akcent z Nowej Anglii - odrzekł Paul.

Gamay z determinacją zacisnęła zęby.

- Nie przejmuj się. Myślę o tym, jak po tych przejściach przyjemnie będzie wziąć gorący prysznic i napić się martini.

Taksówka omal nie potrafiła portiera, który odskoczył niczym matador przed szarżującym bykiem, i zahamowała z poślizgiem przed wejściem do hotelu Marmara na placu Taksim. Troutowie wyskoczyli czym prędzej z samochodu. Zapłacili uśmiechniętemu kierowcy i przeszli przez rozległy hol, żeby się zameldować.

Elegancki recepcjonista z przylizanymi włosami i wąsikami przypominał Herkulesa Poirot. Na widok Troutów wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Witam ponownie. Mam nadzieję, że wycieczka do Efezu była udana.

Przed wyjazdem do Noworosyjska Troutowie powiedzieli mu, że wybierają się do antycznych ruin na wybrzeżu Azji Mniejszej.

- Tak, dziękujemy. Świątynia Artemidy jest fascynująca - odrzekła Gamay z udawanym zachwytem. Recepcjonista wręczył Paulowi klucz i kopertę.

- Ta wiadomość przyszła dziś rano.

Paul otworzył kopertę i wyjął kartkę z papeterii hotelowej. Gamay przeczytała: „Zadzwońcie jak najszybciej. A”.

Poniżej był podany numer telefonu.

- Obowiązek wzywa - powiedział Paul.
- Czasami w najmniej odpowiednim momencie.

Gamay wzięła klucz i poszła do windy.

W pokoju Paul zaproponował, żeby pierwsza wzięła prysznic, a on zadzwoni do Austina. Skorzystała bez wahania, rozbierając się po drodze do łazienki. Paul zamówił do pokoju dzbanek wytrawnego martini. Napełnił kieliszek i zapukał do łazienki. Przez otwarte drzwi buchnęły kłęby pary, z których wynurzyła się ręka Gamay sięgająca po martini. Paul nalał sobie drinka i usiadł, układając nogi na podnóżku. Koktajl był całkiem niezły, jak na Stambuł. Paul wybrał numer Austina.

- Jesteśmy z powrotem w Stambule - powiedział, gdy usłyszał głos Kurta. - Dostaliśmy twoją wiadomość.

- W porządku. Jak wycieczka?

- Pożyteczna i pełna niespodzianek - odrzekł Trout i zdał Austinowi relację.

- Z twojego opisu wynika, że jacht Razowa jest napędzany turbinami gazowymi, co pozwala mu rozwijać szybkość dwa razy większą od innych jednostek tej wielkości. Sprytne. Razow może w ciągu kilku dni przenieść swoje centrum operacyjne w dowolny punkt świata. Cieszę się, że nikt nie ucierpiał, ale szkoda domku profesora. Postaram się załatwić oficjalne zaproszenie NUMA dla Orłowa i jego syna.

- Będą zachwyceni. A jak tobie poszło?

- Podobnie jak wam. Przywitano nas bardzo gorąco, ale nie poleciłbym tamtego miejsca w informatorze turystycznym Cooka. Opowiem o szczegółach, kiedy się spotkamy.

- Nie mogę się doczekać.

- Zobaczymy się szybciej niż sądzisz. Jestem na „Argo” i od razu przyjmę do pracy geologa i biologa morskiego.

- Na swoje nieszczęście wiem, gdzie możesz ich znaleźć.

- Wiedziałem, że mogę na was liczyć. Załatwiłem już transport. Kiedy będziecie gotowi do wyjazdu?

- Dotarliśmy do hotelu kilka minut temu. Nawet nie rozpakowaliśmy się - odrzekł Paul i zerknął z uśmiechem na łazienkę, gdzie Gamay śpiewała jakąś własną improwizację. - Zdażymy dopić martini?

- Jasne. Możecie nawet zamówić jeszcze jedno. Spotkacie się z VIP-em ze Stanów. Przylatuje dopiero za kilka godzin.

- Wspaniale! A więc czeka nas wspólna podróż z senatorem Claghornem. Czesze się z pożyczką i ma sześć podbródków.

Austin zachichotał.

- To niesamowite, Paul. Chyba jesteś jasnowidzem. Skąd wiedziałeś?

- Po prostu zgadłem. Przekażę to Gamay. Do zobaczenia wieczorem.

Paul zanotował czas i miejsce zbiórki. Kiedy odłożył słuchawkę, z łazienki wyszła

Gamay. Była owinięta jednym ręcznikiem, a na głowie miała turban z drugiego. Trzymała w ręku do połowy opróżniony kieliszek. Prysznic i drink poprawiły jej humor. Uśmiechnęła się na wieść o nowej podróży. Powiedziała, że stęskniła się za Kurtem i Joem.

Paul poszedł pod prysznic. Gamay zamówiła do pokoju kebab jagnięcy i pilaw. Podano jedzenie, kiedy zaczęli drugie martini. Po kolacji ubrali się i najedzeni, czysti i odprężeni znów wzięli taksówkę na lotnisko. Tym razem kierowca nie udawał kamikadze.

Zgodnie z instrukcją Austina, wysiedli daleko od głównego terminalu, w części lotniska używanej przez małe linie prywatne. Poszli do hangaru. W blasku reflektorów lśnił turkusowy kadłub helikoptera średniej wielkości. Z boku miał wymalowany czarnymi literami napis NUMA. Rotor obracał się wolno, silniki się rozgrzewały. Pilot stał na płycie i z kimś rozmawiał. Mimo że tamten mężczyzna był odwrócony tyłem, Troutowie natychmiast rozpoznali dyrektora NUMA. Rudi Gunn odwrócił się i uśmiechnął szeroko, wskazując kciukiem otwarte drzwi maszyny.

- Może podwieźć?

Gamay spojrzała na Paula.

- To ma być ten senator z sześcioma podbródkami, uczesany z pożyczką, o którym mówiłeś?

Paul udał kompletne zaskoczenie.

- Na litość boską, Rudi, dlaczego nam nie powiedziałaś, że ten wielki ważniak to ty?!

- Nie chciałem wam psuć zabawy. Admirał Sandecker uznał, że powinienem być w pobliżu na wypadek, gdyby sytuacja się skomplikowała. Reprezentowałem NUMA na konferencji archeologów morskich w Atenach. Helikopter odwołaliśmy z operacji na wschodzie Morza Egejskiego. Sandecker zdecydował, że mam się włączyć do sprawy po telefonie od Kurta, że trzeba odebrać paczkę.

- Paczkę?

- Opowiem wam wszystko po drodze. Możemy wsiadać?

Wspięli się do helikoptera i usiedli w przestronnej kabinie. Rotor nabrał obrotów i po chwili Sikorsky S-76C uniósł się szybko pod niebo. Światła Stambułu, podzielonego Bosforem między dwa kontynenty, błyszczały w dole niczym cekiny. Śmigłowiec, napędzany dwoma silnikami Arriela, poleciał na północ z szybkością dwustu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

W słuchawkach odezwał się głos pilota, mówiącego z zachodnim akcentem.

- Cześć. Mam na imię Mike. Usiądźcie wygodnie. Powinno wam wystarczyć miejsca na wyprostowanie nóg. Ta maszyna obsługuje platformy wiertnicze i jest jak latający autobus. Możemy zabrać dwunastu pasażerów. W tamtą stronę macie luz. Z powrotem spodziewamy się tłoku. Obok przegrody jest termos z gorącą kawą. Poczęstujcie się. Mówcie śmiało, jeśli będziecie czegoś potrzebować. Życzę miłych wrażeń w czasie lotu.

Gunn nalał kawy i rozdał parujące kubki.

- Cieszę się, że was widzę. Przykro mi, że wasze wakacje nagle się skończyły. Oficjalnie jesteście jeszcze na urlopie. A ja nadal siedzę na konferencji w audytorium greckiego Narodowego Muzeum Archeologicznego. W ogóle się nie spotkaliśmy.

- Co jest grane, Rudi? - zapytał Paul. - Dotarły do nas tylko strzępy informacji.

- Nie znam całej sprawy. Kilka dni temu admirał Sandecker został zaproszony do Białego Domu na spotkanie z prezydentem i jego doradcami. Biały Dom jest zaniepokojony niebezpieczną sytuacją polityczną w Rosji. Kilku ludzi prezydenta miało za złe Sandeckerowi, że pozwolił Kurtowi wybrać się do opuszczonej poradzieckiej bazy okrętów podwodnych. Obawiali się, że opozycja rosyjska wykorzysta to przeciwko rządowi w Moskwie, który walczy o przetrwanie. Admirał przeprosił za ten incydent. Zaproponował, że osobiście porozmawia z Rosjanami. Odrzucono jego ofertę. Potem zapytał, co Biały Dom robi w sprawie NR-1. Dziwnym trafem prezydent i jego ludzie zapomnieli mu powiedzieć o zaginięciu łodzi podwodnej.

- Jak mogli sądzić, że admirał się o tym nie dowie?!

Gamay pokręciła głową.

- Nie do wiary, że NR-1 zniknęła tak bez śladu, jakby połknął ją potwór morski.

- Została porwana i przetransportowana na pokładzie okrętu podwodnego.

- To jeszcze mniej prawdopodobne niż teoria o potworze morskim - odparła Gamay.

- Próbowaliśmy coś ustalić, kiedy zadzwonił Kurt. Dowiedział się ze swojego źródła, że za destabilizacją polityczną w Rosji stoi potentat górniczy Michaił Razow. Według Białego Domu, istnieje związek między zniknięciem NR-1 i bałaganem w Moskwie. W dodatku firma Razowa, Ataman Industries, wydzierżawiła od rządu rosyjskiego opuszczoną bazę okrętów podwodnych.

- Dlatego Kurt prosił nas, żebyśmy się przyjrzelі działalności Razowa w Noworosyjsku - powiedziała Gamay.

- Podejrzewacie, że NR-1 zabrano do tamtej starej bazy? - zapytał Paul.

- Uważamy, że to możliwe. Ale bardziej zaniepokoiło nas co innego. Kurt dowiedział się, że Razow coś knuje przeciwko Stanom.

- Co takiego?

- Nie wiemy. Sandecker potraktował to poważnie. Kiedy Kurt zawiadomił nas, że ściąga Zespół Specjalny i wybiera się do bazy, admirał dał mu ciche błogosławieństwo. Kurt musiał wam wspomnieć, że jego akcja była... hm... nieoficjalna.

Gamay roześmiała się.

- Przedstawił to dość barwnie.

- Wolę nie znać szczegółów - odrzekł Rudi, wyobrażając sobie raport Austina. - Biały Dom ostrzegł Sandeckera, że mamy się trzymać z daleka od sprawy NR-1. Chyba nie muszę wam mówić, że admirał obszedł zakaz. Obiecał, że nie będziemy szukać łodzi, ale nic nie powiedział o bazie.

- Jestem zaszokowana - oznajmiła Gamay z udawaną zgrozą.
- Ja też - dodał Paul. - Kto by pomyślał?
- Wasz sarkazm został odnotowany. Nie mogliśmy w to bezpośrednio wciągać admirała, żeby miał pole manewru.

- Ryzykowna zabawa - zauważył Paul.
- Sandecker dobrze o tym wiedział, ale bogowie strzegący Morza Czarnego byli mu życzliwi.

Gamay dostrzegła enigmatyczny uśmiezek Gunna.

- Wyglądasz jak kot, który połknął kanarka, Rudi. Kurt ma najwyraźniej dobre wieści.
- Bardzo dobre. On i Joe znaleźli załogę NR-1. To jest ta „paczka”, o której wspomniałem. Byli przetrzymywani w tej rosyjskiej bazie. Teraz są na „Argo”.

Paul zmarszczył czoło.

- Nic nie rozumiem. Kto ich tam trzymał? Rosjanie?
- Sprawa jest dość skomplikowana. Kapitan i sternik przepadli bez śladu. Sama łódź też. Kurt chciał, żeby cała nasza trójka spotkała się z załogą.

- Odnalezienie tych facetów to duży wyczyn NUMA i admirała - powiedział Paul.

- Niestety, nie możemy liczyć na oklaski. Nie wiem, jak to rozegrają, bo nikt nie podał do wiadomości publicznej, że łódź została porwana. Góra trzymała to w tajemnicy.

- W Waszyngtonie trudno coś utrzymać w tajemnicy - przypomniał Paul. - Ta historia musi wyjść na jaw.

- Oczywiście. Zawiadomiliśmy marynarkę, że uratowaliśmy ich ludzi, ale celowo pominęliśmy szczegóły. To nie jest strategia na dłuższą metę. Dlatego musimy rozgryźć sprawę do końca. Napijmy się jeszcze kawy i opowiedzcie mi o waszym spotkaniu z Atamanem.

Gamay zgłosiła się na ochotnika do napełnienia kubków.

- Niech Paul mówi. Ja tylko trochę to ubarwię.

Gunn słuchał w milczeniu. Troutowie wiedzieli z doświadczenia, że analizuje każdy szczegół. Był najlepszy na swoim roku w Akademii Marynarki Stanów Zjednoczonych i miał kiedyś stopień komandora. Zanim został zastępcą Sandeckera, nadzorował logistykę i programy badań oceanograficznych NUMA.

Kiedy skończyli opowiadać, zasypał ich pytaniami. Interesował go zwłaszcza „szalony mnich” Borys i uwaga Jurija o nieobecności wielkich statków wiertniczych w porcie. Gwałtowna reakcja ochroniarzy Atamana była łatwa do wytłumaczenia: Razow ma coś do ukrycia i nie lubi, kiedy ktoś węszy wokół niego. Jednak Borys i nieobecne statki wiertnicze nie pasowały do równania, które ułożył Gunn. Odchylił się do tyłu w fotelu, poprawił okulary w rogowej oprawie i złączył końce palców. Wyglądał jak Sherlock Holmes przy rozwiązywaniu zagadki. Brakowało mu tylko fajki i czapki myśliwskiej.

W tym momencie rozległ się głos pilota.

- Podchodzimy do „Argo”. Jeśli spojrzycie w prawo, zobaczycie go.

Na statku włączono wszystkie światła. „Argo” wyglądał jak gigantyczna pływająca choinka na tle atramentowej czerni morza. Helikopter zawisnął nad statkiem i wolno usiadł na stanowisku lądowniczym, oznaczonym wielkim migającym X. Lądowanie było niemal idealne, koła tylko lekko stuknęły w pokład. Rotor przestał się obracać i drugi pilot przyszedł otworzyć drzwi. Pasażerowie podziękowali załozie maszyny za udany lot i zeszli po schodkach, mrużąc oczy przed blaskiem reflektorów, które zamieniły noc w dzień. Siwe włosy i szerokie bary Austina rzuciły się w oczy w tłumie witających. Podszedł, uściśnął rękę Gunnowi i otoczył ramionami Troutów.

- Mam nadzieję, że zdążyliście wypić martini.

Gamay uśmiechnęła się i cmoknęła go w policzek.

- Tak, po dwa na głowę.

- Przepraszam, że ściągnąłem was tutaj natychmiast po waszym powrocie z Noworosyjska - powiedział Austin i zaprowadził ich do mesy na lemoniadę ze świeżych owoców. - Joe zabawia załogę NR-1 w sali konferencyjnej. Spotkamy się z nimi za piętnaście minut i posłuchamy ich relacji. Rwą się do domu. Poprosiłem, żeby poświęcili nam godzinę, dopóki helikopter nie będzie zatankowany.

Kiedy Austin opowiedział szczegóły uratowania załogi, ubawiony Gunn wydał wargi.

- Nie chcę umniejszać niebezpieczeństw, które opisałeś, ale ci wszyscy ludzie biegający w kółko kojarzą mi się z filmami o Różowej Panterze.

- Mnie przypominali raczej policyjne oferty z niemych komedii. Kiedyś będę się śmiał z tej zwariowanej przygody, ale gdybym mógł jeszcze bardziej poświęcić, pewnie tak by się stało.

- Intryguje mnie ten twój Iwan - powiedział Gunn. - Skąd go znasz?

- Z czasów, kiedy pracowałem w CIA.

- To przyjaciel czy wróg?

- W tej chwili uznałbym go za przyjaciela. Może dużo zrobić, jeśli dojdzie do wniosku, że jest to w interesie Rosji. To człowiek skryty i sprytny. Inaczej nie przetrwałby tylu czystek w wywiadzie rosyjskim.

- Uważasz, że mimo jego przeszłości powinniśmy mu ufać?

- Na razie. Z jednego bardzo ważnego powodu.

- To znaczy? - zapytał Gunn.

- Mamy tylko jego.

19

Kiedy Austin wszedł do sali konferencyjnej, szczęśliwie uratowani podwodniacy, śmiejąc się wesoło, wspominali swoje przygody. Ludzie z NR-1 przeszli na statku badania lekarskie, najedli się do syta i dostali kombinezony robocze NUMA. Poza skaleczeniami i siniakami nikt nie ucierpiał. Przy metalowym stole na środku sali siedział kapitan Atwood, chorąży Kreisman i Joe Zavala. Joe uśmiechnął się na widok swoich kolegów z NUMA. Wstał i podszedł, żeby uścisnąć dłoń Gunnowi i Troutowi. Jako wielbiciel kobiet, pocałował Gamay w policzek.

Austin dokonał szybkiej prezentacji.

- Za kilka godzin będziecie z powrotem w Stambule - powiedział. - Wasze rodziny już wiedzą, że jesteście bezpieczni.

Głośny aplauz.

- Wiem, że spieszycie się do domu - ciągnął - ale mam prośbę. Słyszeliśmy tylko fragmenty waszej niezwykłej historii. Zanim helikopter będzie gotów do drogi, chcielibyśmy poznać całe zdarzenie od początku do końca.

Wstał chorąży Kreisman.

- Chętnie wszystko wyjaśnimy. Dziękuję w imieniu załogi za wydostanie nas stamtąd.

- Jeśli pozwolicie, zabawię się w Perry Masona. Tak chyba będzie szybciej - rzekł Austin.

- Nie ma problemu, sir.

- W porządku. Możemy zaczynać?

Kreisman podszedł do mapy morskiej wiszącej na ścianie i pokazał wschodnią część Morza Egejskiego.

- Mieliśmy zadanie zejść pod wodę po znaleziska archeologiczne u wybrzeży Turcji. Tutaj... - postukał w mapę. - Oprócz stałej załogi, dowodzonej przez kapitana Logana, na pokładzie był doktor Josef Pułaski z Instytutu Technologicznego Massachusetts.

Gunn podniósł rękę.

- Mam informację na ten temat. Kiedy dowiedzieliśmy się o uprowadzeniu waszej łodzi podwodnej, znaleźliśmy jego nazwisko na liście załogi. Skontaktowaliśmy się z Instytutem. Nigdy nie słyszeli o tym facecie.

Choraży pokręcił głową.

- Szkoda, że go nie sprawdziliśmy, zanim wszedł na pokład. W każdym razie nasza operacja zakończyła się sukcesem. Wydobyliśmy manipulatorem wiele artefaktów. Kiedy przygotowywaliśmy się do wynurzenia, Pułaski wyciągnął pistolet. Kapitan poinformował nas o tym ze sterowni przez interkom. Łódź uniosła się nieco w górę i zawisła w bezruchu.

- Na jak dna go? - zapytał Austin.

- Na prawie dwadzieścia pięć minut. Potem na monitorach pojawił się wielki cień. Wyglądał jak wieloryb albo rekin podpływający pod łódź. Rozległ się głośny łomot. Łódź tak się zatrzęsała, że kto nie zdążył się czegoś przytrzymać, upadł na podłogę. Usłyszeliśmy zgrzyty i drapanie, jakby po kadłubie zewnętrznym pełzały wielkie metalowe żuki. To byli nurkowie. Widzieliśmy ich na monitorach. Jeden nawet pomachał do kamery. Potem nurkowie zniknęli i popłynęliśmy szybko przez morze.

- Gdzie był przez cały czas kapitan, sternik i ten naukowiec? - spytał Austin.

- W sterowni.

- Czy kapitan mówił coś jeszcze?

- Tak, sir. Prosił o kawę i kanapki.

- Co robił statek ubezpieczający?

- Wywoływali nas przez radio, dopóki Pułaski nie kazał zerwać łączności.

- Jak długo płynęliście pod wodą? - zapytał Austin.

- Kilka godzin. Kiedy wynurzyliśmy się, było ciemno jak w Hadesie. Nigdzie ani światełka. Potem do NR-1 wtargnęli przez właz uzbrojeni faceci.

- Rosjanie?

- Trudno powiedzieć, ale chyba widziałem u nich AK-47. Mieli kombinezony kamuflujące i zachowywali się jak zawodowi żołnierze. Nie to, co tamte świry na koniach. Nie odezwali się ani słowem. Gadał tylko Pułaski. Kazał nam wyjść z NR-1 i znaleźliśmy się na pokładzie wielkiego okrętu podwodnego.

- Ile mógł mieć długości? - spytał Gunn.

Kreisman rozejrzał się po sali.

- Jak sądzicie?

- Na początku służby w marynarce pływałem na okrętach podwodnych - powiedział jeden z mężczyzn. Sądząc po szerokości pokładu, tamten okręt musiał mieć długość klasy Los Angeles. Mniej więcej sto dziesięć metrów.

- NR-1 ma tylko czterdzieści pięć - zauważył Austin. - Bez trudu wzięli was na grzbiet.

Marynarz przytaknął.

- Tamten okręt podwodny był większy od naszego statku ubezpieczającego.

Austin zerknął po sali.

- Może ktoś widział oznaczenia?

Nikt nie odpowiedział.

- To była ciemna, bezksiężycowa noc - wyjaśnił Kreisman.
- Więc przenieśli was na ten wielki okręt podwodny?
- Tak. Zamknęli nas w kajucie załogi. Nie wystarczyło koi dla wszystkich, więc spaliśmy na zmianę. Od czasu do czasu przynosili nam jedzenie. Zanurzyliśmy się na dwadzieścia cztery godziny. Kiedy wypłynęliśmy na powierzchnię, była noc. W powietrzu nie czuło się zapachu soli, do którego przyzwyczailiśmy się na Morzu Egejskim.
- Powiedz o odgłosach statków - podpowiedział któryś z podwodniaków.
- Przed wynurzeniem w kajucie było cicho jak w grobie. I wtedy usłyszeliśmy odgłosy silników.
- Znaleźliście się w rejonie dużego ruchu statków?
- Na to wyglądało. W końcu hałasy ucichły. Kilka godzin później wynurzyliśmy się obok czekającego na nas statku. Następnego dnia rano kazano nam wyjść na pokład. Pilnowali nas faceci ze spluwami. Okręt podwodny zniknął. Pojawił się Pułaski. Uśmiechnął się i palnął nam mowę powitalną tym swoim dziwnym akcentem: „Dzień dobry panom. W zamian za ten wspaniały rejs musimy was poprosić o wykonanie dla nas pewnej roboty”. Powiedział, że chodzi o wydobycie ładunku z wraku. On i jeszcze jeden będą z nami. Władowaliście się do NR-1 i zeszliście w dół.
- Na jaką głębokość?
- Poniżej stu dwudziestu metrów. Dla NR-1 to żadna sprawa. Tyle tylko, że w tamtym morzu potrzebowaliśmy mniej balastu, żeby się zanurzyć. Dno było muliste, pochyłe. Wrak osiadł na zboczu podwodnego kanionu.
- Czy na kadłubie była nazwa?
- Nie widzieliśmy. Oblepiały go skorupiaki i wodorosty. Dziób skierowany był bardziej w górę niż na zdjęciach „Titanica”.
- W jakiej pozycji osiadł wrak?
- Stał tak przechylony, że chyba wystarczyłoby mocnej go pchnąć, żeby runął. W sterburcie była duża dziura.
- Widzieliście, co jest w środku?
- Rumowisko. Byliśmy tam tylko minutę. Tamtych bardziej interesowała druga burta. Umieścili w manipulatorze palnik. Usiedliśmy na przechylonym pokładzie. Ryzykowna zabawa sadzać łódź pod takim kątem. Baliśmy się, że lada chwila wrak się przewróci. Kazali nam wyciąć dziurę w nadbudowie.
- Nie w ładowni?
- Też się zdziwiliśmy, ale woleliśmy nie dyskutować. Zrobiliśmy otwór mniej więcej trzy na trzy metry. Łatwo poszło, bo metal już przerdzewiał. Musieliśmy jednak pamiętać, że wystarczy jeden fałszywy ruch i statek opadnie w głębię. Zobaczyliśmy stare koje i materace. Pułaski i jego kumpel wkurzyli się. Zaczęli o czymś ze sobą rozmawiać, oglądając szkic wraku.

- Po rosyjsku?

- Chyba tak. Najwyraźniej kazali nam ciąć w złym miejscu. Próbowaliśmy jeszcze dwa razy, zanim znaleźli to, czego szukali. Chodziło im o dużą kajutę pełną metalowych skrzyń wielkości starych kufrów podróżnych, jakie widuje się w sklepach z antykami.

- Ile ich było?

- Kilkanaście. Leżały na kupie. Pułaski kazał nam je wyjmować ramieniem manipulatora. Ważyły tyle, że ramię ledwo wytrzymało. Ułożyliśmy skrzynie przy otworze i zawiadomiliśmy statek, żeby spuścił liny z hakami. Zaczepiliśmy je, odsunęliśmy się i dźwig wciągnął cały ładunek na górę.

- Też tak bym zrobił - powiedział Austin, który miał doświadczenie w ratownictwie głębinowym.

- To był pomysł kapitana Logana. Duma zawodowa nie pozwoliła nam schrzanić tej pracy.

- Nie róbcie sobie wyrzutów. Gdybyście nie wykonali tego, czego żądano, pewnie by was rozwalili.

- Kapitan też tak powiedział.

- Widzieliście, co było w skrzyniach?

- Nie dali nam tam spojrzeć, ale słyszeliśmy, jak otwierali je łomem. Byli strasznie podnieceni. Potem zapanowała cisza i zaczęli się klócić. Zjawił się Pułaski i zaczął na nas wrzeszczeć po rosyjsku, jakby to była nasza wina. Wyglądał tak, jakby czegoś się bał.

- Nie wiecie, o co chodziło?

Kreisman pokręcił głową.

- Kazali nam zejść na dół. Kiedy znów wyprowadzili nas na pokład, była noc. Wrócił okręt podwodny. I pojawił się jakiś statek. Nie widzieliśmy go dobrze w ciemności, ale po odgłosach zorientowaliśmy się, że jest duży. Władowali nas do okrętu podwodnego. Znow ta sama kajuta. Zatrzymali tylko kapitana i sternika. Płynęliśmy pod wodą krócej niż przedtem. Wypuścili nas w hali wielkości hangaru lotniczego.

- W schronie dla okrętu podwodnego. Co się stało z NR-1?

- Nie wiemy. Kiedy odpływaliśmy, była przycumowana do statku ratowniczego. Mam nadzieję, że kapitanowi i sternikowi nic się nie stało. Dlaczego nas zamknęli, a ich nie?

- Może mieli jeszcze robotę dla NR-1 albo po prostu potrzebowali zakładników. Co było dalej?

- Przenieśli nas do następnej kajuty. Przesiedzieliśmy tam kilka dni w fatalnych warunkach. Nic się nie działo, jeśli nie liczyć wybuchu gdzieś na dole.

- Zablockowali drogę do schronu dla okrętu podwodnego.

- Po co?

- Baza została odkryta i nie chcieli, żeby ktoś tu wszedł. Okręt podwodny użyty do porwania spełnił swoje zadanie. Nie zdziwiłbym się, gdyby potem zablockowali wejście z

lądu. Może z wami w środku. Kto was tam pilnował?

- Ta sama banda, co na statku ratowniczym. Wojskowe typy z pistoletami maszynowymi. Dawali nam czarny chleb i wodę. Potem zjawili się ci goście w śmiesznych czapach i workowatych portkach. Od razu dołożyli kilku naszym, wywlekli nas na zewnątrz i zagonili na tamto wielkie boisko. Resztę pan zna.

Austin rozejrzał się po sali.

- Jakies pytania?

- Zauważyliście może, jaką pozycję wskazywał GPS, kiedy pracowaliście na NR-1? - zapytał Gunn.

- Trzymali nas z daleka od wskaźników pozycji, potem je wyłączyli. Nic nie widzieliśmy.

- Szkoda - westchnął Gunn.

Rozległy się śmiechy.

- Co w tym śmiesznego? - zapytał Gunn.

Wstał szczupły blondyn. Przedstawił się jako marynarz Ted McConnack. Podał przez stół kartkę.

- To są namiary na wrak z GPS-u. Gunn odczytał współrzędne.

- Skąd ta pewność?

McCormack wyciągnął rękę i pokazał duży zegarek na nadgarstku.

- Dostałem go od żony. Pobraliśmy się tuż przed moim zaokrętowaniem. Ma w domu mapę, więc kiedy dzwoniłem do niej, mogła dokładnie zaznaczyć, gdzie jestem.

Wtrącił się Kreisman.

- Nabijaliśmy się z Teda, że stara trzyma go na krótkiej smyczy.

- Kiedy nas porwali - ciągnął McCormack - wsunąłem zegarek wyżej na rękę i zasłoniłem rękawem. Nie zrewidowali nas. Pewnie myśleli, że jesteśmy nieszkodliwi.

Zegarek ProTek GPS był cudem miniaturyzacji. Producent reklamował go jako najmniejsze urządzenie GPS na świecie. Przy jego użyciu można było określić swoją pozycję na kuli ziemskiej z dokładnością do kilku metrów.

Austin uśmiechnął się radośnie.

- Niech żyje miłość. Dzięki za pomoc. *I bon voyage.*

Załoga NR-1 wybiegła z sali konferencyjnej.

Paul otworzył laptop i podłączył do modemu, żeby wyświetlić dane na dużym ekranie w końcu sali. Gamay stanęła obok ze wskaźnikiem laserowym. Paul wystukał polecenie na klawiaturze. Pojawiła się mapa: Morze Czarne w kształcie nerki i otaczający je ląd.

- Witamy na Morzu Czarnym, jednym z najbardziej fascynujących obszarów wodnych świata - powiedziała Gamay i obrysowała wybrzeże jaskrawoczerwoną linią kropkowaną. - Ze wschodu na zachód ma około tysiąca kilometrów, z północy na południe pięćset trzydzieści. W najwęższym miejscu, koło Krymu, tylko dwieście trzydzieści. Mimo stosunkowo małej powierzchni ma bardzo złą reputację. Grecy nazywali je Axenos, czyli

„Niegościnnie”. Średniowieczni Turcy nadali mu nazwę Karadeniz, „Morze Czarne”. Mimo złej sławy, Morze Czarne zawsze przyciągało ludzi. Jazon płynął tędy w poszukiwaniu złotego runa. Morze Czarne jest od tysięcy lat ważną drogą handlową i łowiskiem. W epoce lodowcowej było wielkim jeziorem słodkowodnym. Około sześciu tysięcy lat przed naszą erą pękła naturalna tama lądowa i wdarło się tutaj Morze Śródziemne. Poziom wody podniósł się o kilkaset metrów.

- Potop i arka Noego - mruknął Austin.

- Niektórzy tak uważają - uśmiechnęła się Gamay. - Ludzie żyjący wokół jeziora musieli uciekać, ale nie wiem, czy na arce. Woda została zasolona. Rzeki wpadające do morza jeszcze pogorszyły sytuację. - Dała znak Paulowi i na ekranie ukazał się profil morza. - Morze Czarne ma niewiarygodną głębokość. Wzdłuż wybrzeża biegnie szelf kontynentalny, przypuszczalnie pozostałość po dawnej linii brzegowej. Najszerszy jest na Ukrainie, opada na głębokość ponad dwóch tysięcy stu metrów. W cienkiej górnej warstwie kwitnie bujne życie, ale poniżej stu siedemdziesięciu metrów nie ma żadnego z braku tlenu. To największy martwy zbiornik wodny na świecie. Co gorsza, w głębinach zalega siarkowódór. Jeden oddech może zabić. Gdyby taka masa trucizny kiedykolwiek wydostała się na powierzchnię, zginęłoby wszelkie życie w morzu i wokół niego.

Paul wyświetlił mapę z wykropkowaną wewnętrzną krawędzią morza.

- Kreisman mówił, że wrak leży na poziomie stu dwudziestu metrów. Czyli na granicy szelfu kontynentalnego. Drewniane kadłuby świetnie się przechowują w tych głębinach, bo przy braku tlenu nie mogą tam przetrwać komiki, podczas gdy metal zżera siarkowódór. Tamten wąż to prawdopodobnie dawne koryto rzeki. Szelf kontynentalny stopniowo opada w kierunku pełnego morza. Z gnijących organizmów powstają złoża metanu. Nurka można by od tego odizolować, ale mimo to przebywanie w trującym środowisku jest niebezpieczne.

Gunn wstał i wziął od Gamay wskaźnik laserowy.

- NR-1 porwano tutaj... - Przeciągnął czerwoną linię z Morza Egejskiego przez Bosfor. - Tu załoga słyszała odgłosy ruchu statków... - Przesunął wskaźnik wzdłuż granicy szelfu kontynentalnego. - A tutaj, według GPS-u, jest nasz tajemniczy wrak.

Paul zaznaczył lokalizację symbolem X.

- Zadano sobie dużo trudu, żeby coś z niego wydostać - powiedział Austin. - Może właśnie tam znajduje się klucz do wyjaśnienia tego zajścia?

Gunn odwrócił się do kapitana.

- Kiedy możemy podnieść kotwicę?

Atwood uśmiechnął się.

- Byliście tak pochłonięci dyskusją o Morzu Czarnym, że nawet nie zauważyliście, kiedy zadzwoniłem na mostek. Już płyniemy. Rano powinniśmy być na miejscu.

Poczuli pod stopami lekkie wibracje silników. Gunn podniósł się.

- Idę do wyrka. Jutro czeka nas dużo pracy.

Austin zapytał o drogę do swojej kajuty. Kiedy został sam, usiadł przy stole i wpatrzył się w mapę Morza Czarnego na ekranie. Przyglądał się jej jak tekstowi w nieznanym języku, którego tajemnicę może ujawnić tylko kamień filozoficzny. Potem utkwiał wzrok w symbolu X, oznaczającym pozycję tajemniczego wraku.

Przypomnił sobie wszystkie ostatnie wydarzenia. O co tu chodzi? Zgasił światło i udał się do swojej kajuty.

20

Przez bulaj w kajucie sączyło się światło szarego świtu. Austin obudził się i zerknął na Zawalę. Joe chrapał w najlepsze na sąsiedniej koi. Bez wątpienia śnił o czerwonych chevroletach corvette i pięknych blondynkach. Austin zazdrościł mu zdrowego snu. Po takiej nocy Joe wstanie wypoczęty i gotów do akcji. Austin źle spał. Dręczyły go kłębiące się myśli, jakby mózg szukał odpowiedzi ukrytych w labiryncie podświadomości.

Austin wstał, podszedł do zlewu i obmył twarz zimną wodą. Wciągnął dzinsy, grubą bluzę sportową i kurtkę. Wyszedł z kajuty. Chłodna poranna bryza obudziła go do reszty. Na linii horyzontu pojawiło się wschodzące słońce. Pierwsze promienie nadały chmurom czerwonożłocistą barwę.

„Argo” płynął z szybkością piętnastu węzłów. Austin oparł się o reling, zapatrzony w ciemną powierzchnię wody. Słuchał kojącego szumu fal omywających kadłub. Ptaki muskały pianę niczym niesione wiatrem confetti. Trudno było uwierzyć, że niecałe dwieście metrów niżej znajduje się najbardziej martwe miejsce na tej planecie. Gigantyczna kałuża bez śladów życia. Jednak Austin wiedział, że groźniejsze od tej otchłani może być zło czające się w głębi ludzkiego umysłu. Wzdrygnął się i wszedł do wewnątrz statku.

W ciepłej mesie apetycznie pachniało kawą i jajkami na bekonie. Poprawił mu się humor. Gdyby nie błękitne morze za oknami, jadalnia na statku przypominałaby bar w małym miasteczku, gdzie stali bywalcy mają kubki do kawy ze swoimi imionami. Przy kilku stolikach siedzieli marynarze przysypiający po nocnej wachcie.

Austin wziął kawę na wynos. W drodze na mostek spotkał Troutów. Zeszli wcześniej na śniadanie i teraz robili obchód statku. We trójkę wspięli się do sterowni, skąd widać było dziób i rufę.

Rudi Gunn zrywał się zawsze skoro świt. Pozostało mu to z czasów służby w marynarce wojennej. Stał przy baterii instrumentów i monitorów i rozmawiał z kapitanem Atwoodem. Na widok kolegów uśmiechnął się wesoło.

- Dzień dobry. Już miałem was szukać. Kapitan zdradził mi swój plan.
- Chętnie posłuchamy - odrzekł Austin. - Kiedy będziemy na miejscu?

Atwood wskazał szary okrągły ekran z białymi koncentrycznymi kręgami wytrawionymi

w szkłe. Szare pola pokazywały odczyty GPS-u z anteny, odbierającej informacje z sieci dwudziestu czterech satelitów krążących wokół Ziemi w odległości siedemnastu tysięcy sześciuset kilometrów. Wyświetlacz cyfrowy obok ekranu wskazywał aktualną długość i szerokość geograficzną. System ten mógł doprowadzić statek do celu z dokładnością kilkunastu metrów.

- Powinniśmy tam być za jakieś piętnaście minut. Jeśli namiary zegarka Dicka Tracy są prawidłowe.

- Nie żartowałeś, że będziemy tu rano - powiedział Austin.

- „Argo” może wyglądać na woła roboczego, ale ma we krwi geny konia wyścigowego.

- Od czego chcesz zacząć?

- Od wyznaczenia sonarem rejonu poszukiwań. Użyjemy naszego nowego UUV. Potem przyjrzymy się temu bliżej. Załoga jest już na pokładzie. Przygotowuje sprzęt.

UUV, bezzałogowy pojazd bezprzewodowy, był jednym z najnowszych wynalazków do poszukiwań podwodnych.

Paul poprosił o mapę. Kapitan odsunął niebieską zasłonę, oddzielającą sterownię od kajuty nawigacyjnej. Na stole leżała rozłożona mapa Morza Czarnego. Atwood pokazał palcem punkt przy zachodnim wybrzeżu.

- Jesteśmy tutaj.

Trout pochylił się.

- Czyli nad krawędzią płytkiego szelfu, biegnącą wzdłuż brzegów Rumunii, delty Dunaju, Bosforu i Krymu.

- Szelf jest niewiarygodnie bogatym łowiskiem - powiedziała Gamay. - Są tu łososie i białugi. Również delfiny i makrele, choć niektórych gatunków ubywa. Niektórzy oskarżając to tureckich rybaków. Turcy zwalają winę na zanieczyszczenia przemysłowe, spływające Dunajem z krajów Unii Europejskiej. Jednak jest bezsporne, że poniżej głębokości stu czterdziestu metrów nie ma życia. Dziewięćdziesiąt procent morza jest martwe. Miejsce ryb zajmują meduzy. Ludzie są tym tak zaniepokojeni, że wreszcie próbują coś zrobić.

- A NUMA zbiera dane dla wspólnego rosyjsko-tureckiego programu - wtrącił kapitan Atwood.

- Dlaczego na pokładzie nie ma przedstawicieli tych krajów? - spytał Paul.

- W czasie poprzednich rejsów obserwatorzy rządowi ciągle nas instruowali, gdzie nie wolno prowadzić badań. Tym razem admirał Sandecker zażądał carte blanche. Żadnych obserwatorów. I postawił na swoim.

- Jeśli martwa woda wypłynie na powierzchnię, może zniszczyć wszystko dookoła - zauważyła Gamay.

- Tylko groźba katastrofy potrafi zmusić ludzi do ruszenia tyłków - westchnął Gunn.

Trout przejechał palcem wzdłuż mapy.

- Tutaj dno jest pokryte czarnym mułem osiadłym na glinie. To ślad przeobrażenia się

dawnego jeziora w morze. Za krawędzią szelfu znajdziemy głębokie, strome kaniony. Dziesięć tysięcy lat temu lustro wody znajdowało się trzysta metrów niżej niż dziś. Teoria potopu sugeruje, że Morze Śródziemne zalało ponad sto pięćdziesiąt pięć tysięcy kilometrów kwadratowych lądu.

- Właściciele łodzi zrobili dobry interes - zauważył Austin.

- Jak wyjaśnił wczoraj Paul - powiedziała Gamay - z braku korników drewniane wraki wytrzymują tutaj w świetnym stanie tysiące lat. A stalowe szybko niszczej.

Przyszedł marynarz i wezwał kapitana do sterowni. Po minucie Atwood wrócił uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Namierzyliśmy cel. Tajemniczy wrak powinien być dokładnie pod naszą anteną radiową.

- Przypomnijcie mi, żebym posłał bukiet kwiatów tej dziewczynie, która kupiła swojemu marynarzowi zegarek z GPS-em - powiedział Gunn.

Austin spojrział na bezkresne morze i pomyślał, ile czasu mogliby zmarnować na bezowocne poszukiwania wraku.

Zjawił się Zavała. Zeszli na pokład przy sterburcie. W słońcu lśniła mała metalowa torpeda na aluminiowym stojaku. Mark Murphy, ekspert od zdalnie sterowanych pojazdów podwodnych, odłączył od niej modem.

Murphy gardził kombinezonem roboczym NUMA i ubierał się po swojemu. Nosił wytarte dżinsy z obciętymi nogawkami, rozpiętą koszulę, traperskie buty i czapkę baseballową. Na koszuli i czapce miał napis „Argonauta”. Przekroczył pięćdziesiątkę i posiwiła mu broda, ale ogorzała twarz promieniowała młodzieńczym entuzjazmem.

Zauważył, że Zavała gapi się na torpedę.

- No i co o niej sądzisz? - zapytał.

- Cholernie seksowna.

- Musisz wybaczyć mojemu kumpłowi - wtrącił się Austin. - Od dwudziestu czterech godzin nie miał przepustki na ląd.

- Doskonale go rozumiem - odparł Murphy. - To gorąca sztuka. Zobaczycie, jakie zna numery.

Zavała był genialnym inżynierem morskim. Zaprojektował lub kierował budową wielu pojazdów podwodnych. Murphy potrafił je odpowiednio wykorzystać.

Austin rozumiał ich pasję. UUV miał tylko półtora metra długości i dwadzieścia centymetrów średnicy. Ważył trzydzieści sześć kilogramów. Ale był cudem techniki w dziedzinie poszukiwań podwodnych. Działał niemal niezależnie od operatorów na statku. Ten model opracowano w Instytucie Oceanograficznym Woods Hole jako rozwinięcie SAHRY, półautonomicznego hydrograficznego pojazdu rozpoznawczego.

- Jesteśmy prawie gotowi do zwodowania - oznajmił Murphy. - Opuściliśmy za burtę dwa oddzielne transpondery, po jednym w każdym rogu rejonu poszukiwań. Tworzą sieć

nawigacyjną. Pojazd bez przerwy utrzymuje z nimi kontakt. Dane, które zbierze, zostaną zapisane na twardym dysku.

- Dlaczego nie będzie bezpośredniego przekazu telemetrycznego na statek? - zapytał Austin.

- Za długo by to trwało. Na początek kazałem pojazdowi zbadać z wysoką rozdzielczością dziesięć trzydziestometrowych pasów. Będzie płynął z szybkością pięciu i pół węzła około dwudziestu siedmiu metrów nad dnem. Dzięki sonarowi antykolizyjnemu ominie przeszkody górami lub z boku.

Murphy wcisnął włącznik magnetyczny na kadłubie torpedy. Napędzana elektrycznie śruba ze stali nierdzewnej zawirowała z cichym szumem. Z pomocą marynarza Murphy delikatnie opuścił stojak do wody.

„Argo” był najeżony imponującą liczbą dźwigów i wciągarek do obsługi elektronicznych oczu, uszu i rąk - załogowych i bezzałogowych pojazdów podwodnych, używanych przez naukowców. Jeden z żurawi mógłby podnieść dom, ale celowo miał słabe liny, które zerwałyby się przy zbyt wielkim naprężeniu. Miało to zapobiec zatonięciu statku w razie zaczepienia się haków o podwodną skałę.

Większość ciężkiego sprzętu opuszczano do wody z basenu na śródokręciu, przez wielkie rozsuwane drzwi w dnie kadłuba. Jednak UUV można było po prostu spuścić za burtę. Śruba zawirowała w wodzie i pojazd pomknął niczym ryba urwana z haczyka. Odpłynął od statku i zatoczył wielki łuk.

- Zrobi cztery okrążenia, żeby wyskalować kompas - wyjaśnił Murphy. - Już nawiązał kontakt z siecią nawigacyjną.

Pojazd zatoczył ostatni krąg i zniknął pod powierzchnią wody.

- Płynie do pierwszego pasa - powiedział Murphy.

- A my? - zapytał Austin.

Murphy uśmiechnął się.

- Idziemy na kawę i pączki.

21

Pojazd podwodny pływał tam i z powrotem nad dnem morza, jakby kosił trawnik. Jego trasa wyświetlana była na ekranie komputera. Kiedy UUV wykonał zadanie, wziął kurs na trzeci transponder. Wynurzył się przy burcie statku, gdzie złapano go w specjalny stojak podnośnikowy i wciągnięto na pokład. Murphy podłączył modem i przetransferował wszystkie dane z ociekającej wodą torpedy do swojego laptopa. Potem odłączył komputer.

Wetknął laptop pod pachę i poszedł do sali konferencyjnej. Postawił komputer na stole i podłączył do wielkiego monitora. Program SeaSone ukazał na ekranie obrazy sonarowe o wysokiej rozdzielczości. Z prawej strony wyświetlała się pozycja oraz długość i szerokość geograficzna. Murphy zmienił kolor ekranu na bursztynowy, żeby nie męczyć oczu.

Dno morza było niemal puste. Czasem pojawiał się gład lub ciemne i jasne plamy, świadczące o zróżnicowaniu osadów geologicznych. W połowie czwartego kursu sonar wyłapał dwie linie proste, zbiegające się pod kątem. Wszyscy wpatrzyli się w monitor. Pojazd dopłynął do końca pasa i zawrócił. Murphy zatrzymał obraz.

- Mamy go! - powiedział.

O pomyłce nie mogło być mowy. Statek. Murphy kliknął myszą i zrobił zbliżenie. Pojawiły się drzwi, włazy i bulaje. Komputer podał wymiary wraku.

- Siedemdziesiąt sześć metrów długości - odczytał Murphy.

Austin wskazał cień na kadłubie.

- Możesz zbliżyć ten fragment?

Murphy znów kliknął myszą. W małym okienku z boku ekranu ukazała się część burty. Po ustawieniu większej rozdzielczości zobaczyli wyraźnie dziury blisko linii wodnej.

Następnie wydrukował w kolorze obraz zbadanego rejonu z widocznym celem i rozłożył na stole.

- Wrak jest na głębokości stu trzydziestu siedmiu metrów - oznajmił. - W tym miejscu dno zaczyna opadać do kanionu. Statek osiadł na zboczu tuż za krawędzią uskoku. Mamy fart. Trochę dalej i byłoby po nim. Rozsypałby się w proch od korozji.

- Dobra robota, Murphy - pochwalił kapitan Atwood i odwrócił się do innych. - Załoga jest gotowa do zwodowania ROV-u.

Był to pływający robot. Wszyscy przeszli do małej kabiny z konsolami sterowniczymi do obsługi pojazdów opuszczanych przez basen. Atwood wskazał Gunnowi konsolę komputerową.

- Proponuję zasiąść za sterami, komandorze.

Gunn wyglądał na profesora, ale w istocie był człowiekiem czynu. Od chwili wejścia na pokład irytowała go rola biernego obserwatora. Miał duże doświadczenie w obsłudze zdalnie sterowanych pojazdów.

- Z przyjemnością, kapitanie.

- Czekamy na sygnał.

Gunn usiadł przy konsoli, zapoznał się z przyrządami i wypróbował joystick sterowniczy. Potem uśmiechnął się i zatarł ręce.

- Opuszczać.

Kapitan odpiął od paska małe radio i wydał rozkaz. Chwilę później ekran ożył. Ukazał się na nim widok przepastnego basenu z kamery dziobowej ROV-u. Pojazd opuszczono do wody i obiektyw znalazł się pod powierzchnią. Pojawił się nurek w skafandrze. Odczepił linę dźwigu i zniknął, pozostawiając chmurę pęcherzy powietrza. ROV zanurzał się wolno pod otwartym dnem statku.

Zdalnie sterowany Benthos Stingray był połączony z „Argo” trzy stumetrowym kablem w osłonie z kevlaru. Przewód transmitował polecenia Gunna do systemu operacyjnego i przekazywał obraz na ekran. Statek miał na pokładzie większe i silniejsze ROV-y, ale po uprowadzeniu NR-1 kapitan wolał użyć mniejszego pojazdu, który można wcisnąć w każdy zakamarek. Pływający robot był wielkości dużej walizki, ale miał kamerę wideo i cyfrową oraz ramię manipulatora.

Gunn z wprawą przesunął joystick i ROV przeszedł do długiego skośnego nurkowania. Pojazd korzystał z sieci nawigacyjnej, utworzonej dla UUV. Dzięki niej znajdował drogę prosto do celu. Im dalej od nasłonecznionej powierzchni, tym bardziej woda traciła kolor. Gunn włączył dwa 150-watowe kwarcowe reflektory halogenowe, ale nawet ich mocne światło niknęło w gęstniejącym mroku.

ROV zszedł gładko na głębokość stu metrów i wypoziomował tuż nad dnem. Słaby prąd morski ograniczał jego szybkość do jednego węzła. Pojazd sunął ponad czarnym mułem, potem dno opadło. Znalazł się nad krawędzią podwodnego kanionu tak nagle, że wszyscy w kabinie „Argo” poczuli lekkie mdłości. Gunn skierował ROV w dół równoległe do stromej pochyłości. Sonar pojazdu rysował cel na oddzielnym monitorze, dopóki nie znalazł się on w zasięgu wzroku. Gunn włączył wirniki pionowe i ROV uniósł się wolno nad statek.

Wrak leżał pod kątem na pochyłym zboczu kanionu. Dolna część kadłuba zaryła się w muł. ROV zniżył się o kilka metrów i popłynął wzdłuż statku na poziomie pokładu głównego. Minął rząd bulajów; niektóre z nich były otwarte. Obrośnięty skorupiakami wrak miał upiorny wygląd. Odłaziła z niego czerwona farba antykorozyjna. Drewniana sterownia

rozpadła się, pokłady przegniły. Wyciągi szalup były puste, ze strzępów linek zwisały wodorosty. Z komina została kupa zardzewiałych szczątków.

Statek był bezużytecznym metalowym trupem. Przydawał się tylko rybom. W przejściach, którymi kiedyś chodzili ludzie, pływały teraz całe ich ławice. Austin przyglądał się temu głęboko poruszony. Niczyje ręce nie mogły już zamknąć klap, otworzonych przez ciśnienie uchodzącego powietrza, ale niemal słyszał skrzypienie bomów i odgłos silników płynącego statku. Wyobrażał sobie sternika stojącego w rozkroku z rękami na kole i załogę krzątającą się na pokładzie.

Poprosił Gunna, żeby ROV okrążył rufę. Chorąży Kreisman miał rację; narodził na kadłubie zasłaniała nazwę statku. Gunn wprowadził pojazd do kilku zakamarków w nadziei, że natrafi na jakiś znak konstruktora, ale nic nie znalazł.

Austin odwrócił się do Gamay.

- Co powie o tej starej łajbie nasz nadworny archeolog morski?

- Moja specjalność to rzymskie i greckie drewniane statki. Gdybyś poprosił o zidentyfikowanie triery czy diery, mogłabym bardziej pomóc. Ale spróbuję.

Kamera przesuwiała się wzdłuż śródokręcia, gdzie stalowe płyty wybrzuszyły się i nie były zarośnięte.

- Nitowane poszycie - powiedziała Gamay. - W latach czterdziestych dwudziestego wieku zaczęto spawać blachy. Borny wskazują na to, że jest to frachtowiec. Sądząc po kształcie, z przełomu wieków.

Austin poprosił Gunna, żeby ROV podpłynął do uszkodzonej burty. Wrak stał pochylony pod takim kątem, że w każdej chwili mógł runąć ze zbocza. Gunn skierował pojazd prosto przed siebie, dopóki dziura nie wypełniła niemal całego ekranu. Reflektory wyłowiły z wnętrza statku płataninę rur i stalowe kolumny.

- Jak oceniasz zniszczenia, Rudi? - zapytał Austin.

- Dostał z działa w maszynownię. Za wysoko na torpedę. Był to prawdopodobnie pocisk dużego kalibru.

- Kto mógł zatopić stary nieszkodliwy frachtowiec? - zdziwił się Zavala.

- Pewnie ktoś, kto uważał, że nie jest nieszkodliwy - odparł Austin. - Sprawdźmy kajuty, o których mówił chorąży Kreisman.

Gunn poruszył sterami i ROV uniósł się nad pokład. Najwyraźniej dobrze się bawił. Zatoczył pojazdem krąg, żeby nie zahaczyć kablem o fokmaszt i borny. ROV minął mostek i zawisnął przed ciemnym prostokątnym otworem. W przeciwieństwie do poszarpanej dziury wycięcie zrobione palnikiem miało stosunkowo równe krawędzie. Gunn zbliżył pojazd do otworu. W reflektorach ukazała się rama koi, szczątki metalowego krzesła i zniszczone biurko.

- Możemy wejść do środka? - zapytał Austin.

- Wyczuwam boczny prąd. To może być ryzykowne. Ale zobaczę, co da się zrobić.

Gunn manewrował pojazdem w lewo i w prawo. Kiedy ustawił go dokładnie na wprost wycięcia, wpłynął do wnętrza statku. ROV obrócił się dookoła własnej osi o trzysta sześćdziesiąt stopni. Kamera zarejestrowała stosy śmieci. Rudi pomacał w kącie manipulatorem, co spowodowało, że wzbiła się w górę chmura rdzawego pyłu. Nagle pojazd utknął; drut pod sufitem zaczepił o wystającą część osłony ochronnej. Gunn czekał, aż opadnie kurz i wymanewrował ROV z pułapki.

Odwrócił się do Austina.

- Co o tym myślisz?

- Zabrali wszystko, co miało jakąś wartość. Do rozwiązania zagadki musi nam teraz wystarczyć pusty statek - odparł Austin i nagle wskazał ciemny prostokątny przedmiot na półce ściennej. - A to co?

Gunn sięgnął tam manipulatorem. Usunął stos śmieci i kilkakrotnie spróbował chwycić przedmiot. Bez skutku. Prostokąt wymykał się jak mysz kotu. Gunn z determinacją zacisnął zęby i dopchnął przedmiot do rogu. Zacisnął na nim chwytak i wycofał pojazd z kajuty. Potem przysunął koniec manipulatora do reflektorów, żeby oświetlić zdobycz. Trzymał małe, płaskie pudełko.

- Wracam - oświadczył i skierował ROV-a z powrotem do „Argo”. Po kilku minutach na monitorze ukazały się światła basenu. Kapitan polecił obsłudze przynieść znalezisko do kabiny sterowniczej. Po chwili zjawił się technik z białym plastikowym wiaderkiem. Dzięki znajomości archeologii morskiej Gamay była najbardziej doświadczonym konserwatorem na pokładzie. Poprosiła o miękką szczoteczkę. Wyjęła pudełko z wiaderka i ostrożnie położyła na podłodze. Potem delikatnymi ruchami usunęła patynę. Błysnął metal.

- Srebro - powiedziała.

Oczyściła połowę wieczka. Wyłonił się dwugłowy orzeł. Obejrzała zamknięcie. Zerknęła na kapitana.

- Może udałoby mi się otworzyć puzderko, ale wolę nie próbować. Nagły dopływ powietrza mógłby zniszczyć to, co jest w środku. Trzeba przestrzegać zasad konserwacji.

- „Argo” jest przeznaczony głównie do badań biologicznych i geologicznych - odrzekł Atwood. - Ale niedaleko stąd inny statek NUMA, „Sea Hunter”, prowadzi poszukiwania archeologiczne. Może mogliby nam pomóc.

- Na pewno - wtrącił Austin. - Kilka lat temu pracowałem na „Sea Hunterze”. To bliźniak „Argo”.

- Tak. Są prawie identyczne.

- Powinniśmy przekazać im to pudełko jak najszybciej - powiedziała Gamay. - Na razie zakonserwuję je w wodzie morskiej najlepiej, jak umiem. Jestem cholernie ciekawa zawartości.

- Może prześwietlić je rentgenem w ambulatorium? - podsunął Austin. - Mogłabyś się czegoś dowiedzieć.

Gamay ostrożnie zanurzyła pudełko w wiaderku i technik zabrał je.

- Jesteś genialny.

- Kiedy usłyszysz, co jeszcze wymyśliłem, możesz zmienić zdanie.

Wyłożył swój plan.

- Warto spróbować - przyznał Atwood i włączył swoje radio. Po chwili na ekranie znów ukazał się basen na śródkręciu. ROV jeszcze raz poszedł pod wodę. Powtórzono całą poprzednią operację.

Gunn skierował pojazd prosto do wraku. Wkrótce potem ROV wyłonił się zza statku. Gunn poruszył joystickiem. Mechaniczne ramię rozłożyło się i wyciągnęło na całą długość. Było doskonale widoczne w blasku lamp halogenowych. W chwytaku tkwiła szczotka drucziana, używana do czyszczenia kadłuba „Argo” przed malowaniem. Austin wpadł na ten pomysł, kiedy przyglądał się, jak Gamay „odkurza” artefakt.

Gunn spróbował usunąć skorupiaki. Zadziałało prawo Newtona, że każda akcja wywołuje reakcję, i szczotkowanie odepchnęło pojazd od kadłuba. Wrak nie chciał zdradzić swojej tożsamości. Gunn nie rezygnował. Po czterdziestu pięciu minutach zmagania odskrobał płaszczyznę o średnicy około trzydziestu centymetrów. Ukazał się fragment białej litery. Przypominał O.

- To tyle, jeśli chodzi o genialne pomysły - podsumował Austin.

Gunn miał na czole krople potu. Spróbował pokonać siłę odpychającą, zwiększając obroty wirników ROV-u. W pewnym momencie stracił kontrolę i pojazd walnął w kadłub. Odpadł metrowy płat skorupy i odsłonił literę S.

- Dlaczego szczotka tego nie bierze? - zdziwiła się Gamay.

- Można odłupać następny kawałek? - zapytał Austin, zwracając się do kapitana.

Atwood wzruszył ramionami.

- Ta stara łajba ciekawi mnie tak samo, jak was. Nie zwracajcie uwagi na wgniecenia w naszej zabawce.

Zmieszał się, przypomniał sobie, że obok siedzi zastępca szefa NUMA. Ale Gunn nie zareagował. Zaciśnął zęby i kilka razy uderzył w statek, jakby chciał sforsować taranem wrota twierdzy. Ukazało się więcej liter. Po kolejnym mocnym walnięciu oderwał się wielki płat i odsłonił nazwę statku, wypisaną cyrylicą.

Austin wpatrzył się w napis, oświetlony silnymi reflektorami ROV-u, i pokręcił głową.

- Nie jestem dobry w rosyjskim, ale to chyba „Odessa Star”.

- Mówi ci to coś? - zapytał Atwood. - Słyszałeś kiedyś o tym statku?

- Nie - odrzekł Austin. - Ale znam kogoś, kto na pewno słyszał.

22

Waszyngton

Julian Perlmutter spędził większość dnia na tropieniu dwukadłubowego pancernika z czasów wojny domowej dla Instytutu Smithsoniańskiego i zachciało mu się jeść. W gruncie rzeczy Perlmutter zawsze był głodny. Normalny człowiek zadowoliłby się kanapką z wędliną. Ale nie on. Przyzwyczyił się do niemieckiej kuchni, więc przygotował sobie golonkę z kapustą i wyciągnął Rieslinga Kabinett ze swojej piwnicy z czterema tysiącami butelek wina. Jadł srebrnymi sztućcami na porcelanie z francuskiego liniowca „Normandie”. Był w siódmym niebie. Nastroju nie zepsuł mu nawet telefon o brzmieniu dzwonu okrętowego.

Perlmutter wytarł usta i gęstą siwą brodę serwetką z monogramem i sięgnął pulchną dłonią po słuchawkę.

- Tu Julian Perlmutter - powiedział grzecznie. - Proszę się streszczać.

- Przepraszam, musiałem wybrać zły numer - usłyszał głos w słuchawce. - Dżentelmen, z którym chciałem się połączyć, nigdy nie odebrałby telefonu w tak uprzejmy sposób.

- Aha! - ryknął Perlmutter, jakby chciał zagłuszyć odrzutowiec ponaddzwiękowy. - Istotnie masz za co przeproszać, Kurt! No więc co z tym imamem?

- Nie znam nikogo o takim imieniu. Pytałeś w biurze osób zaginionych w Stambule?

- Nie baw się ze mną w kotka i myszkę, ty impertynencki smarkaczu! - zagrział Perlmutter. - Doskonale wiesz, o co chodzi. To ważna sprawa. Obiecałeś mi oryginalny przepis na *imam bajildi*. W luźnym tłumaczeniu „obezwładniający imam”, bo pewien stary facet wpadł w zachwyty po spróbowaniu tego przysmaku. Zapomniałeś, co?

Austin dbał o tusze Perlmuttera. Podczas podróży po świecie wyszukiwał dla niego oryginalne przepisy różnych potraw.

- Oczywiście, że nie. Cały czas przekonuję jednego z najlepszych szefów kuchni w Stambule, żeby zdradził mi tę tajemnicę. Jak tylko dostanę przepis, natychmiast ci wyślę. Nie pozwolę, żebyś schudł.

Perlmutter zarechotał z głębi prawie dwustukilogramowego cielska.

- Bez obaw. Ciągłe jesteś w Turcji?

- W pobliżu. Na statku NUMA na Morzu Czarnym.

- Jeszcze masz wakacje?

- Skończyły się. Wróciłem do pracy i potrzebuję pomocy. Mógłbyś dogrzebać się czegoś o starym frachtowcu „Odessa Star”? Zatonął na Morzu Czarnym, ale nie wiem kiedy. Na razie tylko tyle potrafię powiedzieć.

- Z wytropieniem go nie powinno być problemu. Przecież podałeś mi tyle szczegółów - zadrwił Perlmutter. - Mów wszystko, co wiesz.

Zapisał kilka słów Austina.

- Zrobię, co się da - obiecał. - Choć mogę osłabnąć z głodu. Chyba że dostanę przepis na pewną turecką potrawę.

Austin zapewnił Perlmuttera, że załatwi sprawę i rozłączył się. Miał wyrzuty sumienia, że zapomniał o prośbie przyjaciela. Odwrócił się do Atwooda.

- Czy ktoś w naszej kuchni zna się na tureckim zarcniu?

Kiedy Austin próbował zdobyć przepis na imam, tysiące kilometrów dalej Perlmutter uśmiechał się z zadowoleniem w swoim domu przerobionym z wozowni. Spodobało mu się wyzwanie rzucone przez Austina. Smithsonian będzie musiał poczekać, choć sprawa tajemniczego dwukadłubowego pancernika jest intrygująca. Rozejrzał się po stosach książek, zajmujących każdy centymetr kwadratowy wielkiego salonu, sypialni i gabinetu. Choć mieszkanie wyglądało jak koszmarny sen bibliotekarza, była w nim największa kolekcja historycznej literatury morskiej, jaką kiedykolwiek zgromadzono.

Perlmutter przeczytał każdą ze swoich książek przynajmniej dwa razy. Jego encyklopedyczny umysł wchłonał niezliczoną ilość faktów. Wszystkie były połączone jak w Internecie z odpowiednimi adresami. Mógł wyciągnąć jakąś książkę z zakurzonej sterty, przesunąć palcem po grzbiecie i przypomnieć sobie całą jej treść.

Zmarszczył brwi w zamyśleniu. Coś mu świtało, czaiło się w jakimś ciemnym zakamarku umysłu poza granicą świadomości. Był pewien, że słyszał już kiedyś o „Odessa Star”. Zaczął się przekopywać przez książki i periodyki, mamrocząc pod nosem. Cholera, nie może sobie przypomnieć. Chyba to oznaka starości. Po godzinie zrezygnował. Wyjął wizytówkę z kolekcji telefonów i zadzwonił do Londynu.

- Biblioteka Guildhall - odpowiedział głos mówiący z angielskim akcentem.

Perlmutter przedstawił się i poprosił o rozmowę z osobą, z którą współpracował. Jak wiele instytucji brytyjskich, Biblioteka Guildhall istniała od stuleci. Założono ją w 1423 roku. Słynęła na całym świecie ze zbiorów historycznych sięgających jedenastego wieku. Miała też największą w Zjednoczonym Królestwie kolekcję książek o winach i potrawach. Fakt ten nie uszedł uwadze Perlmuttera. Ale głównie interesowało go bogate archiwum marynistyczne, z którego często korzystał w swoich poszukiwaniach. Angielskie tradycje morskie, kolonialne i handlowe oraz zasięg imperium brytyjskiego sprawiły, że w zbiorach biblioteki były informacje o wszystkich krajach z dostępem do morza.

Do telefonu podeszła Elizabeth Bosworth, sympatyczna młoda kobieta.

- Julian! Miło, że cię znów słyszę.
- Dzięki, Elizabeth. Co u ciebie? Wszystko dobrze?
- Tak, dziękuję. Mam masę pracy. Indeksuję umowy z właścicielami statków zarejestrowanych w koloniach od początku osiemnastego wieku.
- Nie przeszkadzam?
- Oczywiście, że nie! Taka robota bywa czasami nudna. W czym mogę pomóc?
- Szukam informacji o starym frachtowcu „Odessa Star”. Może mogłabyś zadrzeć do akt Lloyda?

Biblioteka Guildhall przechowywała kartoteki wszystkich statków z rejestru tego gigantycznego międzynarodowego ubezpieczyciela morskiego. Firma Lloyd powstała w Londynie w 1811 roku i stworzyła system „wywiadu i nadzoru” we wszystkich głównych portach świata. Na przełomie wieków miała sieć ponad czterystu agentów i pięciuset subagentów, rozproszonych po całej kuli ziemskiej. Ich raporty o katastrofach morskich, armatorach i rejsach statków, zgromadzone w archiwach biblioteki, udostępniano historykom takim jak Perlmutter.

- Z przyjemnością - odrzekła Bosworth. Jej entuzjazm tylko częściowo brał się stąd, że Perlmutter regularnie wpłacał na konto biblioteki sumy grubo przekraczające zwykłe stawki. Bosworth podzielała zamiłowanie Perlmuttera do historii morskiej i podziwiała jego kolekcję książek. Niejednemu raz sama zwracała się do niego o pomoc.

Perlmutter przeprosił, że ma tak mało informacji, i przekazał to, co usłyszał od Austina. Bosworth obiecała, że postara się odezwać jak najszybciej. Perlmutter rozłączył się i wrócił do zlecenia od Smithsonian. Z wytrwałością buldoga dokopał się do informacji o dwukadłubowym pancerniku Konfederatów i pisał na komputerze raport, gdy zadzwonił telefon.

- Coś znalazłam, Julian - powiedziała Bosworth. - Przefaksuję ci to.
- Bardzo dziękuję, Elizabeth. Podczas następnej wizyty w Londynie zaproszę cię na lunch do Simpsona na Strandzie.
- Więc mamy randkę. Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Pożegnali się. Po minucie zaszumiał faks i wypluł kilka kartek. Perlmutter przestudiował pierwszą. Był na niej raport agenta Lloyda w Noworosyjsku, niejakiego A. Zubrina, z kwietnia 1917 roku.

Melduję, że „Odessa Star”, frachtowiec o wyporności dziesięciu tysięcy ton, płynący z ładunkiem kaukaskiego węgla z Odessy do Konstantynopola w lutym 1917 roku, nie dotarł do celu i przypuszczalnie zaginął. Fakt potwierdził agent Lloyda w Konstantynopolu, G. Bozdog. Nic nie wiadomo o obecności statku w którymkolwiek porcie czarnomorskim. Właścicielem frachtowca jest francuska spółka Fauchet Ltd. z Marsylii, która wystąpiła o odszkodowanie. Ostatnie oględziny statku z czerwca 1916 roku wykazały natychmiastową potrzebę remontu generalnego. Proszę o decyzję.

Na następnych kartkach była korespondencja między agentem, centralą w Londynie i Francuzami. Spółka domagała się pełnego odszkodowania. Lloyd odmawiał, powołując się na zły stan statku. W końcu umówili się na jedną trzecią żądanej sumy, z czego większość stanowiła wartość ładunku.

Perlmutter podszedł do półek z książkami, sięgających od podłogi do sufitu. Wyciągnął gruby tom w czerwonej płóciennej oprawie, zniszczonej od częstego używania. Przerzucił rejestr francuskich towarzystw okrętowych. Fauchet wypadł z interesu w 1922 roku. Nic dziwnego. Przy takim traktowaniu swoich statków... Perlmutter wsunął rejestr na miejsce i sięgnął po następny dokument od Bosworth, kopię artykułu z „London Times” z lat trzydziestych. Tytuł brzmiał: *Stary kapitan ujawnia tajemnice Morza Czarnego*. Perlmutter przeczytał list od Bosworth.

Drogi Julianie! Mam nadzieję, że te materiały przydadzą ci się. Wzmiankę o twoim tajemniczym statku znalazłam w wyciągu z materiału archiwalnego, przekazanego bibliotece z posiadłości lorda Dodsona, długoletniego pracownika brytyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych. Był tam też rękopis jego pamiętnika, ale wygląda na to, że rodzina go wycofała. O „Odessa Star” wspomniano również w książce Życie na Morzu Czarnym. Mamy ją w naszych zbiorach. Mogę ci ją wysłać pocztą FedEx, jeśli chcesz.

Perlmutter zanotował tytuł i podszedł do półki. Przesunął pulchnym palcem po rzędzie książek i wyciągnął mały, cienki egzemplarz w skórzanej oprawie ze złotymi literami.

- Ha! - wykrzyknął triumfalnie. Zatańczyłby, gdyby mógł. Przestał się martwić chwilowym zanikiem pamięci. Napisał krótki list i wsunął kartkę do faksu: „Nie musisz wysyłać mi książki. Mam ją w moich zbiorach. Dzięki”.

Wiadomość poszła przez Atlantyk, a Perlmutter usadowił się wygodnie w fotelu z dzbankiem mrożonej herbaty i talerzem krakersów z pastą truflową. Zaczął czytać.

Książkę tę napisał w 1936 roku rosyjski kapitan marynarki Popow. Miał pamięć do szczegółów i poczucie humoru. Perlmutter często się uśmiechał przy opisach trąb wodnych i sztormów, przeciekających statków, piratów i bandytów, kupców-złodziei, przekupnych urzędników i buntujących się załóg.

Najbardziej wzruszył Perlmuttera rozdział zatytułowany *Mała rusalka*. Popow był kapitanem frachtowca, przewożącego tarcicę przez Morze Czarne. Pewnej nocy obserwator zauważył w oddali błysk i usłyszał odległy huk podobny do grzmotu. Ponieważ jednak niebo było pogodne, Popow pomyślał, że stało się coś złego. Postanowił to zbadać. Perlmutter czytał:

Kiedy kilka minut później dotarliśmy na miejsce, zobaczyliśmy plamę ropy i chmurę czarnego dymu nad wodą. Wszędzie pływały szczątki. Co gorsza, również spalone i okaleczone ciała. Mimo moich próśb załoga odmówiła wyłowienia trupów, bo przynoszą pecha. Kazałem maszynowni zastopować silniki. Zaczęliśmy nasłuchiwać. Cisza. Wtem rozległ się jakby wrzask mewy. Wziąłem mojego zaufanego pierwszego oficera i spuściliśmy

szalupę. Popynęliśmy z lampą przez pobojowisko w kierunku dźwięku. Łatwo wyobrazić sobie nasze zaskoczenie na widok złocistych loków małej dziewczynki. Trzymała się kurczowo drewnianej skrzyni. Gdybyśmy przyплыnęli kilka minut później, zamarzłaby na śmierć w lodowatej wodzie. Wciągnęliśmy ją do łodzi i oczyściliśmy jej twarz z ropy. Mój zastępca wykrzyknął: „Wygląda jak rusalka!” Na widok naszej pięknej pasażerki załoga przestała się buntować i zajęła się nią. Po dościsii do siebie dziewczynka okazała się całkiem wykształcona. Z jednym z marynarzy rozmawiała swobodnie po francusku. Powiedziała, że płynęła z rodziną statkiem „Odessa Star”. Mimo że zapamiętała nazwę statku, nie mogła sobie przypomnieć własnego imienia. Powiedziała, że chyba nazywa się Maria. Nie pamiętała swojego życia przed rejssem, ani katastrofy. Rozczuliła moich twardych marynarzy. Nazwali ją „małą rusalką”.

Po powrocie do portu kapitan zameldował o incydencie, ale nie wspomniał władzom o dziewczynce. Wyjaśnił to w epilogu:

Niektórzy czytelnicy są zapewne ciekawi dalszych losów „małej rusalki”. Teraz, po wielu latach, mogę ujawnić prawdę. W chwili, gdy ją znalazłem, byłem żonaty od pięciu lat. Moja piękna młoda żona nie mogła mieć dzieci. Adoptowaliśmy Marię. Była naszą radością aż do śmierci mojej żony. Wyrosła na piękną kobietę, wyszła za mąż i urodziła dzieci. Teraz, po przejściu na emeryturę, postanowiłem wyjawic światu, jaki bezcenny prezent dostałem od morza po latach ciężkiego marynarskiego życia.

Perlmutter odłożył książkę i wziął artykuł z „London Times”. Krytyk wykpił pamiętnik Popowa, ale zaintrygowała go historia „rusalki” i rozpiisał się na ten temat. Najwyraźniej jakiś spostrzegawczy pracownik Lloyda zauważył wzmiankę o „Odessa Star” i dołączył ją do akt zaginionego statku.

Relacja kapitana tak zafascynowała Perlmuttera, że zapomniał o jedzeniu. Szybko nadrobił zaległości, nakładając na krakersa porcję pasty truflowej, wartą dwadzieścia dolarów. Wrócił do terażniejszości. Rozkoszował się delikatnym smakiem i patrzył w okno. Potem przypomniał sobie komentarz Bosworth o lordzie Dodsonie. Przeczytał jej notkę jeszcze raz. Ciekawe, dlaczego rodzina wycofała archiwa z biblioteki.

Mimo zwalistego cielska Perlmutter był człowiekiem czynu. Podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do paru znajomych w Londynie. W ciągu kilku minut ustalili, że wnuk lorda Dodsona, również lord, żyje i mieszka w Cotswolds. Perlmutter dostał nawet numer telefonu, choć informator kazał mu przysiąc pod karą jądania w Burger Kingu, że nie ujawni źródła.

Perlmutter zadzwonił i przedstawił się.

- Tu lord Dodson. A więc jest pan historykiem morskim?

Rozmówca Perlmuttera był wyraźnie rozbawiony. Miał charakterystyczny akcent Anglika z wyższych sfer.

- Zgadza się. Badam historię statku „Odessa Star” i natrafiłem na wzmiankę o pamiętniku pańskiego dziadka. Podobno biblioteka zwróciła go na żądanie pańskiej rodziny. Interesuje

mnie, kiedy może być znów dostępny w Guildhall.

Zapadła cisza. Potem Dodson wybuchnął.

- Nigdy! Niektóre fragmenty są zbyt osobiste! Chyba pan to rozumie, panie Perlman?

- Jeśli pan pozwoli, nazywam się Perlmutter, lordzie Dodson. Fragmenty osobiste można przecież oddzielić od historycznych.

Dodson opanował się trochę.

- Przykro mi, panie Perlmutter. To jedna całość. Udostępnienie tego materiału nic by nikomu nie dało. Wywołałoby tylko wielkie zamieszanie.

- Proszę mi wybaczyć tępotę, ale przecież pański dziadek zapisał to wszystko bibliotece.

- To prawda, był strasznie prostolinijny - odparł Dodson i nagle zorientował się, że niechcący zrobił aluzję do własnego charakteru. - Chodzi mi o to, że w wielu sprawach wykazywał naiwność.

- Chyba nie był aż tak naiwny, skoro piastował wysokie stanowisko w ministerstwie spraw zagranicznych.

Dodson roześmiał się nerwowo.

- Wy, Amerykanie, potraficie być cholernie uparci. Niech pan posłucha, panie Perlmutter. Nie chcę być niegrzeczny, ale muszę zakończyć tę rozmowę. Dziękuję za zainteresowanie. Żegnam.

W słuchawce zapadła cisza. Perlmutter patrzył przez chwilę na telefon, potem pokręcił głową. Dziwne. Dlaczego ten facet tak się wkurzył? Jaka tajemnica może być tak kłopotliwa po tylu latach? Trudno. Zrobił, co mógł. Wystukał numer, który dostał od Austina. Niech inni ustalą, dlaczego „Odessa Star” to taki drażliwy temat po osiemdziesięciu latach od jej zatonięcia na Morzu Czarnym.

23

Moskwa, Rosja

Klub nocny znajdował się w wąskim zaułku niedaleko parku Gorkiego. Kiedyś grasowały tu szczury, a przesiąknięte gorzałą wraki ludzkie sypiały z pokrywami od śmietników pod głową. Pijaczków zastąpiły gromady młodych ludzi o wyglądzie pasażerów UFO. Co wieczór przed niebieskimi drzwiami oświetlonymi pojedynczą lampą zbierał się tłum. Lokal był tak modny, że nawet nie miał nazwy.

Klub założył młody przedsiębiorczy moskwianin. Uznał, że połączenie rosyjskich nowobogackich i zachodniej kultury pop będzie dobrym interesem. Urządził knajpę na wzór ekskluzywnego nowojorskiego Club 54, który dostarczał tematów międzynarodowym mediom, dopóki nie wykończyły go podatki i narkotyki. Moskiewski lokal mieścił się w przestronnej hali dawnej fabryki państwowej, gdzie produkowano podróbki amerykańskich dżinsów. Klientów, którym pozwolono wejść do klubu, witała głośna muzyka dyskotekowa, lampy stroboskopowe i prochy dostarczane przez rosyjską mafię. Lokal był jej własnością od czasu, gdy pierwszy właściciel zatruł się śmiertelnie ołowiem uformowanym na kształt kuli rewolwerowej.

Pietrow stał na skraju tłumu i obserwował salę. Kręcący się tutaj ludzie nosili dziwaczne kostiumy, żeby zwrócić uwagę wielkiego bramkarza w czarnej skórze, blokującego im drogę do narkotycznej ekstazy. Pietrow przez chwilę przyglądał się im z zaciekawieniem, potem przepchnął się między dziewczyną w przezroczystym plastikowym staniku i szortach oraz jej partnerem w majtkach z folii aluminiowej. Bramkarz popatrzył na obcego jak bull mastiff na kota skradającego się do jego miski. Pietrow zatrzymał się przed wejściem i wręczył mięśniakowi złożoną kartkę.

Facet łypnął na nią małymi podejrzliwymi oczkami, wetknął do kieszeni załączony banknot studolarowy i zawołał kumpla, żeby go zastąpił. Zniknął za niebieskimi drzwiami i wrócił z krępyim gościem w średnim wieku, ubranym w mundur oficera radzieckiej marynarki wojennej. Wojskowy miał na piersi tyle medali, że musiałby żyć kilka razy, żeby na nie zasłużyć. Ochroniarz wskazał Pietrowa. Oficer przyjrzał się mu się spode łba. Jego oczy pod ciężkimi powiekami ożywiły się. Przywołał gestem Pietrowa.

Uderzenie pulsującej muzyki omal nie zważyło Pietrowa z nóg. Na wielkim parkiecie widać się ludzka masa. Odetchnął z ulgą, gdy wojskowy zaprowadził go korytarzem do magazynu i zamknął drzwi.

- Przychodzę tu czasem, żeby odpocząć od tego hałasu - wyjaśnił oficer. Rozkazujący głos, który pamiętał Pietrow, brzmiał teraz ponuro. Oddech wojskowego śmierdział gorzałą. Grube wargi wykrzywił uśmiech.

- Myślałem, że pan nie żyje.

- To cud, że przeżyłem, admirale - odparł Pietrow i przyjrzał się krytycznie jego mundurowi. - Niektóre rzeczy są gorsze niż śmierć.

Admirał przestał się uśmiechać.

- Nie musi mi pan mówić, jak nisko upadłem. Mam oczy. Ale jeszcze nie zniżyłem się do tego, żeby bawić się kosztem dawnego kolegi.

- Nie przyszedłem tu dla zabawy. Potrzebuję pańskiej pomocy i chcę zaproponować panu moją.

Admirał roześmiał się, pryskając śliną.

- A w czym ja mogę panu pomóc? Jestem zwykłym pajacem. Ci, którzy rządzą w tej knajpie, trzymają mnie tutaj, żebym zabawiał gości i przypominał im o starych złych czasach. Choć nie dla wszystkich były złe.

- To prawda, przyjacielu. Ale też nie dla wszystkich były dobre - odparł Pietrow i dotknął blizny na twarzy.

- W tamtych czasach wzbudzaliśmy strach i szacunek.

- U naszych wrogów - dodał Pietrow. - A jednak nasz rząd postawił na nas krzyżyk. Szybko zapomniał o naszym poświęceniu, gdy przestaliśmy być potrzebni do brudnej roboty. Pańska dumna marynarka wojenna to teraz kpiny. A tacy bohaterowie jak pan w ogóle się nie liczą.

Ramiona pod ozdobnymi epoletami opadły. Pietrow zorientował się, że przesadził.

- Przepraszam, admirale. Przykro mi.

Admirał wyciągnął z kieszeni paczkę marlboro i poczęstował gościa. Pietrow odmówił.

- Wierzę - powiedział oficer. - Wszystkim nam jest przykro.

Wetknął papierosa do ust i zapalił.

- Wystarczy tych rozmów o przeszłości. Co było, to było. Może chce pan dziwkę? Nie jestem tu tylko na pokaz. Dostaję prowizję i mam zniżkę. Kapitalizm to naprawdę wspaniała rzecz.

Pietrow uśmiechnął się na wspomnienie ich wspólnej służby w tajnych operacjach. Admirał miał zawsze ostry język. Po zmianach w rządzie jego krytycyzm nie był mile widziany przez nowe pokolenie wrażliwych biurokratów. Pietrow przetrwał, bo niepostrzeżenie dał nura w rządowe bagno. Admirał był na to zbyt dumny, a jego upadek odzwierciedlał stan jego ukochanej marynarki wojennej.

- Może później - odrzekł Pietrow. - Na razie potrzebuję informacji o czymś, co należało do marynarki wojennej.

Admirał zmrużył oczy.

- Dużo tego.

- India...

- Okręt podwodny?! No, no... Dlaczego to pana interesuje?

- Lepiej, żeby pan nie wiedział, admirale.

- Chce pan powiedzieć, że to ryzykowne? W takim razie musi być coś warte.

- Jestem przygotowany. Zapłacę za informacje.

Oficer zmarszczył czoło. W jego oczach pojawił się smutek.

- Niech pan posłucha - westchnął. - Nie jestem lepszy od prostytutek, które naciągają tu gości na kieliszek podrabianego szampana, ale postaram się odpowiedzieć na pańskie pytania.

- Dziękuję, admirale. Kiedyś widziałem w bazie okręt podwodny klasy India, ale nigdy nie byłem na pokładzie. Rozumiem, że zaprojektowano go do operacji podobnych do moich.

- Słowo „integracja” to przekleństwo wszystkich sił zbrojnych na świecie. Niech pan zapyta Amerykanów, ile forsy zmarnowali na duplikaty, bo wojska lądowe, marynarka, lotnictwo i marines chciały mieć własne wersje właściwie takich samych systemów broni. U nas było to samo. Marynarka radziecka nie miała ochoty dzielić się z nikim swoimi zdobyczami. Zwłaszcza z takimi jak pan. Działającymi poza wszelką kontrolą.

- Okręt skonstruowano podobno do ratownictwa podwodnego.

- Niech pan nie wierzy w bajki! Ile załóg uratował? Żadnej. Oczywiście, że nadawał się do tego. Klasa India mogła transportować w studniach za kioskiem dwa głębinowe pojazdy ratownicze. Mogły być połączone z lukami ewakuacyjnymi zatopionego okrętu podwodnego. Ale nie zbudowano ich po to, żeby zabierały z dna morskiego nieszczęsnych marynarzy. Służyły do tajnych operacji wywiadowczych i akcji Specnazu.

- Sił specjalnych?

- Oczywiście. Kiedy podkradaliśmy się do Szwecji, mieliśmy na pokładzie podwodne gaśnicowe amfibie opancerzone. Mogły pełzać po dnie morskim jak wielkie owady. India to był superokręt. Szybki i bardzo zwrotny.

- Podobno zbudowano dwie takie jednostki.

- Zgadza się. Jeden okręt miała flota północna, drugi południowa. Czasem obie indie działały razem.

- Co się z nimi stało?

- Przegraliśmy zimną wojnę i wycofano je ze służby. Spisano je na straty.

- Poszły na złom?

Admirał uśmiechnął się.

- Oczywiście.

Pietrow uniósł brwi.

- Przynajmniej na papierze - dodał admirał. - Wie pan, wszyscy się boją, żeby nasze bomby nuklearne nie dostały się w ręce jakiegoś szaleńca. Każdy o tym gada, ale jednocześnie sprzedajemy połowę naszej broni konwencjonalnej, która może być tak samo niebezpieczna w pewnych okolicznościach. O tym nikt nie mówi.

- Ja mówię. Gdzie są obie indie?

- Jedna naprawdę na złomowisku. Drugą kupiła osoba prywatna.

- Zna pan nazwisko?

- Oczywiście, ale czy to ważne? Facet reprezentował grupę, która najwyraźniej była przykrywką dla kogoś innego. Między kupcem i tym, kto naprawdę wyłożył forszę, mogło istnieć wiele ogniów.

- Ale czegoś się pan domyśla?

- Jestem prawie pewien, że okręt został w kraju. Kupiła go firma Volga Industries. Mieli biuro w Moskwie, ale diabli wiedzą, gdzie była centrala. I nikogo to nie obchodziło. Zapłacili gotówką.

Pietrow pokręcił głową.

- Jak można było ukryć okręt o długości ponad stu metrów?

- To rzecz normalna. Wystarczy znaleźć wkurzonych oficerów, którzy od roku nie dostali wypłaty. Wielu z nich żyje obietnicami. Potem dotrzeć do kliki rządowych gnid i sprawa załatwiona. Najgorsi są dawni komuniści.

- Jak my.

- Bzdura! Wymachiwaliśmy czerwonym sztandarem, ale nigdy nie byliśmy ideowcami. Wiem, że nie wierzył pan w tamte brednie. Robiliśmy swoje, bo to było podniecające i ktoś inny płacił rachunki.

- Pamięta pan nazwiska?

- Jak mógłbym je zapomnieć? Skurwiele, którzy zarabiali miliony na sprzedaży uzbrojenia, zapytali mnie, czy chcę z tego działkę. Odmówiłem. Powiedziałem, że okradanie państwa nie jest w porządku. No to wykopali mnie z marynarki. Nikt mnie nie chciał. I wylądowałem tutaj.

Zamilkł, pogrążając się w smutnych myślach.

- Proszę o nazwiska, admirale.

Admirał wziął się w garść.

- Przepraszam. Te lata nie były łatwe. Interes zrobiło pięciu ludzi.

Wyrecytował nazwiska.

- Znam ich - odrzekł Pietrow. - Dawni partyjniacy niskiego szczebla, którzy dorobili się na pozostałościach Związku Radzieckiego.

- Nic więcej nie mogę dodać. Klienci tej knajpy nie rozmawiając tajemnicach wojskowych. W każdym razie miło było znów pana zobaczyć. Moi szefowie każą mi robić rundę między stolikami co kilka minut. Więc przepraszam, ale muszę wracać do roboty.

- Może nie - odparł Pietrow i wyciągnął z kieszeni brązową kopertę. - Gdyby mógł pan wypowiedzieć jakieś życzenie, co by pan chciał?

- Oprócz wskrzeszenia mojej żony i przekonania dzieci, że czasem warto się do mnie odezwać? - Admirał zastanowił się. - Chciałbym wyjechać na stałe do Stanów. Na Florydę. Siedziałbym na słońcu i rozmawiał tylko z tymi, z którymi miałbym ochotę rozmawiać.

- Co za zbieg okoliczności - powiedział Pietrow. - W tej kopercie jest bilet w jedną stronę na jutrzejszy samolot do Fort Lauderdale, paszport, wiza i papiery imigracyjne. Dostanie pan zezwolenie na pobyt stały. Jest też trochę pieniędzy i nazwisko dżentelmena, który szuka wspólnika z wkładem do swojej firmy rybackiej. Zależy mu na kimś z doświadczeniem na morzu. Niestety, flota będzie dużo mniejsza niż ta, do której był pan przyzwyczajony.

- Niech pan mnie nie dobija. Kiedyś byliśmy kolegami.

- I nadal jesteśmy - odparł Pietrow i wręczył mu kopertę. - Niech pan potraktuje to jako spóźnioną nagrodę od państwa za wierną służbę.

Admirał zajrzał do koperty. Kiedy podniósł wzrok, miał łzy w oczach.

- Skąd pan wiedział?

- O Florydzie? Słyszy się to i owo. Nie było trudno się dowiedzieć.

- Nie wiem, jak mogę się panu odwdzięczyć.

- Już pan to zrobił. Muszę lecieć. A pan musi zawiadomić swoich szefów, że pan odchodzi.

- Zawiadomić ich? Przebieram się i znikam stąd.

- Niezły pomysł, biorąc pod uwagę ilość gotówki, którą ma pan przy sobie. Aha, byłbym zapomniał. Jest jeszcze coś.

Admirał zeszywniał.

- Tak? - zapytał nieufnie.

- Niech pan nie zapomina o okularach przeciwsłonecznych, kiedy będzie pan na wodzie.

Admirał objął Piętrowa i zgniół w niedźwiedzim uścisku. Potem rzucił czapkę przez pokój. Za nią z brzękiem medali poszybowała kurtka mundurowa.

Pietrow wyszedł. W drzwiach uśmiechnął się, co rzadko mu się zdarzało. Uścisnął rękę bramkarzowi, wsuwając mu drugą studolarówkę. Miał dziś gest. Bramkarz przepchnął się przez tłum i utorował mu drogę. Pietrow pokuśtykał szybko przez zaułek i wtopił się w noc.

24

Morze Czarne

Kapitan Atwood zadzwonił, kiedy helikopter NUMA pędził nad Morzem Czarnym w kierunku Turcji. Austin zapisywał w notesie swoje przemyślenia, gdy w jego słuchawkach zaskrzeczał znajomy głos.

- Kurt, jesteś tam? Odezwij się - przynaglił Atwood.

- Już za mną tęsknisz, kapitanie? - zapytał Austin. - Jestem głęboko wzruszony.

- Przyznaję, że bez ciebie jest tu dużo spokojniej, ale nie dlatego dzwonię. Ciągłe próbuję skontaktować się z „Sea Hunterem”, ale nic z tego nie wychodzi.

- Kiedy rozmawiałeś z nimi ostatni raz?

- Wczoraj wieczorem. Powiedziałem, że będziesz u nich rano. Wszystko grało. Po twoim starciu chciałem ich zawiadomić, że już jesteś w powietrzu. Nie odpowiadają. Próbujemy w regularnych odstępach. Kilka minut temu znów się łączyłem. Statek milczy.

- Dziwne - przyznał Austin i zerknął w dół na wiaderko na podłodze u jego stóp, gdzie w wodzie morskiej moczyła się srebrna szkatułka, wydobyta z „Odessa Star”. Gamay zaproponowała, żeby zadzwonić z „Argo” na „Sea Huntera” i zapytać, czy konserwator mógłby obejrzeć skrzyneczkę i jej zawartość. Kapitan „Sea Huntera” odpowiedział, że statek zakończył operację na Morzu Czarnym i płynie do Sztambułu. Chętnie spotka się tam z Austinem.

- Rozumiesz coś z tego, do cholery?

Austin nie mógł znaleźć żadnego powodu milczenia statku. Wszystkie jednostki NUMA miary najnowocześniejsze systemy łączności, aż za dobre na ich potrzeby. Były ze sobą w stałym kontakcie.

- Nie. Dzwoniłeś do centrali NUMA? Może oni coś wiedzą?

- Dzwoniłem. Powiedzieli, że „Sea Hunter” odezwał się do nich wczoraj. Znalazł jakieś cenne przedmioty z epoki brązu i wybierał się do portu.

- Zaczekaj moment - odrzekł Austin i wywołał pilota przez interkom. - Na ile wystarczy nam paliwa?

- Nadlatujemy teraz nad Turcję. Nie mamy dużego obciążenia, więc zanim spadniemy na

ziemię, utrzymamy się w powietrzu jeszcze jakieś czterdzieści pięć minut. Planujesz skok w bok?

- Możliwe - odparł Austin i spojrzał na Gunna. Rudi, który słuchał rozmowy z kapitanem Atwoodem, skinął lekko głową, jakby akceptował przebicie ceny na aukcji. Austin powiedział Atwoodowi, że spróbują znaleźć „Sea Huntera”. Potem przekazał pilotowi ostatnią znaną pozycję statku. Helikopter przechylił się w zakręcie i poleciał w tamtym kierunku.

Zawała otworzył oczy. Słuchał na walkmanie kompaktu z muzyką latynoamerykańską. Był doświadczonym pilotem i natychmiast wyczuł zmianę kursu. Zdjął słuchawki, wyjrzał przez szybę i zrobił zdziwioną minę.

- Objazd na drodze - wyjaśnił Austin. Potem zadzwonił na „Argo” i poprosił kapitana, żeby zawiadomił Troutów o zmianie planów. Paul i Gamay zostali na statku, żeby zrobić mapę dna morskiego w rejonie zatopionego frachtowca.

Austin zamknął oczy i spróbował wyobrazić sobie „Sea Huntera”. Pamiętał statek sprzed dwóch lat, kiedy prowadził na nim badania na Karaibach. Widział go teraz jak na symulacji komputerowej. Zadanie było stosunkowo łatwe, bo statek bliźniaczo przypominał „Argo”. Oba zbudowano w tej samej stoczni w Bath w Maine. Sześćdziesięciometrowy „Sea Hunter” był turkusowego koloru, jak wszystkie jednostki NUMA. Nad rufą sterczała rama w kształcie litery A. Na podwyższonym pokładzie za mostkiem wznosił się dźwig hydrauliczny. Przy sterburcie był mniejszy bom przeładunkowy. Z kremowej nadbudowy wystawał zwężający się ku górze komin. Na dziobie umieszczono wysoki maszt radiowy.

Austin wędrował w myślach po statku. Zaczął od pokładu rufowego. Stanowisko wciągarki, główne laboratorium, biblioteka i mesa. Pod pokładem magazyny naukowe, dolne laboratorium, kajuty dla dwunastoosobowej załogi i tyłu pracowników naukowych. Stała obsada. W sterowni dobroduszny kapitan Lloyd Brewer, doświadczony marynarz-naukowiec, który nie zignorowałby wezwania z innego statku NUMA.

Pilot leciał kursem wytyczonym między ostatnią znaną pozycją statku i jego portem docelowym. Austin zajął stanowisko po jednej stronie helikoptera, Zawała przyciskał nos do szyby po drugiej. Gunn siedział w kokpicie i obserwował morze na wprost. Widzieli kutry rybackie, frachtowce i statki pasażerskie. Im dalej od głównych szlaków komunikacyjnych, tym mniejszy był ruch w dole.

Austin zerknął na zegarek i wywołał pilota przez interkom.

- Jak stoimy z paliwem?

- Zaraz trzeba będzie wracać.

- Dasz nam jeszcze pięć minut? - zapytał błagalnie Austin.

- Dam wam nawet dziesięć, ale sekunda dłużej i będziemy musieli nauczyć się chodzić po wodzie.

Austin poprosił pilota, żeby zrobił, co się da. Z zamyślenia wyrwał go głos Zawali.

- Kurt, sprawdź na godzinie drugiej!

Austin przeniósł się na drugą stronę kabiny i spojrzał tam, gdzie Zavala pokazywał palcem. Kilka kilometrów dalej na powierzchni morza rysował się wielki ciemny kształt. Pilot usłyszał alarm Zavali i skierował w tamtą stronę ostry dziób maszyny. Po chwili słońce oświetliło niebieskozielony kadłub i czarny napis NUMA, namalowany na śródokręciu.

Austin rozpoznał sylwetkę statku.

- To „Sea Hunter”.

- Nie widzę kilwatera - zauważył z kokpitu Gunn. - Wygląda na to, że stoi.

Helikopter zszedł nad iskrzącą się wodę. Minęli maszt statku, zawrócili i zawisnęli w powietrzu. Normalnie powitałyby ich zadarte głowy i machające ręce. Ale oprócz trzepoczących bander na „Sea Hunterze” nic się nie ruszało. Pilot przechylił maszynę w lewo, potem w prawo, żeby pasażerowie mogli spojrzeć prosto w dół. Rotory napędzane dwiema turbinami strasznie hałasowały.

- Ten warkot obudziłby nawet Neptuna - powiedział Gunn. - Nikogo nie widzę. Kotwice nie są opuszczone. Chyba dryfuje.

- Możecie ich wywołać przez radio? - zapytał Austin.

- Spróbujemy.

Pilot zameldował, że statek nie odpowiada.

- Szkoda, że nie mogę usiąść - dodał. - Pokład jest za bardzo zagracony.

Statek badawczy był zasadniczo pływającą platformą, z której naukowcy opuszczali do morza rozmaite sondy i pojazdy podwodne. Mogli prowadzić jednocześnie wiele różnych programów badawczych. Pokłady dawały się łatwo dostosować do potrzeb. Miały kołki i zaczepy do mocowania ekwipunku linami lub łańcuchami. Czasem na statek zabierano kontenery, żeby zwiększyć powierzchnię laboratoryjną. Pokład „Argo” był stosunkowo pusty i mieścił się tam helikopter, podczas gdy na „Sea Hunterze” miejsce na lądowisko zajmowały dodatkowe laboratoria.

Austin przyjrzał się pokładowi i zatrzymał wzrok na kontenerze.

- Jak nisko możemy zejść? - zapytał pilota.

- Na dziesięć, dwanaście metrów. Potem rotor może zawadzić o maszt. Byłoby niewesoło.

- Masz wyciągarke?

- Jasne. Używamy jej do krótkich przelotów z towarem, który nie mieści się w środku.

Zavala uważnie słuchał rozmowy. Znał pomysły Austina i wiedział, o co mu chodzi. Sięgnął po plecak. Austin wyłożył pilotowi swój plan i sprawdził bębenek rewolweru. Wetknął broń do plecaka i zarzucił go na ramię.

Z kokpitu przyszedł drugi pilot. Otworzył boczne drzwi i do kabiny wtargnął podmuch morskiego powietrza. Gunn pomógł mu odwinąć linę z bębna wyciągarki i przeciągnął ją przez drzwi. Austin usiadł w wejściu z nogami zwieszonymi na zewnątrz. Helikopter zszedł niżej. Austin zsunął się po linie i stanął jedną nogą na haku. Kołysał się tam i z powrotem jak wahadło poruszane pędem powietrza z rotorów.

Pilot nie widział go z kokpitu. Zdał się na drugiego pilota, który kucnął w otwartych drzwiach i wykrzykiwał komendy. Helikopter zszedł jeszcze niżej. Lina kręciła się, statek pod stopami Austina wirował. Większą część pokładu rufowego zajmował główny dźwieg hydrauliczny, zwoje lin i łańcuchów, pomarańczowe plastikowe pojemniki z różnymi instrumentami, kartony, pacholki i wentylatory.

Austin wskazał ręką najbliższy kontener. Helikopter przesunął się kawałek i zawisnął dokładnie nad nim. Bęben wyciągarki obrócił się wolno, lina odwinęła się. Austin zeskoczył na kontener, gdy był on niecały metr pod jego stopami. Przetoczył się kilka razy, żeby zamortyzować upadek i uniknąć uderzenia w głowę hakiem wirującym dziko tuż nad nim.

Lina wróciła do góry. Austin wstał i pomachał do helikoptera, że wszystko w porządku. Zawała nie tracił czasu. Zjechał na dół i zeskoczył na kontener. Źle wyliczył i spadłby na pokład, gdyby Austin go nie złapał. Pilot upewnił się, że obaj są na statku, i odleciał. Austin patrzył na helikopter pędzący w kierunku horyzontu i modlił się, żeby wystarczyło mu paliwa.

Kiedy maszyna zmalowała do wielkości komara, Austin i Zawała przemyleli otarte liną dłonie płynem odkażającym z apteczek. Z kontenera mieli dobry widok na statek. Wyglądał jak wymarły.

Zeszli na pokład. Z bronią gotową do strzału posuwali się ostrożnie wzdłuż burt w kierunku dziobu. W ciszy słyszeli tylko łopot bander i proporców na wietrze. Doszli do pokładu dziobowego w tym samym czasie.

Zawała miał zdumioną minę.

- Nikogo, Kurt. Jak na „Marie Celeste” - powiedział, nawiązując do słynnego starego żaglowca, który znaleziono dryfujący bez załogi. - A u ciebie?

Austin przywołał go gestem. Przyklęknął obok ciemnej smugi na metalowym pokładzie między relingiem i drzwiami do wnętrza statku. Dotknął ostrożnie lepkiej plamy i powąchał palec.

- Mam nadzieję, że to nie krew - odezwał się Zawała.

- Ktoś włókł tędy ciało. Może niejedno. Wyrzucił je za burtę. Na relingu też jest krew.

Austin wszedł z ciężkim sercem do chłodnego wnętrza statku. Sprawdzili mesę, bibliotekę i główne laboratorium. Potem wspięli się na mostek. Im głębiej się zapuszczali, tym bardziej stawało się jasne, że „Sea Hunter” to pływająca trupiarnia. Wszędzie były plamy, a nawet kałuże krwi. Austin zaciskał zęby. Osobiście znał większość tutejszej załogi i naukowców.

Doszli do sterowni. Nerwy mieli napięte jak struny. Na podłodze wały się mapy, dokumenty i kawałki wybitych szyb. Austin podniósł mikrofon radiowy, wyrwany z gniazdka. Konsola łącznościowa była podziurawiona kulami.

- Teraz wiemy, dlaczego nie odpowiadali - powiedział.

Zawała mamrotał coś po hiszpańsku.

- To wygląda jak po wizycie bandy Mansona.

- Lepiej sprawdźmy kajuty - odrzekł Austin.

Zeszli w grobowej ciszy dwa poziomy niżej. Przeszukali kajuty załogi, oficerów i naukowców. Wszędzie ślady rzezi i nikogo żywego. W końcu dotarli do magazynu.

Austin pchnął drzwi, sięgnął do środka i zapalił światło. Na drewnianych paletach stały rzędami tekturowe pudła. Wokół nich znajdowało się wąskie przejście, a w rogu była winda towarowa do kuchni.

Austin usłyszał cichy dźwięk i położył palec na spuście. Pokazał Zawali drogę. Joe skinął głową i ruszył bezszelestnie jak duch. Austin przekradł się wzdłuż ściany i wyjrzał zza sterty kartonów z pomidorami w puszkach. Dźwięk powtórzył się, tym razem głośniejszy. Gdy Zawała pojawił się z drugiej strony, Austin położył palec na ustach i wskazał szczelinę między pudłami. Z głębi doszedł stłumiony jęk.

Austin odsunął Zawałę na bok. Trzymając rewolwer w obu dłoniach, wycelował między kartony i ruszył naprzód. Omiótł lufą ciasną kryjówkę i zaklął. Omal nie zastrzelił skulonej młodej kobiety.

Wyglądała żałośnie. Ciemne loki opadały na twarz, w zaczerwienionych oczach lśniły łzy, ciekło jej z nosa. Siedziała wciśnięta w półmetrową szparę z nogami pod brodą i rękami zaciśniętymi wokół kolan. Na widok Austina zaczęła cicho zawodzić.

Austin zorientował się, że kobieta w kółko powtarza „nie”. Schował broń do kabury i przykucnął naprzeciwko.

- Proszę się nie bać - powiedział. - Jesteśmy z NUMA. Rozumie pani?

Utkwiła w nim wzrok i powtórzyła bezgłośnie:

- NUMA...

- Zgadza się - przytaknął. - Nazywam się Kurt Austin. A ten facet to Joe Zawała. Przylecieliśmy z „Argo”. Wywoływaliśmy was przez radio. Może nam pani wyjaśnić, co się stało?

Gwałtownie pokręciła głową.

- Może wyjdziemy na świeże powietrze? - zaproponował Austin.

Znów pokręciła głową. Nie zapowiadało się łatwo. Wyciąganie jej siłą z ciasnej kryjówki mogło się źle skończyć. Dla niej i dla nich. Była w szoku. Austin wyciągnął otwartą dłoń. Patrzyła na nią przez chwilę, potem dotknęła jego palców, jakby sprawdzała, czy są prawdziwe. Kontakt fizyczny przywrócił ją do rzeczywistości.

- Dwa lata temu pływałem na tym statku - powiedział Austin. - Dobrze znam kapitana Brewera.

Przyjrzała się jego twarzy i nagle przypomniała sobie.

- Widziałam pana kiedyś w centrali NUMA.

- Bardzo możliwe. Z jakiego pani jest działu?

Pokręciła głową.

- Nie pracuję w NUMA. Wykładam na Uniwersytecie Tekszańskim. Nazywam się Jane

Montague.

- Nie chce pani stąd wyjść? Tu chyba nie jest zbyt wygodnie.

Skrzywiła się.

- Czuję się jak sardynka w puszcze.

Przebłysk humoru był dobrym znakiem. Austin pomógł jej wyjść z kryjówki i przekazał ją Zawali. Joe zapytał, czy nie jest ranna.

- Nie. Mogę chodzić.

Zrobiła parę kroków, ale musiała przytrzymać się jego ramienia.

Wspięli się na pokład rufowy. Jan usiadła na zwoju liny, mrużąc oczy od słońca. Zawała podał jej płaską butelkę tequili, którą na wszelki wypadek nosił w plecaku. Alkohol przywrócił dziewczynie kolory, w zgaszonych oczach błysnęło życie. Popatrzyła na morze.

- Przypłynęli tutaj - odezwała się w końcu.

- Kto?

- Zabójcy. Zjawili się o świcie. Większość z nas jeszcze spała.

- Czym przypłynęli?

- Nie wiem. Nie widziałam. Wpadli do mojej kajuty i zwlekli mnie z koi. Mieli dziwne mundury, workowate spodnie i wysokie buty. Zabili moją współlokatorkę. Zastrzelili bez ostrzeżenia. Słyszałam strzały na całym statku.

- Powiedzieli, kim są?

- Nie odzywali się. Od razu wzięli się do roboty, jakby szlachtowali bydło w rzeźni. Tylko jeden mówił.

- Jak wyglądał?

Uniosła drżącymi rękami butelkę i łyknęła tequili.

- Był bardzo wysoki, bardzo chudy i blady, jakby nigdy nie wychodził na słońce. Miał długą brodę i zmierzwiłone włosy. Śmierdział, jakby nie mył się od miesięcy. - Zmarszczyła nos z obrzydzeniem.

- Jak był ubrany?

- Cały na czarno, jak ksiądz. Ale najgorsze były oczy - wzdrygnęła się. - Za duże do jego twarzy. Okrągłe, wytrzeszczone. Nie wyrażające żadnych emocji.

- Coś mówił?

- Musiałam zemdleć. Ocknęłam się na koi. Pochylał się nade mną. Miał taki cuchnący oddech, że o mało nie zwymiotowałam. Na statku panowała cisza. Słyszałam tylko jego głos. Hipnotyzujący jak syk węża. Powiedział, że zabił wszystkich na statku oprócz mnie. Pozwolił mi przeżyć, żebym przekazała wiadomość.

Rozpłakała się, łkając konwulsyjnie.

- Chciał, żeby NUMA wiedziała, że to zemsta za zabicie gwardzistów i naruszenie „świętej ziemi”. Powiedział, że szuka Kurta Austina.

- Jest pani pewna, że wymienił moje nazwisko?

- Nie mogę się mylić. Odpowiedziałam, że nie ma pana tutaj. Oni wiedzieli, że pan jest na „Argo”. Kiedy ten człowiek przekonał się, że pomylili statki, dostał szału. Kazał mi przekazać NUMA i Stanom Zjednoczonym, że to tylko próbka tego, co się niedługo stanie.

- Coś jeszcze?

- To wszystko, co zapamiętałam.

Oczy Jane znów przygasły.

Austin podziękował jej i podszedł do swojego plecaka leżącego na pokładzie. Wyjął telefon Globalstar. Po kilku sekundach rozmawiał z Gunnem.

- Jesteś jeszcze w powietrzu?

- Ledwo się utrzymujemy. Lecimy na oparach paliwa, ale zdążymy. A co z wami?

- W porządku.

Gunn wyczuł, że coś jest nie tak.

- Jaka sytuacja na „Hunterze”?

- To nie na telefon, ale najgorsza z możliwych.

- Pomoc w drodze - odparł Gunn. - Rozmawiałem z Sandeckerem. Zadzwoił do kumpli z marynarki. Są wdzięczni za uratowanie załogi NR-1. Kiedy powiedział, że potrzebujesz wsparcia, wycofali krążownik z ćwiczeń NATO w tym rejonie.

- W tej chwili wolałbym lotniskowiec, ale niech będzie.

- Okręt dopłynie do ciebie za dwie godziny. Potrzebujesz jeszcze czegoś?

Spojrzenie Austina stwardniało. Jego głos zabrzmiał groźnie.

- Chciałbym się spotkać z pewnym wylupiastookim psycholem.

25

Marynarka przysłała na „Sea Huntera” uzbrojony oddział, ale nic nie można było zrobić bez grupy dochodzeniowej. Austin nie potrzebował eksperta od medycyny sądowej, żeby wiedzieć, co się rozegrało. Zabójcy podpłynęli do statku, zakradli się cicho na pokład i wymordowali wszystkich z wyjątkiem jednej kobiety. Celowo zostawili ją przy życiu. Atakiem dowodził maniak, który mówił o zemście.

Z relacji świadka jasno wynikało, że napad był rewanzem. Austin zadzwonił do centrali NUMA i poprosił o ostrzeżenie wszystkich statków agencji. Zwłaszcza tych na Morzu Śródziemnym. Czuł się winny. Zawała przekonywał go, że nikt nie mógł przewidzieć takiej jatki. Austin ledwo hamował wściekłość. Zawała znał zimny, nieobecny wyraz jego twarzy. Wiedział, że Austin dopadnie zabójców.

Krażownikami marynarki bez przygód dotarli do Stambułu. W recepcji hotelu czekała na Austina paczka ze Stanów. Przyszła w nocy FedEksem. Wziął ją do pokoju i uśmiechnął się po przeczytaniu dołączonej notki: „Załączam informacje o »Odessa Star«. Kiedy dogrzebie się do czegoś więcej, przyślę ci. Pamiętaj, że jesteś mi coś winien. P.” Zadzwonił do recepcji i obiecał wysoki napiwek za zdobycie przepisu na *imam bajildi* i wysłanie go na adres Perlmuttera. Potem przestudiował materiał o „Odessa Star”.

Akta Lloyd'a wiele wyjaśniały, ale nie wiedział, jak rozumieć historię „małej rusalki”. Zwrócił uwagę na dziwną rozmowę Perlmuttera z lordem Dodsonem. Ciekawe, dlaczego Anglik tak się wkurzył? Dlaczego stary wrak frachtowca wzbudzał takie emocje? Na samą wzmiankę o tym statku Dodson nabrał wody w usta.

Austin podniósł słuchawkę i zadzwonił do pokoju Zawali.

- Nie denerwuj się, stary. Jestem już prawie spakowany - zapewnił Joe.

- Bardzo się cieszę. Co byś powiedział na małą podróż do Anglii? Chciałbym, żebyś z kimś pogadał. Sam bym to załatwił, ale muszę wrócić z Rudim do Waszyngtonu, żeby zdać relację Sandeckerowi.

Austin wiedział, że jego niecierpliwość i sam wygląd mogą zniechęcić rozmówcę. Spokojny Zawała spisz się lepiej.

- Nie ma problemu odparł Joe. - Przy okazji mógłbym wpaść do znajomej w Chelsea...

- Będzie załamana, kiedy się dowie, że nie masz dla niej czasu. To nie może czekać. Zaraz przyniosę ci coś, co musisz przeczytać.

Austin poszedł do pokoju obok. Kiedy Joe studiował materiały otrzymane od Perlmuttera, Kurt znów zadzwonił do recepcji. Poprosił, żeby dla Zavali zarezerwowano miejsce na najbliższy lot do Londynu. Recepcjonista powiedział, że właśnie przefaksował Perlmutterowi przepis i postara się załatwić rezerwację. Austin wiedział, że w Stambule są dwa sposoby załatwiania spraw: oficjalny i nieoficjalny. Ten drugi polegał na korzystaniu z sieci krewnych i znajomych na zasadzie „przysługa za przysługę”. Recepcjonista miał najwyraźniej dobre układy, bo dostał ostatnie miejsce w samolocie startującym za dwie godziny.

Zavala skończył czytać materiały od Perlmuttera. Po naradzie z Austinem podszedł do telefonu i zadzwonił do Dodsona. Przedstawił się jako naukowiec z NUMA. Powiedział, że jutro będzie w Londynie i poprosił o rozmowę o udziale rodziny lorda w brytyjskiej historii morskiej i służbie dla Korony. Nawet dziecko zorientowałoby się, że to pretekst, ale jeśli nawet Dodson podejrzewał podstęp, nie zdradził się z tym. Odrzekł, że będzie cały dzień w domu i podał adres.

Kiedy samolot British Airways zaczął schodzić do lądowania na Heathrow, Zavala spojrział tęsknie w kierunku Londynu. Zastanawiał się, czy pewna dziennikarka o kasztanowych włosach nadal mieszka w Chelsea. Pomyślał, że byłoby przyjemnie powspominać dawne czasy przy *tandoori* w ulubionej hinduskiej restauracji na Oxford Street. Z herkulesowym wysiłkiem pozbył się tej myśli. Wydobyć starych sekretów rodzinnych z opornego arystokraty brytyjskiego będzie na tyle trudne, że nie można się rozpraszać.

Zavala szybko przeszedł przez cło, odebrał wynajęty samochód i wyruszył do Cotswolds, historycznej wsi w hrabstwie Gloucestershire, kilka godzin drogi od Londynu. Miał nadzieję, że księgowi NUMA nie dostaną ataku serca na widok rachunku za wynajęcie jaguara kabrioletu. Uważał, że należy mu się odrobina luksusu jako rekompensata za rezygnację z życia miłosnego dla dobra agencji. Jak tak dalej pójdzie, skończy w klasztorze.

Zjechał z autostrady i zapuścił się w wąskie, kręte drogi. Niektóre miały szerokość ścieżki dla krów. Jechał dość szybko, próbując trzymać się lewej strony. Malowniczy krajobraz wyglądał jak zdjęcia z kalendarza. Pagórki i pastwiska były jako nienaturalnie zielone. W miasteczkach stały gęsto solidne domy zbudowane z żółtawego kamienia.

Lord Dodson mieszkał w małej wiosce jak z angielskich kryminałów, gdzie wszyscy są podejrzani o zamordowanie pastora. Jego dom znajdował się przy krętej drodze niewiele szerszej od samochodu. Zavala skręcił w zwirowy podjazd między żywopłotami i zaparkował obok wiekowego pikapa morris minor. Półciężarówka stała przed dużą piętrową budowlą z jasnobrązowego kamienia, krytą ciemną dachówką. Posiadłość ani trochę nie przypominała rezydencji angielskiego lorda z wyobrażeń Zavali. Dom i ogród otoczone były murem. Wśród grządek kręcił się człowiek w połatanych spodniach i spłowiałej koszuli roboczej. Pewnie

ogrodnik.

- Przepraszam - zagadnął go Zavala. - Szukam sir Nigela Dodsona.

Mężczyzna miał twarz porośniętą siwą szczecinę. Zdjął brudne rękawiczki, wyciągnął rękę i mocno uściśnął dłoń gościa.

- To ja - powiedział. - A pan jest pewnie tym dżentelmenem z Ameryki, który wczoraj dzwonił.

Joe miał nadzieję, że nie widać po nim zaskoczenia. Kiedy usłyszał przez telefon arystokratyczny angielski akcent, wyobraził sobie Dodsona z podkreconymi wąsami, w tweedowym garniturze. W rzeczywistości lord był małym, szczupłym, łysiejącym człowieczkiem. Prawdopodobnie po siedemdziesiątce, choć wyglądał dwadzieścia lat młodziej.

- Orchidee? - zapytał Zavala. Wokół jego malowniczego domu rodzinnego w Santa Fe też rosły kwiaty.

- Zgadza się. Żabie orchidee. Tu nakrapiane, tam piramidalne - przytaknął Dodson i uniósł brwi, jakby Zavala nie pasował do jego stereotypu Amerykanina. - Jestem zaskoczony, że pan je rozpoznał. Różnią się od tych wielkich, mięsistych roślin, które wszyscy uważają za orchidee.

- Mój ojciec był zwariowany na punkcie kwiatów.

- Potem oprowadzę pana po ogrodzie. Teraz jest pan pewnie spragniony po podróży, panie Zavala. Przyleciał pan ze Stambułu, tak? Nie byłem tam od lat. Fascynujące miasto.

Dodson zaprosił Zawalę na rozległe kamienne patio za domem. Zawołał przez otwarte drzwi tarasu swoją gospodynię - tęgą, rumianą kobietę o imieniu Jenna. Spojrzała na Zawalę jak na robaka, którego jej chlebodawca znalazł w swoich orchideach. Potem przyniosła dwie wysokie szklanki z mrożoną herbatą. Usiedli pod orientalną pergolą porośniętą bluszczem. Szeroki trawnik, przystrzyżony jak na polu golfowym, opadał ku wolno płynącej rzece i rozległym mokradłom. W małej przystani stała łódź.

Dodson napił się herbaty i spojrzał na ogród.

- Raj na ziemi - powiedział i przeniósł świdrujące niebieskie oczy na gościa. - No więc, panie Zavala? Czy to ma coś wspólnego z telefonem od pana Perlmuttera sprzed kilku dni?

- Pośrednio.

- Hm... Popytałem trochę tu i tam. Wygląda na to, że pan Perlmutter jest bardzo szanowany w kręgach historyków morskich. W czym mogę panu pomóc?

- Perlmutter prowadził pewne badania dla NUMA i natknął się na wzmiankę o pańskim dziadku. Był ciekaw, dlaczego nie chciał pan rozmawiać o papierach lorda Dodsona. Mnie też to zaintrygowało.

- Chyba za ostro go potraktowałem. Proszę go przeprosić w moim imieniu. Zaskoczył mnie. Wie pan, ile lat ma ten dom? - zapytał Dodson i podniósł wzrok na dach.

Zavala popatrzył na zwietrzałe kamienne ściany i masywne kominy. Uśmiechnął się.

- Wolę nie zgadywać. Wygląda na stary.

- Widzę, że jest pan ostrożny. Podoba mi się to. Tak, jest bardzo stary. Ta wioska powstała w epoce żelaza. Historyczny dwór Dodsonów, który widać za tamtymi drzewami, zbudowano w siedemnastym wieku. Nie mam dzieci, żeby im to przekazać, i nie stać mnie na utrzymanie takiej rezydencji. Więc oddałem ją pod opiekę państwu i zatrzymałem sobie ten dom. Stoi na fundamentach z czasów cesarza Augusta. Mogę panu pokazać rzymskie cyfry na ścianach piwnicy. To czwarta budowla w tym miejscu od ponad dwóch tysięcy lat. Obecne mury postawiono w piętnastym wieku. Mniej więcej wtedy, kiedy odkryto pański kraj.

- Nie bardzo rozumiem, co to ma wspólnego z moim pytaniem.

- Tutaj myśli się kategoriami tysiącleci, a nie dziesiątek czy setek lat, jak w Ameryce. Osiemdziesiąt lat to jedno łknięcie zegara. Są tu potężne rody, które byłyby zażenowane rewelacjami mojego dziadka.

Zawała skinął głową.

- Szanuję pańską wolę i nie będę naciskał, ale czy jest cokolwiek, co może mi pan zdradzić?

W oczach Dodsona błysnęła wesołość.

- Powiem panu wszystko, co chce pan wiedzieć, młody człowieku.

- Słucham?!

Zawała liczył na znalezienie kilku samorodków. Nie spodziewał się, że lord ofiaruje mu całą kopalnię złota.

- Po telefonie pana Perlmuttera długo myślałem o tej sprawie. Mój dziadek zapisał swoje papiery Bibliotece Guildhall. Chciał, żeby udostępniono je historykom w końcu wieku. Nawet ja nigdy ich nie widziałem. Były w posiadaniu mojego ojca i przejąłem je po jego śmierci. Przechowywała je kancelaria prawnicza, która sporządziła testament dziadka. Nie czytałem ich, dopóki nie znalazły się w bibliotece. Wycofałem je, kiedy natrafiłem na wyjaśnienie dziadka, jaką rolę odegrał w tym wszystkim. Ale teraz zdecydowałem się wypełnić jego ostatnią wolę bez względu na konsekwencje. Jednak ciekaw jestem, dlaczego NUMA interesuje się tą sprawą.

- Jeden z naszych statków badawczych znalazł w Morzu Czarnym wrak starego frachtowca „Odessa Star”.

Dodson pokręcił głową.

- „Odessa Star”. Więc taki był jego koniec. Ojciec podejrzewał, że zatonął podczas gwałtownego sztormu, które zdarzają się na tamtych niebezpiecznych wodach.

- Niezupełnie. Został zatopiony ogniem z dział.

Dodson nie byłby bardziej zaskoczony, gdyby Zawała chlusnął mu w twarz herbatą. Opanował się.

- Przepraszam, przyniosę panu coś do przeczytania.

Zniknął w głębi domu i wrócił z grubym rękopisem.

- Jadę do miasteczka po sadzonki do ogrodu. Będzie pan miał mnóstwo czasu na lekturę. Gdy wrócę, porozmawiamy o tym. Jenna zadba, żeby nie zabrakło panu herbaty lub czegoś mocniejszego, jeśli pan woli. Wystarczy zadzwonić tym małym dzwoneczkiem.

Zawała patrzył, jak zdezelowana furgonetka Dodsona wytacza się z podjazdu. Dziwił się, że lord powierzył rękopis obcemu. Z drugiej strony, Jenna wyglądała na taką, która potrafiłaby zatrzymać gościa, gdyby chciał uciec z papierami. Rozwiązał szeroką czarną wstążkę, opasującą pożółkłe liniowane kartki, i zaczął czytać. Litery z zawijasami wskazywały, że autor znał kaligrafię, ale były grube i pochyle, jakby pisał w wielkim pośpiechu. Tekst był najwyraźniej tłumaczeniem na angielski.

Na pierwszej stronie widniał krótki wstęp:

Oto dziennik majora Piotra Jakielewa, dowódcy oddziału carskiej gwardii kozackiej. Jako oficer przysięgam na Boga, że ta opowieść jest prawdziwa.

Zawała odwrócił kartkę.

Odessa, 1918 rok. Siedzę w moim skromnym pokoiku, piszę odmrożonymi palcami i myślę o tym, co przeżyłem przez ostatnie tygodnie. Z powodu zdrady bolszewickiej, niewyobrażalnego zimna i głodu zginęła większość mojej stuosobowej sotni Kozaków. Została tylko garstka tych dzielnych ludzi. To zbawiciele Matki Rosji, strażnicy ognia Piotra Wielkiego. Nasze przeżycia to nic w porównaniu z cierpieniami miłościwej pani i jej czterech córek, które Bóg łaskawie przekazał pod naszą opiekę. Boże chroń cara! Za kilka godzin na zawsze opuścimy naszą ojczyznę. Popłyniemy przez morze do Konstantynopola. To koniec jednej historii i początek innej...

Zawałę pochłonęło czytanie. Major miał skłonności do retorycznych ozdobników, ale Zawała całkowicie przeniósł się ze słonecznej wsi angielskiej do mroźnej Rosji. Po stepach hulały zamiecie śnieżne, w ciemnych lasach czaiła się śmierć, w ubogich chatkach czyhała zdrada. Niemal dygotał z zimna, gdy czytał o niebezpiecznej podróży majora i jego ludzi w stronę morza. Na kartkę padł cień. Zawała podniósł wzrok i zobaczył rozbawioną minę Dodsona.

- Fascynujące, prawda?

Zawała przetarł oczy i zerknął na zegarek. Minęły dwie godziny.

- Niesamowite. Co to wszystko znaczy?

Anglik podniósł dzwoneczek.

- Pora na herbatę.

Gospodyni wniosła na tacy parujący dzbanek, kanapki z ogórkiem i trójkątne placuszki jęczmienne. Dodson napełnił filiżanki i rozparł się na krześle.

- Mój dziadek był za króla Jerzego podsekretarzem w ministerstwie spraw zagranicznych. W 1917 roku. W młodości razem z królem popijali i podrywali dziewczyny. Dobrze znał wszystkie europejskie rodziny panujące, łącznie z carem Mikołajem, kuzynem Jerzego. Mikołaj był niski i drobny, choć pochodził z rodu olbrzymów. Miał nie tylko fizyczne

ograniczenia. Mój ojciec nazywał go ciemniakiem.

- Takie określenie pasuje dziś do połowy przywódców świata.

- Bez wątplenia. Jednak Mikołaj był zdecydowanie głupszy niż większość władców. Całkowicie brakowało mu inteligencji i zdolności do rządzenia. A jednak miał władzę absolutną nad stu trzydziestoma milionami ludzi. Czerpał zyski z ponad dwóch i pół miliona kilometrów kwadratowych ziemi i kopalń złota. Był najbogatszym człowiekiem na świecie. Miał osiem wspaniałych pałaców. Jego majątek szacowano na osiem do dziesięciu miliardów dolarów. W dodatku był głową Kościoła i w oczach ludzi namiestnikiem Boga.

- To dla każdego zbyt przytłaczająca odpowiedzialność.

- Nie potrafił niczym rządzić i nie cierpiał być carem. Lubił tylko udawać żołnierza. Najchętniej zamieszkałby do końca życia w takim wiejskim domu w Anglii jak ten. Niestety, stało się inaczej.

- Wybuchła rewolucja.

- Właśnie. Zapewne wie pan wiele z tego, co zamierzam powiedzieć. Konserwatyści na jego dworze jeszcze przed rewolucją chcieli, żeby ustąpił. Bali się, że uwikłanie Rosji w wojnę światową wywoła powstanie narodowe. I nienawidzili szalonego mnicha Rasputina za jego wpływ na carycę. Pojawił się głód, inflacja, strajki. Demonstrowano przeciwko temu, że miliony młodych Rosjan giną w bezsensownej wojnie. Jako autokrata, Mikołaj przesadnie reagował na protesty. Aż wreszcie jego wojsko zwróciło się przeciwko niemu. Abdykował, kiedy przekonano go, że tak będzie lepiej dla kraju. Rząd Tymczasowy aresztował go i uwięził wraz z rodziną w pałacu pod Petersburgiem. Władzę przejęli dobrze zorganizowani bolszewicy pod przywództwem Lenina. Rosja zaczęła długi i tragiczny eksperyment z marksizmem.

- Lenin i bolszewicy zastąpili cara i jego rodzinę.

- Dobrze pan to ujął. Lenin kazał przenieść rodzinę carską, część świty dworskiej i służby do rezydencji w Jekaterynburgu na Uralu. I tam w lipcu 1918 roku wszyscy zostali prawdopodobnie rozstrzelani lub zakłuci bagnietami. Lenin znajdował się pod naciskiem zwolenników twardej linii, żądających wyeliminowania całej carskiej rodziny. Prowadzono pertraktacje z Niemcami, którzy nalegali na wypuszczenie kobiet, ale zabicie cara uważali za wewnętrzną sprawę Rosji. Lenin zważył potem winę za ten mord na lewicowych ekstremistów. Uwierzono w to.

- Jaką funkcję pełnił wtedy pański dziadek?

- Król Jerzy polecił mu uważnie śledzić wypadki. Przecież król i car byli kuzynami. Dziadek wysłał w teren agenta znającego rosyjski, niejakiego Alberta Grimleya, takiego Jamesa Bonda tamtych czasów. Grimley przyjechał do Jekaterynburga krótko po tym, jak biali wyparli stamtąd bolszewików. Rozmawiał z oficerem badającym sprawę morderstw. Znalaziono dziury po kulach i krew, ale żadnych ciał. Powiedział on Grimleyowi, że zginął tylko car i jego syn, następca tronu, co utrzymywano w tajemnicy.

- Dlaczego?

- Generał dowodzący białymi uważał, że ma boską misję dźwignięcia Rosji z ruin. Chciał, żeby ludzie uwierzyli, że bolszewicy mordują kobiety i dzieci. Rodzina carska była mu bardziej potrzebna martwa niż żywa. Jako przykład męczeństwa.

- Co się stało z kobietami?

- Wszystko jest w raporcie Grimleya. Sugeruje, że po pozbyciu się dwóch Romanowów bolszewicy zabrali gdzieś carycę i cztery dziewczynki. Lenin mógłby użyć carskiej rodziny jako karty przetargowej, gdyby sam wpadł w tarapaty. Niektórzy historycy twierdzą, że carycę i jej córki wywieziono do Permu i więziono tam, dopóki miasta nie zaatakowali biali. Świadkowie mówili, że bolszewicy ewakuowali rodzinę oraz zgromadzone kosztowności i sztaby złota. Ślad urywa się w pociągu do Moskwy. Nigdy niczego nie ujawniono na ten temat. Lenin straciłby swą aureolę, gdyby wyszło na jaw, że dogadywał się z Niemcami w sprawie losu Romanowów.

- Co się stało z carskim skarbem?

- Znaleziono niewielką jego część.

- Czy pański dziadek złożył królowi raport o odkryciach swojego agenta?

- Zawiadomił, że caryca i jej córki prawdopodobnie żyją i poprosił o przygotowanie planu ratunkowego. Król Jerzy umył ręce, mimo że chodziło o najbliższą rodzinę jego kuzyna Mikołaja. Niech pan pamięta, że znenawidzony kajzer też był spokrewniony z królem angielskim i carem. Lojalność rodzinna miała swoje granice. Król bał się gwałtownej reakcji lewicy brytyjskiej na udzielenie kobietom azylu. Caryca była Niemką, a Niemcy to wrogowie.

- Nie spróbowano ich uratować?

- Pewni ludzie w Anglii mieli gotowy plan, ale nic z tego nie wyszło, bo rodzinę carską przeniesiono. Kilka razy próbowali ją odbić Kozacy, wspomagani przez Niemców, którzy chcieli przywrócenia monarchii w Rosji. Najbardziej interesujący był pomysł porwania i przewiezienia rodziny carskiej na Ukrainę okupowaną przez Niemców, a potem przeprowadzenie jej przez Morze Czarne na statku neutralnego państwa.

- Dlaczego nic z tego nie wyszło?

- Kozacy nie ufali Niemcom. Gdzieś po drodze, prawdopodobnie na trasie do Moskwy, odbił carską rodzinę ten sam oddział kozacki, któremu nie powiodło się to wcześniej.

- Major Jakielew?

Dodson uśmiechnął się.

- Jakielew musiał być wyjątkowo zdeterminowany. Nie wyjaśnił dokładnie, jak kobiety trafiły pod jego opiekę. Zamierzał wrócić do tego później, kiedy znajdzie się poza granicami Rosji. Pamiętnik miał dotrzeć do Europy Zachodniej na statku neutralnego państwa i zapewnić carskiej rodzinie współczucie całego świata. Trafił do mojego dziadka. Kiedy rodzina carska zniknęła bez śladu, zatrzymał go, nie wiedząc, co z tym zrobić.

- Kto mógł zatopić statek?

Dodson zmarszczył brwi.

- Odpowiedź jest ryzykowna. Zwłaszcza po pańskiej informacji, że go ostrzelano. Według pamiętnika mojego dziadka, rodzina carska miała zostać potajemnie przewieziona do Turcji. Tam czekała podobno niemiecka łódź podwodna, żeby przemycić ją z kraju. Turcja była sojusznikiem Niemiec. Brytyjczycy zostali wtajemniczeni w sprawę i zgodzili się nie atakować U-Boota w czasie jego rejsu do Europy Zachodniej.

- Ładny gest.

Dodson zaśmiał się głośno.

- O tak! W starych dobrych czasach Brytyjczycy byli bardzo sprytni. Pozwolili sobie na taki gest, bo liczyli na to, że rodzina carska wpadnie w łapy bolszewików.

- Ryzykowna zagrywka.

- Wcale nie. Anglicy donieśli Leninowi, że rodzina carska ucieka na „Odessa Star”.

- Pański dziadek wiedział o tym?

- Ostro protestował, ale został uciszony.

- Przez kogo?

- Przez króla Jerzego.

Zavala zmrużył oczy.

- Teraz rozumiem, dlaczego nie chciał pan udostępnić posiadanych informacji. Niektórzy ludzie nie byliby zachwyceni tym, że król był podstępny donosicielem i współsprawcą wielokrotnego morderstwa.

- Nie nazwałbym go zbrodniarzem, ale fakt, że nie popisał się. Był zbyt naiwny. Nie wierzył, że Lenin może dopuścić się takiego okrucieństwa. Według mojego dziadka, król przypuszczał, że kobiety zostaną zamknięte w klasztorze.

Przez chwilę nie odzywali się. Siedzieli zamyśleni i słuchali śpiewu ptaków.

Zavala pokręcił głową.

- Czegoś nie rozumiem. Kilka lat temu Rosjanie wykopali kości, które zidentyfikowano jako szczątki rodziny Romanowów.

- Rosjanie zawsze byli mistrzami w fabrykowaniu dowodów. Może w historii o kościach rodziny carskiej jest trochę prawdy, ale nigdy nie znaleziono szczątków Aleksieja i wielkiej księżnej Marii.

- Marii?

- Tak. Urodziła się jako przedostatnie dziecko.

Zavala poszedł do samochodu i wrócił z aktami od Perlmuttera. Przerzucił papiery, znalazł fragment opowieści o „małej rusałce” i wręczył Dodsonowi. Anglik włożył okulary do czytania w drucianej oprawce. Przebiegł wzrokiem tekst i zawołał:

- Niesamowite! Jeśli to prawda, ród Romanowów nie wymarł! Maria, czy też Marie, jak ją tu nazwano, wyszła za mąż i miała dzieci.

- Właśnie.

- Wie pan, co to znaczy? Gdzieś może być prawowity następca tronu carskiego. Mój Boże, to katastrofa!

- Nie rozumiem.

- Rosja jest pogrążona w chaosie. Kraj ciągle szuka swojej tożsamości. Pod tym bulgoczącym kotłem płonie ogień nacjonalizmu. Ci, którzy chcieliby powrotu do czasów Piotra Wielkiego i innych carów, rozbudzają tęsknoty drzemiące w Rosjanach, ale mają od zaferowania tylko wspomnienia o minionej epoce. Jeśli żyje prawdziwy następca tronu, nastąpiłoby zogniskowanie ich dążeń. Rosja wciąż ma broń masowej zagłady i większą część światowych zasobów naturalnych. Świat znalazłby się w niebezpieczeństwie, gdyby wybuchła tam wojna domowa i władzę przejął jakiś demagog. Wiadomość o udziale Brytyjczyków w spisku przeciwko carowi wywołałaby nasilenie wrogości do Zachodu.

Dodson urwał i przeszył Zawalę wzrokiem.

- Niech pan powie swoim przełożonym, żeby byli dyskretni. Inaczej sytuacja może się wymknąć spod kontroli.

Emocjonalna reakcja powściągliwego Anglika zbiła Zawalę z tropu.

- Oczywiście - obiecał. - Przekażę im to.

Ale Dodson już go nie słuchał, jakby zapomniał, że ma gościa.

- Car umarł, niech żyje car - mruknął.

26

Waszyngton

Leroy Jenkins wszedł z waszyngtońskiego upału do chłodnego wnętrza trzydziestopiętrowego wieżowca z zielonego szkła z widokiem na Potomac. Wysoki cylindryczny budynek już z daleka był imponujący, ale hol centrali NUMA przekroczył wszelkie wyobrażenia. Jenkins zadarł głowę i spojrzął na szczyt atrium, popatrzył dookoła na wodospady i akwaria pełne egzotycznych ryb, a potem zagapił się na wielki globus, wyrastający na środku zielonej marmurowej podłogi.

Uśmiechał się jak dziecko w sklepie z zabawkami, idąc przez ogromny hol między grupkami turystów oprowadzanych przez przewodniczki w nieskazitelnych uniformach. Atrakcyjna młoda kobieta, jedna z kilku recepcjonistek za długą ladą informacyjną, na widok nadchodzącego Jenkinsa uśmiechnęła się czarująco.

- Czym mogę służyć?

Jenkins zapomniał języka w gębie. W samolocie z Portland powtarzał sobie przygotowany tekst, a teraz odjęło mu mowę. Onieśmiała go świadomość, że jest w sercu największej agencji oceanograficznej na świecie. Był oceanografem i od dawna planował podróż do Świętego Graala nauki o morzu, ale najpierw przeszkadzały mu obowiązki wykładowcy, a potem choroba żony. Teraz był na takim etapie, że niechętnie opuszczał Maine. Żartował, że zarosną mu skrzela, jeśli za bardzo oddali się od morza.

Powietrze wydawało się naładowane elektrycznością. Każdy, kto nie był turystą, trzymał tu w ręku laptop. Nikt nie miał zniszczonego jasnobrązowego nesesera jak on. Jenkins czuł się głupio w pogniecionych spodniach, znoszonych butach sportowych i spłowiałej niebieskiej koszuli wilgotnej od potu. Zdjął jasnobrązową czapkę rybacką, wytarł czoło czerwoną chustą i natychmiast tego pożałował, bo wyszedł na zupełnego kmiota. Wepchnął chustę do kieszeni.

- Chciałby się pan zobaczyć z kimś konkretnym?

Jenkins uśmiechnął się słabo.

- Tak, ale nie bardzo wiem z kim.

Recepcjonistka знаła takie sytuacje.

- Nie szkodzi, zdarza się. To miejsce jest trochę onieśmielające. Spróbujemy znaleźć właściwą osobę. Mógłby mi pan podać swoje nazwisko?

- Oczywiście. Roy Jenkins. To znaczy doktor Leroy Jenkins. Wykładałem oceanografię na Uniwersytecie Maine. Od kilku lat jestem na emeryturze.

- Już coś mamy. Chciałby pan rozmawiać z kimś z działu oceanograficznego, doktorze Jenkins?

Jenkins nabrał odwagi.

- Nie jestem pewien. Mam kilka pytań specjalistycznych.

- Zaczniemy od oceanografii i zobaczymy, co dalej.

Młoda kobieta podniosła słuchawkę telefonu, wcisnęła guzik i powiedziała kilka słów.

- Proszę wjechać na górę, doktorze Jenkins. Recepcjonistka na dziewiątym piętrze czeka na pana.

Znów błysnęła swoim bajecznym uśmiechem i zwróciła się do następnej osoby w kolejce.

Jenkins poszedł do wind z boku holu. Ciągle się zastanawiał, czy przejechał taki kawał drogi tylko po to, żeby zrobić z siebie idiotę przed jakimś młodym naukowcem, który potraktuje go z góry. Wsiadł do windy, nacisnął guzik i wystartował pod niebo. Było za późno, żeby się wycofać.

Na dziesiątym piętrze budynku NUMA Hiram Yaeger siedział przy konsoli w kształcie podkowy i patrzył na wielki monitor komputerowy, który wydawał się wisieć w powietrzu. Na ekranie widać było mężczyznę z wąską twarzą i krzaczastymi brwiami, pochylonego nad szachownicą. Przystawiał białą wieżę o dwa pola. Yaeger zastanowił się przez chwilę, potem powiedział:

- Goniec bije królową. Szach i mat.

Mężczyzna na ekranie kiwnął głową i palcem wskazującym przewrócił swego króla.

- Dzięki za partyjkę, Hiram - powiedział. - Musimy jeszcze kiedyś zagrać.

Zniknął. Na monitorze została tylko zielonkawa poświata.

- Jestem pod wrażeniem - odezwał się mężczyzna w średnim wieku, siedzący obok Yaegera. - Wiktor Karpow to nie patałach.

- Oszukiwałem, Hank. Kiedy wprowadziłem wszystkie jego partie do banku danych Max, zaprogramowałem zestaw odpowiedzi opartych na strategii Bobby Fishera. Poprawiał każdy mój zły ruch.

- Dla mnie to czarna magia - odparł Hank Reed. - Ale, zmieniając temat, gdzie są nasze zamówione kanapki?

- Wracajmy do roboty - powiedział Yaeger. - Jeśli nie przyniosą nam żarcia za pięć minut, zadzwonię tam jeszcze raz.

- W porządku - zgodził się Hank. - Czy Austin mówił, do czego mu to potrzebne?

Yaeger zachichotał.

- Kurt to pokerzysta. Nigdy nie pokazuje kart, dopóki ich nie wyłoży.

Austin zadzwonił do niego rano. Od razu przeszedł do rzeczy.

- Potrzebuję pomocy Max. W jakim jest nastroju?

- W dobrym. Jak zawsze, Kurt. Dopóki poję ją koktajlami elektronicznymi, zrobi wszystko, o co poproszę - odpowiedział Yaeger i zniżył głos do szeptu. - Myśli, że szczególnie cenię jej umysł, a nie ciało.

- Myślałem, że ona nie ma ciała.

- Ma ich całą kolekcję. Mae West, Betty Grable, Marilyn Monroe, Jennifer Lopez... Cokolwiek zaprogramuję.

- Postaw jej kilka drinków i poproś, żeby przypomniała sobie wszystko, co wie o hydracie metanu.

Austin nie przestawał o tym myśleć od czasu, kiedy dowiedział się od Troutów, że Ataman Industries zamierza wydobywać hydrat z dna morza.

- Przygotuję ci dane na wieczór, dobrze?

- W porządku. Całe przedpołudnie będę zajęty z admirałem Sandeckerem.

Przy pierwszym spotkaniu z Yaegerem ludziom trudno było wierzyć, że ten hipis w wytartych dżinsach to geniusz komputerowy. Jednak po kilku minutach obserwacji jego pracy przestawali się dziwić, dlaczego admirał Sandecker zrobił go szefem banku danych NUMA. Poprzez swoją konsolę Yaeger miał dostęp do wszystkich źródeł wiedzy o technologii i historii morskiej, do każdego skrawka informacji o świecie podwodnym.

Poruszanie się w takim gąszczu danych wymagało zręczności. Yaeger wiedział, że jeśli Max wygrzebie każdą wzmiankę o hydracie metanowym, zaleje go powódź danych. Potrzebował kogoś, kto wskaże mu kierunek poszukiwań. Od razu pomyślał o Hanku Reedzie.

Złapał go telefonicznie w pracowni.

- Cześć, Hank. Chciałbym skorzystać z twojej wiedzy geochemicznej. Czy możesz na kilka minut oderwać się od palników Bunsena?

- Nie mów mi, że komputerowy guru NUMA potrzebuje pomocy zwykłego śmiertelnika. Co jest grane? W twojej wszystkowiedzącej maszynie przepalił się bezpiecznik?

- Nie. Max naprawdę wie wszystko i dlatego potrzebuję kogoś do wyłowienia najistotniejszych danych. Stawiam lunch.

- Najpierw pochlebstwa, a potem obietnica żarcia. Kto się temu oprze? Zaraz u ciebie będę.

Reed wszedł do centrum informatycznego z uśmiechem na twarzy. Mimo żartobliwych docinków on i Yaeger byli serdecznymi przyjaciółmi. Łączyła ich ekscentryczność. Yaeger nosił siwiejący kucyk i babcine okulary w drucianej oprawce. Wyglądał jak aktor z Hair. Doktor Henry Reed miał twarz cherubina i wysoką strzechę jasnych włosów. Dodawała kilka centymetrów do jego półtorametrowego wzrostu i wyglądała, jakby cesał ją widłami. W

grubych okrągłych okularach na małym nosie przypominał dobroduszną sowę. Usiadł na krześle wskazanym przez Yaegera i zatarł pulchne dłonie.

- Włączaj swoje magiczne pudło, Żabciu.

Yaeger zerknął na niego znad okularów.

- Co?

- To z programu radiowego, którego słuchałem w dzieciństwie. Żabcio był gremlinem... Nieważne. Ty pewnie nawet nie wiesz, co to radio.

Yaeger uśmiechnął się, wyciągnął na krześle i założył ręce za głowę.

- Jasne, że wiem. Babcia mi opowiadała. Radio to telewizja bez obrazków. Max, przywitaj się z moim kumplem, doktorem Reedem.

Z głośników rozmieszczonych wokół pokoju popłynął kobiecy głos.

- Cześć, doktorze Reed. Miło mi, że znów pana widzę...

Drzwi windy zasunęły się z sykiem za jego plecami. Roy Jenkins poczuł się dziwnie. Tylko on tu wysiadł. Spojrzał na numer piętra na ścianie i zaklął pod nosem. Zachował się jak roztargniony profesor, z których zawsze drwił. Recepcjonistka powiedziała mu, żeby wjechał na dziewiąte piętro, a on był tak zamyślony, że wcisnął dziesiąte.

Zamiast typowej architektury biurowej z korytarzami, pokojami i boksami miał przed sobą rozległą oszkloną przestrzeń. Powinien był zawrócić do windy, ale przewyciężyła ciekawość. Poszedł wzdłuż rzędów migających komputerów. Rozglądał się na prawo i lewo i słuchał elektronicznych szeptów. Jakby wylądował na obcej planecie, zamieszkaną tylko przez maszyny.

Odetchnął z ulgą na widok dwóch mężczyzn przy wielkiej konsoli w środku kompleksu komputerowego. Patrzyli na duży ekran jakby zawieszony w powietrzu na niewidzialnych drutach. Był na nim kolorowy obraz kobiety. Miała piwne oczy i kasztanowe włosy. Dolna krawędź monitora ledwo zasłaniała jej pełny biust.

Kobieta mówiła. Co dziwniejsze, mężczyzna z długim kucykiem rozmawiał z nią. Jenkins chciał się wycofać, ale w tym momencie zauważył go drugi mężczyzna z czupryną jak zboże przed żniwami.

- Nareszcie są nasze kanapki.

- Słucham? - zdziwił się Jenkins.

Reed zobaczył, że Jenkins trzyma teczkę zamiast białej papierowej torby. Przyjrzał się jego ogorzalej twarzy, potem koszuli roboczej i czapce.

- Pan chyba nie jest z kafeterii? - zapytał rozczerowany.

- Nazywam się Leroy Jenkins. Przepraszam, że przeszkadzam. Wysiadłem na złym piętrze i zabłądziłem. Co to za miejsce?

Rozejrzał się.

- Centrum komputerowe NUMA - odrzekł mężczyzna z kucykiem. Miał chłopięcą,

gładko ogoloną twarz, wąski nos i szare oczy. - Max potrafi odpowiedzieć prawie na każde pytanie, jakie się jej zada.

- Max?

Yaeger wskazał ekran.

- Nazywam się Hiram Yaeger. To jest Hank Reed. Ta piękność to iluzja. Mówi kobiecą wersją mojego głosu. Najpierw używałem własnej twarzy, ale znudziło mi się patrzeć na siebie samego i wymyśliłem tę ślicznotkę, moją żonę.

Max uśmiechnęła się.

- Dzięki za komplement, Hiram.

- Nie ma za co. Max jest równie inteligentna jak ładna. Niech pan ją o coś zapyta. Max, to jest pan Jenkins.

Obraz uśmiechnął się.

- Miło mi pana poznać, panie Jenkins.

Jenkins pomyślał, że za długo siedział w głuszy Maine.

- Doktorze Jenkins - poprawił. - Jestem oceanologiem. Obawiam się, że moje pytania będą zbyt skomplikowane. Chodzi o hydrat metanu.

Yaeger i Reed spojrzeli po sobie.

- Czy koniecznie muszę się powtarzać? - westchnęła ciężko Max.

- Max pracuje nad tym od dwóch godzin - wyjaśnił Yaeger i wystukał na telefonie numer kafeterii. - Zje pan z nami lunch?

Kanapki były świetne. Jenkins dopiero teraz uświadomił sobie, że jest głodny. W samolocie zjadł tylko torebkę orzeszków ziemnych. Popił lunch łykiem piwa korzennego i spojrzął na siedzących obok mężczyzn.

- Pomyślicie, że oszalałem - powiedział.

- Wszyscy jesteśmy szaleni - odrzekł Yaeger. Reed przytaknął skinieniem głowy. Choć jeden wyglądał jak podstarzały hipis, a drugi jak kurdupel z fryzurą Dona Kinga, obaj wydawali się bardzo bystry.

- Tylko nie mówcie potem, że was nie uprzedzałem - zastrzegł Jenkins. - Dobrze, wykładałem w college'u. Od kilku lat jestem na emeryturze. Łowią kutrem homary w moim rodzinnym miasteczku Rocky Point.

- Aha! - wykrzyknął Reed. - Rybak! Wiedziałem.

Jenkins uśmiechnął się i ciągnął dalej.

- Zapewne czytaliście o tsunami, które uderzyło tam niedawno.

- Tak, straszna tragedia - odparł Reed.

- Mogło być gorzej - stwierdził Jenkins i wyjaśnił, w jaki sposób ostrzegł miasteczko.

- Szczęście, że pan tam był - zauważył Yaeger. - Ale jedno mnie zastanawia. Nowa Anglia nie leży na krawędzi dużego uskoku, jak Japonia czy Kalifornia.

- Porównać to można tylko z wielką falą wywołaną trzęsieniem ziemi na Grand Banks w 1929 roku. Epicentrum znajdowało się pod morzem na pochyłości kontynentalnej na południe od Nowej Fundlandii i na wschód od Nowej Szkocji. Drżenie dało się odczuć w Kanadzie i Nowej Anglii, ale obyło się bez większych szkód. Osunęła się ziemia na drogi, zwały się kominy. Wstrząs największy efekt wywołał na morzu.

- Jaki? - zapytał Reed.

- Blisko epicentrum przepływały dwa statki. Załogi odczuły bardzo silne wibracje. Myśleli, że zgubili śrubę albo wpadli na niezaznaczony na mapie wrak lub mieliznę. Trzęsienie ziemi wywołało wielką falę. Trzy godziny później uderzyła w południowe wybrzeże Nowej Fundlandii. Wdarła się do rzek na głębokość stu kilometrów od wybrzeża. Największe zniszczenia spowodowała w zatoce o kształcie klina na półwyspie Burlin. U jej wierzchołka tsunami urosła do ponad dziewięciu metrów. Zalała doki i budynki. Zginęło dwadzieścia pięć osób.

- Bardzo podobnie było w Rocky Point.

- Niemal identycznie. Dzięki Bogu, bez tylu ofiar i strat. W wypadku katastrofy na Grand Banks nie było wątpliwości, że spowodowało ją trzęsienie ziemi. W Rocky Point nic takiego nie miało miejsca.

- To interesujące. A co z odczytami sejsmograficznymi?

- Kontaktowałem się z obserwatorium Weston pod Bostonem. Trzęsienie na Grand Banks miało siłę siedem i dwie dziesiąte stopnia. Wiemy, że coś takiego musi wywołać tsunami. W Rocky Point sprawa nie jest jasna. Zarejestrowano wstrząs, który nie pasował do klasycznego wzorca trzęsienia ziemi.

- Nie wiem, czy dobrze rozumiem. Twierdzi pan, że zapadnięcie się dna morskiego w Rocky Point nie spowodowało trzęsienia ziemi?

- Przypuszczam, że można to dokładnie ustalić. Czytałem o złożach hydratu metanu, znalezionych poza szelfem kontynentalnym. Zastanawiałem się, czy osunięcie mogła spowodować niestabilność gazu.

- To bardzo prawdopodobne - odrzekł Reed. - U obu naszych wybrzeży mamy wielkie pokłady hydratu metanu. Znalaziono je na przykład na wysokości Oregonu i New Jersey. Słyszał pan o Blake Ridge?

- Oczywiście. To podmorskie wzniesienie kilkaset kilometrów na południowy wschód od Stanów.

- Mówiąc dokładniej, od Karoliny Północnej. Niektórzy nazywają tę górkę „piekarnikiem ciśnieniowym”. Na dnie morza znaleziono krater, którymi uwalnia się uchodzący metan.

Jenkins podrapał się w głowę.

- Niestety, niewiele wiem o hydratách. Od kiedy jestem na emeryturze, staram się czytać na bieżąco publikacje fachowe, ale przez to łowienie homarów nie bardzo mam czas.

- To stosunkowo nowa dziedzina. Zna pan skład chemiczny tego hydratu?

- Cząsteczki gazu ziemnego uwięzione w lodzie.

- Zgadza się. Ktoś nazwał go „ognistym lodem”. Odkryto go w dziewiętnastym wieku, ale nasza wiedza o nim była raczej mglista. Pierwsze naturalne złoża znaleziono pod wieczną zmarzliną na Syberii i w Ameryce Pomocnej. Nazwano to gazem błotnym. Potem, w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku, para naukowców z Uniwersytetu Columbia natrafiła na pokłady pod dnem morskim podczas badań sejsmologicznych Blake Ridge. W latach osiemdziesiątych batyskaf „Alvin” z Woods Hole znalazł podwodne kominy kamienne, uformowane przez uchodzący metan. Brałem udział w pierwszych dużych poszukiwaniach w połowie lat dziewięćdziesiątych. Właśnie wtedy odkryliśmy złoża w Blake Ridge. Ale to tylko ułamek tego, co jest na świecie. To ogromny potencjał.

- Gdzie są główne pokłady?

- Przeważnie wzdłuż niższych zboczy szelfów kontynentalnych, gdzie dno morskie opada z około stu dwudziestu metrów do kilku kilometrów głębokości. Na obu naszych wybrzeżach, w Kostaryce, Japonii, Indiach i pod zmarzliną arktyczną. Ogrom złóż jest zdumiewający. Najnowsze szacunki mówią o dziesięciu tysiącach gigaton. To dwa razy więcej niż wszystkie znane zasoby węgla, ropy i gazu ziemnego razem wzięte.

Jenkins gwizdnął cicho.

- Czekają na wydobycie, kiedy zabraknie nam paliw.

- Niestety, to nie takie proste - westchnął Reed. - Najpierw trzeba pokonać kilka problemów technicznych.

- Wiercenia są niebezpieczne?

- Po raz pierwszy zaczęto wiercić ze statku w 1970 roku. Nic się nie stało, ale technicy przez całe lata bali się, że wylecą w powietrze. W końcu kilka odwiertów eksperymentalnych dowiodło, że przy badaniach nie ma ryzyka. Jednak wydobywanie hydratu do celów przemysłowych to co innego. Na dużych głębokościach, gdzie zalegają złoża, środowisko naturalne jest wyjątkowo nieprzyjazne. Przy wydobywaniu hydrat zaczyna musować.

- Przekracza to możliwości platform wiertniczych?

- Tak. Jednak kilka państw i firm pracuje nad tym problemem. Jedną z metod jest pompowanie do odwiertu pary lub wody. Hydrat się rozpuszcza i uwalnia metan. Potem wypompowuje się gaz przez inny otwór, i powstaje nowy problem. Usuwając hydrat, destabilizuje się dno morskie.

- I potrzebne są drogie rurociągi.

- Właśnie. Dlatego inżynierowie planują produkcję na dnie morza. Wypompowuje się hydrat i łączy z wodą. Mieszanka trafia do wielkich zbiorników w kształcie sterowca. Okręty podwodne holują je na płyciznę, gdzie hydrat rozdziela się bezpiecznie na paliwo i wodę.

- Wygląda na to, że wydobywanie hydratu to jak chodzenie po skorupkach jajek.

- Gorzej. Ale wracajmy do pańskiego pierwszego pytania.

- Czy hydrat może być źródłem trzęsień ziemi i wielkich fal?

- Bardzo możliwe. Udowodniono, że jego naturalne rozpuszczanie destabilizuje zbocza dna morskiego. Na naszym wschodnim wybrzeżu, Alasce i w innych krajach są rozległe osuwiska podwodne. Rosjanie znaleźli niestabilne złoża hydratu u brzegów Norwegii. Uważają, że jedno z największych udokumentowanych uwolnień hydratu stworzyło podwodne osuwisko Storrega. Osiem tysięcy lat temu ponad cztery tysiące kilometrów sześciennych osadów geologicznych zsunęło się całe kilometry w dół norweskiej pochyłości kontynentalnej.

- Znam tę historię - odrzekł Jenkins.

- Więc wie pan, że wielkie osunięcia mułu powodowały niewyobrażalne tsunami. Przy nich Grand Banks i Rocky Point to fale w wannie.

Jenkins skinął głową.

- A osunięcie wywołane przez człowieka? Czy to możliwe?

- Oczywiście. Platforma wiertnicza może przypadkowo spowodować zapadnięcie złoża.

Jenkins wstrzymał oddech.

- Ale czy ktoś mógłby to zrobić celowo?

- Co pan ma na myśli, doktorze Jenkins? - zapytał Reed.

Jenkins poruszył się na krześle.

- Zaczynam wariować na tym punkcie. Instykt walczy we mnie z metodologią naukowca. A ona podpowiada mi, żebym najpierw zebrał wszystkie dowody, a potem wyciągał wnioski. Zwłaszcza takie szalone, jak ten.

Reed podrapał się w brodę.

- Być może, ale jako naukowiec, którym też jestem... nie mogę zrobić takiego przeskoku od domysłu do wniosku bez połączenia ich mostem faktów.

Wtrącił się Yaeger.

- Poetycko powiedziane. Zobaczmy, czy Max nam pomoże. Podśluchiwałaś, kochanie?

Znów pojawił się obraz kobiety o kasztanowych włosach.

- Trudno nic nie słyszeć, mając sześć superczułych mikrofonów. Co mam zrobić?

Yaeger odwrócił się do dwóch mężczyzn.

- Mówcie, panowie.

- Max, oświeć nas w sprawie podwodnych złóż hydratu metanu u wybrzeży Stanów - powiedział Reed.

Twarz zniknęła. Pojawił się trójwymiarowy obraz dna morskiego na wschód i zachód od Stanów Zjednoczonych. Były na nim podwodne góry i kaniony. Na błękitnym Atlantyku i Pacyfiku pulsowały czerwone plamy.

- A teraz daj Wschodnie Wybrzeże.

Pojawiła się linia brzegowa od Maine do Florida Keys.

- Dobrze. Pokaż szelf kontynentalny koło Maine.

Patrzyli na długą nieregularną linię brzegową od Kanady po New Hampshire. Wzdłuż

wybrzeża ukazała się falista linia, biegnąca przez czerwone plamy hydratu.

- Czy można zrobić zbliżenie Rocky Point? - zapytał Jenkins.

Na jego rodzinnym miasteczku pojawiło się niebieskie kółko. W prawym dolnym rogu ekranu ukazał się widok z lotu ptaka z zatoką i rzeką.

- Nieźle - pochwalił Jenkins.

- Dzięki - zamruczał jak kotka bezcielesny głos.

Jenkins podał Max pozycję swojego kutra w momencie, gdy zobaczył nadciągające tsunami. Na holograficznym morzu pojawiła się sylwetka łodzi.

- Teraz potrzebny nam diagram głównych uskoków podmorskich.

Ukazała się pajęcza sieć białych linii.

Kuter znajdował się pomiędzy Rocky Point i dużym uskokiem na wschód od miasteczka.

- Wspaniale, Max - powiedział Yaeger. - A teraz profil. Wróćmy do szelfu kontynentalnego i epicentrum wstrząsu.

Na ekranie zobaczyli przekrój pionowy morza. Pofalowana linia oznaczała powierzchnię oceanu, druga, poniżej, dno. Szelf kontynentalny opadał ostro. Na jego krawędzi widniał stromy uskok. Przecinała go jaskrawa linia, oznaczająca złożę hydratu metanu pod wapiennym osadem.

- Oto nasz sprawca. Pokaż nam, co się dzieje podczas uwalniania hydratu.

Z dna morskiego wystrzelił pióropusz gazu. Dno morskie wzdłuż pochyłości szelfu kontynentalnego zapadło się. Na powierzchni wody nad osunięciem gruntu powstała depresja. Na morzu utworzył się krater. Woda próbowała się ustabilizować. Powstało zderzenie, które ruszyło przez ocean.

- Oto geneza wielkiej fali - powiedział Reed.

- Chcę coś sprawdzić - odrzekł Yaeger. - Słyszałaś, co mówił doktor Jenkins o odczytach w skali Richtera w tamtym miejscu. Prosimy o symulację tego, co się stało.

Z najbliższej okolicy osunięcia ruszyły fale. Max zrobiła zbliżenie tej, która szła na Rocky Point. Kiedy ruchomy łuk był blisko brzegu, powiększony obraz miasteczka wypełnił cały ekran. Fala wplynęła do portu, na brzeg, do rzeki.

Max bez pytania podzieliła ekran i pokazała widok z boku, z profilem fali. Tsunami urosła przy brzegu. Gigantyczne wodne szpony runęły na senny port. Max powtarzała tę scenę w szybkim i wolnym tempie. W pokoju panowała cisza.

Yaeger obrócił się na krześle.

- Jakies uwagi, panowie?

- Zobaczyliśmy efekt - odrzekł Jenkins. - Pozostało pytanie, czy wywołał go człowiek?

- To się już zdarzało - przypomniał Reed. - Pamiętajcie, co mówiłem o zapadnięciu spowodowanym przez platformę wiertniczą po przypadkowym uwolnieniu pióropusza gazu?

- Max, wiem, że ciężko pracujesz, ale czy mogłabyś wyświadczyć mi przysługę?

- Oczywiście, doktorze Jenkins.

- Dziękuję. Wróćmy do twojej mapy Wschodniego Wybrzeża. Pokaż nam słabe punkty podobne do tych na wysokości Maine.

Znów pojawiła się mapa z pulsującymi kółkami różnej wielkości. Największe były przy Nowej Anglii, New Jersey, Waszyngtonie, Charlestonie i Miami.

- Max, zrób symulację tego, co by się stało, gdyby szelf kontynentalny zapadł się na przecięciach z głównymi złożami hydratu metanu.

Z większych epicentrów natychmiast podniosły się dziesięciometrowe fale. Uderzyły w wybrzeże, wpłynęły do zatok i rzek i rozlały się daleko w głąb lądu.

Reed zamrugał gwałtownie za grubymi okularami.

- Żegnaj Bostonie, Nowy Jorku, Waszyngtonie, Charlestonie i Miami.

Jenkins odchrząknął.

- O czymś jeszcze nie wspomniałem.

Opowiedział o spotkaniu z ogromnym statkiem tuż przed uderzeniem tsunami w Rocky Point.

- A więc, pańskim zdaniem, miał on coś wspólnego z osunięciem się dna morskiego i wielkimi falami? - zapytał Yaeger.

- Tak. Był zarejestrowany w Liberii, jak wiele innych statków. Na kadłubie widniała nazwa „Ataman Explorer I”. Sprawdziłem w słowniku. Słowo „ataman” oznacza przywódcę kozackiego.

- Ataman? Jest pan pewien?

- Tak. Mówi to panu coś?

- Możliwe. Jak długo zostaje pan w Waszyngtonie, doktorze Jenkins? - zapytał Yaeger.

- Nie wiem. Chyba tyle, ile będzie trzeba.

Yaeger wstał.

- Chciałbym panu kogoś przedstawić.

Słońce wpadające przez wielkie przyciemnione okno oświetlało ostre rysy admirała Jamesa Sandeckera. W zielonkawym blasku wyglądał jak posąg Neptuna. Ze swojego gabinetu na ostatnim piętrze centrali NUMA miał wspaniały widok na rządową część Waszyngtonu. Stał zamyślony przy oknie i patrzył na miasto. Przyglądał się Białemu Domowi, wysokiemu obeliskowi Waszyngtona i kopule Kapitolu niczym sęp szukający ofiary.

Austin spędził większość poranka na relacjonowaniu Sandeckerowi wypadków na Morzu Czarnym. Admirała zafascynował opis schronu dla okrętu podwodnego. Zaintrygowało go spotkanie Austina z Pietrowem i powiązanie „Odessa Star” z lordem Dodsonem. Czasem zadawał jakieś pytanie, ale opowieści o masakrze na „Sea Hunterze” wysłuchał w ponurym milczeniu. Skubał tylko starannie przy strzyżoną rudą bródkę a la Van Dyck. Potem bez słowa wstał z biurka i podszedł do okna.

Po chwili odwrócił się do Austina i Gunna, którzy siedzieli w skórzanych fotelach na wprost biurka.

- Przez cały okres służby w marynarce wojennej nie straciłem dotąd okrętu ani załogi. I niech mnie szlag trafi, jeśli puszcze im płazem to morderstwo.

W pokoju nagle powiało chłodem.

Sandecker wrócił za biurko i usiadł.

- Jak się czuje panna Montague, ta młoda dama, która przeżyła atak?

- To twarda sztuka - odrzekł Austin. - Uparła się, że zostanie na pokładzie, dopóki nie ściągną „Sea Huntera” do portu.

- Dopilnuj, żebym się z nią spotkał.

- Oczywiście - zapewnił Austin. - Co na to wszystko CIA?

Sandecker sięgnął do skrzyneczki na biurku, wyjął cygaro i zapalił.

- CIA obszczekuje nie to drzewo, co trzeba. FBI jest sceptyczne. Z sił zbrojnych nie ma żadnego pożytku, dopóki nie wskaże się im właściwego kierunku i nie da rozkazu do wymarszu. Sekretarz stanu nie odpowiada na moje telefony.

- A Biały Dom?

- Prezydent oczywiście przekazał wyrazy współczucia, ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że niektórzy członkowie jego gabinetu cieszą się. Uważają, że masakra była dla nas usprawiedliwioną karą za wtykanie nosa tam, gdzie nie trzeba. Są wkurzeni, że NUMA uratowała załogę NR-1.

- Co za różnica, kto ją uratował? - odezwał się Austin. - Grunt, że się udało.

Sandecker wypuścił kłęb dymu i jego głowę na moment spowiła purpurowa mgła.

- Przypuszczam, że to pytanie retoryczne. Znasz aż za dobrze tutejsze stosunki. Wiesz, że wdzięczność tu nie istnieje. Ubiegliśmy ich i mają pretensje.

Gunn westchnął.

- Tak, słyszałem. Twierdzą, że to przez nasze „wtrącanie się” nie odnaleziono jeszcze łodzi podwodnej, jej kapitana i sternika.

- Znaleźli dobrą wymówkę dla swojej niekompetencji - powiedział Sandecker. - Obawiam się jednak, że w sprawie „Sea Huntera” jesteśmy zdani na siebie. Macie jakiś trop tego Borysa?

- Lepiej skoncentrować się na Razowie - odparł Austin. - Według ostatniego raportu jego jacht opuścił Morze Czarne. Próbujemy go namierzyć.

- Pospieszcie się - odrzekł Sandecker.

Rozległ się cichy sygnał interkomu, a potem głos sekretarki Sandeckera.

- Wiem, że jest pan zajęty, panie admirale, ale przyszedł pan Yaeger. Przyprowadził dwóch panów. Chciałby się z panem pilnie zobaczyć.

- Proszę ich wpuścić - polecił Sandecker. Po chwili drzwi gabinetu otworzyły się i wszedł Yaeger z małym doktorem Reedem i jakimś obcym człowiekiem. Sandecker spędził wystarczająco dużo czasu na wodzie, żeby natychmiast rozpoznać w Jenkinsie rybaka. Zwłaszcza po uścisku jego spracowanej, twardej jak skorupiak dłoni.

Wskazał gościnne fotele.

- No dobra, Hiram. Co się takiego stało, że opuściłeś swoją świątynię?

- Niech to lepiej wyjaśni doktor Jenkins.

Jenkins był zdenerwowany obecnością legendarnego dyrektora NUMA. Kiedy jednak zaczął mówić, uspokoił się. Potem Reed dorzucił swoją opinię geochemika, a Yaeger rozdał wydruki diagramów, które Max pokazywała na ekranie. Sandecker siedział rozparty w fotelu. Chłonał każdy szczegół.

Po prezentacji wcisnął guzik interkomu.

- Proszę przekazać, żeby wpadł do mnie doktor Wilkins z działu geologii.

Doktor Elwood Wilkins zjawił się po kilku minutach. Wyglądem przypominał jednego z tych aktorów filmowych, którzy zawsze grają uprzejmych aptekarzy lub lekarzy rodzinnych. Sandecker przysunął do biurka jeszcze jeden fotel. Wręczył geologowi wydruki i dał mu kilka minut na przestudiowanie ich. Wilkins skończył czytać materiały i podniósł wzrok.

Sandecker odpowiedział na nieme pytanie w jego oczach.

- Ci panowie sugerują, że krawędź szelfu kontynentalnego wzdłuż Wschodniego Wybrzeża może się zapaść i wywołać niszczycielskie tsunami. Cenię sobie ich opinię, ale chciałbym wiedzieć, co pan o tym sądzi.

- Najnowsze badania wskazują, że jest to całkiem prawdopodobne. Skała pod wierzchnią warstwą szelfu kontynentalnego jest mocno nasiąknięta wodą. Jej pęknięcie może spowodować osunięcie gruntu, które wyśle w kierunku brzegu gigantyczne fale. Symulacje komputerowe na Uniwersytecie Stanowym Penna dowodzą, że taka możliwość jest bardzo realna.

- Takie osunięcie mogłoby zostać spowodowane trzęsieniem ziemi? - zapytał Sandecker.

- Z całą pewnością.

- Czy może się to zdarzyć na Wschodnim Wybrzeżu? - spytał Gunn.

Wilkins postukał palcem w plik wydruków.

- Te materiały bardzo wiele wyjaśniają. Szelf kontynentalny biegnie wzdłuż całego wybrzeża. W kilku miejscach na jego zboczu znajdują się pęknięcia i krater, gdzie możliwość osunięcia gruntu jest szczególnie duża.

- Czy powodem osunięcia może być tylko trzęsienie ziemi? - zapytał Gunn.

- To może się stać samoczynnie.

- Miałem na myśli uwolnienie hydratu metanu.

- Również w takiej sytuacji grunt może się osunąć, wywołując gigantyczne fale.

Sandecker zauważył, że Wilkins chce o coś zapytać. Szybko uciał dyskusję.

- Dziękujemy, doktorze. Bardzo nam pan pomógł, jak zawsze.

Odprowadził geologa do drzwi, poklepał po plecach i jeszcze raz podziękował. Potem wrócił do pozostałych.

- Mam nadzieję, że was nic uraziłem, wzywając go tutaj. Chciałem usłyszeć opinię z niezależnego źródła.

- To, co powiedział - odrzekł Gunn - może oznaczać, że Razow odkrył sposób wywoływania tsunami. Fala, która uderzyła w wybrzeże Maine, mogła być próbą generalną. Jeżeli nasze przypuszczenia są słuszne, ten człowiek zdolny jest spowodować ogromne zniszczenia.

- Klucz do zagadki znajduje się na statku „Ataman Explorer” - odezwał się Austin.

- A więc musimy się dostać na jego pokład - dodał Sandecker.

Rocky Point, Maine

Przed uderzeniem wielkiej fali Rocky Point było typowym miasteczkiem na skalistym wybrzeżu Maine. Jego malowniczy port i drewniane domki kryte gontem można było podziwiać na zdjęciach w wielu kalendarzach. Zadbana Main Street wyglądała jak ulica z filmu Franka Capry.

Teraz jednak zniknęły nadmorskie restauracyjki, serwujące homary, nie było portu rybackiego. Zostały po nich tylko pale. Sterczały z wody jak zepsute zęby. Na morzu unosiły się kuliste boje ostrzegające przed wrakami. Na brzegu dźwigi przenosiły szczątki łodzi. W kilwaterze „Kestrela” wirowały różne śmiecie.

Gdyby Austin miał większe zacięcie poetyckie, powiedziałby, że wielka fala ukradła miastu duszę. Ale zdobył się tylko na stwierdzenie:

- Co za bajzel.

- Mogło być gorzej - odparł szeryf Charlie Howes, stojący obok niego na rufie kutra Jenkinsa.

Austin pokręcił głową.

- Jasne, gdyby walnęła tu bomba atomowa.

Poznali się kilka godzin wcześniej. Austin, Trout i Jenkins przylecieli firmowym odrzutowcem NUMA do Portland. Jenkins uprzedził szeryfa. Howes odebrał ich z lotniska i przywiózł radiowozem do Rocky Point.

Po spotkaniu u Sandeckera Austin wrócił do swojego gabinetu ze zdjęciami satelitarnymi „Atamana Explorera”. Obejrzał je pod silnym szkłem powiększającym. Fotografie zrobiono z wysokości tysięcy metrów, ale były ostre i wyraźne. Mógł bez trudu odczytać nazwę statku na kadłubie i zobaczyć ludzi na pokładzie.

Natychmiast uderzyło go podobieństwo statku do „Glomara Explorera”, jednostki ratowniczej o długości stu osiemdziesięciu trzech metrów, zbudowanej przez Howarda Hughesa w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku na tajne zlecenia CIA do wydobycia zatopionego radzieckiego okrętu podwodnego. Wysokie dźwigi i bomby przeładunkowe przypominały pływające platformy wiertnicze.

Austin obejrzał statek od dziobu do rufy. Szczególną uwagę zwrócił na pokład w okolicy dźwigów. Zrobił na kartce kilka szkiców i uśmiechnął się zadowolony. Znalazł sposób wejścia na statek. Wszystko zależało od tego, jak blisko uda mu się podejść do „Atamana Explorera”. Jednostka mogła uciec na widok statku NUMA. Austin zastanawiał się nad tym problemem przez kilka minut. Przypominał sobie swoje doświadczenia z Morza Czarnego, gdy popłynął z kapitanem Kemalem. Potem podniósł słuchawkę telefonu, zadzwonił do Yaegera i zapytał, gdzie jest Jenkins.

- Reed zafundował Jenkinsowi zwiedzanie NUMA dla VIP-ów. Zaproponował mu nawet nocleg przed jutrzejszym powrotem do Maine.

- Spróbuj ich znaleźć i oddzwon do mnie.

Telefon Austina zadzwonił po kilku minutach. Austin nakreślił Jenkinsowi swój plan. Nie ukrywał, że jest ryzykowny. Jenkins nie wahał się ani chwili.

- Zrobię wszystko, żeby dopaść tych skurwieli, którzy zniszczyli moje miasteczko - powiedział po wysłuchaniu Austina.

Austin życzył mu miłego zwiedzania i zadzwonił do działu transportu NUMA, żeby załatwić szybki środek lokomocji. Potem zatelefonował do miejskiego domu Troutów w Georgetown. Gamay zostawiła wcześniej wiadomość, że wrócili z Paulem ze Stambułu i są do dyspozycji. Austin zastał Paula i wprowadził go w szczegóły.

W tym samym czasie Jenkins zaczął wydzwaniać do miejscowych rybaków, którzy mieli kutry na chodzie. Pytał, czy chcieliby się na coś przydać, zgodnie z sugestią Austina mówił im, że NUMA potrzebuje ich kutrów do badań fauny głębokowodnej. W zamian za to mieli dostać bez zbędnej biurokracji pokątną sumę na odbudowę portu.

Nie miał problemu z rekrutacją. Kiedy o świcie „Kestrel” wychodził z portu, płynęło za nim gęsiego sześć trawlerów i kutrów do połowu homarów. Charlie Howes nalegał, żeby go zabrać. Jenkins chętnie się zgodził. Przed wstąpieniem do policji szeryf zawodowo łowił homary i poznał dobrze morze.

Flotyła rybacka minęła skalisty cypel, od którego pochodziła nazwa miasteczka, i wydostała się na otwarty ocean. Morze miało jasnozielony, butelkowy kolor. Na błękitnym niebie wisiało tylko kilka pierzastych obłoków. Wiała lekka zachodnia bryza. Kutry wzięły kurs na wschód, a potem na południe. Ich kadłuby wspinały się na fale i łagodnie opadały w dół. Gamay co chwila dzwoniła z centrali NUMA, podając aktualną pozycję „Atamana Explorera”, śledzonego przez satelitę.

Austin nanosił współrzędne na mapę zatoki Maine, rozległego obszaru wodnego pomiędzy długim wybrzeżem stanu i wygiętym półwyspem Cape Cod. Statek zataczał szeroki krąg. Pewnie na coś czekał. Gamay używała prostego kodu, żeby każdy podsłuchujący myślał, że to pogawędka rybaków, a Jenkins i Howes łaskawie ignorowali jej nieudolną imitację miejscowego dialektu.

Nagle Jenkins z podnieceniem wskazał duży punkt na ekranie radaru.

- Mamy go!

Austin pochylił się nad jego ramieniem i spojrział na cel na południowym wschodzie.

- Za nim - powiedział.

Jenkins pchnął przepustnicę i kuter nabrał szybkości. Inne ruszyły jego śladem. Jenkins uważnie obserwował odległości między falami i oceniał sytuację okiem doświadczonego rybaka i naukowca.

- Nadciąga sztorm - uprzedził.

- Słyszałem w radiu prognozę pogody - odrzekł Austin.

- Nie potrzebuję radia, żeby wiedzieć, na co się zanoszą - uśmiechnął się Jenkins.

Od wyjścia z portu przyglądał się niebu i morzu. Zauważył, że chmur przybywa i gęstnieją, a woda zmienia kolor na szary. Wiatr skręcił nieco na wschód.

- Jeśli uwiniemy się z robotą, zdążymy wrócić do portu przed sztormem. Wyciąganie sieci na dużej fali może być niebezpieczne.

- Rozumiem - odrzekł Austin. - Zaraz przygotowujemy się z Paulem.

- Najwyższy czas - powiedział szeryf Howes dziwnie napiętym głosem. - Mamy towarzystwo.

Wskazał wielki ciemny kształt, wyłaniający się z gęstniejącej mgły. Kiedy zbliżył się, przestał przypominać widmo. Zamazane przez mgłę linie wyostrzyły się, ukazując sylwetkę dużego statku. Był cały czarny. Z wysokiej nadbudowy wystawał pojedynczy komin. Dźwigi i bomy sterczały z pokładu niczym kolce jeżozwierz. Matowa czarna farba nadawała mu złowrogi wygląd. Nie uszło to uwadze innych rybaków.

W radiu odezwały się podniecone głosy.

- Jezu, Roy, co to jest? - zapytał jeden z szyprów. - Pływający karawan?

- Karawan? - zdziwił się drugi. - To cały cholerny zakład pogrzebowy!

Austin uśmiechnął się. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że rozmowa jest spontaniczna. Jenkins uprzedził kolegów, żeby dobrze uważali i nie dali się staranować. Nie musiał im mówić, żeby z daleka ominęli monstrualny statek. Austin ocenił szybkość kolosa na mniej więcej dziesięć węzłów.

Wydawało się, że „Ataman Explorer” zwolnił w pobliżu kutrów. Od pokładu oderwał się jakiś punkt. Rósł brzęcząc jak szerszeń wypłoszony z gniazda. Po chwili tuż nad flotyllą rybacką przeleciał czarny helikopter. Jenkins i Howes pomachali mu rękoma. Maszyna okrążyła kutry kilka razy i wróciła na statek.

Austin i Trout wkładali w sterowce skafandry płetwonurków. Austin spokojnie popatrzył przez szybę na odlatujący helikopter.

- Zdaje się, że inspekcję mamy już za sobą.

- Tym razem zachowali się uprzejmiej niż w Noworosyjsku, kiedy weszliśmy z Gamay wokół terenów Atamana.

- Możesz podziękować za to Jenkinsowi. To on wpadł na pomysł, żeby zabrać ze sobą

tylu świadków.

Jenkins przekonał Austina, że w grupie będzie bezpieczniej. Statek znajdował się na łowisku, więc obecność rybaków w tym rejonie nie wzbudzała podejrzeń. Austin widział po drodze wiele kutrów, ciągnących sieci.

Austin chciał zastosować tę samą metodę co wówczas, gdy z kutra Kemala dostali się do schronu dla okrętów podwodnych. Jednak tym razem czekało ich znacznie trudniejsze zadanie. „Atamana” z pewnością strzegli czujni i dobrze uzbrojeni ochroniarze.

Kuter zatrzymał się. Jenkins na rufie miał bębnową wciągarkę do sieci. z pomocą szeryfa opuścił sieć do wody. Potem „Kestrel” znów ruszył w drogę. Płynął w odległości około stu metrów od burty statku. Ten manewr pozwolił ochroniarzom z „Atamana” przyjrzeć się kutrowi z bliska. Nie widzieli tylko dwóch nurków, zwisających z przeciwnej burty „Kestrela”.

W połowie długości statku Jenkins przełączył silnik na wolne obroty i wyszedł na pokład. Zaczął majstrować z szeryfem przy wciągarence, jakby miał z nią problem. W tym czasie Austin i Trout zanurkowali pod kuter. Musieli zejść głęboko, żeby nie wpaść w sieć.

Uzgodnili z Jenkinsem, że przepłynie kilka mil morskich i wróci po drugiej stronie statku. To dawało im godzinę na spenetrowanie „Atamana Explorera”. Mieli być w kontakcie z kutrem, używając podwodnego systemu łączności. Przed wyjściem za burtę Trout opuścił do morza hydrofon.

Miarowo poruszając nogami, szybko opadli w dół. Usłyszeli stłumiony warkot silnika. Kuter odpłynął. Dziesięć metrów pod powierzchnią widoczność wciąż była dobra. Silnymi nożycowymi kopnięciami w krótkim czasie pokonali odległość dzielącą ich od statku.

Gigantyczny kadłub wyłonił się z mroku niczym cielsko ogromnego wieloryba śpiącego na powierzchni. Austin zasygnalizował Troutowi, żeby zeszli niżej. Pod masywnym kilem spojrzeli w górę i włączyli lampy. Trudno było zachować spokój pod tysiącami ton czarnej stali nad głową.

- Teraz wiem, jak się czuje robak pod butem - powiedział Trout.

- Pomyślałem to samo, ale nie chciałem cię denerwować.

- Za późno. Skąd chcesz zacząć?

- Jeśli dobrze odczytałem zdjęcia satelitarne, powinniśmy znaleźć właściwe miejsce na śródkręciu.

Unieśli się wolno w górę. W końcu pokryte skorupiakami dno statku całkowicie wypełniło szkła ich masek. Austin zobaczył w świetle lampy to, czego szukał: gumową uszczelkę, przecinającą w poprzek płaskodenny kadłub.

- Bingo! - powiedział.

Kiedy oglądał zdjęcia satelitarne, zwrócił uwagę na odsłonięte miejsce koło jednego z dźwigów na pokładzie. Ktoś lekkomyślnie nie przykrył go brezentem i Austin mógł zajrzeć w ciemną czeluść. Był pewien, że to basen do opuszczania pojazdów podwodnych, jak na

„Argo” i innych statkach NUMA.

Wiedział z doświadczenia, że drzwi basenu powinny być zamknięte. Taka była standardowa procedura operacyjna. Inaczej opór wody hamował statek. Pamiętał jednak, że niektóre statki NUMA mają mniejsze baseny używane do wodowania ROV-ów. Wypatrzył coś takiego na lewej burcie, gdy spojrzał od strony większego basenu w kierunku dziobu. Czworokąt miał powierzchnię około metra kwadratowego. Podpłynęli bliżej. Okazało się, że wrota studni do wodowania ROV-u są szczelnie zamknięte.

Austin odczepił od pasa palnik tlenowy Oxy-Arc i rozwinął wąż. Trout uniósł butlę spawalniczą, którą dźwigał. Połączył ją z węzłem. Austin wyjął z torby przy pasie dwa małe silne magnesy z uchwytnymi na ręce. Przyczepił je do kadłuba. Opuścili z Troutem ciemne plastikowe osłony masek, żeby ochronić oczy przed jasnym płomieniem. Austin przytrzymał się jedną ręką uchwyty magnetycznego, Trout zapalił palnik. Mimo osłon czuli się tak, jakby patrzyli prosto w słońce.

Austin zaczął ciąć. Miał nadzieję, że wrota basenu są cieńsze niż kadłub. Statek stał, ale wokół wielkiego stalowego cielska tworzyły się prądy, które znosiły Austina. Z pomocą Trouta utrzymywał się mniej więcej w jednym miejscu. Nagle gwałtowny prąd obrócił nim dookoła i Austin musiał puścić uchwyt. Odruchowo chwytając się drugiego, zgubił palnik.

Trout miał podobne problemy i stracił butlę spawalniczą. Zdołali złapać się uchwytów i podnieść osłony masek w samą porę, żeby zobaczyć, jak butla i płonący palnik znikają w głębinach.

Trout usłyszał w słuchawkach soczyste marynarskie przekleństwa, jakich Austin nauczył się przez lata służby na morzu. Kiedy Austinowi wyczerpał się repertuar, powiedział:

- Nie mogłem utrzymać palnika.
- Może zauważyłeś, że zgubiłem butlę. Nie miałem pojęcia, że znasz tyle przekleństw.

Austin zachichotał.

- Hiszpańskich nauczył mnie Zavała. Przepraszam, że ciągnąłem cię taki kawał drogi na darmo.

- Gdybym nie tkwił teraz na środku Atlantyku pod dnem statku, Gamay zmusiłaby mnie do wytapetowania całego domu. Masz jakiś plan rezerwowy?

- Może nam otworzą, jeśli zapukamy? Albo wypłynemy na powierzchnię, poszukajmy drabinki i wdrapmy się na górę.

- Mało realne.

- Pytałeś, czy mam jakiś pomysł. Nie mówiłeś, że ma być realny.

Austin miał właśnie zarządzić odwrót, gdy Trout wydał okrzyk zdumienia i pokazał palcem w dół.

Bystry wzrok Paula wyłowił w ciemnej głębinie słabe światło. Zbliżało się. Zamglony blask przypominał Austinowi fosforyzującą rybę, którą William Beebe znalazł podczas nurkowania w batyskafie na głębokości ośmiuset metrów. Obiekt rósł w oczach. Uciekli mu z

drogi, kryjąc się za burtę statku. Odwrócili się i zobaczyli małą łódź podwodną. Zawisła około trzydziestu metrów pod kadłubem statku. Jej kształt wyraźnie wyznaczały światła.

Trout rozpoznał charakterystyczną sylwetkę.

- A niech mnie. To NR-1. Ciekawe, co tu robi?

Austin już miał nowy plan.

- Zapraszam w rejs.

Podpłynął do łodzi z tyłu. Kiedyś nurkował w NR-1 i wiedział, że przed kioskiem jest kamera. Razem z Paulem złapali się szczebli drabinki na kiosku. Po kilku sekundach w górze pojawiła się cienka smuga żółtego światła. Rozsuwały się wrota basenu.

Trout zadarł głowę.

- Widziałem coś takiego w Archiwum X, kiedy kosmici porywali człowieka.

- Zawsze miło poznać nowych przyjaciół - odrzekł Austin. Wpatrywał się w cienką smugę. Rozszerzyła się, tworząc długi, wąski prostokąt, a potem kwadrat oślepiającego światła.

Zaszumiały pionowe wirniki łodzi i NR-1 uniosła się wolno do brzucha statku. Austin i Trout zsunęli się z jej kadłuba, zanim wynurzyła się w basenie. Popłynęli w kierunku ciemnej przestrzeni między kręgami światła, rzucanymi przez reflektory wewnątrz statku. Na końcu basenu ostrożnie wystawili głowy z wody.

Z bezpiecznego cienia Austin ocenił wymiary. Prostokąt miał około sześćdziesięciu metrów długości i trzydziestu szerokości. Z obu stron znajdowały się pomosty ze stalowej kraty z krótkimi ażurowymi schodkami.

O poręczu opierali się mężczyźni w kombinezonach. Obserwowali wynurzenie się łodzi. Kiedy zasuwaly się wrota basenu, ogromną komorę wypełnił głośny zgrzyt kół zębanych. Z sufitu opuszczono podnośniki ze stalowymi hakami. Z boku komory otworzyły się drzwi i do wody skoczyło kilku nurków w skafandrach. Wsunęli pod dziób i rufę łodzi szerokie obejmy. Przyczepili do nich haki. Potężne kołowroty uniosły NR-1 jak wyciągi łańcuchowe, używane do wyjmowania silników z samochodów.

Hydrauliczne wrota zasunęły się, odcinając komorę od morza. Niewidoczne pompy zaczęły głośno wysysać wodę z basenu. Osuszyły go w kilka minut. Kołowroty opuściły łódź. Na zamulone dno basenu zbiegła po schodkach obsługa. Jedni oczyścili pokład z wodorostów i rzucających się ryb, inni umocowali NR-1 linami i zablokowali belkami, żeby nie przesuwala się przy ruchach statku. Zaszumiały wentylatory i do pomieszczenia napłynęło świeże powietrze.

Kiedy ruszyły pompy, Austin i Trout wdrapali się na drabinkę i teraz wisieli nad pokładem. Czuli ciężar swojego ekwipunku do nurkowania. Gdy kulili się w cieniu, w blasku światła pod nimi obsługa przystawiła drabinkę do łodzi. Otworzyła się kłapa kiosku. Z włazu wygramolił się mężczyzna z siwą brodą. Przy pasie miał kaburę z rewolwerem. Odpowiadał rysopisowi fałszywego naukowca i porywacza łodzi, Pułaskiego, który podał chorąży

Kreisman.

Z NR-1 wyszli dwaj następni mężczyźni. Austin rozpoznał kapitana Logana i sternika; widział wcześniej ich zdjęcia. Pojawili się jeszcze czterej ludzie. Mieli ponure gęby i broń automatyczną. Wyglądali na ochroniarzy. Dwuosobowa załoga NR-1 została wprowadzona po schodkach na górę i zniknęła z oczu. W ślad za nimi udała się obsługa basenu z workami morskich śmieci. Reflektory zgasły. Pozostała tylko poświata nad głowami Austina i Trouta.

- Co teraz? - zapytał Paul.

- Mamy dwie drogi: w górę albo w dół.

Trout spojrział w ciemność pod sobą, a potem chwycił się wyższego szczebla i zaczął się wspinać. Z każdym krokiem sprzęt do nurkowania wydawał im się cięższy. Na szczęście po około sześciu metrach dotarli do wąskiego podestu. Trout stęknął z wysiłku i podciągnął się. Przelazł przez poręcz, zrzucił butle tlenowe i pas balastowy. Potem pomógł Austinowi. Usiedli, żeby złapać oddech.

Austin oparł się plecami o grodz i wyciągnął bowena z wodoszczelnej torby. Trout miał szwajcarski pistolet sig-sauer, kaliber 9 mm. Doszli do miejsca, gdzie krótki podest łączył się pod kątem prostym z pomostem. Przejście prowadziło do jasno oświetlonego korytarza. Po kilku krokach trafili do dużej niszy. Stała w niej biała lśniąca półkula z małymi bulajami. Natychmiast rozpoznali komorę dekompresyjną.

Upewnili się, że nikogo w niej nie ma, wrócili po sprzęt do nurkowania i włożyli go do środka. Ściągnęli skafandry i dołożyli je do butli tlenowych. Niedaleko komory dekompresyjnej znaleźli szatnię. Na grubym drągu wisiały ociekające wodą skafandry nurków, którzy przyczepiali NR-1 do wyciągów. Austina bardziej zainteresowały starannie złożone kombinezony na półkach. Włożyli je na ocieplacze.

Trout miał ponad dwa metry wzrostu i ważył sto dwadzieścia dwa kilogramy. Nie mógł znaleźć odpowiedniego dla siebie rozmiaru. Nogawki sięgały mu do kostek, rękawy były za krótkie.

- Jak wyglądam? - zapytał.

- Jak strach na wróble. Ale może na chwilę nabierzesz tych, których spotkamy.

Trout przygarbił się.

- A teraz?

- Przypominasz Quasimodo.

- A ciebie zdradzają włosy. Miejmy nadzieję, że spotkamy samych ślepców. Co dalej?

Austin wziął z półki dwie czapki. Jedną rzucił Troutowi, drugą wcisnął sobie na głowę. Nasunął daszek na oczy. - Idziemy na spacer.

29

Austin przystanął na skrzyżowaniu korytarzy i rozejrzał się jak zdeorientowany turysta.

- Cholera! Chyba się zgubiliśmy.

- Powinniśmy byli sypać za sobą okruchy - odrzekł smutno Trout. - To nie domek z piernika. Nie jesteśmy Jasiem i... Cicho!

Austin wskazał kciukiem drzwi na lewo. Usłyszał, że ktoś przekręca klamkę.

Trout cofnął się, ale Austin złapał go za ramię.

- Za późno - szepnął. - Udawajmy tutejszych.

Pochylił głowę i położył rękę na broni ukrytej pod kombinezonem. Trout przyklęknął na jedno kolano, rozwiązał sznurowadło i zaczął je zawiązywać.

Drzwi otworzyły się i weszli dwaj mężczyźni. Austin podniósł na nich wzrok, uśmiechnął się przyjaźnie i sprawdził, czy nie mają broni. Obaj nosili okulary i wyglądali na intelektualistów. Rozmawiali z ożywieniem i ledwo zerknęli na ludzi w kombinezonach. Zniknęli w głębi korytarza.

Austin popatrzył za nimi.

- Możesz już wstać. Wyglądali na naukowców. Mamy problem. Dokładne przeszukanie tego statku zajęłoby pewnie kilka dni. Im dłużej tu jesteśmy, tym większe ryzyko, że ktoś nas rozszyfruje mimo bardzo wymyślnego przebrania.

Trout podniósł się i rozmasował kolano.

- Nie mówiąc o tym, jak ucierpią moje starzejące się stawy. Co robimy?

Austin spojrział nad jego ramieniem i uśmiechnął się.

- Na początek proponuję, żebyś obejrzał się za siebie.

Na ścianie znajdował się schemat statku, przedstawiający go z góry i z boku.

- Najwyraźniej nie tylko my mamy kłopoty w poruszaniu się po tej krypie.

Austin uważnie przestudiował schemat i postukał w czerwoną kropkę oznaczającą ich pozycję.

- Jesteśmy w pobliżu zakazanej strefy. Zobaczmy, co próbują ukryć. Jeżeli nie ma tutaj wstępu, może jest mniejsze ryzyko, że natkniemy się na zbirów Razowa.

Ledwo skończył mówić, rozległy się męskie głosy. Austin bez namysłu dał krok w stronę

drzwi, z których wyszli naukowcy. Przekręcił klamkę. Drzwi otworzyły się. Przywołał gestem Trouta. Wewnątrz było ciemno, ale po zapachu chemikaliów domyślił się, że są w laboratorium. Zamknął cicho drzwi, zostawiając je lekko uchylone. Po kilku sekundach zobaczył dwóch zwalistych ochroniarzy z bronią automatyczną. Minęli pracownię i zniknęli w głębi korytarza. Austin znalazł włącznik i na chwilę zapalił światło. Istotnie byli w laboratorium. Sprawdził, czy droga wolna i wymknęli się z powrotem na korytarz.

Doszli ostrożnie do zamkniętych drzwi. Austin, który uczył się rosyjskiego w czasie pracy w CIA, odczytał napis cyrylicą: „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Poruszył klamkę. Drzwi nie otworzyły się. Sięgnął do torby i wyjął komplet wytrychów. Jeszcze jedna pamiętka z czasów kariery w firmie. Trout czuwał, podczas gdy Austin wypróbował kilka wytrychów. W końcu dopasował właściwy. Przekręcił klamkę i weszli do środka.

Konsola w kształcie podkowy przypominała stanowisko kontrolne w centrum komputerowym Yaegera. Ale pomieszczenie było dużo mniejsze. Zamiast podium dla aktywowanego głosem hologramu Max, za konsolą stał wielki monitor, obsługiwany klawiaturą. Yaeger wyśmiałby taki zabytek.

Trout podszedł bliżej i obejrzał sprzęt. Był całkiem dobry. Paul znał się na komputerach. Specjalizował się w modelowaniu fenomenów dna morskiego na dużych głębokościach, choć nie mógł dorównać Yaegerowi.

- I co? - zapytał Austin.

Trout wzruszył ramionami.

- Spróbuję.

Usiadł na obrotowym krześle. Przez chwilę przebierał w powietrzu palcami niczym pianista szukający zgubionego akordu. Potem poprosił Austina o przetłumaczenie rosyjskich napisów na klawiaturze. Wziął głęboki oddech i wcisnął „Enter”. Ławica ryb, służąca za wygaszacz ekranu, zniknęła. Zastąpiła ją ikona z oślepiającym słońcem.

- Jak na razie w porządku - powiedział Trout. - Nie włączył się żaden alarm.

Austin pochylał się nad jego ramieniem i wpatrywał w monitor. Poklepał go zachęcająco po plecach.

Trout skoncentrował się na swoim zadaniu. Kliknął ikonę i wyświetliły się opcje. Przez kilka minut stukał w różne klawisze, mamrocząc pod nosem. W końcu wyprostował się i splótł ręce na piersi.

- Potrzebuję hasła.

- To może być każde słowo.

Trout ponuro przytaknął.

- Musimy myśleć po rosyjsku. Przychodzi ci coś do głowy?

Austin strzelił w ciemno.

- Kozak.

Nie wypaliło.

- Ataman.

Nic.

Jeszcze jedna nieudana próba i komputer zignoruje następne. Austin już miał się poddać, gdy przypomniał sobie pierwszą rozmowę z Pietrowem w Stambule.

- Trojka.

- Jest! - wykrzyknął triumfalnie Trout, ale kiedy ekran wypełniły rzędy słów, opadły mu ramiona. - To coś po rosyjsku.

Przez kilka minut próbował rozszyfrować zagadkę. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Wreszcie odchylił się do tyłu, rozłożył ręce w powietrze i pokręcił głową.

- Przykro mi, Kurt. Nie dam rady. Przydałby się nam jakiś kilkunastoletni hacker.

Austin nie zastanawiał się długo.

- Zaczekaj chwilę. Dam ci coś w zastępstwie.

Wyjął swój telefon satelitarny i wystukał numer, zgłosił się Yaeger.

- Cześć, Hiram - przywitał go Austin. - Nie mam czasu na szczegóły, ale Paul potrzebuje pomocy.

Oddał telefon Troutowi. Obaj mężczyźni pograżyli się w dyskusji o ścianach przeciw ogniowych, filtrach pakietowych, aplikacjach, koniach trojańskich, obwodach wejściowych, tunelach i pułapkach. Trout zwrócił telefon Austinowi.

- Spróbuję wyjaśnić problem - powiedział Yaeger. - Wyobraźcie sobie komputer jako ciemny pokój. Wchodzicie i nie widzicie, co jest napisane na czarnej tablicy. Więc zapalacie światło. Paul już to zrobił. Ale napis jest w obcym języku, którego nie znacie.

- I co dalej?

- Obawiam się, że nic. Szkoda, że nie ma tam Max i mnie. Rozwiązalibyśmy zagadkę.

Austin spojrział na telefon.

- Rozwiązanie może być w zasięgu ręki. Powiedz tylko, czy to możliwe.

Wy tłumaczył, o co mu chodzi. Yaeger odrzekł, że da się to zrobić, mając odpowiedni sprzęt. Austin znów wręczył telefon Troutowi. Paul wstał i zaczął przeszukiwać szuflady i szafki. Znalazł jakieś kable. Połączył je razem i wetknął jeden koniec do gniazdka w komputerze.

- Nie jest to najlepszy modem na świecie, ale spróbuję podłączyć go do telefonu.

Zdjął tylną ściankę aparatu i wprowadził do środka drugi koniec przewodu. Potem wybrał numer.

Ekran komputera na moment oszalał. Strumień liter i cyfr rozmazywał się. Zrobiło się czarno. Potem pojawiła się wiadomość: „Jesteśmy. Zaczynamy ładowanie. Hiram i Max”.

Austin spacerował tam i z powrotem i zerkał na zegarek. Zastanawiał się, ile czasu zajmie Yaegerowi ta robota. Mijały minuty. Obawiał się, że będą musieli pryskać, zanim Hiram skończy. Jednak po dziesięciu minutach ukazała się wielka uśmiechnięta gęba w babcinych okularach. Podejrzenie przypominała twarz Yaegera: „Robota hackerska odwalona. Hiram i

Max”.

Szybko odłączyli prowizoryczny modem i odłożyli wszystko na swoje miejsce. Austin wyrzwał na korytarz, żeby sprawdzić, czy droga wolna. Było pusto. Wrócili w pośpiechu do schematu statku i wybrali najkrótszą trasę do basenu. Jak dotąd mieli szczęście i nikogo nie spotkali. Austina zdumiewał brak personelu, ale wolał nie kusić losu. Kiedy szli korytarzem, za mijanymi drzwiami usłyszeli głosy mówiące po angielsku. Akcent był typowo amerykański. Austin poruszył klamką. Zamknięte. Znow wyjął wytrychy.

Drzwi otworzyły się, ukazując dwuosobową kajutę. Na jednej koi leżał kapitan Logan, na drugiej sternik NR-1. Mieli znudzone miny. Przerwali rozmowę w pół zdania i utkwili w gościach wrogie spojrzenia. Zapewne myśleli, że to ochroniarze, którzy przyszlizli im życie. Logan odwrócił się do sternika.

- Skąd oni biorą takie typy?

- Ten wysoki mógłby straszyć wrony na polu - odrzekł sternik.

- A ten niższy na pewno nie ubiera się u Armaniego - zachichotał Logan.

- Armani był zamknięty, kapitanie. Musieliśmy pożyczyć nasze kreacje od załogi statku.

W oczach Logana błysnęła podejrzliwość.

- Kim wy jesteście, do cholery?

- Ten dżentelmen udający stracha na wróble to mój kolega Paul Trout. Ja nazywam się Kurt Austin.

Kapitan zerwał się z koi.

- A niech mnie. Amerykanie?

- Mówiłem ci, że nas rozszefują mimo przebrania - powiedział Austin do Trouta i zwrócił się z powrotem do Logana. - Przyznajemy się do winy, kapitanie. Paul i ja jesteśmy z Zespołu Specjalnego NUMA.

Logan zerknął w kierunku drzwi.

- Nie słyszeliśmy żadnych odgłosów walki. Wasi ludzie opanowali statek?

Austin i Trout wymienili ubawione spojrzenia.

- Przykro mi, że musimy pana rozczarować - odparł Austin. - Chłopcy z Delta Force byli zajęci, więc wybraliśmy się tu sami.

- Nie rozumiem, jak...

- Później to wyjaśnimy - uciał Austin. - Wynośmy się stąd.

Dał znak Troutowi, żeby wyrzwał na korytarz. Paul lekko uchylił drzwi. Było pusto. Ruszył przodem, Austin zamykał pochód. Wyglądali, jakby eskortowali Amerykanów.

Po chwili spotkali samotnego ochroniarza. Zbliżał się z przeciwka z bronią na ramieniu. Po tym, jak szedł, Austin domyślił się, że wraca po służbie do kajuty. Ochroniarz zerknął na Trouta i zmarszczył brwi. Skąd wziął się tu ten człowiek o tak imponującym wzroście? Kapitan przystanął, nie wiedząc, co robić.

Austin mógł załatwić ochroniarza, ale wolał, żeby nikt nie zauważył wizyty obcych na

statku. Podstawił Loganowi nogę i popchnął go. Kapitan upadł na ręce i kolana. Zdumienie ochroniarza zamieniło się w rozbawienie. Ryknął śmiechem i zagadał coś po rosyjsku. Zarechotał drugi raz, kiedy Austin lekko kopnął Logana w tyłek.

Austin odpowiedział wzruszeniem ramion i ochroniarz poszedł dalej, śmiejąc się wesoło. Austin schylił się i pomógł Loganowi wstać.

- Przepraszam, kapitanie - powiedział z wyraźnym zażenowaniem. - Gapił się na Paula i musiałem odwrócić jego uwagę.

Logan otrzepał spodnie i uśmiechnął się.

- Ci cholerni piraci porwali moją łódź podwodną, uprowadzili załogę i zmusili mnie do użycia okrętu Stanów Zjednoczonych do swych celów. Przeżyję wszystko, byle się stąd wydostać.

Trout przystanął i przestudiował kolejny diagram na ścianie.

- Wygląda na to, że ładownia z basenem jest podzielona na dwie części - mniejszą i większą. Proponuję zejść do mniejszej, żeby ominąć kajuty załogi.

Austin polecił mu, żeby szedł pierwszy. Szeregiem korytarzy dotarli do otwartych drzwi. Za progiem był pomost. Biegł wzdłuż ściany wysokiej komory, trzy razy mniejszej od basenu.

- Co to jest? - zdziwił się kapitan.

Z sufitu zwisał wielki cylindryczny obiekt. Miał ponad metr średnicy i z piętnaście metrów długości. Dolny koniec był stożkowy, wokół górnego sterczało kilka wypustów. Cylinder łączyła z sufitem sieć kabli i węży.

- Wygląda jak międzykontynentalny pocisk balistyczny - zauważył sternik. - Tylko wycelowany w złą stronę.

- To nie wszystko - odrzekł Trout. - U szczytu ma wirniki zamiast stateczników.

Austin był tak samo zafascynowany jak reszta, ale czas uciekał.

- Przyjrzyjcie mu się dobrze, panowie, a uwagi wymienimy potem.

Poszli przez następne drzwi i dotarli do przebieralni. Znaleźli tam skafandry pasujące na obu marynarzy. Austin i Trout odłożyli na półki pożyczone kombinezony. Potem wszyscy weszli do komory dekompresyjnej. Sprzęt do nurkowania leżał nietknięty. Zeszli po krótkich schodkach do pomieszczenia z mniejszym basenem. W pokładzie było kwadratowe zagłębienie o wymiarach trzy i pół na trzy i pół metra. Wodowano stąd ROV-y. Trout przyjrzał się urządzeniom sterującym na ścianie. Wcisnął jeden z guzików i dno płytkiej studni odsunęło się. Pomieszczenie wypełniła chłodna, słona wilgoć.

Sternik spojrział w ciemny kwadrat oceanu i głośno przełknął ślinę.

- Bez żartów, panowie.

- Niestety, nie jest to ciepła wanna - odparł Austin. - Ale to jedyna droga na zewnątrz. Chyba że ma pan sposób na otworzenie głównej śluzy, żebyśmy mogli skorzystać z NR-1.

- Nie powinno się to różnić od ćwiczeń ewakuacyjnych w Groton - powiedział kapitan,

dodając sobie odwagi.

- Nie mamy zapasowych butli tlenowych, więc będziemy oddychać parami. Musimy przepłynąć około stu metrów, potem nas wyłowią. Otwarcie klapy zapewne uruchomiło alarm w sterowni, więc trzeba się pośpieszyć.

Kapitan nie wyglądał na zachwyconego, ale zacisnął zęby, naciągnął kaptur i włożył maskę na oczy.

- Chodźmy, zanim się rozmyśle - mruknął.

Austin wręczył sternikowi dodatkowy wąż powietrzny, nazywany ośmiornicą. Trout wyposażył w to samo kapitana. Kiedy wszyscy byli gotowi, Austin i sternik wzięli się pod rękę, podeszli do krawędzi basenu i skoczyli w dół.

Zanurzali się w chmurze pęcherzy powietrza. Gdy pęcherze zniknęły, Austin zobaczył w pobliżu lampę Trouta. Zaczął płynąć przez mrok. Strażnik nierówno pracował nogami i układ bliźniaków syjamskich okazał się niezbyt wygodny. Oddalali się jednak od brzucha masywnego cielska statku.

Austin wznosił się i opadał. Morze musiało być wzburzone. Kompas nie przydawał się tak blisko ogromnej masy metalu i trzeba było na wycucie ustalić kierunek.

Kiedy Austin ocenił, że są około stu metrów od statku, zatrzymał się i zasygnalizował pozostałym, żeby zrobili to samo. Unosili się dziesięć metrów pod powierzchnią. Odpiął od pasa małą samonadmuchującą się boję i owinął jej nylonową linkę wokół nadgarstka. Wypuścił boję na powierzchnię. Miniaturowy transponder w jej wnętrzu zaczął sygnalizować ich pozycję.

Mijały nerwowe minuty. Mimo skafandrów sztywnieli z zimna. Dwaj podwodniacy z NR-1 byli odważni, ale długo więzieni w kajucie stracili formę. Austin zastanawiał się, co będzie, jeśli „Kestrel” się nie pojawi. Rozważał czarne scenariusze, gdy w jego słuchawkach rozległ się głos Jenkinsa.

- Namierzylisście was. Wszystko gra, chłopaki?

- W porządku. Zabraliśmy parę autostopowiczów. Już zdążyli zsinieć z zimna.

- Płyniemy do was.

Austin pokazał pozostałym, żeby się przygotowali. Obaj podwodniacy poruszali się z trudem. Najwyraźniej opadli z sił. Nagle wszyscy usłyszeli przytłumiony warkot silnika. Hałas narastał. Wreszcie znalazł się nad nimi.

Austin pokazał kciukiem w górę i wraz z Troutem pociągnęli ku powierzchni morza wykończonych podwodniaków. Austin trzymał wolną rękę wysoko nad głową. W końcu zacisnął palce na sieci wleczonej przez wolno płynący kuter. Innym też udało się jej złapać.

Austin sprawdził, czy nikogo nie brakuje.

- Wszyscy na pokładzie! - krzyknął do Jenkinsa.

Kuter zwiększył szybkość, omal nie wyrwijając im rąk ze stawów. Jednak po pierwszym szoku dalsza jazda poszła gładko. Sunęli spokojnie pod powierzchnią. Napór wody próbował

oderwać ich od sieci, ale utrzymali się. Kiedy byli daleko od statku, Jenkins zastopował silnik.

- Wciągamy was - uprzedził.

Austin i Trout chwycili mocno swoich towarzyszy. Sieć wynurzyła się, ale nie był to koniec kłopotów. Wzburzone morze miotало nimi, sprzęt do nurkowania krępował ruchy. Zrzucili z siebie butle i pasy. Bez niewygodnego balastu mogli poddawać się falom zamiast walczyć z nimi.

Jenkins wychylał się za rufę, obsługując wyciągarke. Sieć nawijała się na duży metalowy bęben. Austin i sternik byli już prawie bezpieczni, gdy kuter uniósł się gwałtownie i opadł. Morze wyrzuciło ich do góry i cisnęło w dół. Po wodzie rozeszły się duszące spaliny. Co gorsza, prawa ręka Austina zaplątała się w sieć.

Jenkins zorientował się w sytuacji; tuż obok bicepsa Austina błysnęło wąskie ostrze noża rybackiego. Austin wyciągnął do góry uwolnioną rękę i Jenkins złapał go stalowym chwytem za nadgarstek. Obsługując wyciągarke drugą ręką, przyciągnął bliżej Austina i sternika.

- Ostatnio łowimy tu cholernie śmieszne ryby - zawołał przez warkot silnika.

Howes, który stojąc przy sterze robił, co mógł, żeby utrzymać kuter w stabilnej pozycji, odkrzyknął:

- Trochę małe te sztuki. Może wyrzucimy je do morza?

- Po moim trupie - odparł Austin, przekładając nogę przez burłę.

Jenkins pomógł sternikowi wdrapać się na kuter. We trzech szybko wyłowili Trouta i Logana. Podwodniacy powlekli się chwiejnym krokiem przez rozkołysany pokład do sterówki. W sieć złapało się kilkaset kilogramów ryb. Tak wielki ciężar groził zatopieniem kutra. Jenkins nie chciał tracić połowu i pozbywać się sieci, która mogła się zaplątać w śrubę, ale nie miał wyboru. Przeciął liny i patrzył, jak sieć znika wśród spienionych fal. Potem przejął ster i pchnął przepustnicę. Kuter popłynął przez grzywacze zalewające dziób.

Howes pomógł wszystkim zdjąć skafandry, rozdał koce i puścił w obieg butelkę irlandzkiej whisky. Austin popatrzył przez rozbryzgi piany, ale czarny statek zniknął. Nie było też kutrów, które towarzyszyły im w drodze na pełne morze. Zapytał, gdzie są inni rybacy.

- Zrobiło się niebezpiecznie, więc odesłałem ich do domu - zawołał Jenkins przez warkot silnika. - Musimy zdążyć do portu przed sztormem.

- Ciekawe, co pomyślą nasi gościnni gospodarze, kiedy zobaczą, że nas nie ma - odezwał się Logan ze złośliwym uśmiechem.

- Że próbowaliście uciec i utonęliście. Przynajmniej mam taką nadzieję.

- Dzięki, że nas uratowaliście. Szkoda tylko, że nie mogliśmy wydostać się stamtąd w NR-1.

- Najważniejsze, że żyjecie.

Trout podał Austinowi butelkę whisky.

- Za to, że odwaliliśmy kawał dobrej roboty.

Austin pociągnął łyk. Palący alkohol splukał smak soli w ustach i rozgrzał żołądek. Spojrzał za spieniony kilwater i pomyślał o wielkim pocisku, który widzieli na statku.

- Prawdziwa robota chyba dopiero się zacznie - powiedział.

Hiram Yaeger pracował mimo późnej nocy. Przeniósł się ze swojego zwykłego miejsca za wielką konsolą w kąt rozległego centrum komputerowego. Jego twarz oświetlał pojedynczy ekran. Wystukiwał polecenia na klawiaturze, co nie spodobało się Max.

HIRAM, DLACZEGO NIE UŻYWAMY HOLOGRAMU?

TO ZWYKŁY PROBLEM Z DOSTĘPEM, MAX. NIE POTRZEBUJEMY BAJERANCKICH GADŻETÓW. WRACAMY DO PODSTAW.

CZUJĘ SIĘ JAK NAGA W TEJ PRYMITYWNEJ PLASTIKOWEJ SZAFCE.

W MOICH OCZACH NADAŁ JESTEŚ PIĘKNA.

WSZYSTKO ZAŁATWISZ POCHLEBSTWEM.

Yaeger przez wiele godzin analizował dane w plikach przesłanych przez Austina i Trouta ze statku Atamana. Trafiał w niezliczone ślepe zaułki, musiał przekopywać się przez wiele warstw. W końcu ustalił serię poleceń, które miały przebić się przez te śmiecie. Wstukał je kolejno i czekał. Wkrótce pojawiły się słowa wypisane cyrylicą. Wprowadził polecenie tłumaczenia.

Na ekranie wyświetliło się menu.

Kiedy gapił się na monitor, menu zniknęło i pojawiła się wiadomość od Max.

CZY MOGĘ PRZYJAĆ ZAMÓWIENIE?

O CO W TYM WSZYSTKIM CHODZI?

BYŁOBY MI ŁATWIEJ TO ROZGRYŻĆ, GDYBYŚMY PRZESZLI NA HOLOGRAM.

Yaeger zamrugał. Max próbowała go przekupić! Poruszył zeszywniałymi ramionami, westchnął głęboko i opuścił palce na klawiaturę.

30

Waszyngton

Odrzutowiec NUMA był jednym z wielu samolotów, lądujących na lotnisku krajowym w Waszyngtonie. Jednak w przeciwieństwie do maszyn regularnych linii, które kołowały za pojazdami naziemnymi do swoich terminali, turkusowy samolot usiadł w zamkniętej strefie na południowym krańcu lotniska niedaleko starego hangaru z zaokrąglonym dachem. Silniki zamilkły i z cienia wyjechały trzy granatowe samochody ze zgaszonymi światłami. Stały rzędem obok maszyny.

Z pierwszego samochodu wysiedli dwaj marines i cywil. Żołnierze stanęli na baczność przy schodkach, mężczyzna z czarną teczką wspiął się szybko na górę i zastukał w drzwi. Otworzyły się po chwili i Austin wystawił głowę na zewnątrz.

- Jestem kapitan Morris, lekarz ze szpitala marynarki wojennej - przedstawił się cywil. - Przyjechałem zbadać naszych ludzi.

Spojrzał ponad ramieniem Austina i zobaczył Logana i sternika, leżących w fotelach.

- Boże! - przeraził się. - Nie żyją?

- Są zalani w trupa. W drodze z Portland świętowaliśmy ich powrót do domu. Wypili trochę za dużo bąbelków. Te dwa mięśniaki z piechoty morskiej mogłyby im pomóc zejść na dół.

Doktor Morris zawołał żołnierzy. Marines sprowadzili podwodniaków po schodkach na płytę. Chłodne nocne powietrze otrzeźwiło Logana i sternika. Pożegnali się wylewnie z Austinem i Troutem i powlekli wężykiem do środkowego samochodu. Konwój wystartował z piskiem opon. Austin i Trout zostali w obłoku spalin.

Ledwo tylne światła zniknęły z oczu, z cienia wyłoniła się jakaś postać.

- Oto wdzięczność marynarki. Mogliby przynajmniej zamówić wam taryfę do domu - usłyszeli znajomy głos.

Austin zerknął na odjeżdżające samochody.

- Marynarka nie lubi pokazywać swojego kosztownego sprzętu wywiadowczego i lotniskowców takim niepewnym typom jak my.

- Przełkną to - odrzekł z rozbawieniem Sandecker. - Podwieźć was?

- To najlepsza propozycja, jaką dziś słyszałem.

Austin i Trout wsiedli do dżipa cherokee, zaparkowanego w pobliżu. Sandecker gardził limuzynami i wszelkimi innymi symbolami władzy. Wolał jeździć terenówką z garaży NUMA.

Austin zadzwonił do Sandeckera z Maine i zdał mu relację z operacji. Na George Washington Memorial Parkway admirał powiedział:

- Zasłużyliście na medal za wejście na tamten statek.

- Bardziej cenię sobie wyjście stamtąd - odparł Trout z sarkastycznym humorem. - Choć po zobaczeniu sieci z drugiego końca może na zawsze przestanę łowić ryby.

Sandecker zachichotał.

- Jesteście pewni, że nikt z „Atamana” nie będzie podejrzewał was o wykradzenie tych dwóch ludzi?

- Kilka osób mogło nas zapamiętać i skojarzą to z brakującymi skafandrami i otwartym basenem. Ale wątpię, żeby przyszło im do głowy, że to z góry zaplanowana akcja.

- Zgadzam się z tym. Zameldują Razowowi o zniknięciu podwodniaków, ale uznają, że utonęli. Jeśli nawet będą podejrzewali obcą ingerencję, nie powiedzą o tym Razowowi ze strachu o własne życie.

- Może dowiedzieć się prawdy, kiedy marynarka ogłosi, że uratowano całą załogę NR-1.

- Poprosiłem departament marynarki, żeby siedzieli cicho. A załoga wraz z rodzinami trafi do ustronnej nadmorskiej posiadłości na wypoczynek.

- Zyskamy na czasie.

- Każda minuta jest cenna. Wyśpijcie się dobrze. Spotkamy się rano.

Sandecker odwiózł Trouta do jego domu w Georgetown i odstawił Austina do Fairfax. Austin rzucił na podłogę torbę podróżną i wszedł do przestronnego pokoju ze starymi meblami z półkami pełnymi książek i płyt, stanowiących kolekcję jazzu nowoczesnego.

Na automatycznej sekretarce migłała czerwona lampka. Odsłuchiwał wiadomości i ucieszył się, że Joe Zavała wrócił z Anglii. Wziął z lodówki wysoką puszkę piwa Speckled Hen Ale i usiadł z telefonem w czarnym skórzanym fotelu. Joe zgłosił się po pierwszym sygnale. Długo rozmawiali. Zavała zdał relację z wyprawy do lorda Dodsona, Austin opowiedział o wizycie Jenkinsa w NUMA i udanej akcji na „Atamanie”.

Kiedy skończyli, Austin wyszedł na pomost i wciągnął głęboko rzeczne powietrze. Rozjaśniło mu to umysł. Zaczął rozmyślać o dramacie, który rozegrał się dziesiątki lat temu na Morzu Czarnym.

Po upływie takiego czasu ludzie walczący wtedy o życie byli równie niematerialni jak światełka żarzące się niczym świetliki wzdłuż brzegu Maryland. A jednak po osiemdziesięciu latach echa ich głosów ciągle jeszcze brzmiały.

Według raportu Zawali, caryca i jej córki podróżowały frachtowcem „Odessa Star” z częścią carskiego majątku. Statek został zaatakowany i zatopiony. Skarb prawdopodobnie

dostał się w ręce Razowa. Austin nic rozumiał, po co facet bogatszy od Krezusa zadał sobie tyle trudu, żeby wydobyć ładunek wraku. Widać chciwość nie ma granic.

Ważniejszy był fakt, że uratowała się wielka księżna Maria. Lord Dodson obawiał się, że ujawnienie tego wywoła polityczny zamęt. Austinowi nie podobała się milcząca aprobata Wielkiej Brytanii w tamtej sprawie. Jednak winni tego skandalu od dawna już nie żyją. Austin ciekaw był, jaki to ma związek z Atamanem i ewentualnym spiskiem przeciwko Stanom Zjednoczonym.

Zerknął na zegarek. Nie zdawał sobie sprawy, że zrobiło się tak późno. Wdrapał się do sypialni w wieżyczce starej wiktoriańskiej przystani, runął na łóżko i niemal natychmiast zasnął.

Austin wstał o świcie. Włożył koszulkę, szorty i czapkę baseballową. Włączył ekspres do kawy i zszedł na dół. Trzymał tam swój siedmiometrowy skul wyścigowy Mass Aero. Zamierzał powiosłować rano na Potomaku. Wyjmował osiemnastokilową łódź ze stojaka, gdy usłyszał telefon. Zirytował się, że ktoś zakłóca mu stały rozkład dnia. Wbiegł po schodach na górę i chwycił słuchawkę.

- Max i ja mamy to - oznajmił Yaeger ochryplym ze zmęczenia głosem. - To znaczy, prawie mamy.

- Powinienem się cieszyć czy martwić?

- Może jedno i drugie - odrzekł Yaeger. - Max pracowała nad tym całą noc. Odwalila cholerny kawał roboty. Włącz komputer, to ci pokaże.

Austin wszedł do sieci i odebrał e-mail. Rosyjski dokument na ekranie miał kilka linijek ozdobnego pisma i dekoracyjną ramkę.

- Co to jest?

- Menu - odparł Yaeger. - Pierwsza pozycja to zakąska. Kawior z białugi. Reszta to lista rosyjskich dań bankietowych. Perlmuter byłby zachwycony. Po lurowatej porannej kawie i lukrowanych pączkach ten jadłospis wygląda zachwycająco.

- Potem postawię ci porządne śniadanie. Chcesz powiedzieć, że po tym wszystkim, co przeszliśmy, mamy teraz tylko kawior?

- Tak i nie. To menu jest w rzeczywistości zestawem plików zakodowanych steganograficznie. To sposób na ukrywanie wiadomości w obrazach. Potrzebne jest do tego specjalne oprogramowanie. Człowieku, ich spec od zabezpieczeń jest naprawdę dobry! Nawet Max miała kłopoty. Napisałem nowy program do rozwiązania tej zagadki. Patrz...

Pojawiło się szare okno dialogowe.

- Co to?

- Prosi o hasło.

- A co z tamtym, którego użyliśmy, żeby wejść do komputera na statku?

- „Trojka” doprowadziła mnie do tego punktu. Teraz potrzebuję nowego hasła.

Austin jęknął.

- Więc wróciliśmy do punktu wyjścia.

- Tak i nie. Max przegląda możliwe słowa i ich kombinacje. Znajdzie odpowiedź, ale to może potrwać kilka dni.

- Nie mamy czasu - odparł Austin.

- Więc mam inny pomysł, który może ci pomóc. Pliki wskazują na to, że centrum dowodzenia jest gdzie indziej, nie na twoim tajemniczym statku. Znajdź centralę, to może uzyskamy hasło.

Austinowi kręciło się w głowie, jak po każdej rozmowie z Yaegerem.

- Muszę pomyśleć. Odezwę się.

Wrócił na dół i zepchnął łódź na wodę. Usadowił się w wąskim kadłubie i przez dziesięć minut rozgrzewał się na jednej czwartej swoich możliwości. Stopniowo zwiększył tempo wiosłowania do dwudziestu ośmiu ruchów na minutę. Nie odrywał oczu od wskazań automatycznego trenera. Kiedy złapał rytm, lekki skul pomknął gładko po zamglonej powierzchni rzeki niczym żywe srebro.

Austin nie używał rękawiczek, więc czuł wodę przy każdym zanurzeniu wiosła. Chciał wypocić z siebie wściekłość na to, co zobaczył na „Sea Hunterze”. Po pewnym czasie gniew zelżał, choć całkiem nie ustąpił. Austin zawrócił szerokim łukiem i skierował się do domu. Wciągnął łódź na pomost po pochylni. Rzucił na kupę przepocone ubranie, wziął prysznic i ogolił się. Włożył jasnobrązową marynarkę sportową, koszulkę polo w morskim kolorze i jasne spodnie.

Zdrowy sen i energiczne wiosłowanie pozwoliły mu perspektywicznie spojrzeć na sytuację. Otrząsnął się z myśli, które go rozpraszały, skoncentrował się na człowieku stojącym za tym wszystkim - na Razowie. Musi go znaleźć. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do Rudiego Gunna. Komandor nie pozbył się dawnych nawyków z marynarki. Zjawiał się w biurze, zanim większość ludzi zdążyła wypić pierwszą filiżankę kawy.

- Właśnie miałem do ciebie dzwonić, Kurt. Admirał Sandecker mówił mi o waszej udanej akcji. Gratulacje dla ciebie i Paula.

- Dzięki, Rudi. Niestety, to nie koniec. Kluczem do wszystkiego jest Razow. Nie wiesz przypadkiem, gdzie się podziewa?

- Chciałem ci to powiedzieć. Szalony Rosjanin wynurzył się na powierzchnię. Jego superjacht lada chwila zawinie do Bostonu.

- Jak go namierzyłeś? Przez wywiad czy przez satelitę?

- Ani jedno, ani drugie. Przeczytałem to w dziale gospodarczym „Washington Post”. Posłuchaj:

Rosyjski potentat górniczy Michaił Razow przy pływa dziś do Bostonu, gdzie uroczystie otworzy międzynarodowe centrum handlu. Razow, który jest również ważną postacią

polityczną w swoim kraju, wyda wieczorem przyjęcie dla osobistości rządowych i innych gości na swoim jachcie, uważanym za jeden z największych prywatnych statków na świecie. Wizyta jest częścią jego podróży po głównych portach Wschodniego Wybrzeża.

- Ładnie z jego strony, że zaoszczędził nam czasu i fadygi - odrzekł Austin.

- To nie pasuje do tego, co słyszałem o tym dżentelmenie. Zastanawiam się, co naprawdę kombinuje.

- Może wejdę na pokład i zapytam go?

- Mówisz poważnie?

- Oczywiście. Niech wie, że mamy go na oku. Potrząśniemy tym drzewem i zobaczymy, co spadnie.

- Lepiej, żebyś pod nim nie stał.

Austin pomyślał o sugestii Yaegera, że należy znaleźć centrum dowodzenia. Człowiek typu Razowa nigdy nie wypuściłby niczego spod swojej kontroli. A jacht był jego domem i centralą jego światowej korporacji.

- Nie możemy stracić takiej okazji. Muszę wejść na pokład jachtu.

- Moglibyśmy ci załatwić zaproszenie z ramienia NUMA.

- Podziałaloby jak czerwona płachta na byka. Mam inny pomysł. Oddzwonię do ciebie.

Austin wyłączył się i wygrzebał z portfela wizytówkę. Potem wybrał numer w Nowym Jorku.

- „Niewiarygodne tajemnice” - zgłosiła się recepcjonistka.

Zapytał, czy Kaela Dorn wróciła z terenu.

- Chyba tak. Mogę wiedzieć, kto dzwoni?

Austin przedstawił się, przygotowany na lodowate powitanie. Zaskoczył go ciepły ton Kaeli.

- Witam, panie Austin. Ranny ptaszek z pana.

- Słyszałem, że kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

- Nie jestem Panem Bogiem. Czym mogę służyć?

- Po pierwsze, powiedz mi, dlaczego jesteś taka miła.

- A nie powinnam? Uratowałeś mi życie. I jeszcze załatwiłeś transport do Stambułu na kutrze kapitana Kemala.

- Nie był to „Queen Elizabeth II”, o ile sobie przypominam.

- Nieważne. W drodze powrotnej kapitan opowiedział mi o pewnym wraku i zabrał mnie tam. Statek był duży i stary. Podejrzewam, że jego wielkość mierzono kiedyś w łokciach.

- Arka Noego?

- Kto wie? Więc jeszcze raz dziękuję i pytam poważnie, co mogę dla ciebie zrobić. Mimo że wciąż jesteś mi winien kolację.

- Co byś powiedziała na zapiekankę fasolową po bostońsku?

- Myślałam raczej o żeberkach jagnięcych w Four Seasons.

- Proszę bardzo. Ale najpierw potrzebuję twojej pomocy. Dziś wieczorem w porcie bostońskim odbędzie się oficjalne przyjęcie na jachcie. Jest mi potrzebna wejściówka prasowa.

- Da się z tego zrobić reportaż?

- Ewentualnie. Ale nie teraz.

- Zgoda, ale pod jednym warunkiem. Idę z tobą. I dobrze się zastanów, zanim odmówisz. Austin przez moment pomyślał o niezwyklej urodzie Kaeli.

- Umowa stoi. Przylecę na lotnisko Logan.

Zaproponował czas i miejsce spotkania.

Odłożył słuchawkę i zapatrzył się w przestrzeń. Jego niebieskie oczy miały nieobecny wyraz. Znalezienie centrum dowodzenia Razowa mogło być przełomem w tej sprawie. Ale z jeszcze innego powodu chciał wejść na jacht. Borys.

31

Boston, Massachusetts

Kaela Dorn czekała przy nabrzeżu Commonwealth Pier z widokiem na port bostoński. Obserwowała paradę VIP-ów, wysiadających z nieprzerwanego potoku limuzyn. Natychmiast ustawiali się oni w kolejce do motorówki, przewożącej ludzi na jacht Razowa. Kaela stała obok rzędu furgonetek telewizyjnych. Z ich dachów sterczały talerze i maszty anten. Przypominały rośliny z innej planety. Przyglądała się tłumowi, gdy z tyłu podszedł wysoki nieznajomy. Ledwo zerknąwszy w tamtym kierunku, odpowiedziała uprzejmie na jego powitanie. Sekundę później pożałowała tego, bo zagadnął modulowanym tonem podrywacza:

- Przepraszam, czy my się przypadkiem nie znamy?

Odwróciła się i pomyślała, że facet wygląda jak kiepska imitacja pewnego piosenkarza, którego nazwisko wyleciało jej z głowy.

- Nie - odparła z mieszaniną rozbawienia i lekceważenia. - Na pewno nie.

- Myślałem, że mi wybaczyłaś naszą niedoszłą randkę w Stambule - powiedział całkiem innym tonem.

Kaela przyjrzała się uważnie mężczyźnie.

- Boże! Nie poznałam cię.

- Nie na darmo nazywają mnie Człowiekiem o Tysiącu Twarzy - odrzekł Austin z diabelskim uśmiechem i rozpostarł ręce. - Czyż nie tak ubierają się dziennikarze telewizyjni?

Austin był w czarnych luźnych spodniach, czarnej koszulce i czarnej sportowej marynarce. Mimo zapadających ciemności miał na nosie okulary przeciwsłoneczne w stylu lat siedemdziesiątych, a na nogach stare buty do biegania New Balance. Z jego szyi zwisał złoty łańcuch, siwe włosy przykrywała ruda peruka.

- Wyglądasz jak hollywoodzki grabarz - powiedziała Kaela. - Podobają mi się zwłaszcza twoje nowe włosy. Co zrobiłeś z twarzą?

- Użyłem kitu.

Kaela uniosła brwi. Nagle przypomniała sobie nazwisko.

- Jesteś teraz podobny do Roya Orbisona.

- Będę o tym pamiętał, jeśli ktoś poprosi mnie o autograf. A co u ciebie?

- W porządku, Kurt. Cieszę się, że cię widzę.
 - Mam nadzieję, że po tej robocie zaczniemy od punktu, w którym skończyliśmy.
- Przechyliła zalotnie głowę.

- Chciałabym. Nawet bardzo.

Miała na sobie ciemnoszare spodnium. Miękki materiał podkreślał kształty ciała. Austin znów zwrócił uwagę na egzotyczny wygląd. Jednak nie czas było o tym myśleć.

- Więc mamy randkę. Koktajl w barze u Ritza - powiedział i rozejrzał się po tłumie mężczyzn i kobiet w strojach wieczorowych. - Jesteś gotowa?

Kaela zawiesiła mu na szyi plastikowy, laminowany identyfikator.

- Od teraz nazywasz się Hank Simpson. Jesteś naszym dźwiękowcem. To nic trudnego. Robota Dundee polegała głównie na dźwiganiu sprzętu i trzymaniu wysięgnika mikrofonu. Pomogę ci. Mickey spotka się z nami przy łodzi prasowej. Łap te skrzynki i udawaj głupiego.

- To ostatnie nie sprawi mi trudności - odrzekł Austin i chwycił ciężkie metalowe walizki jakby nic nie ważyły. Poszedł za Kaela do części nabrzeża z tablicą PRASA przybitą do słupa. Odkryta łódź właśnie podpływała po następną grupę dziennikarzy.

Krępy Mickey Lombardo podbiegi truchtem z kamerą na ramieniu.

- Mam kapitalne ujęcia Kennedych - pochwalił się. Rozpoznał Austina mimo przebrania i uśmiechnął się do niego. - O, nasz anioł stróż! Miło mi, że cię znów widzę.

Austin położył palec na ustach i zerknął na boki.

- A tak, zapomniałem - przyznał scenicznym szeptem Lombardo. - A przy okazji, podobają mi się twoje ciuchy.

Mickey też był ubrany na czarno.

- Jeśli ktoś zapyta, mów, że jesteśmy Blues Brothers - zasugerował Austin.

- Przykro mi, że muszę przerwać wasze spotkanie po latach, chłopcy - wtrąciła się Kaela - ale mamy transport.

Austin podniósł skrzynki ze sprzętem dźwiękowym i włądził do motorówki. Siedzenia w łodzi były ustawione rzędami, jak w autobusie. Kaela usiadła między członkami swojej ekipy. Po kilku minutach motorówkę wypełniła grupa dziennikarzy prasowych, czujących się fatalnie w wypożyczonych smokingach, wyelegantowanych reporterów telewizyjnych i lizusowatych asystentów jednych i drugich. Łódź odbiła od brzegu i popłynęła przez basen portowy. Jej miejsce zajęła następna.

Wizytę Razowa relacjonowały wszystkie media na Wschodnim Wybrzeżu. Opinia publiczna po raz pierwszy dowiedziała się o jego nieprawdopodobnym majątku, ambicjach politycznych i zamiarze otwarcia w Bostonie centrum handlowego za miliard dolarów. Największe zainteresowanie wzbudzał jednak wielki, luksusowy jacht, symbolizujący jego bogactwo.

„Kazaczestwo” był największym statkiem, jaki zawinął do Bostonu od czasu regat Tall Ships Race. Kiedy wchodził do portu, krążyły nad nim helikoptery. Zdjęcia lotnicze obiegły

cały świat. Eskorta kutrów straży pożarnej wystrzeliwała pod niebo fontanny wody. Dookoła tłoczyły się setki prywatnych łodzi, które odpędzała Straż Przybrzeżna. Gdy jacht rzucił kotwicę, przywitały go motorówki pełne polityków, urzędników i biznesmenów. Ale tylko najważniejsi, najbardziej wpływowi zostali zaproszeni na wieczorną galę.

„Ataman” dostał pozwolenie na zakotwiczenie między lotniskiem Logan i wybrzeżem bostońskim, żeby goście przylatujący samolotami mogli być przewiezieni na przyjęcie. Od dziobu do rufy jachtu paliły się kolorowe reflektory, które oświetlały port. Dla uczczenia uroczystego wieczoru delegacja miejscowych kongresmanów namówiła departament marynarki do ściągnięcia z Charlestown zabytkowej fregaty USS „Constitution”, nazywanej „Old Ironsides”.

Stary okręt wojenny rzadko robił takie nocne kursy. Zwykle odbijał od nabrzeża raz w roku, kiedy obracano go za pomocą holowników, żeby obie burty zużywały się jednakowo. Jednak w ostatnich latach, po gruntownym remoncie, przywracającym mu częściowo oryginalną konstrukcję z 1794 roku, odbywał przy specjalnych okazjach krótkie samodzielne rejsy pod żaglami. Austin podsłuchiwał rozmowę ludzi z telewizji o planowanej wizycie fregaty. Na pokładzie mieli być marines i artylerzyści, żeby oddać salwę honorową.

Motorówka zbliżała się do celu i Austin skupił uwagę na jachcie. Statek wyglądał tak, jak na zdjęciach Gamay. Miał ostry dziób w kształcie litery V, wklęsłą rufę i opływową nadbudowę. Austin rozpoznał konstrukcję FastShip, dzięki której Razow w ciągu niewielu dni mógł znaleźć się ze swym biurem wszędzie tam, gdzie jest woda. Łódź zajęła miejsce w rzędzie za kilkoma innymi, podpływającymi do burty jachtu. Załoga pomagała pasażerom motorówek przejść na statek. Przekazywała ich oficjalnemu komitetowi powitalnemu, który ledwo zerkał na zaproszenia i kierował gości do schodów.

Kaela ruszyła przodem, Austin i Lombardo wnieśli za nią sprzęt na pokład główny. Przedstawiciele mediów przechodzili między dwuszeregiem młodych kobiet i mężczyzn w jednakowych kasztanowych kurtkach. Wyglądali, jakby wybrała ich agencja castingowa. Wręczali gościom zestawy prasowe, oryginalne breloczki do kluczy w kształcie chartów rosyjskich i magnesy z logo „Atamana”. Obładowanych dziennikarzy kierowano do ogrodzonej strefy.

Młody przystojniak w szamerowanej kurtce, która świadczyła o jego randze, zaprosił ich do recepcji. Poinformował, że wywiady z gubernatorem i burmistrzem są zaplanowane w centrum prasowym. Pan Razow nie będzie udzielał wywiadów, złoży tylko krótkie oświadczenie. Wiedząc, że darmowe zarcie i drinki to najlepsza łapówka za dobrą prasę, skierował ich do salonu.

Kiedy tłum dziennikarzy odpłynął do otwartego baru, Austin i jego ekipa ustawili swój sprzęt blisko rzędu mikrofonów i jupiterów. Po skończonej robocie Austin wziął Kaelę pod ramię.

- Przyłączymy się do tamtych żarłoków?

- Za chwilę - odpowiedziała i zaprowadziła go do relingu, skąd widać było panoramę Bostonu z Customs House i wieżowcami Prudential i Hancock na tle nieba. Zrobiła poważną minę. - Zanim tam pójdziemy, muszę cię o coś zapytać. Chciałeś koniecznie dostać się na ten jacht. Czy Razow ma coś wspólnego z bazą okrętów podwodnych na Morzu Czarnym i tamtymi bandziorami, którzy nas zaatakowali?

- Skąd takie przypuszczenie?

- Nie udawaj. Jest Rosjaninem, jak tamci. Działa na Morzu Czarnym.

- Niestety, nie mogę powiedzieć ci wszystkiego. Dla twojego własnego bezpieczeństwa. Ale jest pewien związek.

- Czy Razow jest odpowiedzialny za śmierć kuzyna kapitana Kemala, Mehmeta?

Austin milczał. Nie było ucieczki przed zdeterminowanym spojrzeniem bursztynowych oczu.

- Pośrednio - przyznał

- Wiedziałaś! Czas, żeby zapłacił za to.

- Zamierzam wystawić mu rachunek za wszystko, co zrobił - zapewnił Austin.

- Ja też.

- Obiecuję, że będziesz miała reportaż.

- Nie o tym mówię. Posłuchaj, Kurt. Nie jestem dziewczyną z bogatego domu w San Fernando Valley, którą najbardziej rajcowało włóczenie się z papierosem po eleganckim pasażu handlowym. Dorastałam w złej dzielnicy i gdyby nie moja matka, może odsiadywałabym teraz długi wyrok w Soledad. Chcę ci jakoś pomóc.

- Już pomogłaś. Wprowadziłaś mnie na pokład.

- To za mało. Dobrze wiem, że chcesz przycisnąć tego gnoja do ściany. Zgoda, ale muszę mieć w tym udział.

Austin przysiągł sobie, że nigdy więcej nie wejdzie Kaeli na celownik.

- Umowa stoi. Ale dziś jesteśmy na jego terenie. Nie wychylaj się z niczym. Nie chcę narażać ciebie i Mickeya. Sam sprawdzę jacht. Zgoda?

Kaela skinęła głową.

- Będziesz miał na to czas, kiedy zaczniemy wywiady. A teraz postaw mi tego drinka, którego obiecałeś przy pierwszym naszym spotkaniu.

Złapała go za ramię i pociągnęła w kierunku drzwi salonu. Dołączyli do tłumu. Austin zapomniał na moment, że jest na statku. Przeniósł się sto lat wstecz. Salon wyglądał jak sala tronowa, zaprojektowana przez architekta kasyn w Las Vegas. Był osobliwym połączeniem zachodniej cywilizacji i wschodniego barbarzyństwa. Podłogę pokrywał gruby purpurowy dywan. Wystarczyłoby go do kilku domów. Łukowate sklepienie zdobiły figurki amorków i nimf. Z sufitu zwisały kryształowe kandelabry. Po bokach sali stały rzędami potężne kolumny z wyrzeźbionymi złotymi liśćmi.

Można ty było spotkać przedstawicieli wszystkich bostońskich elit władzy. Grubi

politycy z czerwonymi nosami ledwo mieścili się w wypożyczonych smokingach. Rozpychali się przy wielkim głównym stole, który uginał się pod ciężarem rosyjskich smakołyków. Dla kontrastu z nimi chorobliwie chude kobiety siedziały przy rokokowych stolikach i dziobały jedzenie, jakby było zatrute. Biznesmeni dyskutowali w grupach, jak najlepiej pomóc Razowowi wydać jego pieniądze. Legiony prawników, finansistów, lobbystów z Beacon Hill i ich personelu krążyły od stolika do stolika niczym pszczoły w poszukiwaniu nektaru. Na końcu sali znajdowało się podium, gdzie zamiast złotego tronu stała kapela, grająca skoczną rosyjską muzyką ludową. Austin zauważył, że zespół ma kozackie stroje i poczuł się nieswojo.

Kiedy szukał z Kaela miejsca, zawarczały werble. Na scenę wszedł facet od public relations w szamerowanej kurtce. Wylewnie podziękował wszystkim za przybycie i oznajmił, że gospodarz chce powiedzieć kilka słów. Po chwili na podium wspiął się mężczyzna w średnim wieku w granatowym garniturze. Tuż za nim dreptały dwa białe charty rosyjskie. Wziął mikrofon.

Austin przysunął się bliżej, żeby lepiej przyjrzeć się Razowowi. Rosjanin nie robił wrażenia groźnego bandziora. Jeśli nie liczyć ostrych rysów wąskiej twarzy i przeraźliwie bladej cery, wyglądał całkiem zwyczajnie. Jednak Austin wiedział, że historia jest pełna niepozornych ludzi, którzy okazali się potworami. Hitler mógłby uchodzić za głodującego malarza, którym był kiedyś w istocie. Roosevelt nazywał Stalina wujkiem Joe, jakby chodziło o starego, dobrodusznego krewnego, a nie o ludobójcę. Razow zaczął mówić. Jego angielski miał tylko ślad obcego akcentu.

- Chciałbym podziękować wszystkim za przybycie na to przyjęcie ku czci waszego cudownego miasta - powiedział i wskazał psy. - Sasza i Gorki też się bardzo cieszą, że tu jesteście.

Użył chartów do przełamania lodów. Kiedy tłum zareagował śmiechem i oklaskami, psy wyprowadzono. Razow pomachał im na pożegnanie i uśmiechnął się do gości. Przemawiał głębokim, ciepłym barytonem. Sprawiał wrażenie, że patrzy ludziom prosto w oczy. Po kilku minutach wszyscy chłonęli każde jego słowo. Nawet politycy przestali się obżerać, żeby posłuchać.

- Cieszę się, że mogę być teraz tutaj, w kolebce amerykańskiej niepodległości. Zaledwie kilka mil stąd jest Bunker Hill, a nieco dalej Lexington, gdzie padły pierwsze strzały, które usłyszał cały świat. Powszechnie znane są wasze wspaniałe uczelnie i ośrodki medyczne. Robicie wiele, by zainspirować moją ojczyznę. W zamian chciałbym ogłosić otwarcie rosyjskiego centrum handlu, które ułatwi swobodny przepływ towarów między naszymi wielkimi krajami.

Kiedy Razow podawał szczegóły swojej inwestycji, Austin nachylił się do ucha Kaeli.

- Czas, żebyśmy powęszyli - szepnął. - Spotkamy się przy motorówce.

Kaela ścisnęła jego rękę.

- Będę czekała.

Austin utorował sobie drogę do bocznych drzwi i wyszedł w wieczorny chłód. Większość ludzi słuchała w salonie Razowa i pokłady były puste. Natknął się tylko na kelnera, który wcisnął mu do ręki talerz z kiełbaskami i żeberkami bez kości. Austin zamierzał wyrzucić wszystko za burzę, gdy tylko kelner zniknie z widoku. Potem pomyślał, że włączając się po jachcie zjedzeniem w rękach, będzie wyglądał mniej podejrzanie.

Przespacerował się w kierunku dziobu i doszedł do zamkniętej strefy. Na lince zagradzającej drogę wisiała tabliczka z angielskim napisem WSTĘP WZBRONIONY. W głębi było ciemno. Razow poukrywał swoich ochroniarzy, żeby nie straszili gości. Kiedy jednak Austin próbował zobaczyć, co jest w zakazanej strefie, pojawił się mięśniak z charakterystycznym wybrzuszeniem pod marynarką, oznaczającym spluwę.

- Tu nie wolno - powiedział z rosyjskim akcentem. Austin udał wstawionego.

- Kiełbaskę? - zaproponował z pijackim uśmiechem.

Ochroniarz spojrział na niego kwaśno i ruszył dalej. Austin zaczął, aż zniknie mu z oczu, i chciał już dać nura pod linką, kiedy nagle usłyszał za sobą lekki tupot. Odwrócił się i zobaczył dwie białe zjawy. W jego kierunku pędziły charty Razowa. Wlokły za sobą smycze. Skoczyły mu na pierś i omal nie zwały go z nóg. Potem wetknęły długie pyski w jego talerz. Postawił jedzenie na pokładzie. Psy błyskawicznie pożarły kiełbaski i żeberka. Wylizwały talerz do czysta i spojrzały z nadzieją na Austina.

Podbiegł jakiś człowiek i powiedział coś po rosyjsku, pewnie przeprosił go. Chwytał smycze i odciągnął charty. Austin zaczął, aż znów będzie sam, i dał nura pod linką. Ruszył naprzód cicho jak duch. W czarnym ubraniu łatwo wtapiał się w ciemność.

Po kilku minutach przystanął obok wentylatora. Rura była wyższa od niego o dobre trzydzieści centymetrów. Sięgnął do kieszeni, wyjął przedmiot podobny kształtem i wielkością do telefonu komórkowego. Wcisnął włącznik. Wyświetlacz rozjarzył się na jasnozielone i pojawiły się cyfry. „Węszyciel” Yaegera był gotowy do pracy.

Kiedy Austin szykował się do wyjazdu do Bostonu, zadzwonił podniecony Yaeger.

- Chyba wiem, jak się podłączyć do systemu na jachcie - powiedział. - Wi-Fi.

Austin już się przyzwyczaił do dziwnego języka Yaegera. Tacy geniusze komputerowi żyją na innej planecie i tylko czasem wracają do mowy ojczystej. Poprosił o więcej szczegółów. Yaeger odrzekł, że Wi-Fi to skrótowa nazwa bezprzewodowej sieci komputerowej, która wchodzi do użytku w większych kompleksach.

- Powiedzmy, że prowadzisz duży szpital - tłumaczył. - Chcesz zapewnić twoim ludziom dostęp do ważnych informacji, ale tak, żeby nie musieli wracać do swoich komputerów, kiedy są w innej części budynku. Więc instalujesz bezprzewodową sieć komputerową, która obejmuje tylko jeden budynek lub kompleks. Wyższy personel nosi przy sobie laptopy. Włącza je, ustawia na właściwą częstotliwość i ma natychmiastowy dostęp do systemu głównego.

- Bardzo interesujące, Hiram, ale co to ma wspólnego z naszym problemem?

- Na jachcie Atamana jest Wi-Fi.

Austin wciąż nie bardzo rozumiał, do czego zmierza Yaeger, ale jego entuzjazm był zaraźliwy.

- Skąd wiesz?

- Max to odkryła. Kiedy padaliśmy na twarz, próbując rozszyfrować kod Atamana, zaczęła wyciągać wszystko, co mogła znaleźć o jachcie. Nie było tego dużo, bo Ataman zbudował ten statek w swojej stoczni na Morzu Czarnym. Ponieważ jednak Rosjanie nie mieli odpowiedniej elektroniki, kupili amerykańską. Zainstalowała ją francuska ekipa. Max weszła do bazy danych tej firmy. Wyposażyli jacht w Wi-Fi.

- Rozumiem, że coś takiego może się przydać w szpitalu, ale na jachcie?

- Pomyśl, Kurt. Statek tej wielkości to całe przedsiębiorstwo. Powiedzmy, że jesteś płatnikiem okrętowym. Nie ma cię w biurze, poszedłeś w drugi koniec jachtu, a tu pojawia się problem na liście płac. Włączasz laptop i wszystko wiesz. To samo z szefem kuchni. Siedząc w swojej kajucie, może sprawdzić magazyny. Albo pierwszy oficer. W każdej chwili może się dowiedzieć, którzy marynarze pełnią wachtę.

- Naszym głównym problemem jest brak hasła.

- Hasło musi być na jachcie. Gdyby Max i mnie udało się dyskretnie włączyć do sieci, moglibyśmy w odpowiedniej chwili przyjrzeć się z bliska zawartości komputera.

- A co wam w tym przeszkadza?

- Kilka rzeczy. Po pierwsze, informacje na pewno są zaszyfrowane, żeby nie dostał się do nich nikt obcy. Po drugie, sygnał bezprzewodowy jest słaby i ma zasięg tylko w obrębie statku. Ktoś musiałby umieścić na pokładzie „węszyciela”.

- Znów mówisz swoim dziwnym językiem.

- Przepraszam. „Węszyciel” to po prostu urządzenie, które może namierzyć sieć, wzmocnić sygnał i przesłać go w otwarte ramiona Max.

- Mówisz, że pliki będą zaszyfrowane. Skąd wiesz, że je rozkodujesz?

- Nie wiem. Ale to nie może być tak skomplikowany szyfr, jak na tamym tajemniczym statku. Można go będzie obejść z różnych stron. Poza tym, Max jest gotowa na wszystko.

- Nie ma to jak zdeterminowana kobieta, choćby nawet cybernetyczna. Skąd mam odebrać ten elektroniczny nos?

- Kurier NUMA jest w drodze. Instrukcja obsługi w załączeniu.

Instrukcja okazała się prosta. Włączyć „węszyciela”, sprawdzić, czy łapie sygnał, przymocować go magnesem umieszczonym na tylnej ścianie nadajnika. Yaeger przysłał dwa „węszyciele”, jeden zapasowy.

Austin ukrył nadajnik w niewidocznym miejscu wewnątrz wentylatora. Potem podszedł do szalupy, schylił się i wymacał połączenie wyciągu z pokładem. Stojąc na czworakach, znalazł płytkie wgłębienie w stalowym wsporniku. Schował tam drugiego „węszyciela”.

Kiedy wstawał, usłyszał za sobą cichy trzask. Poczł, jak coś twardego wbija mu się w plecy.

- Na starość robi się pan nieostrożny, panie Kurcie Austin. Następnym razem może się to źle skończyć.

Ucisk na plecach zelżał. Austin odwrócił się. W srebrzystym świetle księżyca zobaczył wyraźną białą bliznę na twarzy Pietrowa.

- Postarzałem się co najmniej o dziesięć lat, kiedy wbiłeś mi tę spluwę w zębra, Iwan. Wystarczyło powiedzieć „cześć”, żeby zwrócić moją uwagę.

- Dzięki takim numerom nie wychodzę z wprawy - odrzekł Pietrow. - Nie chcę stracić formy.

- Możesz mi wierzyć, że jesteś w świetnej formie. Jak zawsze. Kto cię wpuścił do mojego kraju?

- W przeciwieństwie do pańskiego nielegalnego wypadu do Rosji, moja wizyta tutaj ma całkiem oficjalny charakter. Przybyłem do Ameryki z delegacją handlową z ramienia ministerstwa rolnictwa. Reprezentuję Syberyjski Urząd Ochrony Roślin. Poprosiłem nasz miejscowy konsulat o wciągnięcie mnie na listę gości tego przyjęcia.

- Jak mnie znalazłeś?

- Zobaczyłem, że wychodzi pan z salonu, i poszedłem za panem do zakazanej strefy statku. Muszę przyznać, że zmyliła mnie pańska charakteryzacja, ale nie sposób ukryć tak szerokich ramion i pewnego kroku. Skąd pan wytrzasnął tę niesamowitą perukę?

- Kupiłem na wyprzedaży gadżetów KGB.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby tak było. Mogę zapytać, dlaczego łąził pan na czworakach po pokładzie?

- Zgubiłem szkła kontaktowe.

- Naprawdę? Nie przypominam sobie, żeby w pańskim dossier było coś o okularach.

Austin zaśmiał się i powiedział Rosjaninowi o elektronicznych „węszycielach”. Zrobiło to wrażenie na Iwanie. Poprosił, żeby informować go na bieżąco o efektach.

- I proponuję wrócić na przyjęcie - dodał. - Większość ochroniarzy obserwuje gości, ale kilku jest na obchodzie.

Austin wiedział, że zbyt długo kuszą los. Przekradli się ostrożnie w kierunku światła i

muzyki, po drodze kryjąc się w cieniu. Zauważyli tylko jednego ochroniarza i dali nura za pacholek. Kiedy ich minął, poszli spacerkiem przez pokład.

W smokingu Pietrow wyglądał nieszkodliwie. Zapalił amerykańskiego papierosa.

- Co pan teraz planuje? - zapytał.

- Nie widziałeś mnicha Razowa?

- Podejrzewam, że przy takich okazjach Razow woli nie pokazywać Borysa ludziom. Może nawet trzyma go poza jachtem. Wątpię, żebyśmy go zobaczyli.

- W takim razie może pogadam sobie kilka minut z gospodarzem.

- Z Razowem?! To niezbyt mądre posunięcie.

- Może sprowokuję go na tyle, że popełni błąd.

- Słyszałem, że zabawa z grzechotnikami nie jest bezpieczna. Ale niech pan robi, co pan chce. Ja się trochę tutaj pokręcę. Trzeba coś zjeść i wypić.

- Przyszedłeś sam?

Pietrow wziął kieliszek wódki z tacy kelnera. Wypił i uśmiechnął się.

- Gdyby mnie pan potrzebował, będę w pobliżu.

Przyjęcie nabierało tempa. Goście spacerowali po pokładzie z drinkami i jedzeniem. Kapela kozacka grał teraz rocka. Pietrow wmieszał się w tłum i zniknął jak liść porwany przez strumień. Austin zauważył Razowa w otoczeniu grupki ludzi. Podszedł bliżej. Zastanawiał się, jak ominąć ochronę osobistą Rosjanina. W sukurs przyszła mu para długonogich psów. Wyrwały się swojemu panu i popędziły do Austina. Znow skoczyły na niego, oparły łapy na jego piersi i wylizały mu twarz.

Austin chwycił smycze i ściągnął krótko, żeby okiełznać szalejące charty. Podbiegł ich treser. Austin miał już przekazać mu psy, gdy zobaczył, że nadchodzi Razow w towarzystwie dwóch goryli.

- Widzę, że zna pan już Saszę i Gorkiego - powiedział z uśmiechem. Wziął od Austina smycze i po rosyjsku wydał komendę. Psy natychmiast grzecznie usiadły.

- Niedawno podzieliłem się z nimi kiełbaskami i żeberkami - wyjaśnił Austin. - Chyba nie ma pan nic przeciwko temu?

- Dziwne, że to zjadły - odrzekł Razow. - Są żywione dużo lepiej niż większość ludzi. Jestem gospodarzem tej małej uroczystości. Nazywam się Razow.

Wyciągnął rękę i zerknął na identyfikator na szyi Austina.

- Tak, wiem. Słyszałem pańskie przemówienie. Wywarło na mnie duże wrażenie. Nazywam się Kurt Austin.

Austin tak mocno ścisnął dłoń Razowa, że zatrzeszczały kości. Rosjanin omal nie skrzywił się z bólu.

- Słynny pan Austin - odpowiedział Razow z kamienną twarzą. - Wyobrażałem sobie pana zupełnie inaczej.

- Wzajemnie. Jest pan dużo niższy niż myślałem.

Razow nie chwycił przynęty.

- Nie wiedziałem, że przeniósł się pan do telewizji. O ile pamiętam, przedtem pracował pan w NUMA.

- To tylko chwilowe zajęcie dodatkowe. Nadal jestem w NUMA. Ostatnio poszukiwaliśmy pewnego skarbu w Morzu Czarnym.

- Mam nadzieję, że było warto.

- Ktoś mnie ubiegł w dotarciu do wraku „Odessa Star”.

- Niestety, w tej branży jest duża konkurencja.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego ktoś, kto ma już nieprawdopodobny majątek, zadał sobie tyle trudu, żeby wydobyć kilka błyskotek.

- Nas, Rosjan, zawsze fascynowały „błyskotki”, jak pan to określił. Wierzmy, że oprócz wartości materialnej dają właścicielowi potężną moc.

- Skarb nie pomógł carowi i jego rodzinie.

- Rodzina carska padła ofiarą zdrady.

- Przypuszczam, że chce pan zwrócić skarb narodowi rosyjskiemu.

- Nic pan nie wie o moich rodakach - odparł Razow. - Nie obchodzą ich kosztowności. Potrzebują twardej ręki przywódcy, który zwróci im dumę narodową i odstraszy kraje czyhające na Rosję jak sępy.

- Domyślam się, że pańska tajna operacja „Trojka” to sukces.

- „Trojka” nie jest tajna - odrzekł Razow z nieukrywaną pogardą. - To skrótowa nazwa mojego planu otwarcia centrów handlu w Bostonie, Charlestonie i Miami. Niech pan się rozejrzy, panie Austin. Moje interesy nie są groźne.

- A masakra na statku NUMA? Co pan o niej powie?

- Czytałem o tym w prasie. To z pewnością tragedia, ale nie mam nic wspólnego z tamtym nieszczęśliwym wypadkiem.

- Nie dziwię się, że nie przyznaje się pan do tej akcji. To była partacka robota. Spieprzyłeś sprawę, Razow. Twój wściekły pies pomylił statki. Nie było mnie na „Sea Hunterze”. Twój ludzie wymordowali całą załogę na darmo. Ale oczywiście już wiesz o tym.

Austin dostrzegł w oczach Razowa błysk wściekłości.

- Rozczarowuje mnie pan, panie Austin. Naprawdę. Wkrada się pan na mój jacht w tym idiotycznym przebraniu, pije moją wódkę, je moje zakąski i odpłaca mi się za gościnność, nazywając mnie mordercą.

- Miałem jeszcze inny powód, żeby wejść na pokład. Chciałem spojrzeć w oczy facetowi, którego zamierzam załatwić.

Maska uprzejmego polityka zniknęła. Zastąpiła ją mina ulicznego bandziora.

- Ty chcesz załatwić mnie?! Jesteś tylko małą wszą.

- Być może. Ale tam, skąd przychodzę, jest dużo takich wszy. I wszystkie gryzą.

- NUMA i twój rząd nie wystarczą, żeby mi przeszkodzić - odparł Razow. - Kiedy

przywrócę Rosji dawną świetność, Ameryka stanie się żebrakiem świata. Amerykańskie zasoby wyczerpią się, a jej przywódcy będą słabi i bezradni...

Razow nagle urwał. Zdał sobie sprawę, że przeholował.

- Nie jest pan tu mile widziany, panie Austin. Moja ochrona odprowadzi pana do motorówki.

- Sam trafię. Do następnego spotkania, panie Razow.

Razow uśmiechnął się złowieszczo.

- Nie będzie następnego spotkania.

Zrobił dyskretny gest. Goryle ruszyli. Austin gwizdnął cicho. Charty nastawiły uszu, zamerdały ogonami i wyrwały się Razowowi. Austin uśmiechnął się i spojrzał Rosjaninowi prosto w oczy. Razow wpatrywał się w niego z czystą nienawiścią. Austin odwrócił się, poszedł szybko w kierunku rufy i wmieszał się w tłum. Psy biegły za nim. Musiał się pozbyć chartów. Rzucały się w oczy i ściągały na niego uwagę.

Przystanął i poklepał je po łbach. Potem wręczył smycze zaskoczonej młodej kobiecie w kasztanowej kurtce. Zdjął perukę i ciemne okulary i wetknął dziewczynie do kieszeni.

- Mogłaby pani zwrócić to panu Razowowi? Z wyrazami szacunku.

Szybko utorował sobie drogę przez tłum. Wychodząc z salonu, wpadł na Kaełę.

- Gdzie się tak spieszysz? - zapytała.

- Znikaj stąd jak najszybciej.

- Dokąd idziesz?

- Nie wiem. Spotkamy się za godzinę w barze u Ritza.

Austin cmoknął Kaełę w policzek i skierował się do schodów prowadzących do motorówek. Miał nadzieję, że uda mu się odpłynąć, ale musiał zrezygnować. Zejścia pilnowali dwaj ochroniarze. Obserwowali tłum. Austin myślał, że Razow nie zaryzykuje żadnego incydentu przy tylu świadkach. Mylił się. Razow za dużo powiedział i musiał zaryzykować. Austin przepchnął się z powrotem przez tłum, żeby zyskać na czasie i ułożyć jakiś plan. Nagle ktoś złapał go za ramię.

Austin stęzał. Odwrócił się błyskawicznie i przyjął postawę do walki. Pietrow zwolnił uścisk. Uśmiechał się, ale jego oczy były śmiertelnie poważne.

- Nie tędy - doradził.

Przez tłum przedzierał się ochroniarz. Patrzył na Austina i mówił do mikrofonu w klapie marynarki. Pietrow poprowadził Austina do salonu. Ominęli parkiet i przez drugie drzwi przedostali się na pokład. Skierowali się do innych schodów, ale tu też stał wysoki ochroniarz. Osłaniał dłonią ucho, słuchając radia.

Pietrow podszedł do niego z uśmiechem i powiedział coś po rosyjsku. Facet przyjrzał mu się podejrzliwie i sięgnął pod marynarkę po spluwę. Pietrow wałnął go pięścią w żołądek. Ochroniarz zgiął się wpół i stracił oddech. Kiedy wyprostował się, żeby nabrać powietrza, dostał od Austina prawym sierpowym. Runął jak ścięte drzewo.

Przeszli nad leżącym ochroniarzem i zbiegli po schodach. Austin zobaczył takie same drzwi, jak po drugiej stronie jachtu, którędy wchodzili goście. Pietrow nacisnął klamkę i pchnął je. Austin zastanawiał się, czy będą musieli uciekać w pław, ale światło z otwartych drzwi padło na motorówkę. Silnik pracował na wolnych obrotach. Mężczyzna przy sterze uśmiechnął się na widok Piętrowa i pomachał ręką.

- Pozwoliłem sobie załatwić alternatywny środek transportu - wyjaśnił Pietrow.
- Myślałem, że jesteś tu sam.
- Niech pan nigdy nie wierzy byłemu agentowi KGB.

Austin skrzywił się, niezadowolony z siebie. W przeciwieństwie do Piętrowa, nie docenił przeciwnika. Tak mu się spieszyło do konfrontacji z Razowem, że nie ułożył żadnego planu ucieczki. Obaj z Piętrowem przeszli z jachtu na łódź. Sternik pchnął przepustnicę do oporu. Silnik zawył i motorówka wystrzeliła do przodu. Austin i Pietrow omal nie wylądowali w wodzie.

Austin obejrzał się na jasno oświetlony statek i zaśmiał się na myśl o tym, jak wystawili do wiatru Razowa. Ale radość nie trwała długo. Ktoś otworzył do nich ogień z broni z tłumikami; nie z jachtu, lecz od strony portu. W ciemności widać było wyraźnie bezgłośnie błyski z luf. Seria trafiła sternika. Krzyknął i zwałił się na koło sterowe. Łódź skrzyła gwałtownie.

Pietrow odciągnął zabitego na bok i Austin chwycił ster. Na motorówkę padło światło reflektorów. Razow nie był głupi. Otoczył jacht kordonem strzelców w łodziach.

Była tylko jedna droga ucieczki - przebić się przez nich. Austin skierował motorówkę w lukę między reflektorami. Ochroniarze Razowa wstrzymali na chwilę ogień w obawie, że wytluką się nawzajem. Kiedy jednak Austin wydostał się na otwartą przestrzeń, znów nacisnęli spusty.

Wokół uciekającej łodzi wybuchały gejzery wody. Kilka pocisków roztrzaskało szybę. Pietrow chwycił się za głowę i upadł na pokład. Nisko pochylony Austin wyciskał z silnika pełną moc. Motorówka była szybka, ale łodzie pościgowe doganiały ją. Z obu stron zbliżały się reflektory. Austin zerknął w kierunku brzegu. Nie zdążył. I nagle pojawiła się szansa. W oddali zobaczył maszty i żagle „Old Ironsides”, oświetlone lampami pokładowymi.

Seria z flanki trafiła w burtę motorówki na wysokości linii wodnej i podziurawiła kadłub ze szklanego włókna. Dziury były tak duże, że łódź szybko nabierała wody. Silnik zadymił i zgasł. Motorówka zanurzała się niczym okręt podwodny. Austin nagle znalazł się w wodzie. Pietrow zniknął pod powierzchnią. Austin zanurkował za nim, chwycił go za kark i wyciągnął. Kiedy się wynurzył, oślepiły go jasne światła i usłyszał okrzyki.

Czyjeś silne ręce złapały Austina za ramiona i kołnierz marynarki, wyciągnęły z chłodnej wody. Otarł oczy i zobaczył, że znajduje się w dużej szalupie. Dwunastu mężczyzn w białych mundurach marynarki wojennej i czarnych chustach na szyi wiosłowało energicznie. Pietrow

leżał rozciągnięty u stóp Austina. Z rany na głowie ciekła mu krew. Uśmiechnął się słabo.

- Wszystko w porządku? - zapytał młody marynarz, siedzący na rufie obok Austina z ręką na rumplu. Na białym mundurze miał długi czarny płaszcz z mosiężnymi guzikami, czarną chustę na szyi i czarny lśniący kapelusz.

- Trochę przemokłem. Dzięki za wyłowienie nas.

Sternik wyciągnął wolną rękę.

- Josh Slade. Oficer pokładowy na USS „Constitution”. Zobaczyliśmy was stamtąd...

Wskazał „Old Ironsides”, który unosił się na wodzie kilkadziesiąt metrów dalej. Trzy wysokie maszty były jasno oświetlone.

- Nazywam się Kurt Austin. Jestem z Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych.

- Co tu robi NUMA?

Austin uniósł rękę do twarzy i dotknął sztucznego nosa. Podczas przymusowej kąpieli do połowy się odkleił. Austin oderwał go i wyrzucił za burtę. Pokręcił głową.

- To długa historia. Co z moim kumplem?

- Wygląda na to, że krwawienie ustało. Po powrocie na pokład udzielimy mu pierwszej pomocy.

Po wodzie niosła się muzyka z jachtu Razowa. Austin miał nadzieję, że Kaeli i Lombardo nic się nie stało. Łodzie pościgowe z uzbrojonymi załogami zniknęły bez śladu, ale instynkt i doświadczenie podpowiadały mu, że są gdzieś niedaleko.

- Czy ktoś widział motorówki, które nas goniły?

- Przez moment. Kiedy wasza łódź zatoneła, odpłynęły. Nie rozumieliśmy, dlaczego nie zostały, żeby wam pomóc. Nie wiem, gdzie się podziały. Byliśmy zajęci spuszczeniem na wodę swojej łodzi i nie zwróciliśmy na to uwagi.

- Mieliśmy szczęście, że tu byliście.

- Normalnie nie byłoby nas tutaj. „Constitution” odbija od brzegu tylko raz w roku. Czwartego lipcu. Ale dziś mamy specjalny nocny rejs pod żaglami. Wzięliśmy artylerzystów, żeby oddać dwadzieścia jeden salw. Gubernator i burmistrz dostali zgodę departamentu marynarki. Co się właściwie stało? Zauważyliśmy, że płyniecie, i nagle wasza łódź zatoneła.

Austin nie widział powodu, żeby kręcić.

- Urwaliśmy się z przyjęcia na jachcie. Tamte motorówki ostrzelały nas i straciliśmy sternika.

Slade popatrzył na Austina jak na wariata.

- Nie słyszeliśmy żadnych strzałów.

- Mieli tłumiki.

Slade zastanowił się.

- Widzieliśmy jakieś błyski, ale myśleliśmy, że to flesze. Kim byli tamci faceci?

Przepraszam na moment...

Skierował łódź za „Constitution” i okrążył rufę z białym orłem i nazwą okrętu. Podpłynął

pod wyciągi, które sterczały z góry jak drewniane ramiona. Marynarze w szalupie wyjęli wiosła z dulek i ustawili pionowo. Potem umocowali liny zwisające z okrętu i podciągnęli łódź do poziomu pokładu.

Załoga pomogła Pietrowowi wydostać się z szalupy. Rosjanin już poczuł się lepiej i szedł między dwoma podtrzymującymi go marynarzami. Ktoś zrobił materac z kamizelek ratunkowych, żeby ranny nie musiał leżeć na gołym pokładzie. Jeden z marynarzy dał Austinowi płaszcz do przebrania się z mokrej marynarki.

Slade zdjął kapelusz i wetknął pod pachę. Był brunetem po dwudziestce, kilka centymetrów wyższym od Austina. Z takim wyglądem mógłby pozować do plakatu werbunkowego marynarki.

- Witam na pokładzie „Old Ironsides”, najstarszego uzbrojonego okrętu wojennego na świecie z załogą Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych - powiedział z wyraźną dumą.

- Wiem, że ten okręt pokonał berberyjskich piratów i był zmorą Brytyjczyków podczas wojny 1812 roku. Nikt nie mógł go pokonać. Kiedy walczył z brytyjską fregatą HMS „Guerriere”, kule armatnie odbijały się od jego burt jak od żelaznego pancerza.

Austin popatrzył czule na sześćdziesięciodwumetrowy kadłub, długi bukszpryt, rozległy pokład z równymi rzędami dział i sześćdziesięciosiedmiometrowy grotmaszt.

- Mam nadzieję, że w jego wieku będę wyglądał przynajmniej w połowie tak dobrze jak on - dodał.

- Jesteśmy dumni, że udało się utrzymać ten okręt w takim stanie. Zbudowano go niedaleko stąd i zwodowano w 1797 roku. Burty są dębowe. Drewno pochodziło z południowego wschodu Stanów. Na poziomie linii wodnej kadłub ma grubość sześćdziesięciu trzech centymetrów. Części mosiężne i dzwon okrętowy wykonał Paul Revere. Pewnie zanudzam pana. Przepraszam. Zamiast dawać panu lekcję historii, powinienem zawiadomić Straż Przybrzeżną, że mamy na pokładzie rannego.

Slade poklepał się po kieszeniach płaszcza i zmarszczył czoło.

- Cholera. Zgubiłem komórkę. Musiała mi wypaść przy wsiadaniu do szalupy. Ale mam tu walkie-talkie do łączności z holownikiem. Powiem jego załodze, żeby przekazała wiadomość Straży Przybrzeżnej.

Gdy Slade wyjmował radio, Austin podszedł do Pietrowa, leżącego na pokładzie. Ktoś przykrył Rosjanina żaglem. Czuwał przy nim marynarz. Austin przyklęknął obok.

- Jak się czujesz, *towariszcz!*

Pietrow jęknął.

- Pęka mi głowa. Ale czego można się spodziewać, gdy pocisk odbije się od czaszki? Dlaczego za każdym razem, kiedy jesteśmy blisko siebie, muszę wylecieć w powietrze albo dostać postrzał?

- Taki masz fart. Razow najwyraźniej źle mnie zrozumiał. Przykro mi, że zginął twój człowiek.

- Wiedział, czym ryzykuje w tym niebezpiecznym biznesie. Jego rodzina dostanie wysokie odszkodowanie.

Austin powiedział Pietrowowi, żeby leżał spokojnie, potem wstał i podszedł do grubej drewnianej burty. Sięgała mu do brody. Kiedy patrzył na port, wrócił Slade.

- Zadanie wykonane - zameldował. - Załoga holownika zawiadomi Straż Przybrzeżną i patrol policji portowej. Poprosi o przysłanie pogotowia ratunkowego po pańskiego przyjaciela. Co z nim?

- Przeżyje. Centymetr niżej i straciłby część szarych komórek.

- On też jest z NUMA?

- Jest rosyjskim przedstawicielem handlowym Syberyjskiego Urzędu Ochrony Roślin.

Slade znów popatrzył na Austina ze zdziwioną miną.

- Co robi w porcie bostońskim?

- Szuka syberyjskich szkodników.

Slade zauważył, że Austin przygląda się holownikowi, stojącemu przy rufie okrętu.

- Wyciągnął nas z przystani - wyjaśnił. - Mielśmy postawić żagle i zrobić rundkę dla telewizji.

Austin słuchał jednym uchem. Na dźwięk silników motorówek zmrużył oczy i wpatrzył się w ciemność. I hałas narastał. Zobaczył błyski z luf.

Pojawiły się trzy szybkie łodzie. Pędziły rzędem w kierunku rufy okrętu. Rozległ się terkot pistoletów maszynowych. Pociski odbijały się rykoszetem od holownika. Ze stalowego kadłuba szły iskry. Załoga otrząsnęła się z zaskoczenia. Zaryczały silniki, holownik cofnął się, a potem dał całą naprzód i odpłynął. Motorówki otoczyły go i pociski podziurawiły drewnianą sterówkę. Holownik zwolnił szybkość, przepłynął jeszcze kilkaset metrów i stanął.

Austin wściekle zacisnął pięści. Był bezradny. Nie mógł przeszkodzić w ataku na bezbronny holownik. Poprosił Slade'a o wywołanie szypra przez walkie-talkie. Po kilku próbach młody oficer zrezygnował.

- To na nic - powiedział. - Dlaczego oni ich zaatakowali?

- Wiedzieli, że holownik to nasz jedyny napęd.

Łodzie trzymały się na granicy ciemności poza zasięgiem wzroku. Austin słyszał ich silniki pracujące na wolnych obrotach. Potem znów zobaczył błyski z luf. Rozległy się szybkie stuki, jakby okręt dziobało sto dzięciołów. Slade spróbował wychylić się za burte, żeby sprawdzić, co się dzieje, ale Austin ściągnął go na pokład.

- Jezu, ci idioci walą do nas! - krzyknął Slade. - Nie wiedzą, że to skarb narodowy?

- Nic nam nie będzie - uspokoił go Austin. - „Old Ironsides” wytrzymał ostrzał artyleryjski. Ogień z broni automatycznej nie jest dla niego groźny.

- Boję się, żeby moja załoga nie oberwała.

- Przestali strzelać. Niech pan powie swoim ludziom, żeby nie podnosili głów i czekali na rozkazy. Przepraszam. To pan tu dowodzi.

- Bez obaw. Ja nie pękam. Przedtem służyłem w marines. Dali mi przydział na ten okręt tylko dlatego, że w wypadku uszkodziłem sobie kolano.

Austin przyjrzał się jego twarzy. Nie zauważył strachu, tylko determinację.

- Dobrze. Chcieli pozbyć się holownika, żeby nas unieruchomić. Wiedzą, że nas nie zatopią. Podejrzewam, że spróbują abordażu.

- Żaden wróg nie wszedł nigdy na pokład „Constitution”. Z wyjątkiem jeńców wojennych. Teraz też się to nie zdarzy, może pan być pewien. Jest tylko jeden problem. Załoga liczyła kiedyś ponad czterystu ludzi. Nas jest trochę mniej.

- Jakoś sobie poradzimy. Możemy ruszyć okręt z miejsca?

- Właśnie zaczynaliśmy stawiać żagle, kiedy zobaczyliśmy was. Ale wyciągniemy najwyżej kilka węzłów. „Ironsides” to nie ślizgacz.

- Najważniejsze, żebyśmy choć trochę kontrolowali sytuację. To da tamtym do myślenia. Szybkość nie jest ważna. Mamy na pokładzie jakąś broń?

Slade roześmiał się i wskazał dwa rzędy dział wzdłuż burt.

- Jesteśmy na okręcie wojennym. Niech pan wybiera. Tutaj na zewnątrz są trzydziestodwufuntowe carronady, a pod pokładem dwudziestoczwierofuntówki. Plus kilka bow chaserów. W sumie ponad pięćdziesiąt armat. Niestety nie wolno nam mieć prochu.

- Myślałem o czymś bardziej praktycznym.

- Mamy piki przeciwabordażowe, topory i kordy. I wszędzie są kołki do knagowania lin. Świetne z nich maczugi.

Austin powiedział młodemu oficerowi, żeby przygotował się do walki. Slade zebrał swoich ludzi i przedstawił im Austina. Uprzedził załogę, że ci, którzy ostrzelali okręt, mogą spróbować wejść na pokład. Rozkazał zgasić wszystkie światła i wysłał część marynarzy na górę. Wdrapali się po takielunku na reje i rozpięli górne żagle. Podniesiono kliwer i okręt zaczął płynąć o własnych siłach z szybkością około jednego węzła.

Obsługa żagli wróciła na dół i postawiła grot. Bryza wydeła płótno o powierzchni trzystu dwudziestu pięciu metrów kwadratowych i zaskrzypiał maszt. Okręt posuwał się w tempie żwawego ślimaka. Przyszła kolej na bomkliwer, potem na fok. Szybkość wzrosła trzykrotnie. Nie przeszkodziłaby nikomu w abordażu, ale dawała załodze minimalną kontrolę nad sytuacją. Tymczasem na pokładzie zgromadzono broń.

Slade wybrał kord. Austin wziął pikę przeciwabordażową, długi kij, zakończony ostrym metalowym grotem.

- To może być bardziej praktyczne - powiedział. - Chyba że umie się pan posługiwać nożem.

Załoga podzieliła się na dwie grupy. Każda nerwowo czuwała przy swojej burcie. Wysłano też obserwatorów na platformę bojową w połowie grotmasztu. Austin spacerował niecierpliwie tam i z powrotem z kołkiem do knagowania lin w dłoni.

Nie musieli długo czekać.

Pierwszą oznaką ataku były głośne, szybkie stuki w burtę. Pociski z broni automatycznej odłupywały czarną i białą farbę, nie szkodząc dębowemu kadłubowi o grubości sześćdziesięciu centymetrów. Stary dzielny okręt płynął dalej, strącając z siebie kule niczym komary. Podobnie jak berberyjscy piraci i flota brytyjska napastnicy przekonali się, że „Old Ironsides” jest niezwyciężony.

Gdy zobaczyli, że ostrzał nic nie daje, wstrzymali ogień. Włączyli reflektory, zwiększyli obroty silników i zbliżyli się do powolnego celu. Austin usłyszał, jak łodzie pościgowe uderzają kadłub. Domyślił się, że przeciwnicy spróbują wspiać się na pokład. Zauważył rękę chwytającą się dolnej krawędzi luku armatniego i wałnął w nią kołkiem do knagowania lin.

Rozległ się wrzask bólu. Dłoń zniknęła i napastnik runął do wody z głośnym pluskiem. W luku ukazała się twarz. Austin odrzucił kołek i złapał pikę. Przystawił grot do szyi intruza. Przeciwnik poczuł na jabłku Adama ostry szpic i zamarł bez ruchu.

Austin lekko pchnął i twarz zniknęła. Tym razem rozległ się głośny łomot, bo napastnik spadł do łodzi. Austin ruszył wzdłuż rzędu dział. Załoga okrętu używała pik z podobnym skutkiem. Niektórzy marynarze podnosili we dwóch kule armatnie i rzucali je za burtę. Sądząc po krzykach i trzaskach, trafiali w cel.

Przybiegł Slade w przekrzywionym na bok kapeluszu. Spocona twarz promieniała dumą.

- Nikt z tamtych palantów nie postawił nogi na pokładzie - zameldował.

- Chyba dostają dobrą lekcję - odrzekł Austin.

Nagle nad burtą za plecami Slade’a ukazała się twarz. Zanim Austin zdążył ostrzec oficera, przeciwnik uniósł karabinek szturmowy.

Austin cisnął pikę niczym masajski wojownik, polujący na lwa. Napastnik dostał w pierś, wrzasnął i runął w tył. Broń wypaliła w powietrze.

Austin chwycił kord i podskoczył do najbliższego dział. Chciał przeciąć olinowanie, żeby atakujący nie wykorzystali go jako drabinki. Kiedy unosił nóż, usłyszał z platformy bojowej okrzyk:

- Na sterburcie!

Dwaj ludzie Razowa wdrapali się na parapet okrętu i zerwali z pleców broń. Za moment mogli wystrzelać obrońców na pokładzie.

Austin zadziałał instynktownie. Przeciął najbliższą linę, złapał za luźny koniec i poszybował niczym Tarzan na linach. Przeciwnicy nie zdążyli wycelować. Potężne kopnięcie strąciło ich do morza. Austin zakończył wahadłowy lot i zeskoczył na pokład wśród wiwatów oszołomionej załogi.

- O, kurczę! - powiedział Slade. - Gdzie pan się nauczył tego numeru?

- Zmarnowałem młodość na oglądanie starych filmów z Errolem Flynnem. Nikomu nic się nie stało?

- Jest trochę siniaków i skaleczeń, ale „Old Ironsides” nie został zbezczeszczoney.

Austin poklepał Slade’a po ramieniu, a potem rozejrzał się.

- Co to?

- Motorówki - odrzekł Slade.

Podbiegli do burty i zobaczyli trzy kilwatery. Załoga zaczęła wiwatować. Umilkła, gdy łodzie zatrzymały się kilkadziesiąt metrów od okrętu. Rozległa się kanonada. Jednak zamiast strzelać w gruby kadłub, napastnicy celowali teraz w takielunek. Pociski dziurawiły żagle, na pokład spadały kawałki lin i drewna. Obserwatorzy na masztach szybko zleźli na dół.

- Nie mogą wejść na okręt, więc chcą go zniszczyć. Musimy coś zrobić! - zawołał Slade.

Strzępy żagla spadły mu na głowę.

Austin chwycił go za ramiona.

- Wspominał pan o dwudziestu jeden salwach.

- Co?! A, tak. Z dwóch armat na pokładzie dziobowym. Dajemy z nich ognia co rano i co wieczór. To stare działa odcylkowe. Przerobiliśmy je na amunicję kaliber trzysta osiemdziesiąt milimetrów. Ale używamy ślepek. Zdarzyło się jednak kiedyś, że zapomniano zdjąć pokrywy z luf i trafiliśmy łódź policyjną.

- Nasi przyjaciele w motorówkach nie wiedzą, że mamy tylko ślepaki.

- Fakt.

Austin szybko wyłożył swój plan. Slade pobiegł na rufę i kazał sternikowi zmienić kurs. Marynarz przy sterze obrócił kołem i „Constitution” powoli skręcił. Dziób celował teraz w łodzie przeciwników.

Slade zebrał kanonierów. Zbiegli na pokład artyleryjski i popędzili na dziób. Błyskawicznie załadowali działa. Austin zobaczył przez luk armatni, że motorówki ustawiły się w rzędzie, przygotowując się do ataku. Ten manewr okrętu najwyraźniej zaskoczył przeciwników. Odległość malała. Motorówki zaczęły się rozdzielać.

- Teraz! - krzyknął Austin. Odsunął się i zatkał uszy.

Rozległ się podwójny huk, pokład zasnuł dym. Działa odskoczyły do tyłu, odrzut wyhamowały grube liny. Obsługa celowo zostawiła pokrywy na lufach.

Blef udał się. Przeciwnicy dostrzegli przez chmurę purpurowego dymu, że wali na nich wielki czarny okręt. Usłyszeli świst dwóch „pocisków” i zobaczyli gejzery wody. Łodzie uciekły jak spłoszone króliki. Pełnym gazem pomknęły w kierunku wyjścia z portu i zniknęły w ciemności.

Okręt ruszył w pościg. Działa znów huknęły ślepekami.

Gdy zamarło echo wystrzałów, rozległ się radosny ryk załogi.

- I po zabawie - powiedział Austin.

Slade uśmiechał się od ucha do ucha.

- „Old Ironsides” jeszcze potrafi dać kopa w dupę!

Waszyngton

Sandecker rozejrzał się po Gabinetcie Owalnym i pomyślał o historycznych decyzjach, które podejmowano w tym słynnym pokoju. Podczas ostatniej wizyty w Białym Domu został potraktowany jak parias. Ostrzeżono go, żeby trzymał się z daleka od spraw bezpieczeństwa narodowego. Kiedy jednak NUMA uratowała kapitana i załogę NR-1 i oszczędziła Białemu Domowi wstydu, admirał urósł do rozmiarów King Konga. Nie tracił czasu i od razu to wykorzystał.

Wszechwładna sekretarka w Białym Domu nie zawahała się, gdy zadzwonił i poprosił o pilne spotkanie z prezydentem. Przesunęła wizytę jakiegoś ambasadora i delegacji Kongresu u jej szefa. Nawet nie mrugnęła okiem, kiedy Sandecker powiedział, że chciałby rozmawiać tylko z prezydentem i wiceprezydentem.

Admirał zdecydowanie odrzucił propozycję przysłania po niego limuzyny. Przyjechał do Białego Domu dżipem cherokee z garaży NUMA. Recepcjonistka wprowadziła Sandeckera, Rudiego Gunna i Austina do Gabinetu Owalnego i dopilnowała, żeby podano im kawę w filiżankach z chińskiej porcelany.

Czekali. Admirał zwrócił się do Austina.

- Chciałem cię zapytać, Kurt, jakie to uczucie dowodzić pomnikiem narodowym?

- Podniecające, panie admirale. Niestety miałem tylko dwa działa na dziobie i nie mogłem dać salwy burtowej.

- Słyszałem, że wraz z załogą „Constitution” wykazaliście się wielką walecznością.

W oczach Gunna błysnęła wesołość.

- Krążą pogłoski, że okręt ma być włączony do Siódmej Floty. Oczywiście, po załatwieniu dziur.

- Podobno wycofają ze służby lotniskowiec, żeby zrobić dla niego miejsce - odrzekł Austin z miną pokerzysty. - Pentagon widzi szansę dużych oszczędności przy zastosowaniu żagli i knag.

- A co się stało z ludźmi, którzy was zaatakowali?

- Straż Przybrzeżna i policja przeszukały port. Na wyspie znaleźli trzy łodzie zatopione w

bagnie. Miały kadłuby podziurawione pociskami jak sito.

- Byli ranni?

- Tak, załoga holownika. Zachowali jednak tyle przytomności umysłu, że udawali zabitych.

- A co z twoim znajomym Rosjaninem?

- Pocisk tylko go drasnął. Nic wielkiego.

- Co Razow miał do powiedzenia na temat tych piratów?

- Nic. Przerwał przyjęcie na jachcie, wyrzucił gości i wypłynął z portu, zanim ktokolwiek zdążył zadać mu jakieś pytania.

Sandecker zmarszczył brwi.

- Ten Razow to cwaniak. Trzeba go pilnować. Mamy go na oku?

Gunn przytaknął.

- Obserwujemy go z satelity. Płynie bez pośpiechu wzdłuż wybrzeża Maine.

- Po prostu dżentelmen na wycieczce własnym jachtem - zauważył sarkastycznie admirał.

- Poprosiłem nasz dział obserwacji satelitarnej o przysłanie tutaj ostatnich wyników - powiedział Gunn.

Drzwi otworzyły się i wszedł agent wydziału specjalnego.

- Szef idzie - uprzedził.

W holu zrobiło się głośno i do gabinetu wkroczył prezydent Wallace ze swoim urzędowym uśmiechem na twarzy i wyciągniętą ręką. Tuż za nim wmaszerował wysoki wiceprezydent Sid Sparkman. Po serii uścisków dłoni prezydent usadowił się za biurkiem. Wiceprezydent jak zwykle przysunął sobie krzesło i usiadł z jego prawej strony dla podkreślenia swojego miejsca w hierarchii władzy.

- Cieszę się, że poprosił pan o to spotkanie - zaczął Wallace. - Mam okazję podziękować panu osobiście za uratowanie chłopaków z NR-1.

- Na Kurcie i reszcie Zespołu Specjalnego NUMA zawsze można polegać - zaznaczył Sandecker.

Prezydent zmrużył oczy.

- Słyszałem o tej sprawie w Bostonie, Kurt. Kto ostrzelał „Old Ironsides”? Co to za wariat?

- Ten sam, który kazał wymordować załogę statku NUMA, panie prezydencie. Michaił Razow.

Wiceprezydent pochylił się do przodu. Jego uśmiech nie pasował do groźnego spojrzenia.

- Michaił Razow to ważna osobistość w Rosji. Może być następnym przywódcą tego kraju. Ma pan jakiś dowód, że jest zamieszany w którąś z tych spraw?

- Naocznego świadka.

- Czytałem raport o ataku na „Sea Huntera”. To brednie rozhisteryzowanej kobiety - parsknął Sparkman.

Austin poczuł, jak zółć podchodzi mu do gardła.

- Rozhisteryzowanej, owszem. Ale to nie brednie. Zaufany człowiek Razowa, niejaki Borys, chciał, żebyśmy wiedzieli, że masakra jest zemstą za nasze wtargnięcie do byłej radzieckiej bazy okrętów podwodnych.

- Dobrze, że użył pan słowa „wtargnięcie”, bo inaczej nie można tego określić. To było pogwałcenie suwerenności obcego państwa.

Austin wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, ale miał spojrzenie lwa śledzącego ranną antylopę gnu. Sandecker zauważył, że Kurt szykuje się do wysunięcia pazurów, i ubiegł jego atak.

- Co się stało, to się, niestety, nie odstanie. Ważniejsza jest terażniejszość i przyszłość, panowie. Perspektywa spisku przeciwko Stanom Zjednoczonym. Z całym szacunkiem, panie wiceprezydencie, uważamy, że stoi za tym Michaił Razow.

- To śmieszne... - zaczął Sparkman, ale prezydent uciszył go gestem.

- Razow chce wypłynąć na fali powstania kozackiego - wyjaśnił Austin. - Podaje się za potomka Romanowów, czym zyskuje fanatycznych zwolenników. Pójdą za nim w ogień.

- Mówi prawdę?

- Nie wiemy, panie prezydencie. Ale mamy dowód, że wielka księżna Maria, jedna z córek cara, przeżyła rewolucję bolszewicką, wyszła za mąż i urodziła dzieci.

- Maria? - zdziwił się Wallace, bawiąc się długopisem na biurku. - Zawsze słyszałem tylko o Anastazji. Widziałem film Walta Disneya. Fascynujące. Czy Razow może udowodnić swoje pochodzenie?

- Nie byłbym zaskoczony, gdyby pokazał akt urodzenia. Rosjanie mają wieloletnie doświadczenie w fałszowaniu dokumentów pod rządami komunistów. Podejrzewamy, że poprzez swoje roszczenia koroną Iwana Groźnego. Powie, że tylko prawowity władca Rosji mógłby mieć koronę. Kiedy zdobędzie władzę, nikt nie zażąda od niego próbki DNA.

- Ma tę koronę?

- Możliwe. Znaleźliśmy szkatułkę z listą carskich kosztowności, przewożonych na statku „Odessa Star”. W spisie nie było korony.

- A co z DNA?

- Kiedy Razow przejmie władzę, będzie mógł sfabrykować potrzebną próbkę. To nie trudnego.

- Rosjanie nie są głupi - stwierdził prezydent. - Naprawdę myślicie, że uwierzą w tę bajeczkę?

Sandecker uśmiechnął się pod nosem.

- Będąc przywódcą wybranym przez naród, wie pan lepiej ode mnie, jak politycy potrafią namącić ludziom w głowach.

Prezydent odchrząknął.

- Tak, wiem, o co panu chodzi. Razow nie byłby pierwszym hochsztaplerem, który kupił

ludzi fałszywymi obietnicami. Jest na nas wściekły za próbę wymazania go z krajobrazu politycznego. Zdaje się, że chce nas nastraszyć. Użyć groźby, żebyśmy się wycofali. Mam wiadomość dla pana Razowa: Stany Zjednoczone nie pozwolą się szantażować. Jeśli nie zareagujemy, będzie nam groził w nieskończoność.

Austin przypomniał sobie, co Pietrow mówił mu o dziewczynie Razowa.

- To może być bardziej skomplikowane niż zwykły szantaż. Razow miał narzeczoną, którą w Belgradzie przypadkowo zabiła bomba z amerykańskiego samolotu. Dlatego Razow tak nas nienawidzi.

- Kurt ma na myśli to - powiedział Sandecker - że powodem niechęci Razowa do Stanów Zjednoczonych są nie tylko nasze usiłowania zniszczenia jego kariery politycznej. Pragnie również zemsty.

Prezydent rozparł się na krześle i splótł dłonie na piersi.

- Co zamierza zrobić?

- Przypuszczamy, że znalazł sposób na uwolnienie energii zgromadzonej w złożach hydratu metanu pod szelfem kontynentalnym wzdłuż Wschodniego Wybrzeża. Destabilizacja szelfu może spowodować rozległe osunięcia dna morskiego, które wywołają tsunami, gigantyczne fale, skierowane na określone cele.

Zaskoczony Wallace wyprostował się.

- Chce pan powiedzieć, że Razow planuje uderzyć w Stany Zjednoczone wielkimi falami morskimi?

- Już to zrobił. Wysłał taką falę do Rocky Point.

Prezydent zwrócił się do Sparkmana.

- Sid, wyasygnowałem środki z budżetu federalnego na pomoc dla Rocky Point. Czy ktoś mówił, że to był zamach terrorystyczny?

- Nie, panie prezydencie, nikt. Wszyscy, z którymi rozmawiałem, uważają tę wielką falę za zjawisko wywołane przez siły natury, przez podwodne trzęsienie ziemi.

- I co pan na to, admirale? - zapytał Wallace.

- Być może, wysłuchanie specjalisty z tej dziedziny rozwiałoby wszelkie wątpliwości.

- Dobry pomysł - przyznał prezydent. - Kiedy może go pan sprowadzić?

- W każdej chwili. Wystarczy zadzwonić do recepcji. Prawdę mówiąc, ściągnąłem dwóch ekspertów. Doktora Leroya Jenkinsa, emerytowanego oceanografa z Uniwersytetu Maine, i doktora Hanka Reeda, geochemika z NUMA.

Prezydent uśmiechnął się.

- Nigdzie nie rusza się pan bez wsparcia, prawda, James?

- To stare przyzwyczajenie z akademii. Zamiast jednej torpedy lepiej naraz odpalić kilka. Pozwoliłem sobie również zaprosić tu głównego programistę komputerowego NUMA, Hirama Yaegera.

Wallace wydał polecenia do interkomu. Po kilku minutach agent wydziału specjalnego

wprowadził do gabinetu Yaegera, Reeda i Jenkinsa. Yaeger uznawał tylko autorytet tych, którzy znali się na megabajtach. Mimo wizyty u prezydenta miał na sobie mocno znoszoną marynarkę sportową, podkoszulkę, dżinsy i buty dobre na pustynię. Jenkins włożył jasnobrązowy popelinowy garnitur z czasów pracy w college'u i nową niebieską koszulę, kupioną specjalnie na tę okazję, Hank Reed stawał na głowie, żeby coś zrobić ze swoją fryzurą w stylu Lyle'a Lovetta, ale nawet w garniturze i krawacie wyglądał jak kukła trolla.

Jeśli nawet prezydent był zaskoczony wyglądem ludzi, którzy weszli do Gabinetu Owального, dyplomatycznie nie dał tego poznać po sobie. Uścisnął im dłonie i powiedział:

- Admirał mówił nam o tsunami w Maine. Uważa, że falę wywołał człowiek.

Jenkins, bawiąc się nerwowo węzłem krawata, opowiedział o tsunami w Rocky Point i swoim śledztwie w tej sprawie.

Prezydent zwrócił się do Reeda.

- Zgadza się pan z doktorem Jenkinsem?

- Całkowicie. Nie widzę powodu, żeby wątpić w jego wnioski. Moje badania wskazują, że odpowiednio wielka siła użyta w określonych punktach szelfu kontynentalnego mogłaby wywołać takie skutki.

Wtrącił się Austin.

- Opisałem fachowcom pocisk, który widziałem na „Atamanie”. Uważają, że może to być bomba wstrząsowa z ładunkiem o dużej zdolności penetracyjnej. Wirniki wprowadzają głęboko w dno morskie. Może mieć głowice podobne do nuklearnych pocisków balistycznych.

- Chyba nie sądzi pan, że to głowice jądrowe? - przeraził się prezydent.

- O ile wiem, wystarczą konwencjonalne materiały wybuchowe. Niektóre są tak silne, jak nuklearne. Jest jeszcze coś. Kapitan i sternik NR-1 powiedzieli mi, że Ataman używał ich łodzi podwodnej do poszukiwań słabych miejsc, uskoków i cienkiej warstwy osadu wzdłuż zboczy i kanionów szelfu kontynentalnego.

- Gdzie jest teraz ten statek Atamana?

- Gdzieś u wybrzeży Nowej Anglii. Poprosiłem naszych ludzi od obserwacji satelitarnej, żeby go namierzyli. Niedługo kurier dostarczy tu wyniki.

- Powiem recepcjonistce, żeby go natychmiast przysłała do nas - odrzekł prezydent i zwrócił się do Sparkmana. - Jesteś górnikiem, Sid. Wiesz coś o hydracie metanu?

Sparkman milczał podczas prezentacji faktów. Wyglądał, jakby męczyła go zgaga.

- Tak, panie prezydencie. To zamrożony gaz ziemny. Niektórzy nazywają go „ognistym lodem”.

- Wróćmy do szczegółów, doktorze Jenkins. Czego możemy się spodziewać u naszych wybrzeży?

- Zniszczenia zależą od głębokości wód przybrzeżnych, kształtu zatok i obecności rzek, gdzie wielkie fale koncentrują swoją energię. Możliwe, że po uderzeniu w brzeg fala

osiągnęłaby wysokość trzydziestu metrów.

Prezydent był zaszokowany.

- To mogłoby spowodować niewyobrażalne zniszczenia.

- Niestety, są gorsze rzeczy niż tsunami - odrzekł cicho Jenkins.

- Co może być gorszego od gigantycznej fali, uderzającej w gęsto zaludniony rejon? - zdziwił się prezydent.

Jenkins wziął głęboki oddech.

- Panie prezydencie... Masowe uwolnienie metanu mogłoby wywołać globalne ocieplenie na wielką skalę.

- Co? Myślałem, że musimy się martwić tylko o zanieczyszczenie atmosfery przez przemysł i samochody.

- To też, ale... Proszę posłuchać, dam panu przykład. W jedenastym wieku do atmosfery dostała się ogromna ilość uwolnionego metanu. Rozpoczęło się globalne ocieplenie. Tropiki sięgnęły na północ aż do Anglii, a morze dochodziło do Arizony.

W pokoju panowała cisza.

- Razow musi o tym wiedzieć - odezwał się w końcu Sparkman. - Dlaczego miałyby to robić?

- Rosjanie zawsze chcieli ocieplić północne pustkowia swojego kraju - wyjaśnił Reed. - To niewiarygodnie bogate rejony, ale klimat jest bardzo surowy. Mówiło się kiedyś o podgrzewaniu wód arktycznych energią jądrową, żeby to osiągnąć. Podwyższenie temperatury pozwoliłoby na zasiedlenie i rozwój tamtych terenów. Jednocześnie niektórzy spekulują, że globalne ocieplenie zamieniłoby środkowe stany USA w pustynię.

- Moi doradcy informują mnie na bieżąco o globalnym ociepleniu - odrzekł prezydent. - O ile dobrze rozumiem, to bardzo skomplikowany proces. Nie ma gwarancji, że wszystko pójdzie po myśli Razowa.

- Razow najwyraźniej zamierza zaryzykować - odpowiedział Reed.

- Boże! - przeraził się prezydent. - To byłaby katastrofa na niewyobrażalną skalę.

- Byłoby jeszcze gorzej - zauważył Sandecker. - Razow ma wielkie statki do wydobywania hydratu metanu i osłabienie Stanów Zjednoczonych dałoby mu możliwość kontrolowania przyszłych światowych zasobów energii. Stałby się ich globalnym zarządcą.

- Trzeba powstrzymać tego szaleńca - zdecydował prezydent.

- Eskadra myśliwców szybko załatwiłaby sprawę - powiedział wiceprezydent.

- Tylko czy mamy wystarczające dowody, żeby zatopić ten statek? - zapytał Wallace. - Zwłaszcza przy obecnej sytuacji w Rosji.

- Bardzo słusznie, panie prezydencie - powiedział Sandecker. - Wszyscy wiemy, co się tam dzieje. Prawicowe siły Razowa zwalczają umiarkowanych. Zaatakowanie rosyjskiego statku dostarczyłby Razowowi argumentów na to, że Stany Zjednoczone to wróg. Umiarkowani przegraliby. Rosyjski arsenał jądrowy przeszedłby pod kontrolę kozackich

szaleńców.

- Ale nie możemy pozwolić, żeby ten statek wykonał swoje zadanie - odparł prezydent.

Zapukano do drzwi i do pokoju wpadła zdyszana młoda kobieta z dokumentami.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała. - Wyniknęła pewna komplikacja.

- Jakie mogły być problemy ze znalezieniem tego statku? - zdziwił się Sandecker.

- Namierzyliśmy go tak szybko, że postanowiliśmy przyjrzeć się Wschodniemu Wybrzeżu aż do Florydy.

- Znaleźliście drugi statek?

- Trzy. I trzy następne w drodze. Na wybrzeżu Pacyfiku też coś się dzieje.

Kiedy kurierka wyszła, prezydent wybuchnął.

- Trzy statki?! I trzy następne w drodze? Jasna cholera! Skąd mamy wiedzieć, które miasto jest celem? A jeśli kilka naraz?

Sandecker zwrócił się do Yaegera.

- Hiram?

- Kurt i Paul odwalili kawał roboty - powiedział Yaeger. - Dali mi dostęp do zaszyfrowanych plików w komputerze na statku Atamana. Ale Razow używał systemu steganograficznego. Łączność była zakodowana w zdjęciach cyfrowych. To standardowa metoda terrorystów, bo obrazy trudno rozszyfrować. W tym wypadku chodziło o fotografię menu rosyjskiej restauracji. Okazało się, że to część operacji Atamana o nazwie „Trojka”.

Wtrącił się Austin.

- Razow powiedział mi, że „Trojka” to po prostu projekt otwarcia centrów handlu w trzech miastach amerykańskich. I że to żadna tajemnica.

- W menu były ukryte plany jego prawdziwej operacji - ciągnął Yaeger. - Klucz do szyfru znajdował się na jachcie Razowa. Znów dzięki Kurtowi Max i ja mogliśmy wejść do głównego komputera na jachcie. Wytropiliśmy w systemie kod binarny. Prawdziwa operacja to nie „Trojka”, tylko „Chart rosyjski”.

Austin uniósł brwi.

- Gorki i Sasza. - Na widok zdumionych min wyjaśnił: - To imiona dwóch chartów rosyjskich Razowa. Uwielbia je.

- Ja też lubię psy - odrzekł prezydent - ale bardziej interesują mnie szczegóły tej operacji.

- Z pliku Chart wynika, że trzy statki będą skierowane do Bostonu, Charlestonu i Miami - powiedział Yaeger.

- Ale przecież właśnie w tych miastach Ataman ma otworzyć centra handlu - zauważył zaskoczony wiceprezydent.

- Czy może być lepsza przykrywka dla tej operacji? - zapytał Sandecker.

- Admirał ma rację - przytaknął Yaeger. - Natknąłem się na rozkazy ewakuacji personelu Atamana i zwinięcia interesów w tych miastach. Niestety w komputerze na jachcie nie znalazłem informacji, czy celem jest jedno miasto, czy wszystkie trzy.

- Stawiam na Boston - powiedział Austin. - W hotelu Boston Harbor odbywa się teraz międzynarodowa konferencja finansistów. Są na niej przedstawiciele wszystkich krajów, które próbują podstawić nogę Razowowi.

- Więc reszta statków ma tylko nas zmylić?

- Nie wykluczam możliwości, że Razow zamierza zniszczyć wszystkie trzy miasta, ale Boston może być głównym celem.

Austin otworzył akta, które trzymał na kolanach. Wyjął dwie mapy narysowane na kalce i położył je na biurku prezydenta.

- Jedna to Rocky Point, druga to port bostoński z przyległościami.

Prezydent nałożył jeden arkusz na drugi i zaklął pod nosem.

- Są prawie identyczne.

Austin przytaknął.

- Uważam, że kiedy Razow szukał miejsca do wypróbowania swego urządzenia do robienia fal, wybrał Rocky Point, bo najbardziej przypominało okolice Bostonu.

Prezydent sięgnął do telefonu.

- To mi wystarczy. Zwołuję nadzwyczajne posiedzenie gabinetu z udziałem szefów połączonych sztabów. Rozważmy uderzenie z morza i powietrza. Do diabła z ryzykiem. Może będziemy musieli ewakuować te miasta. Ile mamy czasu?

- Operacja ma się rozpocząć za niecałe dwadzieścia cztery godziny - odpowiedział Yaeger.

- Masowa ewakuacja wywoła panikę - zauważył Sandecker - i spowoduje wiele ofiar. Mogę zaproponować coś innego, panie prezydencie?

Ręka Wallace'a zawisa w powietrzu.

- Słucham, ale nie mogę zapominać o moich obowiązkach naczelnego dowódcy sił zbrojnych.

- Nie prosimy o to. Przypuszczamy, że niebezpieczeństwo grozi przede wszystkim Bostonowi i może dwóm innym miastom. Według informacji Hirama, centrum dowodzenia Razowa znajduje się na jego jachcie. Proponuję unieruchomić je. Dla pewności wyślemy też na wszystkie trzy statki drużyny szturmowe, które rozbroją ładunki wybuchowe. Pod jakimś pretekstem spróbujemy też opóźnić ruch statków.

Prezydent w zamyśleniu podrapał się w brodę.

- Dobry pomysł. Oczywiście nie mogę wydać oficjalnej zgody na akcję na wodach międzynarodowych. Jeśli coś się nie uda, będę musiał wszystkiemu zaprzeczyć.

- To nie byłyby pierwsza operacja NUMA bez wiedzy rządu - odparł Sandecker.

- Tak - przyznał sucho prezydent. - Co o tym myślisz, Sid?

- Nie można tolerować poczynań Razowa. Ja bym go zlikwidował. Proponuję ogłosić pogotowie bojowe dla okrętów podwodnych i myśliwców. Jeśli plan admirała nie wypali, zatopią jacht i statki Atamana.

- Dobrze - zgodził się prezydent. - Admirale, ma pan moje błogosławieństwo. Ale to nie może wyjść poza ściany tego pokoju. Sid, zacznij działać. Porozum się natychmiast z dowództwami operacji specjalnych i odpowiednich sił zbrojnych.

Zerknął na zegarek.

- A teraz wybaczcie, ale mam spotkanie w Ogrodzie Różanym z zastępem skautów z mojego rodzinnego stanu.

Kiedy Gabinet Ovalny pustoszał, Sandecker dotknął rękawa Sparkmana.

- Moglibyśmy zamienić kilka słów na osobności?

Wiceprezydent wydawał się zakłopotany.

- Oczywiście. Może wyjdziemy na świeże powietrze? Porozmawiamy o tym, jak utrzymać w tajemnicy romans Białego Domu z NUMA.

Wyszli z rezydencji do portyku południowego. Sandecker rozejrzał się po wypielegnowanym terenie.

- Piękne miejsce, prawda?

- Najładniejszy widok w Waszyngtonie.

- Szkoda, że pan tu nigdy nie zamieszka.

Sparkman zaśmiał się nienaturalnie.

- Nie zamierzam się wyprowadzać z obserwatorium marynarki. Tutaj nie byłoby mnie stać na rachunki za ogrzewanie.

- Niech pan nie będzie taki skromny, Sid. Cały Waszyngton wie, że będzie pan następnym prezydentem.

- Nie ma gwarancji, że wygram wybory. Może nawet nie dostanę nominacji.

W tonie Sparkmana było coś dziwnego.

- Nie jest pan szczery. Ambicje polityczne to nie grzech.

- W tym mieście wszyscy je mamy. Nawet pan.

Sandecker odwrócił się twarzą do niego.

- Nie przeczę, Sid. Ale moich ambicji nie finansuje rosyjski szaleniec. Co Razow panu obiecał? Tylko niech pan nie odpowiada, że nie wiem, co mówię. Został pan złapany za rękę.

Blef admirała udał się. Sparkman przez moment wyglądał tak, jakby chciał wybuchnąć, potem nagle się załamał.

- Miałem dostać dużą część zysków z wydobycia hydratu metanu u wybrzeży Stanów Zjednoczonych - wyznał drżącym głosem. - To byłby miliardowy interes.

- Teraz, kiedy zna pan prawdziwą przyczynę podmorskich poszukiwań Atamana, zmienił pan front?

- Oczywiście! Słyszał pan, co mówiłem w Gabinetecie Ovalnym. To ja zaproponowałem twardą linię.

- Chyba nie dlatego, żeby pańska tajemnica nie wyszła na jaw?

Sparkman uśmiechnął się słabo.

- Wiem, że nie lubi pan tracić czasu, admirale. Przejdźmy do rzeczy. Czego pan chce?

- Po pierwsze, żeby pan wiedział, że jeśli choć słowo z rozmowy w Gabinetcie Ovalnym przedostanie się do Razowa, wykończę pana.

- Mogę być chciwy, ale nie jestem zdrajcą, admirale. Nie ma mowy, żebym ostrzegł Razowa po tym, czego się dowiedziałem o jego planach.

- W porządku. Po drugie, natychmiast po zakończeniu tej sprawy złożę pan rezygnację.

- Nie mogę...

- Może pan i zrobi to. Inaczej pańska rola w tej aferze zostanie ujawniona przez CNN.

Zgoda?

- Zgoda - szepnął Sparkman z żalosną miną.

- I jeszcze coś. Niech pan przekaże Razowowi, że nadal nie wiemy, po co porwano NR-1.

Mała dezinformacja nie zaszkodzi.

Sparkman skinął głową.

- Dziękuję, panie wiceprezydencie. Nie będę panu dłużej zabierał czasu. Wiem, że ma pan masę roboty. Musi pan wykonać polecenia prezydenta.

Sparkman wyprostował się.

- Ktoś z mojego personelu będzie z panem w stałym kontakcie, żebyśmy mogli koordynować działania.

Rozstali się bez uścisku dłoni. Sparkman wrócił do Białego Domu, Sandecker poszedł na parking. Czekala tam reszta delegacji NUMA. Admirał był wściekły, że Sparkman okazał się takim durniem. Kiedy wsiadał za kierownicę dżipa, w jego niebieskich oczach płonął zimny ogień.

- Panowie - powiedział - nadszedł czas, żeby zagonić charty pana Razowa do budy.

34

U wybrzeża Bostonu

- Na wypadek, gdybym kiedyś pisał pamiętniki - zagadnął Zavalę - chciałbym wiedzieć, co się właściwie dzieje?

- To wyprawa naukowa Syberyjskiego Urzędu Ochrony Roślin na okręcie podwodnym Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych pod nadzorem NUMA - wyjaśnił Austin. - Oficjalnie nie istnieje.

Zavalę pokręcił głową.

- Chyba jednak nie będę pisał pamiętników.

Austin rozejrzał się po przestronnej kajucie oficerskiej.

- Nie przejmuj się. I tak nikt by ci nie uwierzył.

Musiał mówić podniesionym głosem, żeby przekrzyczeć kilkunastu twardzieli w czarnych kombinezonach komandosów. W drugim końcu kajuty smarowali twarze czarną i zieloną farbą kamuflującą. Śmiali się i żartowali hałaśliwie.

W grupie krążyła butelka wódki. Pietrow był ubrany jak inni komandosi. Pokrył farbą bliznę na policzku i powiedział coś po rosyjsku. Mężczyźni zareagowali wybuchem wesołości. Jeden wałnął go w plecy z taką siłą, że każdemu zwykłemu człowiekowi połamałby żebra. Pietrow złapał butelkę i podszedł do Austina i Zawali.

- Co to był za dowcip? - zapytał Austin.

Pietrow roześmiał się i poczęstował go wódką. Austin odmówił. Zavalę również, mówiąc, że woli tequilę.

Pietrow był najwyraźniej w swoim żywiole. Austin pierwszy raz widział go w takim humorze.

- Przypomniałem moim ludziom stare przysłowie: „Kto z wilkami żyje, z wilkami wyje”.

- Widząc, że Austin nie rozumie, wyjaśnił: - To coś w rodzaju powiedzenia: „Cięgnie swój do swego”.

Pomazał farbą czoło i policzki Austina na wzór indiańskich barw wojennych.

- Teraz i pan jest przygotowany do akcji.

- Dzięki, Iwan - odrzekł Austin i dokończył makijaż. - Na pewno czujesz się na siłach

wziąć w tym udział?

- Sugeruje pan, że jestem za stary? O ile pamiętam, jestem o miesiąc młodszy od...

- Wiem - przerwał Austin. - Znasz moje dossier. Nie bądź taki drażliwy. Chodziło mi o twoje rany z miłego wieczoru w porcie bostońskim.

- Wspaniała bitwa. Nigdy nie zapomnę, jak leciał pan nad pokładem niczym Tarzan. Mam kilka zadrapań, ale to nic takiego.

Austin wskazał głową ludzi Piętrowa.

- Może przydałby się im alkomat?

Pietrow machnął ręką.

- Każdemu z nich powierzyłbym własne życie. Kilka łyków wódki przed walką to tradycja w wojsku rosyjskim. To była tajna broń, którą pokonaliśmy Napoleona i Hitlera. Kiedy nadejdzie pora, moje zabijaki wykonają zadanie.

Wszedł młody marynarz. Austin zerknął na niego.

- Chyba już czas.

Pomysł wspólnej operacji powstał po spotkaniu w Białym Domu. W biurze Austina czekał Pietrow. Kiedy Austin przedstawił plan, Rosjanin natychmiast zaproponował, by użyć jego ludzi do opanowania jachtu. Austin porozumiał się z Sandeckerem. Admirałowi spodobał się ten pomysł. Dostał zgodę wiceprezydenta. Rosyjski atak na rosyjski jacht pozwalał prezydentowi całkowicie odciąć się od sprawy.

Marynarz przyjrzał się pomalowanym twarzom. Szukał dowódcy grupy. Austin przywołał go gestem.

- Kapitan kazał mi przekazać, że jesteśmy gotowi i czekamy.

Pietrow wydał swoim ludziom jakiś rozkaz. Przemiana była zdumiewająca. Wyglupy natychmiast się skończyły, butelka wódki zniknęła. Komandosi sięgnęli po automaty. W kajucie rozległy się metaliczne trzaski sprawdzanych magazynków. W ciągu kilku sekund ci roześmiani ludzie stali się groźnym oddziałem bojowym.

Pietrow uśmiechnął się wymownie do Austina, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?”

- Niech pan prowadzi.

Austin chwycił torbę ze swoim bowenem i ruszył za marynarzem do sterowni. Zawała i reszta poszli za nim. Kapitan Madison oderwał wzrok od peryskopu.

- Wynurzymy się dokładnie za trzy minuty. Cel jest sto metrów od nas. Morze wygląda spokojnie. Macie szczęście, że chmury zasłaniają księżyc.

- Dziękuję, że pozwolił pan moim ludziom skorzystać z pańskiego okrętu, kapitanie - powiedział Pietrow.

Madison podrapał się w głowę.

- To dla mnie coś nowego, ale jeśli nasze kraje mogą współpracować w kosmosie, czemu nie uczynić tego pod wodą? - Zwrócił się do Austina. - Ktoś w NUMA ma dobre dojścia na

górze. Nie każdy może odwołać z patrolu okręt podwodny i przydzielić go do takiej dziwnej operacji.

Stutrzydziestometrowy „Benjamin Franklin” został wybrany dlatego, że był jednym z czterech okrętów tej klasy, przystosowanych do operacji specjalnych. Nawet bardzo wpływowy Sandecker nie załatwiłby takiego rozkazu bez poparcia z najwyższego szczebla.

- To niezwykle ważna operacja.

- Więc życzę powodzenia - odrzekł kapitan. - Zaczekamy na was, jak długo będzie trzeba. Zawiadomcie nas, kiedy będziecie chcieli wracać do domu.

- Pan pierwszy się dowie.

Austin podszedł do baterii monitorów komputerowych.

- Wychodzimy, Hiram.

Yaeger siedział przy klawiaturze. Jeden z elektroników pokładowych wprowadzał go w tajniki systemu na okręcie. Sandecker nie zgadzał się na udział Yaegera w operacji. Austin przekonywał go, że umiejętności Hiramusa mogą być niezbędne. Admirał ustąpił po zapewnieniu Austina, że zabierze Yaegera na pokład jachtu dopiero wtedy, gdy zostanie on opanowany przez grupę desantową.

Yaeger uściśnął Austinowi dłoń i życzył mu powodzenia.

- Ciągłe pracuję nad rozszyfrowaniem ostatniego kawałka kodu - dodał. - Dam ci znać, jeśli go złamię.

Na sygnał Austina Pietrow wydał swoim ludziom kilka rozkazów. Oddział przeszedł przez okręt i stłoczył się pod włazem. Marynarz wspiął się po drabince i otworzył klapę. Do środka chlapnęły zimne rozbryzgi fal. Austin i Zavala wyszli pierwsi na pokład za kioskiem. Ludzie Pietrowa dołączyli do nich, niosąc dwa duże plastikowe pojemniki. Po ich otwarciu sprężone powietrze z sykiem wypełniło pontony umieszczone wewnątrz. Marynarz życzył im powodzenia i zamknął klapę z cichym stukiem.

Przez chmury sączyła się poświata księżyca. Ciemne morze miało ołowiany odcień. Wysoki kiosk z poziomymi statecznikami wyglądał jak gigantyczny robot z filmu science fiction. Austin zmrużył oczy i przyjrzał się sylwetce jachtu. W porcie bostońskim „Kazaczestwo” był oświetlony jak statek rzeczny na Missisipi. Teraz paliło się tylko kilka świateł na masztach radiowych i w oknach kajut.

Satelity zaobserwowały, że jacht zmienił kurs i popłynął na południe. W końcu zatrzymał się u wybrzeża Massachusetts, około osiemdziesięciu kilometrów od „Atamana Explorera I”, na wschód od Bostonu. Dwa inne statki Atamana stały na wschód od Charlestona i Miami.

Komandosi chwycili wiosła, zepchnęli gumowe łodzie ze śliskiego pokładu do wody i wgramolili się do środka. Opuścili gogle noktowizyjne i cicho wiosłując, popłynęli przez rozfalowane morze.

Chłodne powietrze przenikało przez warstwy ubrania Austina jak lodowe kolce. Pożałował, że też nie łyknął wódki na rozgrzewkę. Obejrzał się na okręt podwodny.

„Franklin” zanurzył się nieco i teraz tylko jego kiosk wystawał kilkadziesiąt centymetrów nad powierzchnię.

Po kilku minutach pontony dotarły do wysokich burt statku. Stalowe ściany wyrastały z wody niczym wieże. Austin czuł się jak płotka obok wieloryba. Ta akcja nie miałaby żadnych szans, gdyby nie Max. Kiedy Yaeger rozgryzał elektroniczny system nerwowy jachtu, natknął się na dwie bardzo ważne rzeczy. Pierwszą był program diagnostyczny, podobny do samochodowych obwodów z wyświetlaczem, ale znacznie doskonalszy. Pozwalał załodze na kontrolę drzwi wodoszczelnych, pracy turbin gazowych, dopływu zasilania i innych elektronicznych systemów utrzymujących statek na chodzie. Co ważniejsze, Yaeger zlokalizował centralę. Każdy z ludzi w pontonach miał plan jachtu oparty na ustaleniach Max.

Drugie odkrycie było bardziej prozaiczne, ale równie ważne. Listy płac na statku zawierały nazwiska i funkcje wszystkich osób na pokładzie. Ponieważ Razow wykorzystywał jacht jako dom i biuro, miał cały sztab służących, kucharzy, sekretarek i księgowych. Załoga była zdumiewająco mała, co wskazywało na to, że statek jest nafaszerowany automatyką. Austin skupił uwagę na ludziach nazywanych „obsługą dodatkową”. Chodziło o ochroniarzy, takich jak ci, którzy ścigali go w porcie bostońskim. Prywatna armia Razowa liczyła pięćdziesięciu bandziorów. Nie można było lekceważyć ich bezwzględności i lojalności wobec szefa. Jednak Pietrow zapewniał, że jego komandosi poradzą sobie z przewagą liczebną przeciwnika.

Ich główną bronią będzie zaskoczenie. Dostaną się niepostrzeżenie na pokład jachtu, pobiegną do centrali komputerowej i zniszczą ją materiałami wybuchowymi. Opór zlikwidują bez hałasu. Gdyby musieli walczyć, mają wystarczającą siłę ognia.

Austin i Pietrow byli jednak realistami. Wiedzieli, że prawdopodobieństwo ich wykrycia jest wysokie i straty mogą być po obu stronach. Ale stawka była warta ofiar.

W goglach noktowizyjnych statek i morze miały zielonkawą barwę. Austin zobaczył na poziomie wody drzwi, którymi wchodził z Kaelą na przyjęcie. Próba dostania się tędy na jacht byłaby zbyt ryzykowna, gdyż otwarcie wjazdu zostałoby zasygnalizowane na monitorze kontrolnym. Musieli skorzystać ze sprawdzonej metody piratów, zdobywców twierdz i komandosów: z kotwiczek szturmowych.

Tkwiały złożone w metalowych rurach. Były wystrzeliwane jak z moździerzy i otwierały się w locie. Ich pazury pokrywała pianka gumowa, żeby nawet z odległości kilku metrów nikt nie usłyszał, jak zahaczając reling.

Rozległy się ciche pyknięcia sprężonego powietrza i dwie kotwiczki poszybowały w górę. Sprawdzono linki. Były napięte, co oznaczało, że pazury trzymają. Ludzie Piętrowa wycelowali broń z tłumikami w reling. Gdyby ktoś stamtąd wyjrzał, czekałaby go przykra niespodzianka. Przeszli do następnej fazy operacji.

Austin i Pietrow wspięli się pierwsi. Z plecakami nie było to łatwe zadanie. Przeleźli niezgrabnie przez reling i rozejrzeli się. Nikogo nie zauważyli, więc przywołali gestem resztę.

Po kilku minutach wszyscy siedzieli w kucki na pokładzie jak stado czarnych, ciężkich kaczek. Dwaj komandosi zostali w pontonach.

Oddział podzielił się na pół. Grupa prowadzona przez Austina została na sterburcie. Ludzie pod dowództwem Pietrowa przekradli się na drugą stronę jachtu. Mieli posuwać się w kierunku dziobu aż do spotkania przy drabince wiodącej na mostek, a potem wspiąć się trzy pokłady wyżej do centrali komputerowej za sterownią. O tej porze na mostku powinna być tylko dyżurna wachta. Austin dał znak Pietrowowi. Ludzie pochyłili się nisko i ruszyli naprzód z bronią gotową do strzału.

Początkowe sukcesy dodały Austinowi odwagi. Ledwo jednak minęli wielki salon, gdzie Razow wyprawił w Bostonie przyjęcie, nagle otworzyły się drzwi. Na pokład padło jasne światło, oślepiające w goglach noktowizyjnych. Austin podniósł je na czoło i zobaczył ochroniarza. Facet stał nieruchomo jak jelen w reflektorach samochodu. Ścisnął butelkę wódki, obejmując młodą kobietę w stroju pokojówki. Trzymał rękę pod jej sukienką rozpiętą na biuście. Rude farbowane włosy opadały dziewczynie na twarz, jaskrawa szminka była rozmazana.

Pijacki uśmiech zniknął z twarzy ochroniarza na widok uzbrojonych intruzów. Jako zawodowiec dokładnie wiedział, co ma robić: milczeć. Ale jego towarzyszka nie znała się na rzeczy. Otworzyła usta i przeraźliwie wrzasnęła. Siła głosu dorównywała śpiewaczce operowej. Drugi wrzask trwał jeszcze dłużej, a potem dziewczyna ruszyła nieprzytomnie na pokład.

Kiedy zamilkło echo jej głosu, statek rozświetlił się niczym automat do gry. Na każdym poziomie otwierały się drzwi, zewsząd dochodziły okrzyki. Rozlegał się tupot biegnących ludzi i gardłowe głosy wydające rozkazy. Towarzyszyły im piskliwe wrzaski. Ale to był dopiero wstęp. Po chwili rozpętało się piekło.

Helikoptery typu Sikorsky HH 60-H Seahawk pędziły obok siebie nad oceanem niczym dwie Walkirie. Leciały tak nisko, że podwozia ochlapływała piana z grzywiastych szczytów fal. Maszyny miały szary kolor maskujący, nawet ich oznakowania były prawie niewidoczne.

Przez szybę jednego z helikopterów wyglądał dowódca plutonu, porucznik marynarki Zack Mason. Rozmyślał o pilnym telefonie z Waszyngtonu i rozkazie zebrania specjalnego oddziału bojowego do tajnej operacji.

Mason przypominał wyglądem urzędnika bankowego, ale był twardym, doświadczonym żołnierzem. Bez trudu wytrzymywał mordercze ćwiczenia w jednostce SEAL. Mimo młodego wieku brał już udział w wielu operacjach, od zarzuconego planu strącenia helikoptera Saddama Husajna do ochrony olimpiady w Atlancie.

Oficjalnie dowodził grupą SEAL na Wschodnim Wybrzeżu. Nieoficjalnie był oficerem łącznikowym, przydzielonym do Połączonego Dowództwa Operacji Specjalnych, czyli amalgamatu SEAL, Delta Force i 160. Pułku Lotniczych Operacji Specjalnych, znanego jako SOAR. Tajna jednostka miała własne helikoptery wsparcia. Drużyny szturmowe specjalizowały się w atakowaniu takich celów morskich, jak statki czy platformy wiertnicze. Połączone dowództwo było upoważnione do samodzielnego zwalczania terroryzmu.

Rozkaz operacji wydano z pominięciem normalnego trybu postępowania. Podpisał się pod nim bezpośrednio sekretarz marynarki. Admirał stojący na czele Dowództwa Morskich Operacji Specjalnych w Coronado w Kaliforni dostał polecenie, by decyzje operacyjne zapadały na możliwie najniższym szczeblu. Mason miał przesyłać meldunki z terenu prosto do Coronado.

Po rozmowie z Sandeckerem Sid Sparkman poszedł do prezydenta i powiedział mu prawdę o swoich powiązaniach z Atamanem. Przyznał, że skusiła go szansa zarobienia miliardów dolarów, ale nie wiedział o spisku Razowa przeciwko Stanom Zjednoczonym. Złożył pisemną rezygnację i oddał się do dyspozycji prezydenta. Zaproponował, że jeśli ich operacja się nie uda, weźmie na siebie całą odpowiedzialność. Prezydent zawsze był pragmatykiem. Schował rezygnację do kieszeni, przyjął ofertę Sparkmana i polecił mu zadzwonić do sekretarza marynarki.

Grupa SEAL, dowodzona przez Masona, stacjonowała w Little Creek w Wirginii. Wybrano ją dlatego, że była wyszkolona w abordażu. Dostała prosty rozkaz: opanować statek bez ostrzeżenia i unieszkodliwić bombę. Mason wiedział, że wykonanie tego rozkazu będzie skomplikowane.

- Dolatujemy na miejsce - powiedział pilot, przerywając rozmyślenia Masona. - Do celu dziesięć minut.

Mimo zewnętrznego spokoju, Mason czuł podniecenie akcją. Lubił trudne wyzwania i wstąpił do marynarki, żeby działać. Zerknął na szwajcarski zegarek Chase-Durer. Odwrócił się i pokazał swoim ludziom dziesięć palców.

Komandosi mieli czarne kombinezony i farbę maskującą na twarzach. Byli ledwo widoczni w przyćmionym świetle kabiny. Jako elitarna jednostka, mogli dowolnie wybierać ubranie i broń. Niektórzy nosili na głowie chusty w stylu Rambo, inni bardziej tradycyjne miękkie kapelusze z zawiniętym rondem. Większość miała karabinki colta, skróconą wersję M16 na amunicję bezłuskową, co zwiększało pojemność magazynków. Jeden z mężczyzn, zbudowany jak byk, trzymał lekki karabin maszynowy M-60 E3, który normalnie obsługiwało dwóch ludzi. Inny był uzbrojony w strzelbę kaliber 12 z pociskami przeciwpancernymi. Oprócz broni osobistej, ekspert od materiałów wybuchowych dźwigał plecak z ładunkami plastiku C-4 i detonatorami. Mason dowodził szesnastoosobowym plutonem, który miał opanować sterburkę. Jego zastępca, nazywany 2IC od słów *second in command*, prowadził grupę, która miała zabezpieczyć lewą burtę. Mimo ciężkiego uzbrojenia trzydziestu dwóch ludzi stanowiło zbyt małą siłą uderzeniową przeciwko takiemu olbrzymowi jak „Ataman Explorer”. Wymiana ognia ze znacznie liczniejszym przeciwnikiem mogła się źle skończyć. Ich główną bronią miało być zaskoczenie.

- Kontrola łączności - powiedział Mason. Jak wszyscy w plutonie, miał radio Motorola MX300 z mikrofonem krtaniowym i słuchawką. Komandosi zgłaszali się według ustalonej kolejności. Mason liczył odpowiedzi. Szesnaście. Z drugiego helikoptera odezwał się jego zastępca. On i jego ludzie byli gotowi.

Mason wyjął komórkę z kamizelki szturmowej i wystukał numer. Telefon miał specjalny algorytm szyfrowy, który łączył Masona bezpośrednio z innymi drużynami szturmowymi.

Kiedy jego oddział leciał na wschód od Bostonu z maksymalną szybkością dwustu trzydziestu kilometrów na godzinę, inne eskadry ruszyły do akcji na południu: Delta Force w rejonie Charlestonu w Karolinie Południowej, pułk lotniczych operacji specjalnych na wschód od Miami. Operacją dowodziła marynarka, co oznaczało, że szefem jest Mason. Gdyby został wyłączony z akcji, zastąpiłby go dowódca Delta Force, a w następnej kolejności oficer SOAR.

- Tu Omega Jeden - powiedział Mason. - Zgłoś się, Omega Dwa.

- Omega Dwa i jak pan się ma?

Mason uśmiechnął się. Znów te rymy. Poznał dowódcę Delta Force na wspólnych

ćwiczeniach. Lubił dowcipnego Afro-Amerykanina, który przybrał nazwisko Joe Louis na cześć wielkiego mistrza boksu.

- Jesteśmy zgodnie z rozkładem, Joe. Do celu dziesięć minut.

- Przyjąłem. Hej, Zack, czy marynarka nie mogła wymyśleć lepszego kryptonimu niż „Omega”? Na przykład „Trzy Misie”?

- Wątpię, żeby admirał chciał zostać „Niedźwiedzicą”.

- Nie mądrzcie się. Do celu osiem minut.

- Odezwij się, kiedy będziesz miał kontakt wzrokowy.

- Jak go namierzę, to ci się zwierzę. Bez odbioru.

Mason wcisnął inny guzik i połączył się z Willem Carmichaelem, dowódcą Omegi Trzy. W przeciwieństwie do Louisa, Carmichael był podręcznikowym typem oficera. Nawet jego spontaniczne odzywki wydawały się zaprogramowane. Zameldował, że jego drużyna leci zgodnie z rozkładem i dodał:

- Bułka z masłem.

Mason wiedział z własnego doświadczenia, że desant z powietrza na duży i zapewne dobrze uzbrojony statek na pełnym morzu, a potem unieszkodliwienie nieznanymi ładunków wybuchowych to niezupełnie „bułka z masłem”. Ćwiczyli abordaż mnóstwo razy, ale to była prawdziwa operacja. Jej powodzenie zależało od tego, by jak najdłużej nie zostać wykrytym. Helikopter HH-60H nadawał się idealnie do tego zadania. Był stosunkowo cichy, miał system zakłócania i tłumienia podczerwieni, antyradar i inne elektroniczne oczy i uszy. W dodatku był uzbrojony w dwa karabiny maszynowe M-60 i pociski raketowe hellfire.

- Do celu cztery minuty - poinformował flegmatycznie pilot.

Mason odwrócił się i unióśł cztery palce. Nie potrzebował tego robić, bo wszyscy byli podłączeni do obwodu interkomu helikoptera, ale chciał zaakcentować wiadomość. Napięcie rosnęło. Wydawało się, że minęły zaledwie sekundy, gdy pilot znów się odezwał.

- Kontakt wzrokowy.

Mason włożył gogle noktowizyjne i kazał swoim ludziom zrobić to samo. Zobaczył sylwetkę ogromnego statku, prującego fale. Zameldował innym drużynom o kontakcie wzrokowym. Obie już namierzyły cel. Powiedział, że odezwie się z LZ. Ten skrót od *Landing Zone* oznaczał strefę lądowania. Schował telefon do kamizelki.

Od celu dzieliły ich sekundy lotu. Seahawki wytraciły szybkość w ostatniej chwili, kiedy wydawało się, że walną w burtę statku. Poderwały się, skrzyły i zawisły po obu stronach szerokiego pokładu rufowego. Termowizory poszukały plam ciepła, które wskazywałyby na obecność ludzi. Pokład był czysty. Zadowolony pilot zwiększył obroty, ominął maszty i anteny i zawisnął na wysokości piętnastu metrów.

Wszyscy wiedzieli, że w tym momencie są bezbroni. Zrobili to, co ćwiczyli mnóstwo razy. Opuścili na dół linę grubości pięciu centymetrów, umocowaną do wyciągarki, i włożyli grube rękawice spawalnicze. Mason stanął w drzwiach, chwycił mocno linę i wyskoczył.

Wykorzystał siłę zdobytą dzięki morderczemu treningowi i kontrolował opadanie, dopóki nie dotknął stopami pokładu. Odsunął się szybko, żeby zrobić miejsce następnemu.

Oba helikoptery opustoszały w ciągu dziewięćdziesięciu sekund. Po wylądowaniu na statku komandosi odrzucili rękawice. Pierwsza czwórka uformowała krąg. Inni kolejno dołączyli do niego. Helikoptery odleciały jak spłoszone ważki i zawisły kilkaset metrów od prawej i lewej burty. Czekały na wiadomość o zdobyciu statku lub o niepowodzeniu operacji. Miały rozkaz ewakuować grupę szturmową i zatopić statek rakietami.

Mason przekonał się z ulgą, że ekspert od materiałów wybuchowych Joe Baron wylądował bezpiecznie. Mason umiał zakładać ładunki, ale Baron był zawodowcem. Porucznik wyjął z kamizelki pręt świetlny. Wygiął go w jedną i w drugą stronę. Chemikalia wewnątrz rurki wymieszały się i rozjarzyły na jasnoniebiesko. Pomachał prętem do drużyny przy lewej burcie, że wszystko gra. Sekundę później dostał taki sam sygnał. Rozmowy radiowe mieli ograniczyć do minimum.

Mason odebrał przez komórkę meldunki.

- Omega Trzy. Rufowa LZ zabezpieczona. Żadnych problemów. Melduj, Omega Dwa.

- Omega Dwa. Rufa zabezpieczona. Nikogo w domu, więc powęszymy po kryjomu.

- Tu Omega Jeden. Działaj według planu i skończ z tą żalostną poezją.

- Zrozumiałem - odpowiedział Louis. Korciło go, żeby dodać i „olałem”.

- Omega Trzy. Wszyscy w porządku.

Mason kazał drużynom ruszać. Ludzie przy każdej burcie podzielili się na dwa oddziały. Jeden zajmował pozycje strzeleckie i ubezpieczał biegnących kolegów. Potem grupa szturmowa stawiała się wsparciem ogniowym, a druga startowała do przodu. Taki manewr pozwalał na szybkie pokonywanie terenu.

Po kilku minutach spotkali się na dziobie z drużyną z lewej burty. Mason kazał zastępcy sprawdzić mostek i nadbudówkę i poprowadził swoją grupę pod pokład. Stosując tę samą technikę żabich skoków, drużyna Masona szybko posuwała się przez ładownie. Zatrzymali się przed zaspawanymi drzwiami. Skoro nie mogli tam wejść, nikt też nie mógł stamtąd wyjść. Ruszyli dalej. Wpadli do maszynowni. Silniki pracowały, ale nie zauważyli żadnej obsługi.

W słuchawce Masona zatrzeszczał głos.

- Tu góra. Kajuty oficerów i załogi sprawdzone. Koje zaścielone. Nikogo. Ponuro jak cholera.

- Maszynownia. Silniki na chodzie. Tu też nikogo.

Zagłębiali się coraz dalej. Wciąż nie było żywej duszy. Po dokładnym przeszukaniu statku wrócili na pokład główny.

Mason usłyszał przez radio głos zastępcy.

- Panie poruczniku, niech pan jak najszybciej przyjdzie na mostek.

Mason natychmiast poprowadził swoją drużynę do sterowni. Po drodze mijali stanowiska komandosów, czuwających na pokładach i skrzydłach mostka.

- Nic? - zapytał Mason żołnierza ze strzelbą.

- Nic, sir.

Mason wszedł do sterowni, gdzie czekał na niego zastępca z kilkoma ludźmi.

- Co chciałeś mi pokazać?

- Właśnie to, sir. Tu nikogo nie ma.

Mason rozejrzał się. Monitory komputerowe żarzyły się niebieskim światłem, na wyświetlaczach cyfrowych migwały odczyty. Wtedy zrozumiał. On i jego ludzie byli jedynymi żywymi istotami na ogromnym statku.

Zgłaszały się inne drużyny Omega. Louis i Carmichael meldowali, że „Ataman II” i „Ataman III” są opuszczone. Kiedy Mason słuchał meldunków, wyczuł zmianę w ruchu statku. Był tego pewien. Statek przestał płynąć naprzód. Mason podszedł do wielkiej szyby z widokiem na pokład. Wyjrzał w ciemność. Coś się działo. Nie miał pewności, ale zdawało mu się, że statek sunie w bok.

- Panie poruczniku - zawołał jeden z jego ludzi. - Niech pan zobaczy.

Komandos stał przed wielkim monitorem komputerowym. Obraz na ekranie wyglądał jak tarcza łucznicza. Widoczna na nim sylwetka statku obracała się wokół własnej osi, zbliżając się do środka koncentrycznych kręgów. Po jej obu stronach migwały czerwone lampki. Mason natychmiast zorientował się w sytuacji. Statek był zdalnie sterowany. Ktoś kierował trzema „Atamanami” z zewnątrz.

Mason kazał zastępcy zabezpieczyć mostek i wezwał helikoptery. Powiedział pilotom, żeby wylądowali. Potem polecił Joemu Baronowi zebrać na pokładzie dziobowym komandosów przeszkolonych w obchodzeniu się z materiałami wybuchowymi. Połączył się z innymi Omegami i kazał im dotrzeć do bomb. Zbiegł na pierwszy poziom i poprowadził w dół statku Barona i innych. Na schodach słyszał za plecami ich dudniące kroki. Doszli do zaspawanych drzwi, które widzieli wcześniej.

Porucznik porównał pozycję drużyny z diagramem statku. Znajdowali się na zewnątrz komory bombowej. Baron natychmiast zabrał się do roboty. Przykleił do drzwi paski plastiku C-4. Wetknął detonator w materiał przypominający kit i przeciągnął kabel za róg. Wszyscy wycofali się na bezpieczną odległość, przykucnęli i zasłonili uszy. Baron włączył urządzenie odpalające M57 na końcu przewodu. Głośny, głuchy huk odbił się echem w korytarzu.

Rzucili się do dymiącej czworokątnej dziury z poszarpanymi krawędziami. Szczupły Baron wśliznął się do środka niczym piskorz. Inni podali mu swoje plecaki i precyzyjnie się za nim. W ciemności rozbłysły latarki. Potem ktoś znalazł włącznik na ścianie i pomieszczenie zalało jasne światło.

Stali na platformie z dużym prostokątnym wycięciem pośrodku, przez który przechodził pocisk zwisający z sufitu. Trzymały go naciągi umocowane do ścian. Wszyscy gapili się bez słowa na wielki złowrogi cylinder. Światło odbijało się od metalowej powłoki i osłon

rotorów.

- Do roboty! - mruknął Mason. - Nie ma czasu na podziwianie.

Baron przesunął palcami po pocisku. Potem obejrzał płataninę węży i kabli, które wiły się w dół od dziury w suficie. Wstrzymał oddech.

- Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

- Możesz to rozbroić?

Baron uśmiechnął i zatarł ręce. Pogrzebał w swoim plecaku, wyciągnął stetoskop i włożył do uszu. Ośluchał pocisk w kilku miejscach. Marszczył czoło jak lekarz badający pacjenta.

- Ta laseczka jest odszykowana i gotowa do wyjścia. Słyszę szum.

- Co to za połączenia? - zapytał Mason.

- Paliwo i prąd. Przeciąłbym je, ale ta mała mogłaby wtedy zacząć działać na własną rękę.

- Innymi słowy, mogłoby się zacząć odpalanie?

Baron przytaknął.

- Muszę jej wyciąć serce.

Przesunął palcami wzdłuż lekko wystającej krawędzi panela z boku pocisku. Potem wygrzebał z plecaka komplet narzędzi i po kilku próbach dopasował nasadkę do łbów śrub, trzymających pokrywę panela. Wziął klucz elektryczny na baterie i zaczął odkręcać.

Mason przekazywał jego czynności innym drużynom jak radiowy sprawozdawca sportowy, relacjonujący mecz. Instruował tamtych, żeby powtarzali kolejne kroki Barona. W tym samym czasie jego ludzie przeszukali pomieszczenie i znaleźli w magazynie linę grubości dwóch i pół centymetra. Przeciągnęli ją pod wirnikami w nadziei, że utrzyma bombę.

Baronowi nie szło zbyt dobrze. Zerwał kilka gwintów, zardzewiałych od wilgoci w wielkiej komorze, i musiał do odkręcania śrub użyć specjalnego narzędzia. Opierał się o pocisk, trzymając głowę blisko obudowy. Nagle przerwał pracę i zaczął nasłuchiwać.

- Jasna cholera! - zaklął.

Mason cały czas zaglądał mu przez ramię.

- Co jest? - zapytał.

Zanim Baron zdążył odpowiedzieć, ze sterowni odezwał się zastępca Masona.

- Nie wiem, czy to coś znaczy, panie poruczniku, ale wszystkie monitory i wskaźniki oszalały.

- Zaczekaj - odrzekł Mason i zwrócił się do Barona. - To ze sterowni. Przyrządy coś sygnalizują.

Mason nadstawił ucha. Komorę wypełnił głośny szum. Narastał. Baron rozejrzył się.

- To gówno zaraz wystartuje.

- Możesz coś zrobić? - zapytał spokojnie Mason.

- Jest szansa. Jeśli zdążę zdjąć ten panel, może uda mi się przeciąć obwód odpalający. Niech pan trzyma tamte obcegi w pogotowiu.

Baron odkręcił kolejną śrubę i wziął się za następną. Nagle usłyszeli nowy hałas. Brzmiał jak odgłos zazębienia się wielkich trybów. Dochodził z dołu. Spojrzeli tam, co zapewne uratowało im wzrok; kable i węże nad ich głowami eksplodowały i oderwały się od pocisku. Padli na brzuchy. Pod nimi zaczęły się rozsuwać wrota basenu.

Wirniki bomby ożyły.

Dno basenu otworzyło się całkowicie. Znowu nastąpiła eksplozja i odpadły naciągi, trzymające pocisk. Grube liny trzasnęły jak nitki i luźne końce przecięły powietrze. Zgilotynowałyby każdego na swojej drodze.

Bomba opadła.

W słuchawce Masona wrzeszczały liczne głosy. Inne drużyny miały taką samą sytuację.

- Omega Dwa - krzychał Joe Louis. - Bomba opadła. Włączył się Carmichael.

- Omega Trzy. Nasza też.

Mason i jego ludzie podczołgali się do krawędzi pustego otworu po pocisku i spojrzeli w dół. Tam, gdzie wirniki bomby zniknęły w ciemnym morzu, zobaczyli spienione fale. Mieli wrażenie, że patrzą w otchłań piekła.

36

Olbrzym prowadzący ludzi Pietrowa, którego Austin ochrzcił mianem Mały, wysunął się naprzód i zdzielił ochroniarza w skroń drewnianą kolbą kałasznikowa. Pod facetem ugięły się nogi i runął na pokład. Nadbiegali następni przeciwnicy. Któryś zapalił latarkę i oświetlił Austina. Zaterkotał kałasznikow. Przy szybkostrzelności sześciuset pocisków na minutę nawet krótka seria była zabójcza. Zwłaszcza z bliskiej odległości.

Latarka potoczyła się po pokładzie, ale jej mignięcie wystarczyło ludziom Razowa. Zdążyli zlokalizować grupę szturmową i ocenić jej siły. W ciemności błysnął ogień z luf. Strzelanina tworzyła efekt stroboskopowy i ludzie Piętrowa wyglądali tak, jakby poruszali się w zwolnionym tempie.

Austin i Zavala padli na brzuchy i przetoczyli się za pacholek cumowniczy. Pociski przecięły powietrze nad ich głowami i odbiły się rykoszetem od dużego stalowego grzyba. Austin uniósł bowena i wypalił do ruchomego cienia. Nie był pewien, czy kogoś trafił. Zavala nacisnął spust swojego HK. Po błyskach z luf przeciwnika widać było, że ludzie Razowa rozdzielili się.

- Chcą nas otoczyć - zawołał Zavala.

Mały, leżący na brzuchu niedaleko Austina i Zavali, zamachał rękami, żeby zwrócić ich uwagę.

- Spadajcie stąd! - krzyknął. - Utrzymamy się.

Austin miał co do tego wątpliwości. Komandosi Małego mogli bronić przez chwilę wąskiego kawałka pokładu, ale w końcu musieli przegrać, jak Spartanie w wąwozie Termopile. Mały ponaglająco wskazał kciukiem za siebie. Austin i Zavala strzelili jeszcze kilka razy i wycofali się na leżącą pod szalupę.

Ludzie Razowa nadal ostrzeliwali ich poprzednią pozycję. Austin i Zavala wstali i pobiegli schyleni do drzwi salonu. Były otwarte. Weszli do środka z odbezpieczoną bronią. Kryształowe kandelabry były zgaszone. Paliły się tylko rzędy kinkietów na ścianach. W ich żółtej poświacie Austin zobaczył zarysy stołów, krzeseł i kanap. Przystanął przy parkiecie. W pobliżu mogli być ludzie Pietrowa. Żeby uniknąć fatalnej pomyłki, wywołał Pietrowa przez radio i podał mu swoją pozycję.

- Wygląda na to, że wszedł pan do gniazda szerszeni - odpowiedział Pietrow.
- Trudno. Nie wiem tylko, jak długo Mały się utrzyma.
- Zdziwi się pan - odrzekł beztrosko Pietrow. - Niech pan wyjdzie przez drzwi na pokład.

Będziemy uważać na pana.

Austin wyłączył się, otworzył drzwi i wyszedł. Na pokładzie nie było śladu Pietrowa i jego ludzi. Potem z ciemnych miejsc, gdzie kryli się komandosi, wyłoniły się cienie. Do Austina podszedł Pietrow.

- Mądrze zrobiliście, że nie wystawiliście głów na zewnątrz. Moi ludzie są trochę spięci. Posłałem kilku na drugą stronę. Powinni się odezwać za...

Przerwały mu wybuchy granatów. Strzały padały sporadycznie.

- Moi ludzie przerzedzili szeregi przeciwnika powiedział Pietrow. - Proponuję, żebyście robili swoje. Potrzebujecie pomocy?

- Dam ci znać, jeśli będziemy potrzebowali - odrzekł Austin i podszedł do drabinki, która prowadziła po ścianie nadbudówki na mostek.

- Powodzenia! - zawołał Pietrow.

Austin i Zawała byli w połowie drogi na górę, gdy zaczęły nadchodzić przerażające meldunki od drużyn Omega. Austin zatrzymał się, żeby przekazać Zawali złe wiadomości, które usłyszał.

- Opadły wszystkie bomby - powiedział.

Zawała wspinał się pierwszy. Przystanął przed wejściem na następny pokład, odwrócił się do Austina i wyrzucił z siebie potok hiszpańskich przekleństw.

- I co teraz? - zapytał.

W odpowiedzi Austin błyskawicznie uniósł rękę i wycelował rewolwer w Zawałę. Joe zmarł. Huknął strzał. Pocisk minął głowę Zawali o centymetry. Podmuch rozwiął mu włosy. Z góry z łomotem spadło coś na pokład. Zawała zamrugał oczami, spoglądając na Kozaka rozpostartego na dole. Obok wyciągniętej ręki trupa leżała szabla.

- Przepraszam, Joe - powiedział Austin. - Ten facet właśnie zamierzał skrócić cię o głowę.

Zawała przesunął palcami po włosach w miejscu, gdzie przeszedł pocisk.

- W porządku. Zawsze chciałem mieć przedziałek po tej stronie.

- Z bombami już nic nie zrobimy - odrzekł ponuro Austin. - Ale możemy załatwić tego skurwiela, który je odpalił.

Przejął prowadzenie. Wspinali się coraz wyżej, dopóki nie dotarli pod skrzydła mostka, wystające z obu stron sterowni. Rozdzielili się. Austin wbiegł cicho po schodach. Przywarł plecami do ściany, przysunął się do otwartych drzwi i wyjrzał zza rogu. Przestronna sterownia tonęła w karmazynowej poświacie.

W sterowni był tylko jeden człowiek. Stał tyłem do Austina przed dużym monitorem komputerowym. Austin szepnął przez radio do Zawali, żeby czuwał, a on zbada sytuację.

Wszedł do środka.

Charty Razowa musiały go wyczuć. Przybiegły pędem, stukając pazurami i merdając ogonami, i skoczyły na Austina. Odpychał je wolną ręką, ale psy zdradziły jego obecność. Zaintrygowany Razow odwrócił się i zmarszczył brwi. Wydał ostry rozkaz. Charty zaskomlały, podkuliły ogony, spuściły łby i wróciły do niego. Jego wąskie wargi rozciągnęły się w złowrogim uśmiechu.

- Spodziewałem się pana, panie Austin. Zawiadomiono mnie, że pan i pańscy przyjaciele jesteście na pokładzie. Cieszę się, że znów pana widzę. Szkoda, że musiał pan tak nagle przerwać swoją ostatnią wizytę.

- Może zmieni pan zdanie, kiedy przeszkodzimy panu w doprowadzeniu do końca pańskiej operacji.

- Trochę za późno na to - odparł Razow i wskazał monitor. Ekran był podzielony na trzy pionowe części. Każda pokazywała punkt szybko opadający w kierunku pofalowanej linii dna morskiego.

- Wiem, że odpalił pan bomby.

- Więc wie pan, że nie może pan nic zrobić. Kiedy pociski uderzą w dno, wirniki wprowadzą je w głąb, gdzie nastąpi eksplozja. Wybuchy uwolnią hydrat metanu i szelf się zapadnie. Osunięcia wywołają tsunami, które zniszczą trzy z waszych głównych miast nadmorskich.

- Nie mówiąc o tym, że pański obłądny plan spowoduje globalne ocieplenie.

Razow wyglądał na zaskoczonego, potem uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Powinienem być się domyślić, że odkryje pan mój ostateczny cel. Nieważne. Tak, Syberia stanie się spichlerzem świata. A pański kraj będzie tak zajęty lizaniem ran i zabieganiem o żywność, że nie starczy mu czasu na wtrącanie się w sprawy Rosji. Być może, będziemy wam sprzedawać syberyjskie zboże, jeśli zasłużycie na to.

- Czy Irini poparłaby ten pomysł?

Uśmiech zniknął.

- Nie jesteś godny wymawiać jej imienia.

Austin wycelował bowena w serce Razowa.

- Ale mogę cię do niej posłać.

Razow coś powiedział. Na jego słowa rozsunęła się kurtyna, oddzielająca główną część sterowni od kabiny nawigacyjnej. Wszedł brodaty Kozak i Pułaski, porywacz NR-1. Trzymali w rękach pistolety maszynowe. Okrążyli Austina i stanęli za nim. Potem pojawił się wysoki mężczyzna w długiej czarnej sutannie. Utkwił w Austinie głęboko osadzone oczy i obliznął wargi jak przed uczta. Powiedział coś po rosyjsku. Jego donośny, basowy głos brzmiał tak, jakby wydobywał się z wnętrza grobowca.

Austinowi przeszły ciarki po plecach, ale nadal celował w Razowa.

Razow wydawał się ubawiony reakcją Austina.

- Chciałbym panu przedstawić Borysa, mojego współnika i doradcę. Mnich wyszczerzył zęby na dźwięk swojego imienia i zagadał coś po rosyjsku. Razow przetłumaczył.

- Borys żałuje, że nie spotkał pana na pokładzie tamtego statku NUMA.

- Nawet nie masz pojęcia, jak ja żałuję - odparł Austin. - Teraz by tu nie stał.

- Brawo! Wspaniała próba blefu. Niech pan odłoży broń, panie Austin. Kiedy tu sobie rozmawiamy, moi ludzie wykańczają pańskich towarzyszy.

Austin nie zamierzał wypuszczać rewolweru z ręki. Chyba że zmusiłaby go do tego seria z automatu. Ale najpierw zabiłby Razowa i Borysa. Zastanawiał się, gdzie jest Zawała. Gdy rozważał następny krok, w jego słuchawce odezwał się głos Yaegera.

- Słyszysz mnie, Kurt? Jest jeszcze szansa. Pracuję nad częścią kodu, której nie mogłem rozgryźć. Dotyczy bomb. Nie wybuchną, dopóki nie są uzbrojone. Odbierasz mnie?

Austin wciąż trzymał Razowa pod lufą. Zerknął na monitor. Punkty dotarły do dna morza. Razow zauważył, na co patrzy Austin.

- Zadanie wykonane, panie Austin.

- Niezupełnie - odparł Austin. - Bomby są nieszkodliwe, dopóki się ich nie uzbroi.

Mina Razowa zdradzała zaskoczenie, ale szybko się opanował.

- Zgadza się. Trzeba je uzbroić. Będzie pan miał zaszczyt zobaczyć to. Szkoda, że za chwilę umrze pan ze świadomością, że pańskie żalosne próby przeszkodzenia mi nie powiodły się.

Razow prawie niezauważalnie skinął głową. Borys podszedł do klawiatury komputera i wyciągnął długie palce. Więcej nie zdążył zrobić.

Austin przestał mierzyć do Razowa, wycelował w rękę mnicha i nacisnął spust. Z bliskiej odległości efekt był przerażający. Dłoń rozprysła się na kawałki. Borys spojrzął z niedowierzaniem na zakrwawiony kikut. Zwykły śmiertelnik upadłby z wrzaskiem na podłogę. Borys wydał dziki ryk wściekłości i wbił w Austina oczy płonące nienawiścią. Sięgnął lewą ręką pod sutannę i wydobył sztylet. Nie zwracając uwagi na ranę, ruszył na Austina.

Dwaj mężczyźni odbezpieczyli pistolety maszynowe. Borys krzyknął do nich ostrzegawczo. Chciał mieć Austina dla siebie.

Austin nie mógł uwierzyć, że ten człowiek jeszcze stoi na nogach. Uniósł bowena, żeby wykończyć mnicha strzałem między oczy, ale nagle ktoś przycisnął mu ręce do boków tułowia. To Pułaski złapał go niespodziewanie z tyłu.

Borys był już tak blisko, że Austin czuł zwierzęcy smród niemytego ciała i cuchnący oddech. Mnich wyszczerzył zepsute zęby i uniósł nóż do ciosu.

Austin z całej siły nadepnął butem na stopę Pułaskiego. Rosjanin jęknął z bólu i rozluźnił chwyt. Austin ugiął kolana i wbił mu łokieć w bok. Pułaski puścił go. Austin zadarł lufę rewolweru do góry i strzelił Borysowi w pierś z odległości kilku centymetrów. Impet ciężkiego pocisku odrzucił mnicha do tyłu. Borys wpadł na ścianę i runął na podłogę.

Pułaski wyrzwał Austina kolbą w skroń. Kurt zobaczył wszystkie gwiazdy i upadł. Zamroczyło go, ale ostry ból nie pozwolił mu całkiem stracić przytomności. Dostrzegł jak przez mgłę, że Razow wystukuje polecenie na zakrwawionej klawiaturze. Poczuł jeszcze w dłoni kopnięcie rewolweru i zemdłał.

Pułaski pochylił się nad nim i zbliżył lufę pistoletu maszynowego do jego głowy, gdy od drzwi zaterkotał heckler&koch Zawali. Pułaski i stojący obok niego Kozak zwalili się na podłone.

Kiedy Austin odzyskał przytomność, klęczał przy nim Zawała. Przy pierwszym strzale charty skuliły się w kącie. Teraz lizały rękę Austina.

- Przepraszam, że nie zdążyłem wcześniej - powiedział Joe. - Musiałem załatwić kilku ochroniarzy Razowa.

Austin delikatnie odsunął psy.

- Gdzie on jest? - zapytał i rozejrzał się.

- Wymknął się drugimi drzwiami, kiedy wdałem się w wymianę ognia z Kozakami.

Austin wstał z pomocą Zawali. Zerknął na trupy Kozaka, Pułaskiego i Borysa, potem podszedł do komputera. Z ekranu monitora została tylko kupa szkła.

- Chciał stąd uzbroić i zdetonować bomby. Wpisywał polecenie, ale rozwalilem komputer celnym strzałem.

Zawała uśmiechnął się.

- Mam nadzieję, że dostał miesięczną gwarancję na sprzęt.

Austin połączył się przez radio z Pietrowem.

- Iwan, jesteś tam?

- Tak. Jakież problemy?

- Było kilka, ale poradziłem sobie. A co u ciebie?

- Tamci próbowali nas okrążyć, ale czekaliśmy na nich. Straciłem kilku ludzi. Teraz pozostaje tylko posprzątać trupy.

- Dobra robota. Borys jest sztywny. Przeszkodziliśmy w uzbrojeniu bomb. Razow dał nogę. Rozejrzyj się za nim.

- W porządku... Moment. Startuje helikopter.

Austin usłyszał przez sporadyczne strzały warkot rotorów. Wyszedł na skrzydło mostka w samą porę, żeby zobaczyć nad statkiem czarny helikopter. Uniósł rewolwer, ale maszty przeszkadzały mu w celowaniu. Po kilku sekundach maszyna zniknęła w ciemności.

Coś szturchnęło Austina w nogi. Charty domagały się pieszczot i smakołyków. Schował broń do kabury i pogłaskał psy po łbach. Zeszli z Zawałą na pokład główny do Pietrowa i jego ludzi. Charty nie odstępowały Austina na krok. Zastanawiał się, czy znajdzie gdzieś kiełbaski dla swoich nowych przyjaciół.

Anglia

Trzydzieści sześć godzin później lord Dodson wyprostował się nagle w skórzanym fotelu. Zamrugał oczami i rozejrzał się po swoim gabinecie. Zasnął nad nową biografią Nelsona. Pewnie się starzeje, opis życia takiego człowieka nie mógł być nudny.

Z drzemki obudził go hałas, ale teraz znów panowała cisza. Jego gospodyni Jenna niedawno wyszła. O ile wiedział, domu nie nawiedzały duchy, choć czasem coś skrzypiało i trzeszczało. Sięgnął po wygasłą fajkę w popielniczce i zastanowił się, czy ją zapalić. Ale ciekawość zwyciężyła. Odłożył fajkę i książkę, wstał z fotela, otworzył drzwi frontowe i wyszedł w ciemną noc.

Na tle księżycy płynęły chmury, tu i tam mrugały gwiazdy. Było bezwietrznie. Wszedł z powrotem do domu. Kiedy zamykał drzwi, zamarł. W kuchni coś zaskrzypiało. Jenna wróciła bez jego wiedzy? Niemożliwe. Miała się dziś opiekować chorą siostrą. Rodzina jest dla niej ważniejsza niż praca.

Dodson zakradł się cicho do gabinetu i zdjął wiszącą nad kominkiem strzelbę. Drżącymi rękami pogrzebał w szufladzie biurka i znalazł pudełko naboń. Załadował broń i poszedł ostrożnie do kuchni.

Jenna nie zgasiła światła. Wszedł i natychmiast zauważył wybitą szybkę w tylnych drzwiach. Na podłodze walało się szkło. Włamywacze! Co za bezczelność wlaźć do domu, kiedy on tu jest! Dodson podszedł bliżej do tylnych drzwi, żeby się lepiej przyjrzeć. Kiedy pochylił się, oglądając zniszczenia, dostrzegł w całej szybce odbicie jakiegoś ruchu.

Odwrócił się gwałtownie. Ze spiżarni wyszedł mężczyzna z pistoletem.

- Dobry wieczór, lordzie Dodson. Proszę mi oddać strzelbę.

Dodson przeklął własną głupotę. Powinien był najpierw sprawdzić spiżarnię. Opuścił lufę i oddał broń.

- Kim pan jest, do diabła, i co pan tu robi?

- Nazywam się Razow. Jestem prawowitym właścicielem cennego przedmiotu, który pan przywłaszczył.

- To jakaś pomyłka! Wszystko w tym domu należy do mnie.

Wargi mężczyzny rozciągnęły się w sardonycznym uśmiechu.

- Wszystko?

Dodson zawahał się.

- Tak.

Obcy podszedł krok bliżej.

- Niech pan da spokój, lordzie Dodson. Prawdziwy angielski dżentelmen nie powinien kłamać.

- Niech pan lepiej stąd wyjdzie. Wezwałem policję.

- Akurat. Następne kłamstwo. Po małej pogawędce z pańską gospodynią przeciąłem kabel telefoniczny.

- Z Jenna? Gdzie ona jest?

- W bezpiecznym miejscu. Na razie. Ale jeśli nie zacznie pan mówić prawdy, będę musiał ją zabić.

Dodson nie miał wątpliwości, że intruz nie żartuje.

- Czego pan chce?

- Sądzę, że domyśla się pan. Korony Iwana Groźnego.

- Dlaczego pan uważa, że mam... Co to jest? Jakaś rosyjska korona?

- Niech pan nie próbuje nieudolnie blefować i nie nadużywa mojej cierpliwości. Kiedy nie udało mi się znaleźć korony wśród innych carskich skarbów na „Odessa Star”, zrobiłem to, co na moim miejscu uczyniłby każdy doświadczony łowca. Poszedłem jej tropem. Rodzina carska przywiozła koronę do Odessy, ale caryca przeczuwała, że ona i jej córki nie dotrą do celu podróży. Chciała mieć pewność, że nawet w wypadku ich śmierci korona trafi w ręce ocalałego Romanowa, który dzięki niej odzyska tron rosyjski. Powierzyła koronę agentowi brytyjskiemu.

- To musiało być na długo przed moim urodzeniem.

- Oczywiście, ale obaj wiemy, że agent był człowiekiem pańskiego dziadka.

Dodson próbował zaprzeczać, ale zrozumiał, że to bezcelowe. Ten intruz wszystko wiedział.

- Ta korona nic dla mnie nie znaczy. Jeśli jednak dam ją panu, muszę mieć pańskie słowo, że wypuści pan moją gospodynię. Ona o niczym nie wie.

- Ta starucha nie jest mi potrzebna. Chodźmy po koronę.

- Dobrze - zgodził się Dodson. - Proszę za mną.

Przeszedł do holu i otworzył drzwi szafy w ścianie. Odepchnął na bok wieszaki z kurtkami zimowymi i innymi ubraniami, a także stojące tam buty i wszedł do środka. Uniósł klepkę podłogi i nacisnął umieszczony tam guzik. Tylne ścianki szafy odsunęły się cicho. Dodson zapalił światło i zszedł po krętych schodach z kamiennych bloków. Razem nie odstępował go ani na krok. Znaleźli się w kamiennej komorze. Ze ścian wystawały żarzewia żelazne kinkiety.

- To stara piwnica rzymska. Przechowywano tu wina i warzywa.

- Niech pan mi oszczędzi lekcji historii, lordzie Dodson. Korona!

Dodson skinął głową i podszedł do pary kinkietów w ścianie. Przekreślił je w kierunku ruchu wskazówek zegara.

- To mechanizm otwierający - wyjaśnił.

Przesunął rękami w dół po kamieniach i natrafił palcami na wgłębienie. Pociągnął i fragment ściany otworzył się ze zgrzytem. Żelazne drzwi były zamaskowane na zewnątrz warstwą kamieni o grubości dwóch i pół centymetra. Dodson cofnął się.

- Oto pańska korona. Znajduje się dokładnie tu, gdzie prawie sto lat temu umieścił ją mój dziadek.

Korona leżała na piedestale pokrytym purpurową materią.

- Niech pan się odwróci i załóż ręce do tyłu - rozkazał Razow.

Skrepował nadgarstki i kostki Dodsona taśmą klejącą i posadził go na podłodze plecami do ściany. Wetknął pistolet za pasek i sięgnął po koronę. Była cięższa niż myślał. Stęknął z wysiłku, gdy przytulił ją do piersi.

Oczy błyszczały mu pożądliwie niczym diamenty, rubiny i szmaragdy na kopulastej koronie.

- Piękna - szepnął.

- Moim zdaniem, w złym guście - powiedział Dodson.

- Anglicy! - parsknął pogardliwie Razow. - Jest pan głupcem, jak pański dziadek. Żaden z was nie docenił potęgi, którą mieliście w rękach.

- Wręcz przeciwnie - odparł Dodson. - Mój dziadek wiedział, że po śmierci rodziny carskiej pojawienie się korony wzbudzi emocje i wywoła roszczenia. Uzasadnione i nieuzasadnione - dodał i spojrzał znacząco na Razowa. - W tę grę zostałyby wciągnięte inne kraje. Wybuchłaby następna wojna światowa.

- Zamiast tego mieliśmy pół wieku komunizmu.

- Nie dałoby się tego uniknąć. Carat doszedł do stanu zupełnego rozkładu.

Razow roześmiał się.

- Ukoronuję się sam. Jak Napoleon. Ma pan przed sobą nowego władcę Rosji.

- Widzę tylko tuzinkowego ignoranta, popisującego się bogactwem.

Wężowe oczy Razowa przygasły. Odciął nowy kawałek taśmy i zakleił Dodsonowi usta. Wziął koronę i wspiął się po schodach. Będąc już na górze, przystanął.

- Może kiedyś znajdzie tu ktoś pańskie kości. I niestety muszę się pozbyć pańskiej gospodyni.

Wyszedł przez szafę do holu. Ponieważ trzymał koronę w obu rękach, nie zasunął tajnego przejścia. Zamierzał zanieść koronę do samochodu, wrócić i zamknąć Dodsona na wieczność. Potem zabić gospodynię i wrzucić ciało do rzeki.

Kiedy nioś swój skarb do tylnego wyjścia, usłyszał pukanie do drzwi frontowych.

Zamarł.

- Lordzie Dodson, jest pan tam? - zawołał Zavala i zapukał głośniejsze. Razem odwrócił się i poszedł do kuchni.

Dodson nie zaryglował drzwi. Zavala i Austin weszli do domu z bronią w rękach. Zavala znów zawołał. W holu zatrzymali się przy otwartej szafie. Z tajnej piwnicy dochodziło światło. Spojrzeli po sobie. Austin z bowenem gotowym do strzału i zszedł po schodach. Zavala osłaniał go.

Austin zobaczył lorda Dodsona, siedzącego na podłodze. Zerwał mu taśmę z ust.

- Nic się panu nie stało?

- Nie, wszystko w porządku. Trzeba złapać Razowa. Ma koronę.

Austin przeciął nożem taśmę na nadgarstkach i kostkach Dodsona. Wyszli z piwnicy. Dodson uśmiechnął się na widok Joego.

- Cieszę się, że znów pana widzę, panie Zavala.

- Cała przyjemność po mojej stronie, lordzie Dodson. To mój partner, Kurt Austin.

- Miło mi pana poznać, panie Austin.

- Tylne drzwi są otwarte - zauważył Zavala. - Musiał uciec przez kuchnię.

Dodson wyglądał na zaniepokojonego.

- Nie widzieliście mojej gospodyni?

- Jeśli mówi pan o tej tęgiej wściekłej damie, którą znaleźliśmy związaną na tylnym siedzeniu wypożyczonego samochodu, to nic jej nie jest - odpowiedział Austin. - Wysłaliśmy ją po policję.

- Dziękuję - odrzekł Dodson. - Kiedy Razow zobaczy, że nie ma samochodu, może spróbować uciec rzeką. Jest tam łódź.

Zavala ruszył do tylnych drzwi.

- Niech pan zaczeka - powstrzymał go Dodson. - Znam lepszą drogę. Chodźcie ze mną.

Ku zdumieniu Austina i Zavali, Dodson poprowadził ich z powrotem przez szafę do piwnicy. Obrócił dwa inne kinkiety na ścianie i otworzył przejście.

- To stary tunel ewakuacyjny. Kończy się na dnie wyschniętej studni przy rzece. Trzeba się wspiąć do góry po klamrach. Może zdążycie do łodzi przed Razowem. Ciężka korona nie pozwoli mu iść szybko.

- Dzięki, lordzie Dodson - powiedział Austin. Schylił głowę i dał nura do środka.

- Nie wchodźcie za nim do rzeki - zawołał Dodson. - Płynięcie tu zdradliwe. Muł jest jak lotne piaski. Może wchłonąć konia.

Austin i Zavala ledwo dosłyszeli ostrzeżenie. Biegli tunelem, zgięci w pół. Nie mieli latarki i musieli szukać drogi po omacku. Wąski korytarz opadał. Coraz silniej cuchnęła stojąca woda i gnijące rośliny. Tunel skończył się nagle. Gdyby nie snop światła księżyca, wpadliby na półkolistą ścianę. Austin pomacał kamienie i znalazł klamry. Wspięli się do wylotu niskiej studni i wyszli na zewnątrz. Na tle lśniącej rzeki zobaczyli zarys małej

przystani. Dotarli do wody i zajęli stanowiska po obu stronach pomostu.

Wkrótce usłyszeli ciężkie kroki i sapanie. Razow biegł w ich kierunku. Wydawało się, że wpadnie prosto w zasadzkę. Kiedy jednak był już blisko, zza chmur wypłynął jasny księżyc i oświetlił srebrzyste włosy Austina. Trwało to tylko moment, ale Razow skręcił gwałtownie i pobiegł wzdłuż rzeki.

- Stój, Razow! - krzyknął Austin. - Nie uciekniesz.

Z przodu rozległ się trzask łamanych gałęzi. Razow przedarł się przez zarośla na brzegu. Usłyszeli plusk. Austin i Zawała zatrzymali się na trawie tuż nad wodą. Razow próbował przejść rzekę w bród, ale po kilku metrach stopy zapadły mu się w miękki muł. Chciał zawrócić, ale nie mógł. Stał po pas w wodzie twarzą do brzegu i oburącz przyciskał do ciała koronę.

- Nie mogę się ruszyć - powiedział.

Austin przypomniał sobie ostrzeżenie Dodsona przed „ruchomymi piaskami”. Znalazł ułamaną gałąź i wyciągnął ją w kierunku Razowa.

- Złap się tego.

Zanurzony po pachy Razow nie zareagował na jego wołanie.

- Rzuć tę cholerną koronę! - wrzasnął Austin.

- Nie. Za długo na nią czekałem. Nie puszczę jej.

- Nie jest warta twojego życia - odparł Austin.

Woda sięgnęła Razowowi do brody i nie zrozumieli jego odpowiedzi. Uniósł wysoko koronę i włożył na głowę. Po chwili głowa zniknęła i na powierzchni została sama korona. Wyglądała tak, jakby unosiła się na wodzie. W rzece odbijał się srebrzysty blask. W końcu korona też zniknęła.

- *Dios mia* - odezwał się Zawała w ojczystym hiszpańskim języku. - Co za śmierć!

Usłyszeli sapanie. Biegł do nich Dodson z odzyskaną strzelbą i latarką.

- Gdzie ta kanalia? - zawołał.

Austin rzucił do rzeki niepotrzebną gałąź.

- Tam. Korona też.

- Mój Boże! - szepnął Dodson i oświetlił latarką brunatną mętną wodę. Pozycję Razowa znaczyło tylko kilka pęcherzy powietrza, ale one też wkrótce zniknęły w leniwym nurcie.

- Niech żyje car - powiedział Austin.

Odwrócili się i poszli z powrotem do domu.

Waszyngton

Austin wiosłował w zamglonym złocistym świetle. Był tym tak pochłonięty, że ledwo zauważył motorówkę, która przecięła rzekę i zajęła pozycję za nim. Zatrzymał się. Motorówka też. Otarł pot z czoła, łyknął wody z plastikowej butelki, oparł się na wiosłach i zmrużył oczy przed blaskiem.

Patrząc na nieruchomą motorówkę, zastanawiał się, czy to znów jakieś macki potężnej organizacji Razowa.

Na próbę zaczął wiosłować. Motorówka natychmiast ruszyła za nim. Utrzymywała stałą odległość. Pozwolił, żeby skul wytracił prędkość. Motorówka też stanęła.

Austin zerknął szybko w dół i w górę rzeki. Był zdany na siebie. O tej porze nie pływały żadne łodzie. Zawrócił szerokim łukiem i skierował ostry dziób skulą tam, skąd przy płynął. Złapał rytm, pamiętając o tym, że wiosłowanie to bardziej sprawa techniki niż siły. Z mniejszej odległości zobaczył, że motorówka ma biały kadłub. Nie widział, ile osób jest na pokładzie. Zwiększył tempo. Skul pomknął w stronę łodzi jak pocisk raketowy.

Zbliżał się do miejsca, gdzie linia brzegowa wybrzuszała się, powodując wiry i przeciwne prądy. Austin pozornie płynął wprost przed siebie, w rzeczywistości zbaczał w stronę lądu.

W pewnym momencie gwałtownie skręcił, cudem unikając wywrotki, i powiosłował w kierunku brzegu.

Usłyszał wściekłe wycie silnika.

Miał nadzieję, że sprytny manewr zaskoczy tamtego człowieka, nie spodziewał się takiej szybkiej reakcji. Motorówka rosła w oczach. Austin już wiedział, że nie zdąży do brzegu. Jeśli pozostanie zwrócony burtą do łodzi, będzie zupełnie bezbronny.

Zrezygnował z poprzedniego planu, wykonał następny szybki skręt i skierował skulą prosto na pędzącą z przeciwka motorówkę.

Łódź była trochę krótsza od skula, ale z poziomu wody wyglądała jak „Queen Elizabeth II”. Kolidzja byłaby równie groźna jak spotkanie z transatlantykiem. Austin miał nadzieję, że motorówka skręci w ostatniej chwili. W najgorszym razie otrą się burtami. Kiedy zderzenie wydawało się nieuniknione, uniósł jedno wiosło i oparł na ramieniu jak do rzutu oszczepem.

Sternik łodzi przymknął przepustnicę i opór wody wyhamował motorówkę. Austin usłyszał znajomy rechot, podniósł wzrok i zobaczył Pietrowa. Rosjanin był w czapce baseballowej i hawajskiej koszuli z palmami i dziewczynami w bikini.

Austin włożył wiosło w dulkę. Jeszcze waliło mu serce.

- Cześć, Iwan. Zastanawiałem się, kiedy znów się pokażesz. Jak mnie tu znalazłeś?

Pietrow wzruszył ramionami.

Austin uśmiechnął się.

- Może zainteresuje cię wiadomość, że ja też sprawdziłem twoje dossier. Wygląda na to, że dopiero od kilku lat nazywasz się Iwan Pietrow.

- Jak powiedział poeta: cóż znaczy nazwisko?

- Kiedy wracasz do domu?

- Jutro. Wasz prezydent zwrócił carski skarb mojemu krajowi. Wrócę do Rosji jako bohater. Mówi się nawet, że zechcą ze mnie zrobić poważnego polityka. Po zniknięciu Razowa jego Kozacy są w rozsypce i umiarkowani mają szansę utrzymać się przy władzy.

- Gratuluję. Zaslugujesz na to.

- Dzięki. Czy jednak naprawdę widzi mnie pan w parlamencie?

- Chyba nie - przyznał Austin. - Zawsze będziesz czuł się lepiej, stojąc w cieniu.

- Bo tam jest moje miejsce.

- Może mógłbyś odpowiedzieć na parę pytań, zanim znów zmienisz tożsamość? Czy Razow rzeczywiście był potomkiem cara?

- Tak mu powiedział ojciec na łożu śmierci. Kiedy Razow spotkał Borysa, szalony mnich uznał to za zrządzenie losu. Mamy niezbity dowód, że Borys był w prostej linii potomkiem Rasputina.

Austin z niedowierzaniem pokręcił głową.

- A Razow?

- Jego ojca oszukano. Wiejski pop, który przechowywał archiwa rodzinne, był pijaczną. Usłyszał, że córka cara przeżyła, i wykorzystywał tę historię do wyciągania od ojca Razowa forsy na gorzałę.

- Więc wielka księżna Maria nie miała dzieci?

Pietrow uśmiechnął się tajemniczo.

- Tego nie powiedziałem.

Austin uniósł brwi.

- Miała dwójkę dzieci. Oboje żyją. To mężczyzna i kobieta. Rozmawiałem z nimi. Dobrze im się powodzi i wiedzą, co by się działo, gdyby się ujawnili. Chcą pozostać anonimowi i uszanuję ich wolę. Teraz ja mam pytanie. Skąd pan wiedział, że Razow pojedzie do lorda Dodsona?

- Przeszukaliśmy jego jacht i znaleźliśmy dokumenty wskazujące na to, że korona trafiła w ręce dziadka Dodsona. Odrzutowcem NUMA poleciliśmy do Anglii. Na szczęście Razow

przyjechał sam. Pewnie nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział, że ukradł koronę. Niestety, nie zdołaliśmy jej uratować.

- Dobrze, że właśnie tak się stało. Za każdy z tamtych klejnotów zapłacono krwią i potem niewolników. - Pietrow popatrzył na jastrzębia, zataczającego leniwy krąg nad rzeką. - No cóż, panie Austin...

- Skończ wreszcie z tymi formalnościami. Mów mi Kurt.

Pietrow zasalutował.

- Do następnego spotkania. Kurt.

Pchnął przepustnicę i pomknął w dół rzeki. Wkrótce motorówka zniknęła za zakrętem. Austin wrócił do wiosłowania i po kilku minutach przybił do przystani. Schował skua i wszedł po schodach na piętro. Rozebrał się do szortów, zaparzył dzbanek jamajskiej kawy i przygotował sobie śniadanie.

- Naprawdę ranny ptaszek z ciebie.

Austin odwrócił się. Kaela Dorn schodziła po schodach z sypialni w wieżycze. Miała na sobie górę od jedwabnej piżamy.

- Mam nadzieję, że cię nie obudziłem - powiedział Austin.

Podeszła i powąchała aromatyczną kawę.

- Trudno sobie wyobrazić przyjemniejsze przebudzenie.

Dotknęła palcami blizn na opalonych plecach Austina i zmarszczyła czoło.

- Nie widziałam tego w nocy.

- Miałś zamknięte oczy.

- Ty też. Muszę powiedzieć, że nadrobiliśmy wszystkie niedoszłe randki.

- Mam nadzieję, że warto było zaczekać.

Pocałowała go lekko.

- Na pewno.

Kawa była gotowa. Austin napełnił dwa parujące kubki i wyszli na pomost z widokiem na lśniąca rzekę. Powietrze było świeże i czyste. Austin uniósł kubek w toaście.

- Za twoją karierę w CNN.

- Dzięki. Nie dostałabym się tam, nie mając wyłączności na historię Atamana. Choć będzie mi brakowało Mickeya i Dundee. Nie wiem, jak ci się odwdzięczę.

- Już to zrobiłaś.

- Chcesz powiedzieć, że dałaś mi wyłączność, żebym poszła z tobą do łóżka?

- A mógł być lepszy powód?

Dotknęła palcem policzka i przechyliła głowę.

- Nie.

Austin zadzwonił do Kaeli przed odlotem z Londynu, informując ją, że wraca do domu. Umówili się w Waszyngtonie po jego wizycie w NUMA. Zgodnie z obietnicą dał jej wyłączność na historię Razowa. Musiał pominąć kilka szczegółów, ale wystarczyło jej tropów

do zebrania materiału. Temat ten przez trzy wieczory zapelniał wszystkie kanary. Kaela stała się nagle najpopularniejszą dziennikarką w mieście. Zaskoczyła Austina telefonem z propozycją wspólnej kolacji w cichej wiejskiej gospodzie w Wirginii. Potem przenieśli się do domu Austina.

Austin przeprosił na moment i poszedł do drzwi frontowych z widokiem na trawnik. Gwizdnął i dwie białe plamy wystrzeliły z kępy drzew i popędziły do niego. Wrócił na pomost z rozradowanymi chartami.

Kaela podrapała łeb Saszy.

- Co z nimi zrobisz?

- Na razie będą moimi gośćmi. Przed następnym wyjazdem znajdę im nowy dom. Tymczasem chciałbym cię zabrać w krótki rejs.

Roześmiała się.

- Czym?

- NUMA i ja weszliśmy ostatnio w posiadanie dużego jachtu - odrzekł Austin.

Objęła go i pocałowała długo i namiętnie.

- Tylko upewnij się, czy podają śniadanie do kajut - powiedziała znaczącym tonem.

Podziękowania

Wyrazy wdzięczności dla Arnolda Carra za pomocne sugestie dotyczące niezwyklej badawczej jednostki pływającej NR-1; dla Johna Fisha z Amerykańskiej Służby Badań i Pomiarów Podwodnych za doradztwo techniczne; dla Williama Otta i personelu obserwatorium Weston za odpowiedzi na pytania o podwodne trzęsienia ziemi.